



Potęga
północy

LARA
ADRIAN

 AMBER

Adrian Lara

Potęga północy

IV tom Rasy Środka Nocy

Spis treści

Streszczenie	- 5 -
Rozdział 1	- 6 -
Rozdział 2	- 16 -
Rozdział 3	- 26 -
Rozdział 4	- 33 -
Rozdział 5	- 38 -
Rozdział 6	- 46 -
Rozdział 7	- 54 -
Rozdział 8	- 63 -
Rozdział 9	- 74 -
Rozdział 10	- 81 -
Rozdział 11	- 90 -
Rozdział 12	- 100 -
Rozdział 13	- 110 -
Rozdział 14	- 118 -
Rozdział 15	- 126 -
Rozdział 16	- 136 -
Rozdział 17	- 144 -
Rozdział 18	- 150 -
Rozdział 19	- 161 -
Rozdział 20	- 167 -
Rozdział 21	- 178 -
Rozdział 22	- 184 -
Rozdział 23	- 191 -
Rozdział 24	- 200 -
Rozdział 25	- 205 -
Rozdział 26	- 211 -
Rozdział 27	- 218 -
Rozdział 28	- 225 -

Rozdział 29	- 234 -
Rozdział 30	- 240 -
Rozdział 31	- 248 -
Rozdział 32	- 255 -
Rozdział 33	- 262 -
Rozdział 34	- 267 -
Rozdział 35	- 274 -
Rozdział 36	- 280 -

STRESZCZENIE

Zdradzony, wiedziony bólem i wściekłością nieśmiertelny wojownik i śmiertelniczka, która może go uleczyć... albo zniweczyć dzieło jego kilkuset lat życia

Rio, nieśmiertelny wampir-wojownik, poświęcił kilkaset lat walce z renegatami własnej rasy. Nie pozwoli, by ktokolwiek stanął mu na drodze - nawet kobieta tak niezwykła jak Dylan Alexander.

Dylan, nowojorska dziennikarka, nie zdaje sobie sprawy, jak wielką dysponuje mocą - śmiertelnie niebezpieczną dla wampirów. Lecz dla Rio może być jedynym ratunkiem. Dylan stanie przed wyborem: czy wrócić do świata śmiertelników, czy zaryzykować wszystko dla mężczyzny, który porwie ją w świat wiecznej nocy i pokaże jej, czym jest nieskończona rozkosz...

ROZDZIAŁ 1

Kobieta ubrana w nieskazitelnie białą bluzkę i dopasowane jasne spodnie zupełnie nie pasowała do otoczenia. Długie czarne jak kawa włosy opadały jej ciężką falą na ramiona - na jej fryzurę ewidentnie nie miała wpływu wilgotna mgiełka unosząca się w lesie. Na nogach miała eleganckie pantofle na wysokich obcasach, a mimo to bez wysiłku wspinała się górską ścieżką, choć inni dyszeli ciężko w lipcowym upale.

Zatrzymała się w cieniu porośniętej mchem skały na szczycie stromego podejścia, obojętnie czekając, aż miną ją liczni turyści. Niektórzy rozbili zdjęcia wspaniałego krajobrazu, ale zachowywali się tak, jakby jej nie widzieli. No ale większość ludzi nie widzi przecież zmarłych.

Dylan Alexander też nie miała ochoty ich oglądać.

Ostatni raz widziała martwą kobietę, kiedy miała dwanaście lat, więc fakt, że po dwudziestu latach znów ją widzi i to w samym środku Czech, raczej ją zaskoczył. Próbowwała zignorować zjawę, ale kiedy wraz ze swoimi trzema towarzyszkami wspięła się ścieżką na górę, duch wbił w nią ciemne oczy.

Widzisz mnie.

Dylan udała, że nie słyszy szeptu dochodzącego zza nieruchomych warg. Towarzyszyły mu zakłócenia elektrostatyczne, jak w radio. Nie zamierzała przyznać się, że coś widzi. Tyle czasu minęło od tych dziwacznych spotkań, że zupełnie zapomniała, jak to jest.

Nigdy nie potrafiła zrozumieć tej swojej dziwnej zdolności. Nigdy nie mogła na niej polegać ani nią kierować. Właśnie tak było. Mogła stać na środku cmentarza i nic nie zobaczyć, a potem nagle natknąć się na martwą kobietę w górach niedaleko Pragi.

Bo to zawsze były kobiety. Młode, pełne życia, takie jak ta, która patrzyła na nią w tej chwili. Jej egzotyczne brązowe oczy pełne były rozpacz.

Musisz mnie słyszeć.

Słowa wypowiedziane były z wyraźnym hiszpańskim akcentem, ich ton błagalny.

- Hej, Dylan! Chodź, zrobię ci zdjęcie przy tej skale.

Dźwięk prawdziwego, rzeczywistego głosu odwrócił uwagę Dylan od pięknej martwej kobiety, stojącej koło zwietrzałej skały. Janet, przyjaciółka matki Dylan, Sharon, pogrzebała w plecaku i wyciągnęła aparat fotograficzny. Letnia wyprawa do Europy była pomysłem Sharon. To miał być największa przygoda jej życia, ale w marcu rak odezwał się znowu, a ostatni cykl chemioterapii, zakończony kilka tygodni temu, tak ją osłabił, że nie była w stanie podróżować. Ostatnio stale łądowała w szpitalu z zapaleniem płuc. To z powodu jej nalegań Dylan wybrała się do Europy zamiast niej.

- Mam cię - powiedziała Janet, pstrykając fotkę Dylan na tle skał w zalesionej dolinie. - Twoja mama pokochałaby to miejsce, czy tu nie jest wspaniale, kochanie. - Dylan skinęła głową - Wyślemy jej tę fotkę e-mailem, gdy wrócimy wieczorem do hotelu.

Poprowadziła ją z dala od grupy kamieni, pragnąc oddalić się od szeptu nie z tego świata. Szły w dół opadającym grzbietem obok gęstego zagajnika sosen. Brunatna warstwa opadłych liści i sosnowych igieł z kilku minionych sezonów, ugiwała się na wilgotnej ścieżce pod ich stopami. Poranny deszcz, przemieniony w duchotę przez południowy upał, spowodował że wielu turystów nie opuściło okolicy hotelu. Więc las był cichy i spokojny... z wyjątkiem świadomości upiornych oczu śledzących każdy krok zagłębiającej się w nim Dylan.

- Tak się cieszę, że twój szef dał ci urlop na ten wyjazd, żebyś mogła wybrać się z nami - powiedziała jedna z towarzyszek wycieczki - Wiem jak ciężko pracujesz nad tymi wszystkimi historiami, które wymyślasz do swoich artykułów.

- Ona ich nie wymyśla, Mario - Janet zbeształa ją delikatnie - Artykuły Dylan muszą zawierać prawdę. Czyż nie tak kochanie?

Dylan zaśmiała się

- No cóż, biorąc pod uwagę, że na pierwszej stronie naszego magazynu zwykle występuje co najmniej jedno porwanie przez obcych, lub demony opróżniające konta bankowe, można stwierdzić że nie trzymamy się zbyt kurczowo faktów. Publikujemy chwytliwe historyjki nie literaturę faktu.

- Twoja mama mówi, że zostaniesz któregoś dnia słynnym reporterem. - Powiedziała Marie. - Początkujący Woodward albo Bernstein, zawsze nam to powtarza.

- To prawda. - Wtrąciła Janet - wiesz ona pokazała mi artykuł, który napisałaś świeżo po studiach, kiedy podjęłaś pierwszą pracę w gazecie, nawiązujący do tych przykrych morderstw w północnej części stanu. Pamiętasz kochanie, prawda.

- Tak - powiedziała Dylan, kierując je ku ogromnym wieżom piaskowca, wynurzającym się spomiędzy drzew. - Pamiętam, ale to było bardzo dawno temu.

- No nie ważne co robisz, wiem że twoja mama jest z ciebie bardzo dumna. - Powiedziała Marie - Wniosłaś do jej życia tak wiele radości.

Dylan skinęła głową, pokonując zaciśnięte gardło wykrztusiła

- Dzięki.

Zarówno Janet jak i Marie pracowały z matką Dylan w schronisku dla uciekinierów z domu na Brooklynie. Nancy następna z kobiet towarzyszących jej w podróży, była najlepszą przyjaciółką matki z liceum. Wszystkie trzy kobiety były dla Dylan jak rodzina, zwłaszcza w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Dodatkowe trzy pary ramion do pocieszania, jeśli kiedykolwiek straciłaby swoją mamę. W swoim sercu, Dylan wiedziała że to bardziej kwestia, kiedy niż jeśli.

Tak długo były tylko we dwie. Jej ojciec był ciągle nieobecny już od wczesnego dzieciństwa Dylan, a nawet wtedy kiedy był w domu nie czuła, że ma ojca. Nie było między nimi prawdziwych więzi. Jej dwóch starszych braci odeszło jeden po drugim, starszy zginął w wypadku samochodowym, młodszy zerwał wszelkie więzi z rodziną lata temu. Dylan i jej mama zostały same, by pozbierać kawałki, na które rozbiło się ich życie. Więc zrobiły to, kawałek po kawałku posklejały do kupy co się dało. To był ich mały triumf. Dylan nie mogła znieść myśli jak puste stałby się jej życie gdyby straciła matkę.

Nancy podeszła i posłała dziewczynie ciepły, smutny uśmiech.

- Wiesz że jesteś całym światem Sharon. Ta podróż jest dla niej, przeżyjesz ją dla niej i za nią, wiesz to, prawda?

- Wiem nie mogę za nic o tym zapomnieć.

Dylan nie powiedziała swoim towarzyszkom podróży ani matce że ta wycieczka może kosztować ją pracę. Po części nie przejmowała

się tym. Nienawidziła pracować dla tego brukowca. Planowała po powrocie z Europy sprzedać swojemu szefowi jakieś - przyzwoite - materiały w stylu historii Wielkiej Stopy z Czech albo obserwacje na temat Drakuli. Ale wciśnięcie bzdur facetowi, który żongluje nimi całe życie nie było kaszką z mleczkiem. Dla jej szefa było całkiem jasne, jeśli Dylan zostanie na tej wycieczce, to albo niech wróci z czymś naprawdę wielkim, albo nie ma po co wracać.

- Uff, jest coraz goręcej - powiedziała Janet, wachlując swoje krótkie srebrne loki daszkiem bejsbolowej czapeczki i ocierając czoło dłonią - Jestem jedynym mięczakiem w tej grupie, a może ktoś inny też chce odpocząć?

- Ja mogłabym chwilkę - zgodziła się z nią Nancy.

Wzruszyła ramionami by zsunąć plecak i ustawiła go pod wysoką sosną. Marie dołączyła do nich schodząc ze ścieżki i pociągając długi łyk wody ze swojego bidonu.

Dylan nie była zmęczona. Chciała iść dalej. Najbardziej imponująca skalna formacja była jeszcze daleko przed nimi, a miały już tylko jeden dzień przeznaczony na ten etap podróży. Dylan pragnęła przemierzyć tak dużą część trasy jaką tylko zdoła.

I wtedy znowu wynikły problemy z piękną nieżywą kobietą, która teraz stała na ścieżce przed nimi. Wpatrywała się w Dylan. Jej energia emanowała z niej i pozwalała dostrzec ją w widzialnej formie.

Widzisz mnie.

Dylan zerknęła za siebie. Janet, Marie i Nancy siedziały na ziemi pogryzając proteinowe batoniki.

- Chcesz trochę? - zapytała Janet wyciągając w jej stronę plastikowy strunowy woreczek pełen suszonych owoców, orzechów i nasion. Dylan potrząsnęła głową.

- Jestem teraz zbyt niespokojna by jeść lub odpoczywać. Jeśli wam nie przeszkadza, myślę że mogłabym rozejrzeć się trochę po okolicy na własną rękę, podczas gdy wy będziecie odpoczywać. Zaraz będę z powrotem.

- Oczywiście kochanie. Twoje nogi są młodsze niż nasze. Tylko bądź ostrożna.

- Będę, niedługo wrócę.

Dylan okrążyła miejsce gdzie postać umarłej jarzyła się przed jej oczami, skróciła zaplanowaną trasę po gęsto zalesionym stoku.

Zamiast tamtędy szła przez kilka minut prosto przed siebie, by po prostu cieszyć się spokojem tego miejsca. Było starożytne, tajemnicze, dzikie, otoczone najeżonymi szczytami z piaskowca i bazaltu.

Dylan wstrzymała się od robienia zdjęć w nadziei, że wystarczy jej pamięci w aparacie fotograficznym i będzie mogła nagrać film z tego pięknego miejsca by pokazać je mamie by i ona mogła się cieszyć jego niepowtarzalną atmosferą.

Słyszysz mnie?

W pierwszej chwili Dylan nie zauważyła kobiety, tylko usłyszała jednostajny dźwięk jej widmowego głosu. Ale potem, błysk bieli przykuł jej wzrok. Ona wychylała się stojąc na wierzchołku głazu w połowie trasy po stromych skałach.

Chodź za mną.

- Zły pomysł - zamruczała Dylan spoglądając na karkołomną trasę. Zejście było bardzo strome, była to w najlepszym razie bardzo niepewna ścieżka. I mimo że widok był przepiękny, tak naprawdę nie chciała dołączyć do swojej upiornej przewodniczki po drugiej stronie skał.

Proszę... pomóż mi.

Nigdy nie mogła pomóc. Komunikacja z duchami zawsze odbywała się w jedną stronę. Pojawiały się, mówiły co chciały, jeśli w ogóle mówiły. Potem, gdy utrzymanie widzialnej postaci za bardzo je wyczerpywało, po prostu znikwały.

Pomóż mi.

Kobieta w bieli zaczynała robić się przejrzysta i znikać na zboczu góry. Dylan przesłoniła oczy przed mglistym światłem padającym pomiędzy drzew starając się utrzymać w zasięgu wzroku, obraz znikającego ducha. Z odrobiną lęku, zaczęła brnąć pod górę. Przytrzymując się mocno wrosniętych w ziemię pni sosen i buków pokonywała strome podejście. Po chwili wdrapała się na szczyt wzniesienia, gdzie ostatni raz widziała ducha. Kobiety już nie było.

Dylan podeszła do skalnej półki i stwierdziła że jest ona większa niż wydawało się to z dołu. Piaskowiec był bardzo stary, nadkruszony erozją, w niektórych miejscach bardzo ciemny, więc dopiero po chwili dostrzegła głęboką, pionową szczelinę w skale. Było tam w tym

wąskim klinie bardzo ciemno. Po raz kolejny Dylan usłyszała w głowie upiorny szept ducha.

Ratuj go.

Spojrzała wokół siebie i zobaczyła tylko pustkę i kamienie. Nic tu nie było, ani śladu po zwiewnej postaci, która zwabiła ją, samotną tak daleko w góry.

Wewnątrz głębokiego rozszczepienia skały, było ciemno i cicho. Cicho jak w grobowcu. Jeśli Dylan wierzyłaby w potwory, zjawy i inne wytwory ludowego folkloru, mogłaby sobie wyobrazić co mogło być w miejscu ukrytym jak to. Ale ona nie wierzyła w potwory, nigdy nie wierzyła. Czasami tylko widywała zmarłe kobiety, które nigdy nie czyniły jej żadnej krzywdy. Dylan miała tak pragmatyczne, a nawet cyniczne podejście do ludowych podań, jak to tylko możliwe.

Reporter w jej wnętrzu, aż drżał z ciekawości za tym co lub kogo może znaleźć we wnętrzu tej ciemnej skały. Zakładając że mogła zaufać słowom zmarłej kobiety, która myślała że ktoś tam potrzebował pomocy. Może był tam ktoś ranny, może ktoś się zgubił, tu po tej stronie urwiska.

Dylan wyjęła małą latarkę z wewnętrznej kieszeni plecaka. Zabłysła po włączeniu, oświetlając wejście do jaskini. Dziewczyna dostrzegła małe znaki na krawędziach szczeliny, jakby ktoś poszerzał ją dłutem, chociaż nie ostatnio, bo znaki były już nieco wyblakłe.

- Halo - zawołała w ciemność - Jest tu ktoś?

Nic. Odpowiedziała jej cisza.

Dylan zdjęła plecak i chwyciła go w lewą rękę, w prawej ścisnęła uchwyt latarki. Ledwie mogła przecisnąć się przez szczelinę. Ktoś większy niż ona, zmuszony byłby iść bokiem.

Po spojrzeniu na jaskinię, zrozumiała że była ona zamieszkała kiedyś przez człowieka. Pułap wznosił się co najmniej dziesięć metrów ponad głową Dylan.

Fascynujące symbole pokrywały wszystkie ściany małej jaskini. Wyglądały jak jakiś dziwny rodzaj hieroglifów, skrzyżowanie znaków plemiennych i tribali, harmonijne geometryczne wzory. Dylan podeszła bliżej do jednej ze ścian, oczarowana pięknem tego dziwnego dzieła sztuki. Przesunęła wąski promień latarki w prawo, wstrzymując oddech nadal podziwiała niesamowite dekoracje. Postąpiła krok w kierunku środka jaskini, czubek jej turystycznego

buta dotknął czegoś leżącego na klepisku, cokolwiek to było zaklekotało głucho i potoczyło się pod ścianę. Dylan omiotła ziemię promieniem latarki, ciężko dysząc.

- Och, cholera

To była czaszka. Białe kości świeciły w ciemnościach. Puste gniazda oczodołów ludzkiej czaszki wpatrywały się w nią ślepo. Jeśli to był ON - ten któremu chciał pomóc duch, to było o jakieś sto lat za późno.

Dylan omiatała światłem latarki mroczne ściany jaskini, niepewna czego szuka, ale nie chciała opuszczać jeszcze tego fascynującego miejsca. Blask latarki padł na następną kupkę kości.

- Jezu

Jeszcze więcej kości rozproszonych było po całej podłodze jaskini. Gęsia skórka pokryła ramiona Dylan, kiedy zaczęła wyobrazać sobie czego świadkiem musiało być to miejsce. I wtedy to ujrzała. Duży prostokątny kamienny blok usytuowany po drugiej stronie jaskini ukryty w ciemności. Pokrywały go zdobienia podobne do tych na ścianach jaskini. Znaki były też na rzeźbach po bokach sarkofagu. W tym momencie Dylan zaczęła zastanawiać się czego jeszcze szuka w tej krypcie.

Grobowiec był nakryty grubą i ciężką kamienną płytą, ale jedna jej strona była lekko odepchnięta, jak gdyby odsunęły ją czyjeś niesamowicie silne dłonie. Czy ktoś lub coś spoczywało tam? Dylan chciała to wiedzieć. Podkraśla się cicho, spoconą ręką ścisnęła uchwyt latarki. Jeszcze kilka kroków i światło latarki musnęło odchylony róg grobowca. Sarkofag był pusty.

Z przyczyn, których nie umiała wyjaśnić, to odkrycie zmroziło ją bardziej, niż w przypadku gdyby znalazła tam jakieś ohydne rozkładające się zwłoki.

Nad jej głową nietoperze, skrzydlaci rezydenci jaskini, stały się niespokojne, wreszcie czarną trzepocącą chmurą wyleciały na zewnątrz. Dylan pochyliła głowę by zrobić im miejsce do ucieczki. Pomyślała że będzie lepiej jeśli ona też opuści to piekielne miejsce. Jednak kiedy zaczęła obracać się żeby znaleźć wyjście przez szczelinę w skale, usłyszała dziwny szelest. Był głośniejszy niż nietoperze, niskie mruczenie, które odbijało się echem od ścian jaskini.

Och, Boże - chyba nie była tu sama.

Włosy na jej karku zjeżyły się i zanim zdążyła sobie przypomnieć, że nie wierzy w potwory jej tętno zerwało się do szaleńczego biegu. Zaczęła drapać ściany dookoła w poszukiwaniu wyjścia z jaskini, krew dudniła jej w uszach do czasu gdy, dostrzegła wreszcie światło dzienne i mogła zaczerpnąć świeżego powietrza. Nogi miała jak z waty, zaczęła biec z powrotem w dół zbocza. Biegła ze wszystkich sił, by dołączyć do swoich przyjaciółek, do jasnego, oświetlonego południowym słońcem, bezpiecznego miejsca.

Znowu śnił o Eve.

Nie dość że ta kobieta zdradziła go za życia, to nawet po śmierci dręczyła jego umysł kiedy spał. Nadal była piękna, nadal zdradliwa, mówiła do niego z żalem, że wszystko co uczyniła było dla ich dobra.

Same kłamstwa.

Wizyty ducha Eve były tylko częścią powodów, które wpychały Rio w szaleństwo. Jego martwa towarzyszka płakała w jego snach, prosząc o wybaczenie za swoje zdrady i oszustwa, których dopuściła się rok temu. Bardzo żałowała. Nadal go kochała i zawsze będzie kochać. Nie była prawdziwa, była tylko traumatycznym przypomnieniem przeszłości, o której byłby szczęśliwy gdyby, mógł zostawić ją za sobą i zapomnieć. Zaufanie do tej kobiety kosztowało go wiele, jego twarz pokryta była bliznami powstałymi w wyniku eksplozji magazynów, a ciało wciąż jeszcze dochodziło do siebie po obrażeniach, których nie przeżyłby żaden śmiertelnik.

A jego umysł... ?

Psychika Rio potrzaskana była na kawałki, które próbował poskładać powoli, zabunkrowany na tym skalistym czeskim górskim zboczu.

Miał łatwy sposób by ze sobą skończyć. Jako jedna z ludzko-wampirycznych hybryd nosił w sobie obcy gen, który powodował, że w zetknięciu ze słonecznym blaskiem jego ciało płonęłoby jak pochodnia.

Zrobi to, wyjdzie na słońce, ale zostało jeszcze zadanie zamknięcia jaskini i zniszczenia znajdujących się w niej, potępiających ich rasę dowodów.

Nie pamiętał jak długo przebywał już w tej krypcie. Dni i noce, tygodnie i miesiące, w pewnym momencie miał wrażenie

niekończącego się zawieszenia w czasie. Nie był pewien jak się to stało, przybył tu wraz z kilkoma członkami bractwa zakonu wojowników, aby zlokalizować i zniszczyć stare zło wychodzące z tych skał od wieków, ale przybyli za późno. Krypta była pusta, diabeł już się uwolnił.

Rio zgłosił się na ochotnika, żeby zabezpieczyć i zapieczętować to miejsce, podczas gdy pozostali wrócili do Bostonu. Nie mógł wrócić z nimi, nie był gotowy, nie wiedział gdzie przynależy. Chciał znaleźć własny sposób na odnalezienie siebie, może wróci do swoich korzeni do Hiszpanii. Tak powiedział wojownikom, którzy od blisko wieku byli dla niego jak bracia. Jednak nie zaczął realizować żadnego ze swoich planów. Był pusty, nękanym przez niezdecydowanie i przygnieciony roztrząsaniem swoich grzechów.

W głębi serca wiedział że nie opuści już tego grobu, ale wciąż odkładał nieuniknione ze słabym usprawiedliwieniem, że czeka na właściwy czas, właściwe warunki, by zrobić to co miał do zrobienia, ale to były tylko wymówki służące temu by przedłużać jego stan zawieszenia z godzin w dni z dni w tygodnie.

Teraz, kilka miesięcy później czaił się w ciemnościach jaskini jak nietoperze, które zamieszkiwały wraz z nim to zimne i wilgotne miejsce. Nie chciał już polować, nie chciał się pożywiać. On już tylko istniał, świadom swojego zejścia do piekła na własne życzenie. Przebywanie we własnym piekle odsłoniło wreszcie przed Rio zbyt wiele by mógł to znieść. Obok niego na półce wydrążonej na dwa i pół metra w skale, leżał detonator i mała kostka C4. Wystarczyło małe bum do ukrycia tej krypty na zawsze.

Tej nocy Rio podjął wreszcie decyzję. Tej nocy chciał to zakończyć.

Kiedy jego ospałe zmysły zbudziły go z letargu, by ostrzec o intruzie i niebezpieczeństwie, myślał że jest to kolejny koszmarny sen. Złapał w nozdrza ludzki zapach, zapach młodej kobiety, sądząc po piżmowym cieple, które przylgnęło do jej skóry. Otworzył w ciemnościach oczy, rozchylił nozdrza by wciągnąć więcej tego rozkosznego zapachu w płuca.

ONA nie była wytworem jego szalonego umysłu. Była z krwi i kości, była pierwszym od bardzo dawna człowiekiem, który zaryzykował pobyt w tej jaskini. Kobieta omiatała ściany jasnym

światłem latarki, w pewnym momencie nawet oślepiła go, ukrytego na półce ponad jej głową. Usłyszał jak zaczęła szybciej oddychać gdy kopnęła leżące na podłodze jaskini ludzkie kości, zostawione przez dawnego lokatora.

Rio przysunął się do krawędzi półki, przygotował swoje mięśnie do skoku w dół na podłogę. Nagle powietrze zadrgało od skrzydeł nietoperzy, opuszczających kryptę.

Ale kobieta była tu nadal. Jej latarka świeciła po ścianach, aż zatrzymała się na uchylonym sarkofagu. Rio poczuł jej ogromną ciekawość, pomimo strachu mrozącego krew w żyłach, zbliżyła się do kamiennej trumny. Nawet jej ludzki instynkt wyczuwał zło, które kiedyś spało w tym bloku kamienia.

Nie powinna tu być.

Rio nie mógł pozwolić jej zobaczyć więcej, niż już zobaczyła.

Usłyszał szelest, który spowodował przesuwając swoje ciało po kamiennej półce. Usłyszała go też dziewczyna, podziałał on na nią jak dzwonek alarmowy. Światło jej latarki zaczęło szaleńczo tańczyć po ścianach krypty kiedy w panice zaczęła szukać wyjścia. Zanim Rio zmusił swoje ospałe kończyny do posłuszeństwa, dziewczyna wyśliznęła się na zewnątrz.

Uciekła.

Widziała za dużo, ale wkrótce to nie będzie już ważne.

Gdy tylko przyjdzie noc nie będzie już śladu po krypcie, po jaskini i po samym Rio...

ROZDZIAŁ 2

- Ukryta krypta odkrywa sekrety zagadkowej Starożytnej Cywilizacji!

Dylan skrzywiła się i przytrzymała klawisz backspace na swoim komputerze. Potrzebowała coś bardziej chwytliwego, mniej w stylu National Geographic. Podjęła drugą próbę, powinno być to coś, co krzyczałoby z witryn w kioskach i wypełniło pierwsze strony wszystkich nakładów czasopism, jako sensacja tygodnia.

- Odkryto Ofiary z Ludzi w Starożytnej Krypcie Drakuli!

Uff, tak było lepiej. Obszar działania krwiożerczego Drakuli znajdował się co prawda w Rumunii, kilkaset kilometrów w prostej linii od Republiki Czeskiej, ale to mogło być na początek. Dylan wyciągnęła nogi na łóżku w hotelowym pokoju, poprawiła laptop na kolanach i zaczęła pisanie pierwszej wersji swojej historii.

Napisała dwa akapity i znowu się zablokowała, ponownie wcisnęła klawisz backspace. Nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Nie potrafiła się skupić. Wizyta w upiornej jaskini, pchnęła ją na krawędź wytrzymałości, ale to telefon od matki zupełnie ją rozstroił.

Sharon próbowała mówić głosem radosnym i silnym, opowiadając jej o przebiegu zbiórki pieniędzy na schronisko. Oraz o planowanym nocnym charytatywnym rejsie po rzece i o swoim w nim uczestnictwie. Po stracie następnego młodego uciekiniera, dziewczyny imieniem Toni, która wróciła na ulicę. Sharon postanowiła wprowadzić wiele nowych pomysłów by zatrzymać młodych ludzi w schronisku, w tym boisko sportowe. Nowy program miała nadzieję przedstawić założycielowi schroniska, panu Fasso na prywatnym spotkaniu. Tego człowieka jej matka próbowała oczarować już niejednokrotnie, nie było to żadną niespodzianką, zwłaszcza dla Dylan.

Podczas gdy jej matka zawsze była chętna by się zakochać, życie uczuciowe jej córki było kompletnie odmienne. Owszem miała kilka romansów, ale to nie było nic poważnego i ostatni zakończył się dawno temu. Cynicznie podchodziła do całej tej koncepcji NA ZAWSZE pomimo tego, że mama przekonywała ją, że prawdziwa

miłość dopadnie każdego kiedy najmniej się tego spodziewa i pewnego dnia nie ominie też Dylan.

Sharon była wolnym duchem, o wielkim otwartym dla wszystkich sercu, które było często wykorzystywane przez ludzi niegodnych jej zaufania, a teraz dodatkowo przyciśnięte przez niesprawiedliwość losu. Mimo to z uśmiechem walczyła z przeszkodami. Chichocząc zwierzyła się córce, że kupiła nową sukienkę na spotkanie w sprawie schroniska, której krój podkreślał jej figurę, a kolor był identyczny z barwą oczu pana Fasso. Ale podczas żartów o flircie mamy ze skandalicznie podobno przystojnym i oczywiście stanu wolnego, filantropem, serce Dylan płakało.

Sharon próbowała żyć normalnie, zgodnie ze swoim optymistycznym podejściem do świata, ale Dylan znała ją zbyt dobrze. Zmiana w głosie i oddechu nie mogła być spowodowana tylko odległością i jakością połączenia telefonicznego z miasteczkiem Jicin w Czechach, gdzie Dylan i jej towarzyszkę podróży spędzały noc. Rozmawiała z matką tylko dwadzieścia minut, ale gdy odkładała słuchawkę, głos Sharon drżał z wyczerpania.

Dylan westchnęła ciężko, zamknęła komputer i odłożyła go obok siebie na wąskim łóżku. Może powinna była pójść na piwo i kielbaski z Janet, Marie i Nancy, odłożyć pracę na bok. Nie czuła się zbyt towarzysko, ciągle jeszcze była nieswoja, ale siedzenie samotnie w maleńkim zamkniętym pokoiku powodowało tylko to, że czuła się bardziej przybita. Cisza utrudniała myślenie o niczym, zmuszała do myślenia o ostatecznościach. Bała się tej ciszy, która wypełni jej życie po śmierci mamy...

- O, Boże

Dylan nie była jeszcze przygotowana by to sobie uzmysłwić.

Zsunęła nogi z łóżka i wstała. Nocowała na pierwszym piętrze, okna od strony ulicy były otwarte by wpuścić trochę powietrza, a Dylan poczuła, że go jej brakuje.

Otworzyła okno szerzej i wzięła głęboki oddech, patrząc, na przechadzających się ludzi, turystów i miejscowych. I do cholery, jeśli to nie znajoma eteryczna kobieta w bieli, też tam była!

Stała na środku drogi, nieporuszona ruchem samochodów i przechodniów wkoło niej.

Jej obraz był niewyraźny w ciemnościach, jej postać znacznie mniej wyrazista niż za dnia i zaczynała momentami niknąć. Ale jej oczy utkwione były w Dylan. Duch tym razem milczał, tylko patrzył z ponurą rezygnacją tak, że dziewczyna poczuła kłujący ból w piersi.

- Idź precz - mruknęła Dylan pod nosem. - Nie wiem czego ode mnie chcesz. Ja naprawdę nie potrafię ci pomóc.

Mała jej cząstka wyśmiewała się z tego, ponieważ jej pracą było opisywanie sytuacji niewiarygodnych podobnych do tej, może nie powinna odwracać się od gości z Tamtej Strony. Nic nie sprawiłoby większej przyjemności jej szefowi Colemanowi Hoggowi niż posiadanie reportera z danym od Boga darem widzenia dusz umarłych. Piekło i szatani, ten oportunistyczny bękart prawdopodobnie chciałby uczynić ją najnowszą atrakcją swojego szmatławca.

Tak, akurat to by jej nie uszczęśliwiło.

Pozwoliła jednemu człowiekowi, by poznał dar, z którym się urodziła, ale to obróciło się przeciwko niej. Miała wtedy dwanaście lat, Dylan nie zobaczyła już więcej ojca, a ostatnie słowa skierowane do córki były pełną obrzydzenia litanią wyzwisk.

Był to jeden z najboleśniejszych dni w jej życiu, ale otrzymała twardą lekcję:

- 1) Nie ufaj nikomu.
- 2) Prawdopodobnie istnieje kilka szlachetnych osób na świecie.
- 3) Jeśli już masz komuś zaufać, zawsze patrz na punkt nr 1.

Ta filozofia służyła jej bardzo skutecznie. Jedyńm wyjątkiem była jej mama. Sharon Alexander była jej jedyną powiernicą, oraz jedyną osobą na świecie, na którą zawsze mogła liczyć. Matka знаła wszystkie tajemnice Dylan, wszystkie jej nadzieje i marzenia.

Wiedziała także o wszystkich jej problemach i obawach... z wyjątkiem jednej. Bo córka starała się być dzielna dla dobra matki. Strach że nowotwór powrócił po prostu ją paraliżował. Nie chciała mówić o tym głośno, a nawet myśleć.

- Cholera - szepnęła niecierpliwie Dylan, gdy oczy zapiekły ją zapowiadając łzy.

Miała jeszcze jedną stalową zasadę, której się trzymała przez większość życia - nigdy nie płakać. Nie była już tamtą małą

dziewczynką ze złamanym serduszkim, patrzącą na odjeżdżającego w noc ojca.

Nie, dość mazania się, uzalania nad sobą i lizania ran. Gniew był o wiele bardziej przydatną metodą walki ze stresem. I gdzie gniew zawodził, tam nic nie mogło być naprawione, więc niezdrowo było go sobie odmawiać.

Dylan gwałtownie odwróciła się od okna i wsunęła bose stopy, w znoszone trapery.

Nie miała zbyt wysokiej opinii o zabezpieczeniu pokoju hotelowego, więc nie chciała zostawiać w nim swojego laptopa, wrzuciła go do torby. Chwyciła portfel i udała się na poszukiwanie Janet i innych. Może trochę towarzystwa i pogaduszek nie było najgorszym pomysłem.

O zmierzchu, większość turystów powróciło z wędrówek po lesie i górskich ścieżkach. Teraz w egipskich ciemnościach wokół jaskini nie było żywej duszy, która mogłaby usłyszeć dźwięk eksplozji. Rio przeciągnął przewody przez słabo oświetloną przestrzeń pomiędzy głazami.

Miał w rękach dokładnie tyle C4 by zasypać wejście do jaskini, ale nie za dużo, żeby przypadkowo nie wysadzić w powietrze całej tej cholernej góry. Nikolai dokładnie się co do tego upewnił, zanim Zakon zostawił Rio w jaskini w celu zabezpieczenia tego miejsca. Dzięki za to Bogu, ponieważ Rio nie mógł zaufać swojemu uwięzionemu w piekle umysłowi w tym, że będzie pamiętał szczegóły.

Przeklinał ostro grzebiąc się przy podłączaniu cienkiego drucika do detonatora. Nie mógł skupić wzroku, obraz zaczął mu się rozpyływać, drażniąc go jeszcze bardziej.

Otarł pot z czoła i odgarnął długie pasma wilgotnych włosów, które zasłaniały mu oczy. Z warknięciem, przesunął dłonią po twarzy, intensywnie wpatrując się w jasne kostki materiału wybuchowego leżące przed nim.

Czy już włożył spłonki?

Nie mógł sobie przypomnieć...

- Skup się, idioto - wściekał się na siebie, niecierpliwiając się, że coś co powinno być dla niego proste, sprawia mu tyle problemów. Bo

było, zanim świat zawalił się mu na głowę w bostońskim magazynie. Teraz zabierało mu to dosłownie godziny, a nawet jeszcze na dobre nie zaczął.

Trzeba jeszcze dodać, że spowolnienie i ospałość spowodowane brakiem życiodajnej krwi nie pomagało mu w tej pracy. Był tylko życiowym wrakiem niepotrzebnie zużywającym powietrze, oto czym był.

Nienawiść do samego siebie napędzała go, Rio wcisnął palec w małą kostkę C4 i rozerwał ją.

Dobrze, spłonka była tam, tak jak być powinna.

Nie miało znaczenia, że nie pamiętał umieszczenia jej tam, na podstawie zniekształceń kostki stwierdził że musiał to jednak zrobić. Zebrał kawałki C4 i zaniósł je w pobliże wejścia do jaskini. Powykładał je w wykutych w piaskowcu otworach wokół niszy nad wejściem, tak jak powiedział mu Niko i wrócił do jaskini by zabrać detonator.

Kurwa!!

Wszystkie przewody były kompletnie rozpieprzone.

On to rozpieprzył. Jak i kiedy!?

- Ty cholerny skurwysynu - porażającym rykiem przeklął urządzenie, oślepiiony nagłą wściekłością.

Poczuł jak z gniewu kręci mu się w głowie, z powodu zawrotów głowy ugięły się pod nim kolana, upadł na twardą posadzkę, jego ciało było jak z ołowiu. Usłyszał jak detonator ześlizguje się gdzieś w kurz, ale nie mógł go dosięgnąć. Jego ramiona stały się zbyt ciężkie, zaś głowa jak napełniony powietrzem balon. Świadomość odpływała odrywając go od rzeczywistości, tak jakby jego umysł chciałby oddzielić się od wraku ciała, które więziło go jak w klatce i zerwać się do ucieczki.

Poczuł przyginające go do ziemi wzbierające nudności i wiedział, że gdyby nie pozostała do wykonania praca, która zmuszała go do zachowania świadomości, pewnie by zemdlął.

To było kompletnie szalone przestać polować tyle tygodni temu. Pochodził z Rasy Wampirów. Potrzebował ludzkiej krwi, by zachować siłę, by żyć. Krew pomogłaby mu odsunąć od siebie ból i szaleństwo. Ale nie mógł już sobie zaufać, że będzie polował bez

zabijania. Był zbyt wiele razy bardzo blisko granicy zachowania tego co w nim ludzkie, odkąd przybył na ta gigantyczną leśną grań.

Te kilka razy gdy ośmielony głodem zbliżył się do ludzi żyjących w pobliskich wsiach i miasteczkach. To też było zbyt często. Ponieważ od czasu eksplozji w Bostonie rok temu, jego twarzy nie dało się szybko zapomnieć.

Maldecio.

To słowo syknęło na niego z mroków pamięci, głęboko z przeszłości, w języku jego matki.

Manoes del diablo.

Comedor de la sangre.

Monstruo.

Nawet przez mgłę swojego udęconego umysłu, poznał te epitety. Przewiska, które słyszał od najwcześniejszego dzieciństwa, prześladowały go nawet teraz.

Przeklęty.

Ręce diabła.

Żywiący się krwią.

Potwór.

A więc teraz był tym wszystkim bardziej niż kiedykolwiek, żyjąc w ukryciu, czyhając jak dzikie zwierze wśród nocnych ciemności lasów i wzgórz... ciągle to samo aż do końca.

- Madre de Dios, Boże - szepnął słabiutkim głosem, nie mogąc dosięgnąć detonatora. - Błagam, pozwól mi to zakończyć.

Dylan ledwie zarejestrowała znikającą pustą szklanę po Pilznerze, a już pojawiła się przed nią następna. To była trzecia kolejka od kiedy przybyła do tawerny i spotkała się z przyjaciółkami. Tą ostatnią zaserwował z super uśmiechem młody mężczyzna z baru.

- Za zdrowie pięknych pań - wznosił toast w łamanym angielskim, jako jeden z nielicznych mieszkańców wioski, mówił nie tylko po czesku lub niemiecku.

- Och, mój Boże! Dzięki ci Goran - zawołała Janet chichocząc kiedy otrzymała następną szklanę bursztynowego piwa z białą czapą piany - Jaki jesteś kochany, że opowiadasz nam o swoim pięknym mieście i wlewasz w nas darmowe drinki.

- Naprawdę nie powinieneś tego robić.
- Cała przyjemność po mojej stronie - zamruczał.

Jego przyjazne brązowe oczy przyłgnęły na długi moment do Dylan, mogłaby to uznać za duży komplement gdyby nie to, że jej towarzyszki kwalifikowały się już do klubu seniora. Ona sama była prawdopodobnie o pięć lub dziesięć lat starsza od młodzieńczo przystojnego barmana, ale to nie powstrzymało jej od przyjmowania jego oczywistego hołdu dla jej kobiecej atrakcyjności.

Nie żeby była zainteresowana drinkami bądź randkami, ale Goran znał okoliczne legendy o górach, które tak zachwyciły Dylan. Młody Czech dorastał tutaj i spędził mnóstwo czasu na wędrówkach i wspinaczkach po okolicy, którą dziewczyna zwiedzała tego dnia.

- Tu jest przepięknie - powiedziała mu Nancy. - Broszury turystyczne nie kłamały, to naprawdę jest raj na ziemi.

- To taki ogromny i niesamowity obszar. - Dodała Marie. - Potrzebowałybyśmy całego miesiąca, żeby wszystko zobaczyć, ale cóż szkoda. Jutro musimy wrócić do Pragi.

- No tak, to pech. - powiedział Goran, kierując swoją uwagę do Dylan.

- A co wiesz na temat jaskiń? - Dziewczyna próbowała zebrać jakieś informacje do swojego artykułu, nie ujawniając faktu, że zeszła z trasy i zaczęła je zwiedzać na własną rękę wiedząc, że nie wzbudzi to niczyjej aprobaty.

- Widziałem kilka jaskiń zaznaczonych na naszej mapie, ale myślę, że jest ich o wiele więcej. Niektóre nie zostały jeszcze odkryte.

- Czyli jest mnóstwo jaskiń niedostępnych dla turystów? - zapytała Dylan. Młody człowiek skinął głową.

- O, tak. Mogą istnieć setki jaskiń i przepaści, większość z nich jest nadal nie udokumentowana.

- Dylan widziała dzisiaj, stary kamienny sarkofag w jednej z jaskiń. - Wyrwało się Janet niewinnie, pomiędzy łykami piwa. Goran zachichotał z niedowierzaniem.

- Że co, widziałaś?

- Nie mam dokładnej pewności co widziałam. - odpowiedziała Dylan, nonszalancko wzruszając ramionami, nie chcąc ujawnić, że naprawdę odkryła coś ważnego. - Tam było ciemno, że oko wykuł i myślę, że upał rzucił mi się na mózg.

- W której jaskini byłeś? - zapytał młody człowiek - Może ją znam?

- Och, nie pamiętam dokładnie, gdzie to było. To nie ma znaczenia.

- Powiedziała, że czuła tam jakąś obecność. - wypaliła Janet, ponownie. - Czyż nie tak to określiłaś, kochanie? Taką mroczną obecność, która zaczęła się budzić gdy byłeś w jaskini. Wierzę że było tak jak powiedziałaś.

- To nie było nic takiego, jestem pewna. - Dylan boleśnie wykrzywiła się w kierunku mającej dobre intencje, ale dokuczliwej starszej kobiety. Janet mrugnęła do niej, kiedy Goran pochylił się nad Dylan przy stole.

- Wiesz - szepnął jej poufale do ucha rozbawionym szeptem - Możemy kiedyś porozmawiać o diable ukrytym w tych górach. Wiele starych legend ostrzega przed demonami żyjącymi w lesie.

- Czy jest w tym ziarnko prawdy - zapytała z żartobliwym uśmiechem.

- O, tak. Ludzie z wioski byli przekonani, że żyły wśród nich straszne bestie, które wyglądały jak ludzie, ale ludźmi nie były.

Dylan spojrzała mu w oczy i powiedziała drwiąco, unosząc szklankę z piwem.

- Ja nie wierzę w potwory.

- Ja oczywiście żadnego nie widziałem - powiedział Gordon. - Ale mój dziadek tak. Tak samo jak jego dziadek. To legenda przechowywana przez moją rodzinę przez wiele pokoleń, setki lat wstecz. Ale wiesz, mój dziadek jest właścicielem pola na skraju lasu. Powiedział że widział jednego z tych potworów zaledwie kilka miesięcy temu. Zaatakował jednego z jego pracowników.

- No i co. - Dylan zerknęła na barmana, czekając na puentę, która nie nadchodziła.

- Według słów mojego dziadka, działo się to zaraz po zmroku. On i Matej przynosili jakieś urządzenia do stodoły, kiedy dziadek usłyszał jakieś dziwne dźwięki dochodzące z pola. Poszedł żeby to sprawdzić i zobaczył Mateja na ziemi. Jakiś mężczyzna pochylał się nad nim, przyciskając usta do jego zakrwawionej szyi.

- Dobry Boże! - Wydyszała Janet. - Czy ten biedak przeżył?

- Tak, przeżył. Dziadek pobiegł wtedy na chwilę z powrotem do stodoły, żeby znaleźć coś do obrony przed tym potworem i zostawił Mateja na moment samego na polu. Kiedy wrócił nie było żadnych znaków po ataku z wyjątkiem kilku kropel krwi na koszuli mężczyzny, a Matej nie pamiętał niczego. Człowiek lub demon, który zaatakował pracownika, jeśli można uwierzyć mojemu dziadkowi, nie był nigdy więcej przez nikogo widziany.

Janet zamlaskała językiem.

- I krzyżyk mu na drogę! Ta historia jest jak rodem z horroru, nieprawdaż?

Nancy i Marie wyglądały na równie przerażone, ewidentnie kupiły tą mocno naciąganą historyjkę Gorana. Dylan pozostawała co najmniej sceptyczna. Ale w głębi duszy ona też zastanawiała się, czy jej historia o pustej krypcie w górach, pełnej ludzkich kości, może być bardziej soczysta niż opowieść z pierwszej ręki o ataku wampira lub demona. Nie przejmowała się tym, że ofiara nic nie pamięta i nie ma żadnych dowodów na potwierdzenie tego zdarzenia. Jej szef nie zawahałby się wydrukować słów starego przesądnego człowieka, prawdopodobnie z zaburzeniami wzroku. Kurde, dawali do druku historie bardziej nieprawdopodobne niż ta.

- Myślisz że mogłabym porozmawiać z twoim dziadkiem na temat tego co widział?

- Dylan jest dziennikarką - poczuła się w obowiązku wyjaśnić, co nie było niespodzianką, zawsze pomocna Janet - Ona mieszka w Nowym Jorku. Byłeś kiedyś w Nowym Jorku Goranie?

- Nigdy nie byłem, ale bardzo bym chciał pojechać tam chociaż na jeden dzień - odpowiedział, spoglądając na Dylan ponownie. - Naprawdę jesteś dziennikarką?

- Nie, tak naprawdę to nie. Może kiedyś. Teraz piszę rzeczy, które... Myślę że można je nazwać fascynującymi ludzkimi historiami.

- Uśmiechnęła się do barmana. - Więc co, myślisz że twój dziadek zechce ze mną porozmawiać?

- Przykro mi ale on nie żyje. Miał udar mózgu podczas snu miesiąc temu i nie wyszedł z tego.

- Och. - Serce Dylan zacisnęło się w prawdziwej skrusze, pragnienie opisanie tej historii zeszło na bok. - Bardzo mi przykro z powodu twojej straty, Goranie.

Goran pokręcił głową.

- Był szczęśliwym człowiekiem, gdyby nam dane było tylko dożyć dziewięćdziesiątego drugiego roku życia, tak jak mojemu dziadkowi.

- Tak - powiedziała Dylan, czując pełne sympatii i współczucia spojrzenia przyjaciółek jej matki. - Gdyby tylko.

- Przepraszam panie, ale mam nowych klientów - oznajmił, gdy niewielka grupka ludzi weszła do karczmy. - Muszę już iść. Dylan, kiedy wrócę może opowiesz mi o Nowym Jorku?

Kiedy odszedł i zanim Janet wyskoczyła ze świetnym pomysłem, by zaprosić młodego ponętnego Gorana do Stanów, żeby Dylan mogła go poślubić i rodzić jego dzieci, dziewczyna udała szerokie ziewnięcie.

- Jejku, chyba nałykałam się dzisiaj za dużo świeżego powietrza, jestem skonana. Planowałam wrócić do hotelu wcześniej. Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia dziś wieczorem. Muszę odpisać na kilka e-maili, zanim położę się spać.

- Na pewno, kochanie?

Dylan skinęła głową do Janet.

- Tak... to był długi dzień. - Wstała i chwyciła swoją torbę zawieszoną na oparciu drewnianego, barowego krzesła. Wyjęła dosyć czeskich koron by pokryć swoją część rachunku, plus spory napiwek i położyła pieniądze na stole. - Do zobaczenia w hotelu.

Gdy tylko zrobiła kilka kroków w stronę hotelu, poczuła swędzenie palców, aby uderzyć w klawiaturę. Zamknęła się w pokoju, włączyła komputer i starała się zapisać historię, która wylęła się w jej głowie. Dylan uśmiechała się gdy kawałek po kawałku historia ta nabierała kształtu. Nie było to już po prostu sprawozdanie ze starego grobowca w jaskini z kilkoma zakurzonymi szkieletami, ale mrożąca krew w żyłach, przykuwająca uwagę opowieść o żyjącym i oddychającym demonie, który może wciąż ukrywać się na terenie puszczy w okolicach spokojnego Europejskiego miasteczka.

Nie brakowało jej słów.

Wszystko czego teraz potrzebowała to kilka zdjęć z diabelskiej kryjówki.

ROZDZIAŁ 3

To był bardzo wczesny poranek w tym górskim regionie, za wcześnie dla większości grup turystycznych i wędrowców, aby wyruszyć na szlaki. Mimo to Dylan unikając głównego wyjścia z hotelu, odważyła się pójść do lasu na własną rękę. Deszcz zaczął padać wkrótce po tym jak weszła pomiędzy drzewa ciepły, letni kapuśniaczek siąpiący z szaroburych chmur nad głową. Turystyczne buty Dylan zostawiały ślady na ścieżce wyścielonej aksamitnym dywanem z wilgotnych, sosnowych igieł, w szybkim tempie znalazła się na tej górskiej ścieżce, którą szła wczoraj z przyjaciółkami

Dzisiaj nie było tu żadnego znaku po ciemnowłosej kobiecie w bieli, ale Dylan nie potrzebowała już jej paranormalnej pomocy, żeby znaleźć drogę do jaskini. Kierowała się tam własną pamięcią i rosnącym pulsowaniem krwi w żyłach, wspięła się na strome zbocze, potem wydostała się na półkę z piaskowca na zewnątrz wejścia do ukrytej jaskini.

We mgle i przy zachmurzonym niebie wąska, wejściowa szczelina wydawała się ciemniejsza niż wczoraj i pachniało z niej starożytną stęchlizną. Dylan zsunęła plecak z ramienia i wyjęła swoją małą latarkę z kieszeni zapinanej na zamek błyskawiczny. Obróciła cienki metalowy uchwyt i posłała promień światła przed siebie w mroczny korytarz jaskini.

Weszła, zrobiła kilka zdjęć krypty i znaków zdobiących ściany, tak więc zebrała trochę atmosfery piekła.

Nie, żeby się bała. Dlaczego powinna się bać? To tylko dawno zapomniane miejsce jakiegoś pochówku. Tu absolutnie nie mogło być niczego strasznego.

I na pewno nie było, tylko czyż te wszystkie, ciężko myślące aktorki w horrorach też nie mówiły tak samo, tuż przed zjedzeniem w krwawych scenach na ekranie?

Dylan wyśmiewała się z siebie w myślach. Przynajmniej to było prawdziwe życie. Spotkanie wariata dzierżącego piłę łańcuchową, lub kanibali zombich czyhających w ciemnościach, było tak samo prawdopodobne jak spotkanie twarzą w twarz z potworem Gorana, wampirem, którego jak twierdził widział jego dziadek.

Innymi słowy mniejsze niż zerowe.

Z deszczem bębniącym za jej plecami, Dylan delikatnie stąpała wąskim przejściem pomiędzy kamiennymi ścianami i ostrożnie odnajdywała drogę w głąb jaskini, pomagając sobie promieniem latarki. Kilka kroków dalej, korytarz wejściowy rozszerzał się w absolutnych ciemnościach. Dylan obracała latarką dookoła, pełna respektu i podziwu, oraz tak samo jak wczoraj oczarowana, kunsztownymi znakami na ścianach i prostokątnymi kamiennymi płytami w centrum jaskini.

Nie zobaczyła leżącego mężczyzny, bezwładnie rozciągniętego na ziemi, dopóki prawie na niego nie nastąpiła.

- O, Jezu!

Zaskoczona, zachłysnęła się oddechem i odskoczyła do tyłu, światło latarki szaleńczo obijało się po ścianach i gdy po sekundzie, której potrzebowała by otrząsnąć się z szoku poprowadziła promień światła w miejsce gdzie on leżał... nic nie znalazła.

Ale on naprawdę był tutaj. Mogła zobaczyć go w swoim umyśle, jego zmierzwione, ciemnobrązowe włosy, ciemne postrzępione i zakurzone ubranie. Włóczęga, to musiał być włóczęga. Nie miała żadnych wątpliwości. Prawdopodobnie nie było to niczym niezwykłym w tym regionie kraju, że biedni i bezdomni ludzie mieszkali nielegalnie w jaskiniach.

- Halo? - Zawołała, zamiatając światłem latarki po całej podłodze jaskini. Kilka starożytnych czaszek i kości leżało rozrzucone w chorobliwym nieładzie po klepisku i to wszystko. Brakowało jakichkolwiek oznak życia na przestrzeni ostatnich stu lat, nie licząc śladów zrobionych przez Dylan.

Gdzie on się podział? Przesunęła wzrokiem po uchylonym wieku ogromnego, kamiennego sarkofagu znajdującego się parę kroków od niej.

- Słuchaj wiem, że tu jesteś. Wszystko w porządku. Nie chciałam cię przestraszyć - dodała, choć wydawało się to kompletnie absurdalne, czuła, że powinna go uspokajać. Facet musiał mieć około dwóch metrów wzrostu i choć ujrzała go tylko przelotnie, zauważyła jego długie umięśnione nogi i szerokie ramiona. Ale jego załamany wygląd gdy leżał na posadzce jaskini emanował bólem i desperacją. - Czy jesteś ranny, potrzebujesz pomocy, jak się nazywasz?

Żadnej odpowiedzi, żadnego dźwięku.

- Dobryjden - zawołała, starając się dotrzeć do niego ze swoją załóżnie ograniczoną znajomością języka czeskiego. - Muwítie anglickí?

Nie miała szczęścia.

- Sprechen sie Deutsch ? - Nic - Przepraszam, ale to wszystko co umiem chyba, że chcesz mnie załamać i zmusić do użycia zardzewiałego hiszpańskiego, który pamiętam ze średniej szkoły i naprawdę zawstydzić? - Zaczęła obracać latarką do góry i na boki, sprawdzając jak wysoka jest jaskinia. - Jakoś nie sędzę. Como esta usted. Odezwiész się kiedyś?

Kiedy odwracała się powoli, światło padło na wystającą półkę wysoko nad jej głową. Jakieś dziesięć metrów w górze, zwykły łuk piaskowca. Nikt nie mógł się tam dostać, w żaden sposób.

Czyżby tam był... ?

Ledwie to pomyślała, struga światła wystrzelona w kierunku półki zamigłała, po czym zapadła ciemność.

- Cholera. - Szepnęła Dylan pod nosem. Potrząsała gorączkowo latarką, usiłując ją włączyć. Kompletnie zdechła, pomimo, że przecież założyła do niej nowe baterie.

- Cholera, cholera, cholera.

Pochłonięta przez totalną ciemność, Dylan poczuła pierwszy dreszcz niepokoju. Kiedy usłyszała szuranie żwiru na wysoko zawieszanej półce, napiął się każdy nerw w jej ciele. Potem na długą chwilę nastąpiła cisza, przzerwana nagłym uderzeniem stóp o ziemię, ktoś lub coś ukrywające się wysoko w mroku, teraz skoczyło na podłogę jaskini, tuż obok niej.

Pachniała jak jałowiec, miód i ciepły letni deszcz. Ale po nagłym uderzeniu adrenaliny dominowała ostra, cytrusowa nuta poczuł ją teraz, gdy znalazł się blisko niej. Rio okręcał kobietę w ciemnościach jaskini, widząc ją doskonale podczas gdy ona borykała się z nagłym brakiem światła. Stopy cofając się zaniósł ją pod ścianę aż dotknęła kręgosłupem kamiennej przeszkody.

- Kurwa.

Przekląła głośno, obracając się spróbowała ruszyć w innym kierunku, ponownie wyciągnęła bezużyteczną latarkę, ale wysunęła

się jej z palców i poturlała po twardej posadzce jaskini. Rio spalił cenne resztki swojej energii by telepatycznie zgasić latarkę. Manipulowanie obiektami poprzez myśli było prostym mentalnym talentem, ale w jego obecnym stanie, nie wiedział jak długo będzie mógł to utrzymać.

- Hmm - chyba nie jesteś w towarzyskim nastroju - powiedziała dziewczyna, jej oczy w ciemności zerkwały to w lewo to w prawo, próbując go zlokalizować. - Więc, ja po prostu zostawię cię teraz, dobrze? Chcę tylko... stąd wyjść. - Nerwy spowodowały, że słowa więzły w gardle, a głos stał się jękliwy. - Boże proszę, gdzie jest wyjście z tego upiornego miejsca.

Postąpiła krok w prawo, wzdłuż krawędzi ściany jaskini, oddalając się od wyjścia.

Rio nie widział sensu w informowaniu jej o tym, będąc w ciągłym ruchu osaczał ją, wciągając dziewczynę w głąb jaskini. Próbował zdecydować się co zrobić z tym powracającym intruzem. Kiedy po raz pierwszy się obudził zaskoczony, że wciąż żyje i nie jest sam, zareagował instynktownie jak zwierzę, dla bezpieczeństwa uciekając w cień.

Ale wtedy, ona zaczęła do niego mówić.

Przymilała się do niego mimo, że nie mogła wiedzieć jak bardzo jest to niebezpieczne. Był wściekły i na wpół szalony, była to śmiertelna kombinacja. Ale przebywanie w pobliżu kobiety, uświadomiło mu, że choć złamany to ciągle jeszcze pozostał mężczyzną.

Do szpiku kości był wojownikiem Rasy.

Rio wchłonął więcej kobiecego zapachu, trudno było oprzeć mu się, by nie dotknąć jej bladej, wilgotnej od deszczu skóry. Chwycił go głód jakiego nie zaznał od bardzo długiego czasu. Jego kły wysunęły się z dziąseł, ich ostre końcówki wpijały się w język. Opuścił powieki nisko na oczy wiedząc że jego topazowe tęczówki, wkrótce staną się kręgami bursztynowego ognia, źrenice zwęziły się do pionowych szczelin od narastającego w nim pragnienia krwi. To że była młoda i piękna potęgowało tylko jego głód, chciał poznać jej smak, chciał jej dotknąć.

Zgiął ręce, a następnie zacisnął pięści i przyciągnął je do siebie.

Manos del diablo. Ręce diabła.

Mógł ją zranić tymi rękami. Siła dana mu przez jego wampirze geny była ogromna, ale Rio posiadał też inny straszny talent, z którym się urodził, myślą lub dotykiem mógł przeciąć nić ludzkiego życia w jednej chwili. Kiedy zrozumiał swoją moc, nauczył się poddawać ją sztywnej kontroli. Ale teraz jego niepohamowany gniew, który nękał go od czasu eksplozji magazynu osłabił jego żelazną wolę i nie mógł już sobie zaufać. Było to jednym z powodów, przez które opuścił Zakon i zaprzestał polowań na krew.

Wojownicy i Obywatele Rasy rzadko, jeśli w ogóle, zabijali swoich ludzkich żywicieli kiedy się pożywiali. To było wszystko co oddzielało ich od wampirów najgorszego rodzaju, Szkarłatnych. To właśnie brak kontroli powodował nałóg krwi, nikt nie wiedział tego lepiej niż Szkarłatni.

Gdy Rio zaczął wpatrywać się dzikimi, spragnionymi oczami w kobietę, która weszła do jego prywatnego piekła, strach przed utratą przy niej kontroli, był jednym z powodów, który trzymał go w ryzach.

Drugim był ten prosty fakt, że ona była dla niego dobra i życzliwa. Nie obawiał się, choćby tylko dlatego, że w ciemnościach nie mogła zobaczyć potwora jakim był naprawdę.

Dziewczyna podążając tam gdzie prowadziła ją ściana dotarła do środka małej jaskini. Rio stał teraz za nią, tak blisko, że końcówki jej kręconych, płomiennorudych włosów głaskały jego postrzępioną, satynową koszulę. Te sprężyste jedwabne nici bardzo go kusiły, ale trzymał ręce przy sobie. Zamknął oczy, chciał być z powrotem na bezpiecznej skalnej półce. Wówczas może znowu by z nim rozmawiała, nie dysząc i sztywniejąc z panicznego strachu.

- Nie powinno cię tu być - powiedział w końcu, jego szorstki głos zabrzmiał w ciemności jak warknięcie.

Ona gwałtownie zaczerpnęła tchu, okręciła się dookoła, gdy tylko jej ucho wychwyciło jego obecność, natychmiast wycofała się w odwrotnym kierunku. Rio powinien być z tego zadowolony.

- Mówisz po angielsku - dziewczyna odezwała się po dłuższej chwili - Ale twój akcent... chyba nie jesteś Amerykaninem? - Rio nie widząc powodu, by odpowiedzieć inaczej, stwierdził.

- Ty oczywiście jesteś Amerykanką.

- Co to za miejsce i co ty tu robisz?

- Musisz stąd odejść, natychmiast - powiedział. Jego słowa brzmiały dziwnie chrapliwie. Wysunięte kły utrudniały mówienie. - Nie jesteś tu bezpieczna. - Ostrzegawcza cisza wisiała pomiędzy nimi.

- Pozwól mi cię zobaczyć, proszę. - Rio skrzywił się do tej ślicznej, brzoskwińowej, nakrapianej piegami twarzy szukającej go w mroku. Zaczęła szukać go po omacku wyciągniętymi rękami. On cofnął się ledwo unikając dotyku poszukującego go ramienia.

- Czy wiesz, co mówią w miasteczku? - Zapytała z nutką wyzwania w głosie. - Mówią że demon żyje w tych górach.

- Może jest tutaj.

- Ja nie wierzę w demony.

- Może powinnaś. - Rio patrzył na nią poprzez, gąszcz rozczochranych włosów, w nadziei, że długie opadające kosmyki nie zdradzą blasku jego oczu. - Musisz iść. Wyjść już, teraz.

Powoli podniosła plecak i trzymała go przed sobą jak tarczę.

- Czy wiesz coś o tej krypcie? Bo to chyba jest krypta, prawda i komora ofiarna. Co to za symbole na ścianach, to chyba jakiś starożytny język?

Rio był nieruchomy i bardzo cichy. Chciałby móc po prostu odesłać ją stąd, ale teraz już uzmysłowiła mu jego błąd. Było wystarczająco źle, gdy trafiła tu pierwszy raz, teraz wróciła i jej domysły były bardzo bliskie prawdy. Nie mógł pozwolić jej odejść, nie z nienaruszoną pamięcią o tym miejscu i o nim.

- Podaj mi dłoń - powiedział tak delikatnie jak tylko potrafił. - Pokażę ci drogę do wyjścia.

Ona nie ruszyła się z miejsca, nie liczył na to, że go posłucha.

- Jak długo mieszkasz na tej górze? Dlaczego ukrywasz się tutaj? Dlaczego nie pozwolił mi zobaczyć twojej twarzy?

Zadawała pytania jedno za drugim, jej ciekawość kojarzyła się z przesłuchaniem. Usłyszał jak delikatnie rozsuwała zamek błyskawiczny w swoim plecaku. O, cholera, jeśli ona wyciągnie następną latarkę, on nie będzie miał dosyć siły by kontrolować światło. Nie wtedy gdy potrzebuje każdej odrobiny swojej energii do koncentracji, żeby wyczyścić jej pamięć.

- Chodź - powiedział trochę ostrzej. - Nie skrzywdzę cię.

Chciał spróbować po dobroci, ale teraz obowiązek bycia prawym wyduszał z niego siły. Potrzebował zachować wszystko co mógł, by

wysadzić jaskinię i nie odpłynąć w ciemność zanim nie doprowadzi wszystkiego do końca. Teraz musiał rozwiązać ważniejszy problem stojący przed nim.

Rio ruszył w jej stronę, dalej pozostawała nieruchoma, sięgnął w jej kierunku, chwycił jej plecak i pociągnął ją w kierunku wyjścia. Ale zanim jego palce się zacisnęły, ona wyciągnęła coś z kieszeni i przycisnęła do piersi.

- W porządku, idę. Ja tylko... jest coś co muszę zrobić najpierw.

Rio skrzywił się w ciemności.

- Co ty...

Po cichym kliknięciu nastąpił oślepiający wybuch światła.

Rio warknął, mechanicznie ulegając instynktowi. Kaskada błysków rozświetliła jaskinię.

Logika podpowiadała mu, że oślepiła go lampa błyskowa cyfrowego aparatu fotograficznego, ale w tej chwili zaskoczenia, jego umysł przeniósł się w czasie... z powrotem do bostońskiego magazynu, by ponownie przeżywać eksplozję. W swoim umyśle usłyszał nagły ogłuszający huk, poczuł jego wibrację w kościach. Serce w nim kołatało a płuca błagały o oddech. Poczł uderzenie gorąca na twarzy i gruba chmura duszącego popiołu okryła go jak fala. Człł gorące odłamki raniące jego ciało.

Przeżywał swoją agonię, naprawdę tam był, człł to znowu, kolejny raz.

- Neeee! - Wrzasnął, jego głos już nie ludzki, lecz zmieniony przez wściekłość, która zalewała go jak kwas.

Nogi ugięły się pod nim i osunął się na ziemię oślepiiony światłem i wizjami lęgnącymi się ze wspomnień.

Usłłszął kroki szurające za nim w pośpiechu i poprzez otaczające go upiorne wizje błysków dymu i bólu, poczuł ulotny zapach jałowca, miodu i letniego deszczu.

ROZDZIAŁ 4

Serce Dylan wciąż nie przestawało bić przyspieszonym rytmem tego ranka, nawet po wejściu do pociągu, który miał ich zawieźć z Jiczin do Pragi.

Czy to nie było śmieszne pozwolić sobie tak zagrać na nerwach przez zwykłego włóczęgę? Weszła do jaskini na jego teren, nawet jeśli był lekko psychiczny i żył tam w tych górach jak dzikie zwierzę, to przecież jej nie skrzywdził.

Bazując na jego dziwnie miękkim sercu, mogła zrobić zdjęcia jaskini, przecież mógł ją wyrzucić stamtąd wcześniej. Prawdopodobnie ona wystraszyła go bardziej, niż on ją.

Dylan oparła się na siedzeniu w przedziale pociągu, otworzyła laptopa na kolanach.

Zgrała zdjęcia z aparatu na komputer za pomocą czarnego cienkiego kabla łączącego oba urządzenia. Były to zdjęcia z kilku ostatnich dni podróży, ale tylko garść ostatnich ciekawiła ją teraz najbardziej.

Podwójnym kliknięciem otworzyła jedno z ponurych zdjęć w jaskini, pierwsze z serii. Zdjęcie rozwinęło się wypełniając ekran jej laptopa.

Dziewczyna zaczęła przyglądać się twarzy, która była prawie całkiem zasłonięta zbyt długimi rozczochranymi włosami. Mroczne ciemnobrązowe fale opadające bezładnie nad wysokimi, ostrymi jak brzytwa kośćmi policzkowymi i dzikimi oczami, które świeciły odbitym od lampy blaskiem w najdziwniejszym odcieniu bursztynu, jaki kiedykolwiek widziała. Jego szczeka była jak wykuta z żelaza a pełne usta wykrzywiały się we wściekłym warknięciu, niedokładnie przysłonięte ramieniem, które uniosło się aby zasłonić błysk.

Jezu, nie musiała tego nawet obrabiać Photoshopem w swoim biurze w Nowym Jorku, ten facet wyglądał naprawdę demonicznie, wyszedł nawet lepiej niż mogła sobie tego życzyć.

- Jak tam twoje zdjęcia, kochanie? - Pełna srebrnych loczków głowa Janet wychyliła się spoza Dylan przez całą odległość przejścia pomiędzy siedzeniami. - Dobry Boże, co TO jest?

Dylan wzruszyła ramionami nie mogąc oderwać oczu od zdjęcia.

- To tylko jakiś walnięty dziki lokator, na którego wpadłam w górach przy jaskini dziś rano. On jeszcze o tym nie wie, ale mam zamiar uczynić go gwiazdą mojego nowego artykułu. Co o tym myślisz? Tylko popatrz na tą twarz i powiedz jeśli nie wygląda jak pijący krew dzikus, który czai się w górach i czeka na następną nieszczęsną ofiarę.

Janet zadrżała i wróciła do swojej krzyżówki.

- Nabawisz się koszmarów, wymyślając te swoje historie.

Dylan śmiała się kiedy klikała w kolejne zdjęcie.

- Nie ja. Ja nigdy nie miewam koszmarów. Faktem jest że wcale nie mam snów, biała plama absolutnie każdej nocy.

- Szczęściara. - powiedziała starsza dama. - Ja zawsze miałam najdziwniejsze sny. Gdy byłam panną, zwykłam śnić o białym pudlu z pomalowanymi paznokciami u łap, który uwielbiał tańczyć i śpiewać w nogach mojego łóżka. Błagałam go żeby przestał i pozwolił mi spać, ale on musiał dośpiewać wszystko do końca, Możesz to sobie wyobrazić? Zawsze śpiewał stare kawałki, uwielbiał je. Zawsze lubiłam program... „Jaka to melodia...?” Może to to... hmm.

Dylan słyszała paplanie Janet za plecami, ale ponieważ przeglądała resztę zdjęć z jaskini na swoim komputerze, słuchała jej w najlepszym razie jednym uchem. W pliku chaotycznych ujęć krypty miała jedno całkiem dobre zdjęcie kamiennego sarkofagu i kilka innych przedstawiających ścienne znaki. Wyglądały one jeszcze bardziej imponująco niż w jaskini, ponieważ teraz miała szansę spokojnie je przestudiować.

Pełne gracji łączące się łuki, wirujące linie przebiegały przez ścianę jaskini, nakreślone rudobrunatnym atramentem. Wyglądało to jak futurystyczne tribale jakich nigdy i nigdzie wcześniej nie widziała. Jeszcze więcej symboli i splątanych linii dekorowało ściany sarkofagu... jeden z nich szczególnie spowodował, że delikatne włoski na karku Dylan uniosły się a szyja zaczęła drżeć. Zrobiła zbliżenie tego dziwnego znaku.

- Co do cholery?

Kropka w kształcie łyzy i półksiężyc ten jednoznaczny symbol umościł się w cyklu zakrzywień wzorów i wśród geometrycznych deseni. Dylan wpatrywała się w niego ze zdumieniem i troszeczkę

zmieszana. Ten znak nie był jej nieznany, widziała go niezliczoną ilość razy. Nie na zdjęciach, ale na własnym ciele.

- Co to u licha miało być?

Dłoń Dylan przesunęła się po karku w kierunku szyi, dziewczyna była zdumiona tym co widziała. Jej palce prześliznęły się po gładkiej skórze w górę ku szczytowi kręgosłupa, gdzie wiedziała że znajduje się małe szkarłatne znamię, dokładnie takie jak znak, który widziała na ekranie jej komputera.

Ze spokojnym, zimnym spojrzeniem utkwionym w wejściu do jaskini, Rio wcisnął guzik detonatora C4. Z cichym kliknięciem zdalnie sterowane urządzenie wysłało sygnał, który dotarł z półsekundowym opóźnieniem do kostek plastiku umieszczonych dookoła wejścia. Wybuch był głośny i wywołał mocny podmuch, przetoczył się jak grzmot po ciemnym lesie. Gruby gęsty kurz i sproszkowany piaskowiec wystrzeliły z korytarza, zwierając ściany jaskini, blokując wejście i pieczętując dokładnie kryptę, oraz jej tajemnice.

Rio przyglądał się temu z terenu poniżej, wiedząc, że powinien być w środku i byłby, gdyby nie jego własna słabość i kobieta intruz przebywająca w jaskini tego poranka.

Zejście ze zbocza o zmroku nadwątlilo jego i tak już niewielki zapas sił. Tylko determinacja niosła go przez większą część jego wędrówki, skierowana ku sobie wściekłość pozwoliła mu się skupić i skoncentrować kiedy zajął pozycję poniżej jaskini i uruchomił detonator.

Kiedy dym i okruchy piaskowca opadły, Rio przekrzywił głowę. Jego doskonały słuch wychwycił poruszenie w lesie. To nie było zwierzę, ale szybki dwunożny krok turysty w pojedynkę przemierzającego mroczny las.

Kły Rio wysunęły się z dziąseł na myśl o łatwej ofierze. Jego źrenice zwężyły się instynktownie, wyostrozając wzrok, obracał głową skanując otoczenie.

Ktoś schodził grzbietem stoku na południe od niego. Szczupły ludzki osobnik ze sprzętem kempingowym obciążającym jego plecy, przedzierał się przez gąszcz leśnego poszycia. Jego krótkie blond włosy świeciły jak latarnia w ciemności. Rio patrzył jak turysta

pośliznął się i zjeżdżał na pupie w dół zbocza ku przecinającej las drodze. Za kilka minut powinien dojść do miejsca, w którym stał Rio.

On był zbyt słaby by polować, ale wampirze dziedzictwo w nim było w stanie najwyższego pogotowia, czekając w napięciu i gotowości na szansę by skoczyć.

Pożywić się, desperacko tego potrzebował.

Człowiek przyszedł bliżej, nieświadomy drapieżnika, obserwującego go z ukrycia za drzewami. Nie przeczuwał nadchodzącego niebezpieczeństwa, nie do czasu gdy Rio wystrzelił się ku niemu w jednym ogromnym skoku. Człowiek krzyknął, a w jego głosie zabrzmiało czyste przerażenie. Szarpał się i walczył, ale na darmo.

Rio działał błyskawicznie, powalając młodzieńca na ziemię i obezwładniając go, w czym pomógł mu ogromny plecak turysty. Ugryzł w podstawę obnażonej kolumny szyi i napełnił swoje usta ciepłą, pulsującą krwią. Reakcja na pożywienie była natychmiastowa świeża krew którą pił, odnawiała siły jego mięśni, kości i umysłu.

Rio wziął od swojego żywiciela tylko tyle krwi ile potrzebował i ani kropli ponadto. Szybkim ruchem języka zamknął ranki, jeden ruch dłoni nad spoconym czołem chłopaka wymazał z przerażonego umysłu całe wspomnienie ataku.

- Idź. - Powiedział do niego.

Młody człowiek wstał i w krótkim czasie, jego blond czupryna i nieporęczny plecak zniknęły w ciemnościach nocy.

Rio zerknął w górę na błądy sierp księżycy, czując mocne pulsowanie swojego tętna, gdy jego ciało wchłaniało upragniony dar ludzkiej krwi. Potrzebował tej siły, ponieważ polowanie tej nocy dopiero się rozpoczynało.

Rio odchylił głowę do tyłu, przez zęby i kły wciągnął w płuca chłodne, nocne powietrze. Jego wyczulone wampirze zmysły, poszukiwały zapachu prawdziwej zwierzyny. Ona była na tej ścieżce parę godzin temu, przepełniona strachem pośpiesznie opuszczała las. Powinna się go bać. Ta płomiennowłosa piękność nie miała pojęcia o sekretach na jakie natknęła się w tej jaskini. Ani o bestii jaką obudziła.

Twarz Rio skrzywiła się w kwaśnym uśmiechu, ponieważ przeszukując węchem leśne powietrze natknął się na jej zapach, wciągnął mocno w płuca ten ślad zapamiętując go. Jej trop był sprzed

kilku godzin i szybko się rozmywał w nocnym wietrzyku, ale Rio rozpoznał by go wszędzie.

Zawsze odnalazłby ją, nieważne jak daleko by uciekła.

ROZDZIAŁ 5

Początek tego dnia był dziwny, a stawał się jeszcze dziwniejszy. Dylan prawdopodobnie nie powinna być zaskoczona e-mailem od Colemana Hogga, który czekał na nią gdy otworzyła komputer po obiedzie, w swoim pokoju hotelowym w Pradze. Wysłała swoją historię i kilka zdjęć z górskiej jaskini w południe, gdy tylko dotarła do hotelu, nie spodziewając się usłyszeć czegokolwiek od szefa, w ciągu tych kilku dni, które zostały jej do powrotu do domu.

Ale on zainteresował się odkryciem Dylan w górach, był tak bardzo zainteresowany, że chciał wynająć jakiegoś niezależnego profesjonalnego fotografa w Pradze, by dziewczyna wróciła z nim do Jicin, by strzelić jeszcze kilka fotek do jej kawałka.

- Chyba stroisz sobie ze mnie żarty. - Jęknęła Dylan kiedy przeczytała wiadomość od szefa.

- Lepiej zacznij się pakować, kochanie. Nie możemy spóźnić się na pociąg. - Janet pobierała kolekcję do połowy opróżnionych opakowań hotelowych kosmetyków i włożyła je do strunowego woreczka, który dokładnie zamknęła. - Nie ma to jak balsam do rąk z hotelowej łazienki, mogę to wziąć? I może jeszcze tę nieotwartą kostkę mydła...

Dylan ignorowała trajkot swoich przyjaciółek, które pakowały się przed wyjazdem z Pragi tego wieczora.

- Gówno.

- Co jest nie tak? - Zapytała Nancy zapinając swoją niedużą walizkę na jednym z dwóch królewskich rozmiarów łóżek w ich podwójnym pokoju.

- Mój szef nie może przyjąć do wiadomości, że jeśli mówię że wyjeżdżam z Pragi dziś wieczorem, to znaczy że wyjeżdżam z Pragi dziś wieczorem. - Albo raczej zrozumiał i po prostu postanowił to zignorować. Zgodnie z jego e-mailem, Dylan miała spotkać czeskiego fotografa jutro rano i wrócić z nim do Jicin.

Marie podeszła i rzuciła okiem na komputer.

- To na temat twojego artykułu?

Dylan kiwnęła głową.

- Mój szef myśli, że ta historia byłaby bardziej interesująca z jeszcze kilkoma zdjęciami. Chce żebym spotkała kogoś jutro rano. Już zaaranżował to spotkanie.

- Ale my musimy być na stacji kolejowej za niespełną godzinę. - stwierdziła Janet.

- Przecież wiem. - Powiedziała Dylan, zaczynając pisać odpowiedź na e-maila.

Wyjaśniła w nim, że ona i jej towarzyszkę mają zarezerwowany na dzisiejszy wieczór pociąg do Wiednia i że to będzie ich ostatni przystanek końcowego etapu ich wycieczki przed powrotem do Stanów... Więc ona nie może być obecna na spotkaniu z fotografem, ponieważ o dziesiątej dziś wieczorem już jej nie będzie w Pradze.

Dylan skończyła klepywać swoją odpowiedź, ale kiedy przesunęła kursor by ją wysłać, zawahała się. Już miała miejscówkę na czarnej liście Colemana Hogga i jeśli by odrzuciła to spotkanie z jakiegokolwiek powodu, to nie miała żadnych wątpliwości, że może na sto procent pożegnać się z pracą. I jakkolwiek nie byłby to kuszące, w rzeczywistości nie bardzo mogła sobie teraz pozwolić na stratę pracy.

- Pieprzyć to. - Wymamrotała najeżdżając myszą na okienko delete i naciskając przycisk. - Jest już za późno by odwołać to spotkanie i ja prawdopodobnie nigdzie nie pojedę. Musicie jechać do Wiednia beze mnie. Muszę tu zostać i zająć się swoim artykułem.

Rio wysiadł w Pradze z zatłoczonego ludźmi pociągu. Dzięki krwi, którą się pożywił i wściekłości buzującej w każdym nerwie jego ciała, instynkty jego rasy czekały w pełnej gotowości, gdy wyszedł na peron pełnej ludzi stacji. Widocznie jego zwierzyna umknęła tu, do Pragi po ich porannym starciu. Tropił jej zapach z gór do Jicin. Tam po użyciu odrobiny mentalnej perswazji, właściciel hoteliku w miasteczku okazał się wystarczająco skłonny do współpracy, by skierować go do Pragi, skąd jak wspomniała młoda Amerykanka, ona i jej towarzyszkę zmierzają do ostatniego etapu ich podróży.

Ten pogrążony w transie człowiek, zaopatrzył również Rio w nowy lekki trencz z hotelowego biura Rzeczy Znalezionych. Pomimo to że był on niemodny, nie odpowiedni na tę porę roku i trochę przyciasny, to dokładnie zakrywał jego brudne, podarte i poplamione

krwią szmaty. Rio miał gdzieś całe to gówno na temat mody i wyglądu i ten cały smród koło tego, ale nie potrzebował przyciągania nadmiernej uwagi kiedy będzie przebywał w miejscach publicznych. Nie chciał by go brano za jakiegoś psychola albo życiowego rozbitka. Rio próbował też maskować, garbiąc się, swój wzrost i muskulaturę. Powłócząc nogami, wolnym krokiem przechodził przez stację. Ludzie obrzucali go tylko przelotnymi spojrzeniami, lekceważąc go jako jednego z wielu tych bezdomnych i bezimiennych nieszczęśników wałęsających się wokół peronów, albo sypiających na ławkach.

Szedł z opuszczoną głową, by ukryć blizny na lewej stronie twarzy, jednak oczy spoglądały czujnie spod rozczochranej grzywy ciemnych włosów. Rio zmierzał do wyjścia, którym dotarłby do głównej ulicy prowadzącej do centrum miasta, gdzie rozpocząłby swoje polowanie na nowo. Gniew utrzymywał jego koncentrację, kiedy hałas i tłok ludzkiej ciżby powodowały zawroty głowy, Zignorował zalewające go klaustrofobiczne uczucia, odepchnął je od siebie, by podążać dalej obranym kursem.

Siłą woli wyostrzył wzrok, przeszedł przez ściśniętą grupę młodych ludzi ostro dyskutujących na środku dworca. Ostra komenda zwróciła uwagę Rio na miejsce, które minął. Dostrzegł że jeden z chudych młodzieńców oderwał się od grupy i zderzył się z dobrze ubranym angielskim turystą, który biadolił o czymś przez słuchawkę telefonu komórkowego spiesząc się na pociąg. Minimalnym zmarszczeniem brwi zareagował na zderzenie ponieważ nie było ono zbyt bolesne i dalej kontynuował swój marsz. Nie uświadamiał sobie tego, że w tej kolizji najbardziej ucierpiał jego portfel, zgarnięty przez gang młodocianych kieszonkowców. Złodzieje ukryli się ze swoim łupem, rozpraszając się w tłumie.

Innej nocy i w innym miejscu, Rio mógłby ścigać młodocianych przestępców, by troszkę ich naprostować. Pokazać im że noc miewa oczy... i zęby, gdyby byli zbyt pewni siebie i nie potrafili zbyt szybko pojąć dobrej rady.

Ale on zerwał już z zabawą w ciemnego anioła dla ludzi, którzy żyli nieświadomi istnienia jego Rasy. Pozwoli im się nawzajem mordować i okradać. Szczerze mówiąc przestał już się przejmować opieką nad nimi. Ostatnio przestał przejmować się czymkolwiek, oprócz przysięgi na honor, którą złożył swoim braciom z Zakonu.

Piekielnie zabawna robota to dotrzymanie słubów.

Zawiódł ich nie tym, że nie zapieczętował górskiej krypty ale, że tak długo z tym zwlekał. Przecież powierzyli mu to zadanie kilka miesięcy temu. Teraz przez jego opieszałość sytuacja mocno się skomplikowała. Był świadek i zrobił zdjęcia.

Tak, robota była wybitnie spaprana, osobiście się do tego przyczynił.

Rio zdecydowanie kroczył ku wyjściu ze stacji, wdychając niezliczone zapachy, które wypełniały powietrze wokół niego, przeszukiwał je z pełną koncentracją.

Jego stopy gwałtownie zahamowały, gdy poczuł pierwszy ślad jałowca i miodu.

Pokręcił dookoła głowa, podążając za łaskotaniem w nosie jak gończy pies puszczony ze smyczy. Zapach który tropił był bardzo świeży, jakby pozostawiony przed chwilą.

- Madre de Dios.

Kobieta na którą polował była tu na stacji.

- Jesteś pewna, że chcesz zostać tu sama. Kochanie? Czuję się jakbyśmy cię porzuciły, nienawidzę tego.

- Wszystko będzie dobrze.

Dylan wyściskała mocno swoje przyjaciółki na peronie głównej stacji kolejowej w Pradze. Miejsce to było mocno zatłoczone nawet o tej późnej nocnej godzinie. Ogromny budynek w stylu Art Deco wypełniony był podróżującymi ludźmi, widziała także kilku żebraków i paru śpiących tu i ówdzie bezdomnych.

- A co będzie jeśli coś ci się przytrafi? - Zapytała Janet. - Twoja mama nigdy by nam tego nie wybaczyła i ja też nie mogłabym sobie wybaczyć gdybyś zaginęła lub została napadnięta albo zraniona.

- Jeśli trzydzieści dwa lata w Nowym Jorku nie zdołało mnie zabić, to jestem absolutnie pewna, że zdołam przetrwać samotnie jeden dzień.

Marie zmarszczyła czoło.

- A co będzie z twoim lotem do domu?

- Już się tym zajęłam. Przebukowałam bilet online z hotelu. Wylecę z Pragi pojutrze.

- Mogłybyśmy na ciebie zaczekać, Dylan. - Nancy podniosła swój plecak do góry i przerzuciła go przez ramię. - Może powinniśmy zapomnieć o Wiedniu i razem wrócić do domu.

- Tak - Przytaknęła Marie. - Może powinniśmy.

Dylan potrząsnęła głową.

- Absolutnie nie, żadna z was nie spędzi ostatniego dnia wycieczki na niańczeniu mnie, jeśli nie jest to konieczne. Jestem już dużą dziewczynką. Nic mi się nie stanie. Jedźcie. Naprawdę wszystko będzie w porządku.

- Jesteś pewna, kochanie? - Zapytała Janet.

- Na sto procent. Bawcie się dobrze we Wiedniu. Zobaczymy się w domu, w Stanach za parę dni.

To rozpoczęło następną rundę przejmowania się i przestrog, zanim kobiety dotarły wreszcie do peronu, z którego odchodził ich pociąg. Dylan czekała razem z nimi do czasu odjazdu i pomagając kobietom ulokować się w wagonie.

Poczekala chwilę, aż pociąg wytoczył się ze stacji, po czym odwróciła się i zaczęła wychodzić ze stacji razem z grupką innych ludzi którzy, odprowadzali swoich bliskich na dworzec.

Kiedy podchodziła do wyjścia ze stacji, zaczęła dygotać czując się obserwowana. To bez wątpienia musiała być paranoja wywołana przez czarne myśli Janet. A jednak czuła się dziwnie...

Dylan rozejrzała się swobodnie wokół siebie, usiłując nie wyglądać na zagubioną lub przerażoną, wabiąc swoim zachowaniem ten typ ludzi, który lubił żerować na naiwnych turystach. Trzymała swoją torebkę z przodu, przyciskając ją ramieniem szczelnie do ciała. Wiedziała że dworce i lotniska są rajem dla złodziei. Tak samo jak w Stanach nie mogła zapomnieć o tym fackie i tutaj, kiedy grupa lokalnych nastolatków usadowiła się koło bankomatu i budek telefonicznych w okolicy wyjścia ze stacji. Rzucając spojrzenia na tłum.

To najprawdopodobniej kieszonkowcy. Często widywała takie grupy krążące po miejscach takich jak ten dworzec.

Dla własnego bezpieczeństwa nadłożyła drogi i skierowała się do drzwi znajdujących się dalej od tych, które okupowali kieszonkowcy.

Poczuła się bardzo zadowolona z siebie, gdy zauważyła, jak umundurowany strażnik podszedł do nastolatków i pokazał im drzwi. Oddalili się w pośpiechu.

Dylan sięgnęła do uchwyty, by pchnąć szklane drzwi. W ich szklanym odbiciu, ujrzała znajomą twarz, która sprawiła, że jej serceomal nie wyskoczyło z piersi.

Był za nią tak blisko, że prawie mógł ją dotknąć, ogromny mężczyzna zmierzający w jej kierunku od strony peronów. Ogniste oczy żarzyły się jak węgle, spod opadającej grzywy ciemnych włosów.

A jego usta...

Dobry Boże, ona nigdy w swoim życiu nie widziała bardziej przerażającego i szyderczego uśmiechu. Rząd doskonałych białych zębów zaciśniętych pomiędzy wargami, które wykrzywiły się w dzikim warknięciu naciągając nienaturalnie mięśnie jego szczupłej twarzy, zmieniając ją w surową maskę śmierci.

To był on, mężczyzna, którego znalazła w górskiej jaskini w okolicach Jicin.

Czy on podążył za nią do Pragi? Widocznie tak. Dziewczyna przypuszczała, że jest zdrowo walnięty w chwili gdy go spotkała, teraz była tego absolutnie pewna. On był cholernym psychopatą. Napalił się na nią, złośliwiec. Chciał ją rozerwać na strzępy gołymi rękami.

Dylan wrzasnęła, nie mogła powstrzymać ostrego okrzyku strachu. Odbiegła od wyjścia i zrobiła unik skręcając ostro w lewo. Biegła z całych sił mając nadzieję że przy odrobinie szczęścia ucieknie mu z oczu. Szybkie spojrzenie za siebie sprawiło, że skoczyło jej tętno.

- O Jezu. - Wydyszała w skrajnym przerażeniu. - To nie dzieje się naprawdę. - To nie mógł być on, nie mógł być tutaj by jej szukać...

Ale to był ON.

Węzeł przerażenia zacisnął się na jej gardle, przecież nie będzie na niego czekała, żeby zapytać go czego od niej chce.

Wystartowała poprzez stację, dobiegła do strażnika i chwyciła go za ramię.

- Pomóż mi proszę, ktoś mnie ściga. - Rzuciła spojrzeniem, ponad swoim ramieniem wskazując za siebie. - On jest tam z tyłu w jasnym tenczu z ciemnymi długimi włosami. Proszę. Musisz mi pomóc.

Umundurowany Czech zmarszczył brwi, ale musiał ją zrozumieć ponieważ spojrzał w kierunku wyznaczonym jej nerwowym gestem. Zwężonymi oczami rozglądał się po stacji.

- Gdzie? - zapytał po angielsku z ciężkim akcentem - Pokaż mi tego człowieka, kto cię zaczepił?

- Nie wiem kim on jest, ale on był zaraz za mną, nie możesz go zgubić. Ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ramiona jak rozgrywający, ciemne rozczochrane włosy opadające na twarz...

Czując się teraz bezpieczniejsza, odwróciła się, gotowa by stanąć twarzą w twarz z szaleńcem i przy odrobinie szczęścia patrzeć jak zabierają go siłą do pobliskiego aresztu.

Tyle że nigdzie go nie było.

Dylan przeszukiwała wzrokiem tłum. Wypatrywała dzikiego olbrzyma, warczącego jak wściekły wilk pośrodku stada owiec. Nie było po nim nawet znaku. Ludzie zachowywali się spokojnie, nie było żadnego poruszenia. Tak jakby po prostu zniknął.

- ON musi gdzieś tu być - wymruczała, chociaż nie mogła wypatrzeć go wśród ludzi opuszczających dworzec, ani wśród bezdomnych. - On naprawdę tu był, przysięgam, ścigał mnie.

Czuła się jak głupia histeryczka, pod taksującym spojrzeniem strażnika, który uśmiechał się do niej pobłaźliwie.

- Nic się nie stało, już w porządku?

- Tak, faktycznie, sądzę że w porządku. - Powiedziała Dylan, czując wszystko tylko nie spokój.

Ostrożnie zmierzała w kierunku wyjścia ze stacji. Pomimo że była to piękna letnia noc, z bezchmurnym niebem i mnóstwo ludzi spacerowało po okolicznych parkach i ulicach prowadzących w głąb miasta, Dylan przywołała taksówkę by przejechać niewielką odległość dzielącą ją od hotelu.

Wmawiała sobie, że musiała wyobrazić sobie te wszystkie rzeczy, przecież to nie możliwe by mogła spotkać tego człowieka z jaskini, ścigającego ją na środku stacji kolejowej w Pradze. Ciągłe drżała na całym ciele, nawet gdy wysiadła z taksówki i pośpieszyła do eleganckiego holu jej hotelu, jej ciało przeszywały dreszcze strachu.

Uczucie to wciąż się utrzymywało, gdy szarpała się z elektroniczną kartą otwierającą drzwi do jej pokoju.

Gdy w końcu udało się jej otworzyć drzwi szmer za nią sprawił, że obejrzała się, ale nic nie dostrzegła. Pomimo chęci pozbycia się ciągłego paraliżującego ją lęku, on wciąż w niej narastał. Wskoczyła do pokoju jakby od tego zależało jej życie, poczuła lodowaty podmuch z wnętrza swojego, ciemnego pokoju.

- To klimatyzator kretyńko. - powiedziała do siebie, sięgnęła do włącznika i zapaliła światło. Głośno chichotała ze swojej paranoi, gdy zamykała drzwi na wszystkie zamki.

Dylan nie zauważyła go, dopóki nie weszła głębiej do słabo oświetlonego pokoju.

Człowiek z górskiej jaskini, szaleniec ze stacji kolejowej, jakimś niepojętym sposobem znalazł się tu, w jej pokoju stojąc nie dalej niż pięć kroków od niej.

Szczęka Dylan opadła w głębokim szoku, po czym wrzasnęła.

ROZDZIAŁ 6

Rio przycisnął swoją dłoń do rozwartych ust kobiety w momencie gdy pierwsza wysoka nuta przerażenia rozdarła ciszę w pokoju. Potrafił poruszać się za szybko by ludzkie oko mogło go zauważyć, używając tej zdolności swojej Rasy przyczepił się do ogona taksówki i tropił ją aż do hotelu. Dziewczyna prawdopodobnie wyczuła jego obecność, jako nagły powiew zimnego powietrza, ale nawet teraz czuł, że jej umysł walczył gorączkowo by pojąć to co ujrzały oczy.

Kręciła głową, próbując uwolnić się z jego bezlitosnego chwytu. Kolejny krzyk uformował się w jej gardle i sparzył gorącym oddechem jego dłoń, którą był dławiony. Twardy chwyt Rio tamował wszystko oprócz konwulsyjnego drgania jej przerażonego ciała.

- Spokój. - Blokował ciosy i usiłował zniewolić ją spojrzeniem, które wymuszało posłuszeństwo. - Ani jednego krzyku więcej, zrozumiałaś? Nie chcę cię zranić.

Pomimo, że tak myślał, przynajmniej w tej chwili, zobaczył że ona była daleka od uwierzenia w jego deklaracje. Mocno drżała całe jej ciało było wyprężone i sztywne, strach emanował z niej falami dreszczy. Ponad jego dłonią, jej zielone, nakrapiane złotymi plamkami oczy były ogromne i dzikie. Jej delikatne nozdrza rozszerzały się przy każdym, urwanym panicznym oddechu.

- Rób co mówię, to nie stanie ci się krzywda. - powiedział, wpatrując się w nią przejmującym spojrzeniem szeroko otwartych oczu. Bardzo powoli, zaczął zmniejszać nacisk na jej wargach. Wilgotne ciepło warg i oddechu oparzyło jego dłoń, kiedy odetchnęła tą odrobiną wolności, którą jej podarował. - Teraz zabiorę rękę, masz być cicho. Dobrze?

Mrugnęła powoli i słabo skinęła głową.

- W porządku. - Rio zaczął unosić rękę. - W porządku, jest dobrze.

Kobieta nie krzyknęła. Ona go ugryzła.

Ledwie Rio złagodził swój nacisk, poczuł jak swoimi tępymi zębami przygryzła skórę na jego dłoni pomiędzy kciukiem, a palcem wskazującym. Przeklął gwałtownie, bardziej go wkurzył niż zabolął ten niespodziewany atak jej drobnych zębów.

Odsunęła się tak szybko jak tylko udało się jej to w zaskoczeniu. Odepchnęła go i oderwała się od niego. Rzuciła się w kierunku zamkniętych na klucz drzwi, ale nie zdążyła zrobić nawet jednego kroku, gdy ramiona Rio zawinęły się dookoła niej jak żelazne okowy.

- Boże, nie! - Zapłakała i ciężko upadła na kolana, zbyt szybko by mógł zamortyzować jej upadek.

Oslabła, upadając bezwładnie twarzą na podłogę. Rio usłyszał jej świst jej oddechu, spowodowany impetem upadku. Nie podkopało to jednak jej determinacji. Cholera, ależ była nieustępliwa.

Szarpnęła się szaleńczo wykręcając ciało, próbując czołgać się po pokrytej dywanem podłodze by uciec od niego. Ale nie miała na to żadnej szansy, nie przeciwko komuś z jego Rasy.

Rio podczołgał się nad nią, zamykając ją w pułapce przygniecioną jego ciałem.

Dyszała jak oszalała, kiedy przekreślił ją na plecy i usiadł okrakiem na jej biodrach. Wierciła się, wciąż walczyła z nim ze wszystkich sił, ale ni mogła się wyrwać żadnym sposobem. Rio trzymał ją uwięzioną pod sobą, przytrzymując mocno jej ramiona próbujące go z siebie zepchnąć i przyciskając ją do podłogi mocą swoich muskularnych ud.

Była teraz całkowicie zdana na jego łaskę i z wyrazu jej oczu wyczytał, że nie spodziewała się otrzymać jej od niego zbyt wiele łaski.

Rio mógł sobie wyobrazić jak teraz wygląda, Jezu... i jak pachnie. Był tak blisko, więc nie mógł mieć nadziei, że jego blizny pozostaną ukryte i niewidoczne pod zbyt długimi włosami. Zobaczył jak jej przerażone spojrzenie omiotło lewą stronę jego twarzy, pokaleczoną i oszpeconą w zeszłorocznym wybuchu. Zbliznowaciała, czerwono-srebrna warstwa skóry, musiała wyglądać szczególnie okropnie pod całym tym brudem. Wyglądał dla niej pewnie jak na wpół oszalały potwór.

Tak, pewnie wyglądał na to czym był.

I nagle, stał się dotkliwie świadomy miękkości i ciepła uwięzionej pod nim kobiety.

Podczas gdy on miał na sobie od miesięcy nie zmieniane łańchmany, ona ubrana była w miękko otulający jej kształty podkoszulek z głębokim dekoltem w serek i jasne spodnie, które w

czasie szarpaniny zjechały jej nieco poniżej bioder. Pachniała czysto, świeżo i nieskończenie kobieco.

I była piękna.

Matko Święta, ona była najpiękniejsza na świecie.

Nigdy wcześniej nie widział oczu w tak intensywnym kolorze, głębokim szmaragdowo-zielonym z drobkami czystego złota. Wachlarze ciemnobrązowych rzęs tworzyły oprawę tych inteligentnych, hipnotyzujących oczu, które patrzyły teraz na niego ostrożnie i niepewnie. Jej delikatne kości policzkowe były wysoko osadzone i podkreślały pełny gracji kształt szczęki. Była piękna tym rodzajem piękna, które sprawiało, że wyglądała zarówno na niewinną jak i na rozsądną, ale to mroczne cienie w jej niesamowitych oczach zaintrygowały Rio najmocniej.

Ta kobieta zaznała już bólu i rozczarowania w swoim życiu. A może także i zdrady. Ona była już raniona, a on tu i teraz dodawał nową porcję terroru do jej życiowego bagażu.

Było jeszcze gorzej, podniecała go.

Nie tylko świadomością, że ma ją pomiędzy udami, ale widokiem ślicznej buzi ze śladem krwi po tym jak go ugryzła. Cała męskość Rio była rozbudzona świadomością jej spoczywającego pod nim ciała. Całe dziedzictwo jego rasy kuszone było tym maleńkim krwawym śladem na jej pełnych wargach... i poprzez dźwięk pulsowania jej tętna, które tłukło się mocno w słodkim wygięciu kremowego gardła.

Pragnął jej.

Po miesiącach izolacji w zapadłej jaskini, po zdradzie Eve, która sprawiła że umarł dla świata, Rio patrzył na tę kobietę i czuł się... znowu żywy.

Czuł się wygłodniały i ona prawdopodobnie to wyczuła, ponieważ nie mógł powstrzymać cichego gardłowego pomruku. Poczul jak jego źrenice zwężają pod wpływem podniecenia i wzrok się wyostrza. Bolały go dziąsła ponieważ kły zaczęły się wydłużać ukryte za zaciśniętymi wargami, a jego penis nagle, boleśnie nabrzmał. Nie mógł tego ukryć zwłaszcza gdy poruszył się, by zmienić pozycję trzymania swojej branki.

- Proszę... nie rób tego - prosiła, a pojedyncza łza potoczyła się po jej kości policzkowej i zniknęła w jedwabistych rudych włosach. -

Dam ci wszystko czego chcesz... tylko mnie puść, Jeśli potrzebujesz pieniędzy, to bierz. Mój portfel jest tam.

- Nie chcę ciebie, ani twoich pieniędzy. - Ostro stwierdził Rio i podniósł się uwalniając ją, złoścąc się na swoje reakcje i próbując utrzymać je twardo na dystans. - Rusz się, wstawaj. Wszystko czego chcę to twój aparat fotograficzny.

Ona powoli podniosła się na nogi.

- Moje co?

- Aparat fotograficzny, który miałaś ze sobą w jaskini i zdjęcia, które zrobiłaś. Daj mi to wszystko.

- Chcesz... te fotografie? Ja nie rozumiem.

- Nie potrzebujesz rozumieć. Po prostu oddaj mi to. - Kiedy ociągała się z wykonaniem polecenia, Rio posłał jej ostre spojrzenie. - Dawaj to, już.

- Dobrze, już dobrze - wyjąkała i pośpiesznie podeszła do dużego plecaka w kącie pokoju. Wykopała z niego niewielki aparat cyfrowy. Kiedy zaczęła go otwierać, by wyjąć kartę pamięci, Rio powiedział.

- Ja to zrobię, podaj mi go.

Podawała mu aparat drżącymi palcami.

- Podążałeś za mną całą tą trasę do Pragi, dla tego? Co jest tak ważnego w tych zdjęciach? I jak zdołałeś mnie odnaleźć?

Rio zignorował jej pytania. Za kilka minut problem przestanie istnieć. Miał zdjęcia i następnym jego krokiem było wyczyszczenie z kobiecej pamięci całego łańcucha minionych wydarzeń.

- Czy to już wszystkie? - Zapytał gdy włączył aparat i przewinął zawartość dysku. - Czy przeniosłaś je na jakiegokolwiek urządzenie.

- To jest wszystko - odpowiedziała szybko. - To naprawdę jest wszystko, przysięgam.

Przeanalizował kilka zdjęć z jaskini, to ze sobą w fazie częściowej transformacji i jedno, które ukazywało starożytną komnatę hibernacyjną oraz hieroglify namalowane ludzką krwią na ścianach.

- Pokazywałaś to komukolwiek?

Przełknęła i po chwili potrząsnęła głową.

- Wciąż nie rozumiem o co w tym wszystkim chodzi.

- I postaramy się, żeby tak zostało. - Powiedział Rio.

Podszedł do niej, dzieliło ich tylko trzy kroki. Zaczęła się cofać, ale znalazła się w pułapce pomiędzy ścianą i oknem.

- O mój Boże. Obiecałeś, że mnie nie skrzywdzisz!
- Uspokój się - nakazał jej. - Za chwilę będzie po wszystkim.
- O, cholera. - Stłumiony jęk narastał w jej gardle. - O mój Boże ty, ty naprawdę chcesz mnie zabić?

- Nie. - Powiedział Rio ponuro. - Ale masz być cicho.

Sięgnął po nią. Wszystko czego potrzebował by mogła wyzbyć się wspomnień ze swojego umysłu, to jedno krótkie uspokajające dotknięcie jego ręki na jej czole.

Ale kiedy jego ręka zbliżyła się do niej, ona gwałtownie odetchnęła i powiedziała kilka słów, które go zmroziły i zatrzymały w miejscu.

- Nie jestem jedyną osobą, która wie. - Dyszała ze strachu. Słowa wypływały z jej ust ciurkiem w wielkim pośpiechu. - Inni ludzie wiedzą gdzie jestem. Wiedzą gdzie byłam i co robiłam. Więc jakkolwiek według ciebie te fotografie byłyby niebezpieczne, zabijając mnie nie ochronisz siebie ponieważ nie jestem jedyną osobą, która je widziała.

Oklamała go. Rio poczuł ukłucie gniewu z powodu tego oszustwa.

- Powiedziałaś, że nikt więcej nie wie.

- A ty powiedziałeś, że mnie nie skrzywdzisz.

- Jezu. - Nie widział sensu w dyskusji z nią, w celu bronięcia własnych intencji. - Musisz powiedzieć mi komu jeszcze pokazywałaś te zdjęcia. Chcę nazwisk i adresów.

Zakpiła z niego nie zważając na własne bezpieczeństwo.

- Po, co? Żebyś i ich mógł ścigać.

Umysł Rio przełączył się w tryb szybkiego skanowania otoczenia. Przemknął spojrzeniem po jej rzeczach i zobaczył torbę wsuniętą pod hotelowe krzesło. Torba wyglądała na taką, w której mógł się pomieścić komputer. Podeszedł do niej i wyjął cienki srebrny laptop.

Otworzył go i włączył. Po czym musiał przeszkodzić dziewczynie, która korzystając z chwili kiedy był zajęty, popędziła do drzwi, ale Rio przeciął jej drogę. Stał przodem do niej, plecami blokując ciężki panel zamka, zanim miała szansę wyobrazić sobie, że może wydostać się na wolność.

- Cholera jasna - szepnęła mrugając oczami z niedowierzaniem. - Jak się tu znalazłeś? - Przecież byłeś w sypialni.

- Tak, byłem, ale już nie jestem.

Rio przesuwiał się do przodu, oddalając się od drzwi i zmuszając ją do odwrotu. Ona cofała się w miarę kiedy on się przybliżał, niepewna jego poczynań i reakcji.

- Siadaj - wydał jej rozkaz. - Im wcześniej zaczniesz współpracować, tym szybciej będzie po wszystkim.

Usiadła na brzegu łóżka, obserwując jak wrócił do komputera i sprawdzał jej połączenia z internetem. Jej e-maile, to było to. Oprócz zwykłych śmieci i ostatnich zmian w biletach lotniczych, Rio znalazł kilka wiadomości wysłanych do jakiś organizacji, niektóre z nich zawierały załączniki w postaci zdjęć. Klikał na nie i szybko przejrzał zawartość.

- Chryste, powinno się mnie zabić - mruknął. Rzucił jej piorunujące spojrzenie przez ramię. - Jesteś przeklętym reporterem?

Ona nie odpowiadała, tylko siedziała i zagryzała wargę niepewna czy jeśli powie „Tak” - to zostanie zabita szybciej, czy jeszcze trochę pożyje.

Rio odłożył laptop i zaczął chodzić szybko po sypialni w tą i z powrotem.

Naiwnie myślał, że przedtem było źle. Cóż, obecna sytuacja była porównywalna do katastrofy nuklearnej. Reporter. Reporter z aparatem i komputerem, oraz dostępem do internetu. Zagroza im niemożliwa do opanowania i wyczyszczenia ilość umysłów, które będą miały świadomość istnienia ich Rasy. Potrzebna mu tu była pomoc i musiał o nią poprosić.

Rio znowu chwycił jej komputer i wywołał oprogramowanie do wysyłania wiadomości błyskawicznych, wpisał kod dostępu do ukrytej strony technicznego laboratorium Zakonu w Bostonie, ten adres był monitorowany przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, przez jednego z wojowników, geniusza komputerowego Gideona. Rio wysłał zakodowaną wiadomość używając swojego kodu identyfikacyjnego, podał swoją lokalizację i poprosił o kontakt.

Odpowiedz od Gideona nadeszła błyskawicznie. Czegokolwiek Rio potrzebował, Zakon mu to zapewni, Gideon prosił o szczegóły.

- Masz komórkę? - Zapytał reporterki siedzącej obok niego w milczeniu. Gdy potrząsnęła głową, Rio sięgnął po hotelowy telefon - Jaki jest numer tego pokoju? Podaj mi ten numer do cholery!

- Och, to jest 310 - odparła. - Do kogo i po co dzwonisz? Czy zamierzasz mi powiedzieć o co tutaj chodzi?

- Wzywam pogotowie ratunkowe - powiedział, na sekundę przed tym, gdy rozległ się dźwięk dzwoniącego telefonu.

Rio podniósł słuchawkę, wiedząc że to Gideon zanim jeszcze usłyszał jego lekki brytyjski akcent po drugiej stronie.

- Dzwonię na kodowanej linii Rio, więc możesz mówić swobodnie. Co się stało? A co ważniejsze, gdzie ty się do cholery podziewałeś przez ten cały, pieprzony czas? Dla twojej wiadomości idioto, minęło pięć miesięcy od kiedy nas opuściłeś. Nie dzwonisz, nie piszesz... pewnie mnie już nie kochasz?

Boże, jakie to było cudowne usłyszeć znajomy głos. Rio może uśmiechnąłby się do tej myśli, ale nie było mu do śmiechu.

- Jestem w trudnej sytuacji, przyjacielu. - Dobry humor Gideona przepadł bez śladu, odezwał się wojownik.

- Mów o co chodzi.

- Jestem w Pradze. Jest tu ze mną reporterka, Amerykanka. Ona ma zdjęcia zrobione w górach, Gideon. Zdjęcia komory hibernacyjnej i ściennych hieroglifów.

- Jezu. Jak ona mogła zrobić te zdjęcia? I kiedy? Ta jaskinia była zabezpieczona, chłopcy byli tam w lutym.

Ach do diabła, nie da się tego obejść. Musiał wypluć prawdę.

- Jaskinia nie była zabezpieczona. Pojawiły się pewne problemy, które spowodowały opóźnienia... nie mogłem wysadzić tego cholerstwa aż do dziś. Gdy zdjęcia zostały już zrobione.

Gideon bluzgnął przekleństwem.

- W porządku, zakładam że wyczyściłeś jej pamięć, ale co ze zdjęciami. Masz je?

- Tak, mam je, ale tu sprawa trochę się komplikuje, Gid. Ona nie jest jedyną osobą, która widziała te zdjęcia, one już poszły e-mailem do różnych osób, oraz do redakcji, w której pracuje. Gdybym mógł już bym to zakończył przez wyczyszczenie jej pamięci, chciałbym to zrobić, naprawdę. Niestety to mnie przerasta, przyjacielu.

Gideon milczał przez dłuższą chwilę, nie było żadnych wątpliwości, pieprzona wpadka Rio pociągała za sobą długą listę konsekwencji, ale był zbyt wielkim dyplomata aby mu je teraz wyliczać.

- Pierwszą rzeczą, jaką musimy zrobić, to zabrać cię stamtąd w jakieś bezpieczne miejsce. Kobietę też. Myślisz, że możesz ją bezpiecznie przetrzymać do momentu, aż zaaranżuję jej transport?

- Zrobię wszystko co powiesz. To ja narobiłem tego bałaganu, jest pewne jak diabli, że zrobię wszystko co trzeba aby to posprzątać. - Rio słyszał tylko niewyraźny stukot klawiatury w tle.

- Kontaktuję się z Andreasem Reichenem w Berlinie. - Nastąpiło kilka sekund przerwy, potem Gideon zaczął rozmawiać w Bostonie na drugiej linii, za chwilę wrócił do Rio. - Mam dla ciebie odbiór i transport do Mrocznej Przystani Richensa, ale może potrwać około godziny zanim on się odezwie.

- Żaden problem.

- Potwierdzam. - odpowiedział Gideon, zgrabna manipulacja logistyczna, taka jak to Wyciąganie Dupy Rio z kłopotów była dla niego kaszką z mleczkiem. - Dobra, wszystko już jest ustawione. Zadzwoń jeszcze raz gdy transport będzie na miejscu.

- Będę gotowy. Hej Gideon... dziękuję.

- Nie ma problemu. Dobrze cię mieć z powrotem Rio. Potrzebujemy cię stary. Rzecz w tym, że brakuje nam ciebie.

- Odezwę się z Berlina. - powiedział myśląc, że nie wróci już do swojej owczarni. Data jego śmierci została przełożona, ale gdy tylko opanuje obecną sytuację. Wymelduje się z tego świata na dobre.

ROZDZIAŁ 7

Dylan siedziała cicho na łóżku i obserwowała jak ten mroczny nieznajomy konfiskuje jej komputer i aparat fotograficzny, następnie przetrząsnął resztę jej rzeczy. Nie miała innego wyboru jak tylko siedzieć i czekać. Jej każdy najmniejszy ruch przyciągał jego uwagę. Po jego zadziwiającym, błyskawicznym manewrze zablokowania jej drogi do drzwi wyjściowych, nie potrafiła znaleźć w sobie odwagi by znowu planować ucieczkę.

Nie miała pojęcia co o nim myśleć.

Był niebezpieczny, to nie podlegało dyskusji. Prawdopodobnie śmiertelnie jeśli tego chciał. Ale teraz nie sądziła już, że mógłby być bezwzględny mordercą. Jeśli by chciał ją skrzywdzić to miał już ku temu bardzo wiele okazji. Choćby wtedy kiedy leżała uwięziona pod nim na podłodze, bardzo świadoma faktu, że miała nad sobą prawie sto kilogramów twardych męskich mięśni i żadnej nadziei na uwolnienie się. Mógł owinać te swoje duże silne dłonie dookoła jej gardła i udusić ją tam, na hotelowej podłodze.

Ale nie zrobił tego.

Nie poddał się też innym męskim impulsom, które w tak oczywisty sposób podziały na niego. Dylan nie mogła nie zauważyć jak na nią patrzył, swoim wzrokiem dotykał jej ust. Nie potrafił ukryć gwałtownej reakcji ciała, nie gdy siedział na niej okrakiem, nie mogła pomylić tego z niczym innym. A jednak nie tknął jej jednym palcem. W rzeczywistości wydawało się go niepokoić i drażnić własne podniecenie. Tak więc najwyraźniej nie był on typem zimnokrwistego, psychopatycznego mordercy, ani też gwałciciela. A jednak śledził ją całą drogę z Jicin do Pragi. Dlaczego to robił?

Poruszał się zbyt szybko, był zbyt dokładny i sprawny, aby być jakimś szalonym dziwakiem albo włóczęgą. Na pewno nie był kimś takim. Może był brudny i obdarty, z bliznami po jednej stronie twarzy pozostałymi po jakimś strasznym wydarzeniu w jego życiu, o którym mogła tylko spekulować, ale pod spodem tej strasznej maski wgłębi niego było jeszcze... coś więcej.

Ten mężczyzna kimkolwiek naprawdę był, był ogromny i silny i alarmująco niebezpieczny. Jego przenikliwe oczy i niezwykły słuch

nie przegapiły niczego. Jego zmysły wydawały się być dostrojone do wyższych częstotliwości niż to było możliwe u zwykłych ludzi. Nawet jeśli wydawał się na wpół szalony, poruszał się ze świadomością swojej siły i z wiedzą jak z niej korzystać.

- Jesteś z armii, albo z czegoś w tym stylu? - Zapytała, głośno myśląc. - Mówisz i zachowujesz się jakbyś był. Jakieś jednostki specjalne, a może jesteś Ex-wojskowym, hmm możliwe. Co robiłeś w górach w pobliżu Jicin?

Rzucił jej ostre spojrzenie, pakując jej laptop i aparat z powrotem do torby, ale nie odpowiedział.

- Wiesz, równie dobrze możesz trochę zaspokoić moją ciekawość, chciałabym wiedzieć co się tu dzieje. Jestem dziennikarzem. - No, to oczywiście było trochę naciągane. - Ale jestem też rozsądnym człowiekiem. Jeżeli te zdjęcia są niebezpieczne, lub tajne, albo ważne dla bezpieczeństwa narodowego, tylko mi powiedz. Dlaczego tak się martwisz ludźmi, którzy mogliby zobaczyć to, co było w tej jaskini?

- Zadajesz za dużo pytań.

Wzruszyła ramionami.

- Wybacz, myślę, że to zboczenie zawodowe.

- Nie obchodzi mnie twoje zboczenie zawodowe. - Rzucił jej mroczne, ostrzegawcze spojrzenie. - Im mniej wiesz, tym lepiej.

- Myślisz o komorze hibernacyjnej? - Zesztywniała, ale Dylan kontynuowała. - Tak to nazywaliście, prawda? Wtedy, gdy rozmawiałeś ze swoim przyjacielem Gideonem, o tym, że gówno wpadło w wentylator, bo zrobiłam te fotki komory hibernacyjnej i tych, jak je zwał... no... hieroglifów.

- Jezu Chryste - syknął - Nie powinnaś była tego słyszeć.

- Trochę trudno było nie słyszeć. Jeśli przetrzymujesz kogoś wbrew jego woli i jeśli masz zamiar tego kogoś zabić, to zazwyczaj masz tendencję do niezwracania uwagi na to co usłyszysz.

- Nie zamierzam cię zabijać.

Jego zimny, podkreślający to stwierdzenie ton, nie koniecznie ją uspokoił.

- Tak to dla mnie zabrzmiało, może pojęcie 'wyczyścić' oznacza dla ciebie coś innego, niż dla całej reszty świata, która oglądała filmy o mafii.

Zaśmiał się ironicznie, potrząsając głową.

- Co było w jaskini?

- Zapomnij o tym.

Mało prawdopodobne, żeby miała o tym zapomnieć, nie wtedy, gdy on zdawał się tak ogromnie chronić te informacje, jakby to było kwestią życia albo śmierci.

- Co oznaczają te wszystkie dziwne symbole na ścianach? Czy to jakiś starożytny język? Jakiś kod? Dlaczego tak desperacko chcesz to ukryć?

Znalazł się przy niej tak szybko, że nie zdążyła nawet dostrzec jego ruchu. Mrugnęła i nagle on nachylał się nad nią, gigantyczna bryła jego ciała przytłaczała ją sprawiając, że aż skurczyła się na łóżku.

- Posłuchaj mnie bardzo dokładnie, Dylan Alexander - powiedział z naciskiem. Dźwięk jej imienia w jego ustach zabrzmiał bardzo intymnie. - To nie jest gra. Nie układanka, żebyś mogła dopasowywać kawałki. I jest to pewne jak piekło, że nie jest to historia, którą zamierzam ci opowiedzieć. Więc uczyni nam obojgu przysługę i przestań pytać o coś, co ciebie nie dotyczy.

Jego oczy płonęły wściekłością, ich topazowa głębia skrzyła się gniewem. To było gorące, przenikliwe spojrzenie, że przstraszyła się go nawet bardziej niż jego obezwładniającej siły, lub strasznych blizn, które ciągnęły się wzdłuż całej lewej strony twarzy i czyniły jego wygląd tak przerażającym.

Ale on mylił się gdy mówił, że sekrety jaskini jej nie dotyczą. Dylan była osobiście zaangażowana w tą historię i nie tylko dlatego, że mogła ona uratować i prawdopodobnie uratowałyby jej, tak zwaną karierę zawodową. Zainteresowanie Dylan dotyczyło przede wszystkim dziwnej sztuki, znaków, którymi była pokryta jaskinia. Szczególnie jednego, który nie dawał jej spokoju od chwili gdy go zauważyła, symbolu półksiężyca i łzy. Ponieważ identyczny zdobił tył jej szyi. Uznała to za dziwaczny zbieg okoliczności, kiedy hotelowy telefon zaczął dzwonić.

Ale jej nieproszony gość podniósł słuchawkę i przeprowadził krótką, poufną wymianę zdań. Po odłożeniu słuchawki zarzucił sobie na ramię jej torbę, następnie podszedł by chwycić plecak zawierający resztę jej rzeczy. Podniósł portfel odłożony na nocny stolik i rzucił go do niej.

- Jest nasz transport -, powiedział gdy złapała portfel. - Czas na nas.

- Co dokładnie masz na myśli, mówiąc nasz?

- To że, wyruszamy w tej chwili.

Fala strachu przepłynęła przez nią, ale starała opanować nerwy.

- Zapomnij o tym.

Naprawdę jesteś szalony, jeśli sądzisz, że gdzieś z tobą pojedę.

- Nie masz wyboru.

Podszedł do niej i wtedy Dylan zdała sobie sprawę z tego, że ma raczej niewielkie szanse, by go obezwładnić i mu uciec. Nie wtedy gdy miała do pokonania trzy piętra hotelu, ale mogłaby krzyknąć, zrobić mu piekło i zaalarmować pół hotelu, kiedy będzie włókł ją korytarzem. To mogłoby jej pomóc w ucieczce, nie porwał by jej przecież przy świadkach.

Ale on nawet nie otworzył drzwi na korytarz.

Z prędkością i siłą, której Dylan nie mogła pojąć, ale która ją zadziwiła, chwycił ją za nadgarstek i pociągnął w stronę okna wychodzącego na ulicę znajdującą się kilka strasznych metrów poniżej. Po otwarciu okna zaczął schodzić schodami przeciwpożarowymi nadal trzymając jej rękę, pociągnął ją za sobą na zewnątrz.

- Co do diabła robisz? - Dylan zrzuciła z nóg buty na wysokich obcasach, jej oczy były ogromne ze strachu. - Oszalałeś, chcesz żebyśmy skręcili karki, jeśli... ?

Nie dał jej szansy dokończyć zdania. Zanim Dylan zdała sobie sprawę z tego co się dzieje, została przeniesiona przez okno i przerzucona przez jego umięśniony bark. Słyszała jak jego buty grzechoczą po metalowym podeście wyjścia ewakuacyjnego i właśnie wtedy jej świat zachwiał się w posadach. On po prostu przeskoczył wraz z nią przez metalową balustradę.

Uderzyli w ciemny bruk trzy piętra poniżej.

Nie był to łamiący kości upadek na jaki była przygotowana, ale miękkie, niemal niewyczuwalne zetknięcie jego stóp z ziemią. Ona wciąż starała się pojąć jak to było możliwe, gdy nagle została wepchnięta do furgonetki, która czekała na jałowym biegu obok miejsca gdzie wylądowali. Dylan znalazła się w niej razem ze swoim porywaczem. Zdezorientowana i zszokowana, była zbyt oszołomiona

by wydusić z siebie choć jedno słowo protestu. Kiedy on zatrzasnął ciężkie, przesuwane drzwi furgonetki i zapadła ciemność. Silnik furgonetki ożył i z ostrym piskiem opon, odjechała razem ze swoim ładunkiem.

W Bostonie, była prawie piąta rano i ostatni oddział wojowników Zakonu wracał właśnie z nocnego patrolu. Lucan, Tegan i Dante byli już od dawna w bazie, tak jak i Gideon, czekający razem z nimi i z ich kobietami na powrót reszty wojowników.

Sterling Chase, były agent Mrocznej Przystani, który dołączył do Zakonu w zeszłym roku i wykazał się wielkim entuzjazmem i bezgranicznym oddaniem dla grupy też był obecny.

Teraz, gdy pozostali członkowie Zakonu dołączyli do nich, Gideon nie zdziwił się kiedy ujrzał, że razem z nimi przywłókł tu swój tyłek także Niko. Mimo, że był on najmłodszym z wojowników, Nikolai był najbardziej bezlitosnym i sprawnym wojownikiem jakiego Gideon kiedykolwiek widział. Uzależnienie od adrenaliny i wściekłej walki nigdy nie pozwalało temu urodzonemu w Rosji wampirowi, opuścić ulicy i wrócić do bazy zanim nie skończy się noc i świt nie zacznie lizać linii horyzontu.

A kiedy przyszło mu walczyć prawdziwie śmiertcionośną bronią, Niko stawał się absolutnym demonem.

Dziś, ten na czarno ubrany wojownik o złoto blond włosach i lodowato niebieskich oczach maszerował za plecami dwóch nowo przyjętych do grupy członków kadry, Kade'a i Brocka. Gideon zauważył, że był uzbrojony w kilka swoich ostatnich zabawek, zabójczą półautomatyczną Dziewiątkę z pełnym pasem wydrążonych naboju tytanowych opasującym jego szczupłe biodra, oraz snajperskim karabinkiem z laserowym celownikiem, działającym na tą samą amunicję, przewieszonym przez pierś.

Nawet spoza szklanej laboratoryjnej ściany, Gideon wyczuł zapach świeżej śmierci jaki przyniósł ze sobą ten wojownik. Nie człowieka ponieważ ich Rasa na ogół próbowała utrzymywać poprawne, pokojowe stosunki ze swoimi kuzynami homo sapiens. To prawda, żywili się na ludziach, aby przeżyć ale bardzo rzadko zdarzało się by wampir zabił swojego karmiciela. To było proste i logiczne. Nie było sensu, aby pozbawiać się źródła pożywienia,

przedstawiając się ludziom jako śmiertelne zagrożenie zachęcając ich by cię za to wykończyli.

Ale pewien mały, popieprzony procent wampirzego społeczeństwa, miał gdzieś tą logikę. Szkarłatni, zdziczałe wampiry, które uległy nałogowi krwi żyły tylko po to, by ulegać swojemu uzależnieniu. Po czym, jeden po drugim znajdowały śmierć wymierzaną karzącym ramieniem sprawiedliwości Zakonu, dosięgająca ich poprzez jego wojowników.

Porządek ich Rasy utrzymywany był w ten sposób od wieków, co wyrobiło wojownikom Zakonu reputację bezlitosnych zabójców w wampirzym społeczeństwie. Nie, żeby Gideon albo którykolwiek z jego braci szukał wyrazów najwyższego uznania albo głębokiej społecznej adoracji. To była ich praca i powołanie i oni wykonywali ją z całym poświęceniem.

Gideon spotkał trzech powracających wojowników na korytarzu poza laboratorium, marszcząc nos od smrodu, który wniósł ze sobą Niko.

- Zakładam, że polowanie dzisiejszej nocy było udane.

Niko uśmiechnął się.

- To był drobiazg. Jeden wytropiony i spalony poza miastem szkarłatny, po tym jak zaatakował kobietę wyprowadzającą psa w Beacon Hill.

- Człowieku tropiłem tego łobuza trzydzieści pięć mil na nogach - sprostował Brock, przewracając swoimi brązowymi oczami. - Rover stał gotowy i zatankowany za rogiem. Mogliśmy złapać i rzucić na głębę tego skurwysyna w trzy minuty, ale nasz lekkoatleta zdecydował się ruszyć za nim z kopyta.

Niko zachichotał.

- Uczyniłem tę noc bardziej ekscytującą, czas nam się bardzo dłużył do tego momentu.

- To był spokojny miesiąc. - Odpowiedział Kade, jego ton sugerował, że nie narzekał za bardzo z tego powodu.

Sytuacja w mieście stała się znacznie spokojniejsza od lutego, kiedy to Zakon ostatecznie zgładził wampira odpowiedzialnego za eskalację przemocy w Bostonie i okolicach. Marka już nie było, a po jego śmierci wojownicy skupili się na tropieniu i eliminowaniu wszystkich tych, którzy mu służyli. Z ludzkimi sługusami Marka nie

było najmniejszego problemu, pozbawiony krwi umysł sługi nie mógł funkcjonować bez mistrza, więc w chwili jego śmierci pozbawieni kontroli po prostu przestali oddychać i padli martwi.

Osobista świta łotrów ze straży przybocznej Marka nie była już tak uprzejma jak ludzkie sługusy. Uzależnione od krwi wampiry były rekrutowane, albo czasami zmuszane by wstąpić pod komendę Marka. Kiedy były w jego władzy dostarczał on im ludzkich ofiar by zaspokoić ich głód krwi. Teraz pozbawione nadzoru samotne Szkarłatne wampiry rozproszyły się wśród ludzkiej populacji i polowały jak nienasycone drapieżniki, którymi przecież były.

Od zimy Zakonowi udało się zlikwidować dziesięciu Szkarłatnych, pomiędzy Bostonem a oddalonym dwie godziny jazdy na wschód, Brekshires, gdzie mieściła się ostatnia główna siedziba Marka. Jedenastu, jeśli liczyć tego wyeliminowanego dzisiaj przez Niko.

I choć Kade mówił prawdę o obecnym spokoju i ciszy, to Gideon żył wystarczająco długo by wiedzieć, że żadna cisza nie trwa wiecznie i często zapowiada piekielny sztorm.

Biorąc pod uwagę to, co Zakon odkrył w lutym w Czeskich górach, to jeśli chodzi o burzę, jeśli trzymać się tego epickiego stylu, to właśnie nadchodziła. Starożytne zło, które spało w górskiej krypcie, był to pierwotny wampir tak inny od żyjących dzisiaj.

Teraz potężne, obce monstrum gdzieś tam było i najnowszą priorytetową misją Zakonu było jego odszukanie i unicestwienie, zanim na świecie zacznie się terror.

To zadanie mogło okazać się o wiele trudniejsze do wykonania, jeśli tajemnice Rasy Wampirów i narastających w niej problemów, niespodziewanie wyszłyby na jaw za sprawą jednej, ciekawskiej reporterki, która znalazła się w nieodpowiednim miejscu, o nieodpowiedniej porze.

- Miałem interesujący telefon z Pragi, dzisiejszej nocy - powiedział Gideon. - Rio wraca na szachownicę.

Śniade czoło Niko, zmarszczyło się.

- To on nie jest w Hiszpanii? Kiedy wrócił do Pragi?

- Nie słyszałem, żeby kiedykolwiek ją opuszczał. On wpadł w kłopoty, przez Amerykańską reporterkę, która dowiedziała się o

jaskini. Była w środku Starożytnej komory hibernacyjnej. Zrobiła też zdjęcia, oczywiście.

- Jak do cholery? Kiedy to wszystko tak się popieprzyło?

- Nie mam jeszcze wszystkich szczegółów, Rio pracuje nad opanowaniem sytuacji. Teraz, gdy rozmawiamy, on i ta kobieta są już w drodze do Mrocznej Przystani Reichena w Berlinie. Zamierza złożyć mi sprawozdanie, zaraz po przybyciu na miejsce, wtedy będziemy mogli określić rozmiary tej katastrofy.

- Kurwa. - Brock westchnął głęboko i przetarł dłonią swoje ciemne czoło. - Rio rzeczywiście jeszcze oddycha, co? Muszę powiedzieć że jestem zaskoczony. Ponieważ tak długo był nieobecny i nieusprawiedliwiony, nie spodziewałem się, że kiedykolwiek wróci, rozumiesz co chcę przez to powiedzieć? Facet w jego stanie wydawał się być pierwszorzędnym kandydatem na samobójcę.

- Może powinien to zrobić - wtrącił Kade nerwowo chichocząc. - Mam na myśli, oddać duszę diabłu. Mamy już do czynienia z Nikiem i Chasem. Czy Zakon naprawdę potrzebuje następnego, bredzącego szaleńca w swoich szeregach?

Nikolai wyskoczył zza drugiego wojownika jak żmija. Bez ostrzeżenia, chwycił za gardło Kadea i trzasnął tym ogromnym mężczyzną o ścianę korytarza, wrzasnął ogromnym gniewem, w którym jego uchwyt stawał się śmiertelną bronią.

- Jezu Chryste! - Syknął Kade w wyraźnym szoku, po tej niespodziewanej reakcji Niko. - To był tylko żart człowieka!

Nikolai warknął.

- Widzisz mój śmiech? Czy wyglądam jakbym się, kurwa śmiał ?

Ostre srebrne oczy Kade'a zwęziły się, ale nie powiedział nic co mogłoby go sprowokować.

- Mam w dupie to, co mówisz o mnie - warknął Niko - Ale jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre, to do cholery odpierdol się od Rio.

Gideon domyślał się że Kade nie chciał umyślnie obrazić Nikolai. Chodziło tu o przyjaźń Rio i Niko. Ci dwaj wojownicy byli dla siebie jak bracia, w czasach przed wybuchem magazynu, który pozostawił Rio z bliznami na ciele i duszy. To Niko dbał o jego karmienie. To Niko ciągał jego tyłek z ambulatorium do pociągu, by w zbrojowni dokonywać udogodnień w broni, aby była gotowa kiedy ranny wojownik stanie na nogach.

- Niko, cholera, wyluzuj stary - powiedział Brock.

Ten ogromny czarny wojownik podszedł do niego, szukając możliwości aby odciągnąć go od Kade'a, ale Gideon zatrzymał go spojrzeniem. Chociaż Nikolai poluzował swój uścisk, jego gniew wyczuwalnie wypełniał korytarz.

- Nic kutasie nie wiesz o Rio. - Powiedział do Kade'a - Ten wojownik ma więcej honoru niż my obaj razem wzięci, więc to jest ostatni raz kiedy słyszałem, że wycierasz sobie nim gębę. Zrozumiałeś?

Kade przytaknął ruchem głowy.

- Tak, tak jak mówiłem to był tylko głupi żart, nie myślałem nic obraźliwego.

Nikolai popatrzył na niego dłuższą chwilę, po czym oddalił się w ciszy.

ROZDZIAŁ 8

Świt zaczął już powoli rozjaśniać horyzont, gdy dostawcza furgonetka z Pragi wtoczyła się na teren ogrodzonej, oraz silnie monitorowanej posiadłości nad jeziorem na przedmieściach Berlina.

Ta Mroczna Przystań zarządzana była przez obywatela Rasy, wampira Andreasa Reichena, był on cywilem, ale także zaufanym współpracownikiem Zakonu, który asystował wojownikom przy odkryciu górskiej jaskini kilka miesięcy temu.

Rio spotkał go tylko przelotnie w lutym, ale Niemiec powitał go jak starego przyjaciela, kiedy podszedł do furgonetki i otworzył przesuwane drzwi.

- Witaj - powiedział i rzucił znaczące spojrzenie na różowiejący horyzont. - Masz wspaniałe wyczucie czasu.

Mężczyzna ubrany był w elegancki garnitur i idealnie odprasowaną, nieskazitelnie białą, rozpiętą pod szyją koszulę. Jego grube kasztanowe włosy puszczone luźno wokół ramion, perfekcyjnie falowały stanowiąc wspaniałą oprawę dla uderzająco pięknej twarzy. Reichen wyglądał po prostu jakby opuścił plan zdjęciowy dla magazynu męskiej mody.

Jego ciemne brwi uniosły się nieco, gdy zauważył niechlujny i zaniedbany wygląd Rio, ale zachował się jak na dżentelmena przystało, skinął głową i wyciągnął dłoń na powitanie w jego kierunku, gdy ten wysiadł z furgonetki.

- Mam nadzieję, że nie było żadnych problemów podczas jazdy?

- Absolutnie żadnych. - Rio krótko potrząsnął dłonią wampira. - Zatrzymano nas na niemieckiej granicy, ale celnicy nie zaglądali do furgonetki.

- Za odpowiednią cenę przymykają oczy. - Powiedział Reichen, uśmiechając się sympatycznie. Zerknął za plecy Rio w głąb ciemnego wnętrza pojazdu, gdzie Dylan Alexander leżała na podłodze. Była skulona na boku i spokojnie spała, z głową przyciśniętą do swojego plecaka, którego użyła jako poduszki.

- Jest w transie, czyż nie?

Rio skinął głową. Nakazał jej sen po godzinie podróży, kiedy w końcu jej dociekliwe pytania i podrygi furgonetki na drodze, stały się dla niego zbyt trudne do zniesienia.

Mimo, że pożywił się wieczorem, jego ciało wciąż jeszcze nie działało na sto procent swojej mocy i wciąż potrzebował krwi. Nie wspominając już o jego innych problemach.

Spędził ponad pięć godzin podróży walcząc z nudnościami i własną, ciemną ogarniającą go słabością. Nie chciał narażać na ryzyko niewinnej kobiety, którą siłą uprowadził. Lepiej było dla niej, że przebyła tą podróż w lekkim transie, który ją uspił, niż na rozpaczliwych utarczkach z nim lub planowaniu ucieczki, podczas jazdy po tranzytowej drodze.

- Jest atrakcyjna - stwierdził Reichen, rzucając przelotne spojrzenie na dziewczynę. Jego stwierdzenie nawet nie próbowało oddawać połowy sprawiedliwości o urodzie dziewczyny. - Dlaczego nie zabierzesz jej do środka. Mam dla niej przygotowany pokój na górze i drugi dla ciebie także. Na trzecim piętrze na końcu korytarza po prawo. - Reichen tylko machnął ręką, kiedy Rio wymruczał podziękowanie. - Możesz oczywiście zostać tak długo jak chcesz. Zapraszam. Jeśli czegoś potrzebujesz, tylko powiedz. Dostarczę jej rzeczy na górę, kiedy tylko wynagrodzę mojego czeskiego przyjaciela za jego przysługę.

Kiedy Niemiec podszedł do przodu furgonetki, by zapłacić kierowcy, Rio wspiął się z powrotem do środka, żeby wydostać swojego śpiącego jeńca. Kobieta lekko się poruszyła gdy podniósł ją w swoich ramionach i wyniósł na zewnątrz. Ruszył szybkim krokiem w kierunku rezydencji, wszedł po kilku schodach do wejścia, które prowadziło do holu o bardzo bogatym i eleganckim wystroju.

Hol był zupełnie pusty, nie przebywał w nim żaden z lokatorów Mrocznej Przystani należący do Rasy, ani też żadna z ich towarzyszek, tworzących społeczność tej ogromnej rezydencji. Prawdopodobnie Richen zorganizował to tak by dom był spokojny w chwili przybycia Rio, pozbawiony ciekawskich oczu i uszu. Nie wspominając o potrzebie chronienia cywilów przed oczami, kogoś takiego jak Dylan Alexander.

Piekielna reporterka.

Szczęki Rio zacisnęły się mocno na myśl, o szkodach, których przyczyną mogła być kobieta w jego ramionach. Jedno pociągnięcie jej pióra, użycie klawiatury, czy co tam używała, mogło sprowadzić na tą Mroczną Przystań, sto lub więcej w Europie i Stanach, oraz wszystkie inne rozsiane po całym świecie, ogromne niebezpieczeństwo. Prześladowania, ujarzmienie i ostatecznie, całkowite masowe unicestwienie, byłoby przyszłością Rasy wampirów od momentu, w którym ludzkość otrzymałaby niepodważalne dowody na ich istnienie pomiędzy nimi. Obecnie poza drobnymi pojawiającymi się w legendach wzmiankami o wampirach, przez nowoczesnych ludzi uznanych za fikcję, Rasa utrzymywała tajemnicę swego istnienia od setek lat w sekrecie. To był jedyny sposób na to, by ich społeczeństwo przetrwało tak długo.

Ale teraz przez jego własną opieszałość, jego słabość, Rio mógł zniweczyć to wszystko w jednej lekkomyślnej chwili. Musiał to naprawić, nie przejmując się sobą z całych sił trzymać wszystko pod kontrolą nie zważając na krwawiące rany jakie historia tej kobiety mogła spowodować.

Rio niósł ją przez pusty hol i w górę po masywnych schodach w centrum eleganckiej rezydencji. Na trzecim piętrze poszedł wzdłuż wyłożonego orzechową boazerią korytarza i otworzył drzwi do gościnnego pokoju po prawej stronie. W środku było ciemno, jak we wszystkich Mrocznych Przystaniach tak i tutaj okna zostały wyposażone w elektronicznie sterowane rolety, które chroniły przed śmiertelnym słonecznym światłem. Rio wniósł Dylan do środka i położył ją na ogromnym łożu z baldachimem.

Nie wyglądała zbyt niebezpiecznie, spoczywając na środku przykrytego jedwabiem pluszowego materaca. Wyglądała niewinnie, prawie anielsko teraz, gdy była tak cicha. Jej skóra była gładka i biała jak mleko, oprócz odrobiny złocistych piegów które obsypały jej zgrabny nosek i policzki. Jej długie rude loki rozsypały się dookoła jej głowy jak ognista aureola. Rio nie mógł się powstrzymać by nie dotknąć jednego z tych złotych kosmyków opadających na jej kremowy policzek. Potarł go między swoimi zgrubiałymi opuszkami palców, które wyglądały tak ciemne i brudne przy tym miedzianym jedwabiu.

Nie miał żadnego prawa jej dotykać. Nie miał żadnego powodu by przesiewać jej piękne loki pomiędzy palcami. Podziwiając ich miękkość i sprężystość. Nie było żadnej przyczyny, dla której przybliżył głowę do miejsca gdzie leżała taka bezbronna, by wdychać głęboko w płuca jej cudowny zapach.

Ślina napłynęła mu do ust, kiedy tak pochylał się nad nią z twarzą oddaloną jedynie o parę cali od jej szyi. Jego pragnienie krwi narastało, razem z inną gorącą, nabrzmiewającą potrzebą.

Matko Boska. Czy on naprawdę myślał, że ona z tym swoim niewinnym wyglądem mu nie zagraża?

Znowu popełnił błąd, pomyślał, odsuwając się od łóżka, kiedy jej powieki zaczęły delikatnie drgać w momencie gdy odzyskiwała świadomość. Trans, w który ją wprowadził mijał i rozproszyłby się kompletnie, gdyby Rio nie było w pokoju, żeby podtrzymać jego działanie.

Zaczęła poruszać się trochę mocniej, więc odwrócił się od niej gwałtownie. Byłoby lepiej gdyby wyszedł teraz z pokoju, zanim zaprezentuje jej swoje kły w całej okazałości.

Kiedy spojrział w stronę drzwi, zobaczył Andreasa Reichena stojącego na korytarzu.

- Pokój ci odpowiada Rio?

- Tak - odpowiedział, odbierając plecak i portfel z rąk Niemca. - Teraz ja się tym zaopiekuję.

- Oczywiście, jak sobie życzysz. - Reichen cofnął się ponieważ Rio wyszedł do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi do pokoju gościnnego. Niemiec podał mu klucz do zamka, umieszczonego, pod zabytkową, kryształową gałką. - Rolety w oknach są kontrolowane centralnie, okna za nimi wyposażone zostały w alarm. Na zewnątrz cały teren monitorowany jest przez wykrywacze ruchu i zabezpieczony ogrodzeniem. Ale wszystkie te zabezpieczenia zaprojektowane są raczej po to, żeby nikogo nie wpuścić, niż nie wypuścić. Jeżeli myślisz że ten ptaszek może próbować wyfrunąć, to mogę postawić strażnika przy drzwiach.

- Nie ma takiej potrzeby - Powiedział Rio kiedy przekręcał klucz w zamku. - Jest wystarczająco źle, że ona może zidentyfikować mnie, im mniej osób zobaczy, tym lepiej. Tylko ja jestem za nią odpowiedzialny i zapewniam, że nie ruszy się z tego miejsca.

- Bardzo dobrze, przygotowałem dla ciebie przyległy pokój, znajdziesz tam szafę pełną nowych męskich ubrań. Wybierz sobie co ci się spodoba. Jest też wanna i sauna, jeśli zechcesz się odświeżyć.

- Dobrze. - przytaknął Rio. Głowa wciąż pękała mu z bólu od długiej jazdy w pudle furgonetki. Jego ciało było nabrzmiące, rozgrzane i niespokojne i nie mógł o to obwinać podróży, ani chwiejnego stanu swojego umysłu. Przeciągnął językiem za zaciśniętymi wargami po swoich wciąż wysuniętych kłach.

- Pysznic brzmi wspaniale. - Odpowiedział Reichenowi.

Najodpowiedniejszy byłby lodowato zimny.

Jeśli Dylan czuła się zdezorientowana przed opuszczeniem Pragi razem ze swoim porywaczem, ich przybycie gdzieś, jak mogła się tylko domyślać okolice Berlina jeszcze bardziej zagmatwało jej myśli. Kiedy obudziła się na środku pokrytego jedwabiem łoża w zaciemnionym pokoju, który wyglądał jak ekskluzywny apartament w europejskim hotelu, zaczęła zastanawiać się czy czasem dalej nie śni.

Gdzie do diabła była i jak długo?

Chociaż była już całkiem rozbudzona i w przytomna, to czuła jakby jej zmysły były otumanione, a głowa owinięta grubo watą.

Może wciąż śniła? Może ciągle przebywała w Pradze i to wszystko nigdy się nie zdarzyło.

Dylan zapaliła lampę na nocnym stoliku, zeszła z łóżka i podeszła do wysokich okien z drugiej strony luksusowego pokoju. Za pięknie udrapowanymi kurtynami, gruby metalowy panel zakrywał szyby. Spodziewała się że będzie mogła go odsunąć za pomocą jakiegoś sznura, albo pokrętła. Ale nie znalazła niczego, jakby okna były zamknięte na głucho.

- Okiennice są zamykane elektronicznie, nie możesz ich stąd otworzyć.

Zaskoczona, Dylan odkręciła się gwałtownie na dźwięk mrocznego, głębokiego, ale przyjaźnie brzmiącego, męskiego głosu.

To był on, siedział na zabytkowym delikatnym krześle w przeciwległym kącie pokoju. Poznała jego doprawiony obcym akcentem głos, ale mężczyzna przyglądający się jej z cienia, nie wyglądał już jak obłąkany włóczęga, musiała to przyznać.

Był czysty, świeży i elegancko ubrany w czarny zapinany na guziki podkoszulek z podwiniętymi do łokci rękawami, czarne spodnie i oczywiście czarne mokasyny, prawdopodobnie włoskie i prawdopodobnie bardzo drogie. Jego ciemne świeżo umyte włosy lśniły. Nie zwisały w bezwładnych strąkach dookoła twarzy, ale zebrane do tyłu błyszczące kawowe loki pięknie podkreślały kolor jego niezwykłych topazowych oczu.

- Gdzie ja jestem? - zapytała go podchodząc kilka kroków bliżej do miejsca, w którym siedział. - Czym jest to miejsce? Jak długo tu siedzisz i mi się przyglądasz? Co do diabła ze mną zrobiłeś, że nie mogę sobie przypomnieć jak tu dotarłam?

Uśmiechnął się, ale nie można było tego nazwać przyjacielskim uśmiechem.

- Ledwo się obudziłaś, a już zaczynasz zadawać pytania, chyba wołałem cię gdy spałaś.

Nie wiadomo dlaczego Dylan poczuła się urażona tą odpowiedzią.

- Więc dlaczego mnie nie wypuścisz skoro moja obecność tak bardzo cię denerwuje?

Nieco krzywy uśmiech, zmiękczył jego rysy, tonując ponury wyraz twarzy. Dobry Boże, gdyby nie blizny, które biegły od skroni do szczęki po lewej stronie jego twarzy, byłby olśniewająco przystojny. Bez wątplenia taki był zanim przydarzył mu się wypadek.

- Nic nie uszczęśliwiło by mnie bardziej, niż możliwość wypuszczenia cię - powiedział. - Niestety decyzji co z tobą zrobić nie mogę podjąć w pojedynkę.

- Więc kto może? Ten mężczyzna, z którym rozmawiałeś wcześniej na korytarzu?

Ona była wtedy tylko półprzytomna, ale wystarczająco by usłyszeć dialog dwóch męskich głosów w tym pokoju, jeden należał do mężczyzny, który piorunował ją teraz wzrokiem, drugi najwyraźniej był Niemcem sądząc po akcencie. Rozejrzała się po bogactwie zabytkowych mebli i obrazów. Wysoki oddalony co najmniej trzy metry od podłogi sufit ozdobiony był piękną kryzą ornamentów, wszystko to musiało kosztować majątek... miliony! I to wszystko ukryte było za robionymi, jak na zamówienie Pentagonu roletami.

- Czym jest to miejsce, kwaterą główną jakiejś rządowej siatki szpiegowskiej? - trochę nerwowo zaśmiała się Dylan. - Nie powiesz mi chyba, że należysz do tajnej, dobrze finansowanej komórki terrorystycznej, należysz?

Pochylił się do przodu opierając łokcie na kolanach.

- Nie.

- Nie, że nie chcesz mi powiedzieć, czy nie, nie jesteś żadnym terrorystą?

- Im mniej wiesz, tym lepiej, Dylan Alexander. - Kącik jego ust uniół się lekko do góry, gdy to mówił, następnie potrząsnął głową. - Dylan. Czy to jest imię dla kobiety?

Skrzyżowała ręce na piersiach i wzruszyła ramionami.

- Nie obwiniaj mnie, nie miałam z tym nic wspólnego. Przydarzyło mi się urodzić w rodzinie hipisów, ludzi obejmujących drzewa i fanów muzyki fank. - On tylko spojrzał na nią, spod ciemnych brwi. Najwyraźniej nie kupował tego. Jej wywód wydawał się mu lekko niejasny, ale nigdy nie zawracał sobie zbytnio głowy pop kulturą. Miał lepsze rzeczy do roboty by uprzyjemnić sobie czas. - Mama nazwała mnie Dylan, wiesz jak Bob Dylan? Uwielbiała go w czasie gdy się urodziłam. Moi bracia też zostali nazwani na cześć muzyków: Morrison i Lenon.

- To śmieszne - zareplikował jej porywacz, wyśmiewając się z niej pod nosem.

- No cóż, mogło być gorzej. Rozmawiamy o połowie lat siedemdziesiątych. Później miałam bym dużą szansę nazywać się Clapton albo Garfunkel.

On nie śmiał się już, tylko więził ją przejmującym spojrzeniem swoich topazowych oczu.

- Imię nie jest jakąś drobnostką. Formuję twój świat od dziecka i pozostaje z tobą na zawsze. Imię powinno coś znaczyć.

Dylan rzuciła mu sardoniczne spojrzenie.

- I to powiedział facet o imieniu Rio? Tak, słyszałam jak nazwał cię twój niemiecki przyjaciel. Nie uważam żeby Rio znaczyło coś więcej niż Dylan, jeśli ktoś by mnie pytał.

- Nie pytam cię i to nie jest moje pełne imię. To jest tylko jego skrót, mała cząstka.

- Więc jak brzmi reszta? - zapytała, autentycznie zaciekawiona i to nie tylko z tego powodu, że dobrze by było zebrać jak najwięcej informacji o swoim porywaczu.

Popatrzyła na niego, na jego okaleczoną, ale wciąż porażającą surowym pięknem twarz, potężne, silne ciało wypełniające nowe, drogie ubranie i pragnęła poznać go lepiej. Chciała poznać jego imię razem z resztą sekretów, którymi się szczelnie osłaniał. Był tajemnicą, którą chciała odkryć i musiała przyznać sama przed sobą, że teraz miało to niewielki związek z jaskinią, jej artykułem, oraz jej własnym zdrowym rozsądkiem czy instynktem samozachowawczym.

- Przejrzałem pliki i e-maile w twoim komputerze - poinformował ją, ignorując jej pytanie o imię, jak przewidywała że zrobi. - Wiem że wysłałaś zdjęcia jaskini jakimś osobom, w tym swojemu szefowi. - Spokojnie wymienił pełne imię i nazwisko jej szefa, Janet, Marie, Nancy, oraz jej matki. - Jestem pewien, że znaleźlibyśmy ich wszystkich przy niewielkim wysiłku z naszej strony, ale pójdzie nam to dużo szybciej jeśli podasz mi ich obecne adresy zamieszkania i miejsca pracy.

- Zapomnij. - Dylan najeżyła się na myśl, że tak od niechcienia atakuje jej prywatność. Niefortunnie zaintrygowana nim, czy nie, nie była skłonna zdradzać jemu, lub jego tajemniczym towarzyszom, niczego co wiedziała o swoich bliskich i znajomych. - Jeśli masz problem ze mną, w porządku. Ale nie myśl że będę wciągać jeszcze kogoś w tą aferę.

Jego twarz pozostała nieporuszona i ponura.

- Już wciągnęłaś.

Serce Dylan zamarło w odpowiedzi na to beznamienne, nabrzmiałe groźbą oświadczenie. Kiedy nic nie odpowiedziała, wstał z delikatnego krzesła. Boże, był ogromny, każdy centymetr jego smukłego ciała wypełniały wspaniałe mięśnie.

- Ponieważ już się obudziłaś - powiedział - to może znajdę ci coś do jedzenia.

- I doprawisz mi je narkotykami? Nie dziękuję, nie skorzystam.

Wypuścił powietrze ze zdławionym chichotem.

- Przyniosę ci jakieś jedzenie, zjesz czy nie, twój wybór.

Dylan nienawidziła tego, ale jej żołądek zdradził ją i zaburczał głośno na wzmiankę o jedzeniu. Nie chciała przyjąć niczego od tego

mężczyzny ani od jego współników, nawet jeśli musiałaby przy okazji zagłodzić się na śmierć. Ale była bardzo głodna i wiedziała, że jeśli przyniesie jej choćby lodowaty, lurowaty kleik to rzuci się na niego i z wdzięcznością go pożre.

- Pozbądź się jakichkolwiek myśli na temat opuszczenia tego pokoju - dodał. - Drzwi będą zamknięte od zewnątrz, mam świadomość że możesz próbować uciec i myślę że chyba cię przekonałem, że zawsze cię złapię.

Wiedziała o tym, głęboko w sobie tam, gdzie mieścił się już tylko surowy zwierzęcy instynkt. Ten mężczyzna kimkolwiek był, teraz miał ją całkowicie w swojej mocy. Dylan nie chciała tego, ale była na tyle bystra by wiedzieć, że jakiegokolwiek były przyczyny, które więziły ją w tym miejscu musiały być śmiertelnie poważne. Tak jak kobieta w niej, tak i reporter nie mógł wypierać się pewnej fascynacji i łaknął wiedzieć więcej. Nie tylko prawdę o tym co się tu dzieje, ale także o samym mężczyźnie.

O Rio...

- Co, co... stało ci się w twarz...?

Odwrócił się do niej z grymasem niezadowolenia, ze wszystkich jej wścibskich pytań to rozgniewało go najbardziej. Czy ona nie może się powstrzymać, przekręcił głowę nieznacznie w lewo, prawie automatycznym gestem, który pomagał mu ukrywać najgorsze blizny. Ale Dylan już to widziała, blizny i guzy na jego skórze spowodowane oparzeniem. Z ich wyglądu zgadywała, że mogły to być rany odniesione w walce. Bardzo poważne, wyniesione z pola walki.

- Tak mi przykro - powiedziała nie do końca pewna, czy jest jej przykro, że go o to zapytała, czy też sprawia jej przykrość to co musiał wycierpieć.

Odwrócił się ukrywając lewą stronę, zgarbił się i ukrył twarz pod włosami. Nie wytrzyma dłużej jeśli ona znowu zacznie drażnić. Ale było już za późno by ukryć swoje niekontrolowane odruchy i nieważnie jak mroczne byłyby spojrzenia które jej rzucał, Dylan zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo męczy go i zawstydzają wygląd jego twarzy.

Kiedy się poruszył, zauważyła zawily wzór tatuaży na jego przedramieniu.

Wyglądały spod obu podwiniętych rękawów podkoszulka podobne do tribali, jedyne w swoim rodzaju, niepowtarzalne połączenie jasnego szkarłatu i złota. Po pierwszym zerknięciu myślała, że są może pewnego rodzaju oznaczeniami członkowskimi. Jak w amerykańskich gangach, jako oznaka przynależności.

Nie, nie wyglądały na takie, zdecydowała kiedy przyjrzała się im dokładniej. Zupełnie nie. Znaki na ramionach Rio były bardzo podobne do dziwnych symboli, które widziała na ścianach górskiej krypty.

On opuścił swoją rękę i ostrzegawczo błysnął oczami, żeby nie ośmieliła się zadawać pytań na ten temat.

- Powiedz mi co oznaczają - powiedziała, łącząc się z nim spojrzeniem. - Te tatuaże. Dlaczego twoje są takie same jak symbole w górskiej jaskini?

On nie odpowiadał. Siedział tam nieruchomo w ciszy, wyglądał jeszcze bardziej niebezpiecznie w drogim cywilizowanym ubraniu, niż w obszarpanych łachmanach, które nosił w jaskini. Ona widziała dokładnie jego ogromne muskularne ciało, ponieważ podeszła do niego, zdeterminowana by uzyskać odpowiedź na swoje pytanie.

- Co znaczą te znaki, Rio? - Chwyciła go za ramię. - Odpowiedz.

Spojrzał w dół na jej palce zaciśnięte na jego ramieniu.

- To nie dotyczy ciebie.

- Diabła, tam nie dotyczy! - odpowiedziała podnosząc głos. - Dlaczego masz takie same znaki na ciele jak te w krypcie?

- Mylisz się, nie wiesz co widziałas wtedy, albo teraz. - Te byle jakie argumenty i odmowa dalszej dyskusji naprawdę wkurzyły Dylan.

- Mylę się. - Złapała swoje długie włosy i odrzuciła je na bok obnażając szyję. - Spójrz na to i powiedz mi, że nie wiem co widziałam.

Schyliła ku niemu swoją głowę, pokazując mu swoją nagą szyję, u której podstawy znajdowało się niezwykle znamię. Zapadła niekończąca się cisza. Wreszcie, wysyczał przekleństwo.

- Co to oznacza? - spytała go, unosząc głowę i poprawiając włosy.

Rio nie odpowiadał. Cofnął się jakby bał się być przy niej o jedną sekundę dłużej.

- Powiedz mi, proszę, Rio... co to wszystko znaczy. - Był cichy przez dłuższą chwilę, spojrzał na nią spod swoich ciemnych brwi.

- Niedługo wszystkiego się dowiesz - powiedział miękko, opuszczając pokój.

Zamknął ją i zostawił samotną, dezorientowaną i pewną, że jej życie właśnie zostało nieodwołalnie zmienione.

ROZDZIAŁ 9

Dawczyni Życia.

Matko Boska, nigdy by się tego nie spodziewał. Niewielkie szkarłatne znamię, w miejscu gdzie jej kark łączył się ze smukłą szyją, zmieniało wszystko. Ten znaczek w kształcie łyzy i półksiężyca, z którym się urodziła nie występował w naturze zbyt często, więc czynił ją kimś niezaprzeczalnie wyjątkowym.

Dylan Alexander była Dawczynią Życia.

Była ludzką kobietą, ale ze specyficznym, unikalnym DNA, którego fizjologia była zgodna z DNA Rasy. Kobiety takie jak ona były bardzo rzadkie, dlatego wszystkie które Rio znał, były chronione i hołubione, jak najbliższa rodzina.

Musiały być. Dawczynie Życia były przyszłością Rasy, dawały początek następnym generacjom wampirów. Bez nich rodzaj Rio przestałby istnieć. Przekleństwem jego Rasy było to, że wszystkie dzieci posiadające wampirzy gen były płci męskiej. Żeby utrzymać gatunek, wampiry musiały wiązać się z kobietami, które posiadały specyficzną genetyczną mutację umożliwiającą im zachodzenie z nimi w ciążę.

Kobiety takie jak Dylan miały być szanowane, a nie tropione jak pospolita zdobycz i w strachu przed utratą życia uprowadzane. Miały być traktowane z szacunkiem i respektem, a nie zamykane wbrew ich woli, nie ważne w jak bardzo luksusowych klatkach.

- Cristo en cielo¹ - mrucał pod nosem Rio, kiedy zbiegał po błyszczących mahoniowych schodach do holu Mrocznej Przystani. - Un que' desastre². - Tak, to naprawdę było nieszczęście. On sam był chodzącą katastrofą i jeszcze wszystko przed momentem pogorszył.

Skręcał się z głodu i nie musiał patrzeć na swoje dermaglify na przedramionach, by wiedzieć, że nie miały już swojej normalnej barwy bladej henny, ale stały się czerwono-złote. Kolor ten oznaczał że koniecznie musiał się pożywić. Dokuczliwe rwanie

¹ Cristo en cielo – Chryste w niebiosach

² Un qué desastre – Co za nieszczęście

pulsowało mu w skroniach, symptom bliskiej utraty przytomności i jeśli nie chciał usnąć lub zemdleć to musiał koniecznie napić się krwi, by to powstrzymać.

Ale sen nie wchodził w rachubę, tak samo jak polowanie na krew. Musiał skontaktować się z Zakonem i poinformować go o dodatkowych trudnościach, o sytuacji, która się właśnie po królewsku popieprzyła, za co należy złożyć mu głębokie ukłony.

Brał po kilka schodów naraz, pragnąc jak cholera podejść do drzwi Mrocznej Przystani i wyjść na zabójcze dzienne światło. Ale to on odpowiedzialny był za ten bałagan i byłoby cholernie niesprawiedliwe, żeby zrzucić posprzątanie go na kogoś innego.

Kiedy jego stopy uderzyły w marmur holu, Andreas Reichen właśnie otwierał podwójne drzwi wychodząc z jednego z rzędu pokoiów na pierwszym piętrze. Nie był sam. Jakiś wyglądający na zdenerwowanego mieszkańca Mrocznej Przystani, mężczyzna z szopą truskawkowo blond włosów, był razem z nim. Oba wampiry wyszły z wyłożonego ciemnymi panelami gabinetu, zajęte przyciszoną rozmową.

Reichen spojrzał do góry i spotkał się wzrokiem z Rio. Wyszeptał coś do swojego towarzysza dodając mu pewnie otuchy, ponieważ poklepał go łagodnie po ramieniu. Młodzieniec kiwnął grzecznie głową, następnie w pośpiechu się oddalił, rzucając tylko jedno ukradkowe spojrzenie na stojącego za nim przerażającego wojownika.

- Mój bratanek, przyniósł mi nieprzyjemne wiadomości z sąsiedniej Mrocznej Przystani - Reichen rozejrzał się sprawdzając, czy są sami w holu. - Wydarzył się pewien incydent parę nocy temu. Pewien znany o wysokiej pozycji osobnik, został znaleziony bez głowy. Nieszczęśliwie dla niego i dla jego rodziny, zabójstwa dokonano w klubie krwi.

Rio burknął, zachowując kamienną twarz. Kluby krwi zostały zakazane jako miejsca barbarzyńskiego podziemnego sportu kilka dekad temu, a większość wampirzej populacji gorąco poparła tą decyzję. Ale pewne indywidua, urządziły zakazane polowania i wyścigi, na które wstęp był tylko za specjalnym zaproszeniem i przy utrzymaniu głębokiej tajemnicy. Dostarczane w te miejsca ofiary ludzkie, były tropione, gwałcone, wysuszane z krwi, a nawet mordowane jak zwierzęta, ponieważ nawet najsilniejszy homo

sapiens, mężczyzna czy kobieta, nie miał najmniejszych szans z wampirem, który uległ nałogowi krwi. Zabójstwa pomiędzy wampirami w klubie krwi, były oczywiście wynikiem sprzeczki.

- Dorwali wampira, który to zrobił?

- Nie, wciąż prowadzą dochodzenie w sprawie tego morderstwa. - Reichen odchrząknął, aby oczyścić gardło. - Zamordowany był wampirem z pierwszego pokolenia i członkiem Agencji Nadzoru, jest rzeczą zrozumiałą że może z tego wyniknąć kosmiczny skandal. To bardzo delikatna sytuacja.

Rio prychnął kpiąco.

- Bez wątpienia.

Dobrze, przynajmniej ostatnimi czasy nie był on jedynym wampirem wśród Rasy w chuja wartej sytuacji. Nawet w pełni zdrowi psychicznie, kulturalni członkowie wampirzej populacji, mieli swoje złe dni. Nie żeby świadomość tego sprawiała, że Rio mniej żałował swoich błędów.

- Muszę pogadać z Bostonem - powiedział Reichenowi, ścierając dłonią krople zbierającego się na czole zimnego potu. Zaczynały męczyć go mdłości, ale opanował je siłą woli. Piekło i szatani. Musi wytrzymać to swoje gówniane samopoczucie chociaż do zmroku, wtedy będzie mógł wyjść na zewnątrz i się pożywić. Jeśli nadchodząca utrata świadomości nie powali go zanim będzie miał na to szansę.

- Coś nie tak? - Zapytał go Reichen, marszcząc czoło.

- Wszystko w porządku. - Wymruczał Rio.

Drugi wampir nie wyglądał na przekonanego, ale dobre wychowanie nie pozwalało mu dalej pytać. Jego ciemne spojrzenie prześliznęło się po przedramionach Rio, gdzie pod podwiniętymi rękawami podkoszulka jego dermoglify świeciły nasyconym głębokim kolorem. Rio mógł nieprzerwanie twierdzić, że jest zdrowy jak ryba, ale jego skóra zawsze go zdradzała, te piekielne znaki były barometrem jego emocji. Wizualnie ukazywały w jakim stanie jest wampir, od głodu do nasycenia, od wściekłości do radości, żądza, zadowolenie, ból, oraz wszystko pomiędzy, znajdowało swoje odbicie w kolorach dermoglifów.

W tym momencie, znaki na ciele Rio wibrowały ciemną czerwień, fioletem i czernią, oznaką bólu. Co znaczyło, że jest ewidentnie głodny i obolały.

- Potrzebuję telefonu który działa na zabezpieczonej linii. - powiedział Reichenowi. - Teraz, jeśli to możliwe, proszę

- Oczywiście, chodź ze mną. Możesz skorzystać z tego w moim biurze. - Reichen dał znak Rio by podążył za nim do gabinetu, w którym rozmawiał wcześniej ze swoim bratankiem.

Gabinet był duży i bogato wyposażony, pełny elegancji w stylu Starego Świata, jak cała reszta wystroju Mrocznej Przystani. Reichen obszedł wykończone pazurami nogi biurka i otworzył ukryty panel na jego lśniącej, mahoniowej powierzchni.

Nacisnął przycisk na elektronicznej klawiaturze, sprawiając że dwie wysokie biblioteczki stojące w poprzek pokoju rozdzieliły się, ukazując duży płaski panel z ekranem ukryty za nimi.

- Video telekonferencja, jeśli sobie życzysz. - powiedział do wchodzącego Rio. - Wykręcasz ósemkę, do naszej centrali, która połączy cię z bezpieczną zewnętrzną linią. Możesz rozmawiać tak długo jak chcesz, nikt nie zakłóci twojej prywatności.

Rio kiwnął głową w podziękowaniu.

- Potrzebujesz czegoś jeszcze? - zapytał jego gościnny gospodarz. - Może coś dla twojego,..... hmm... gościa na górze?

- Tak - odpowiedział Rio. - Rzeczywiście, powiedziałem że przyniosę jej coś do jedzenia.

Reichen uśmiechnął się.

- No to przygotuję dla niej coś specjalnego.

- Dzięki - powiedział Rio. Następnie dodał - Hej, Reichen. Jest coś o czym prawdopodobnie powinieneś wiedzieć. Ta kobieta na górze jest... Dawczynią Życia. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, aż do momentu, kiedy kilka minut temu zobaczyłem znamię na jej karku.

- Och. - Niemiecki wampir rozważał to przez moment. - Czy ona wie co to dla niej oznacza.

- Nie, jeszcze nie. - Rio podniósł bezprzewodowy telefon z biurka Reichena i wystukał ósemkę na klawiaturze. Uruchomiła się prywatna linia, więc zaczął łączyć się z Zakonem. - Ona nie ma o niczym pojęcia. Ale ja jej wkrótce wyjaśnię całą prawdę.

- Więc może lepiej przygotuję specjalny koktajl dla tej pani. Bardzo mocny. - Reichen zaczął otwierać podwójne drzwi od gabinetu. - Dam ci znać, kiedy jedzenie będzie gotowe. Jeśli jest coś czego jeszcze potrzebujesz, tylko powiedz a będzie załatwione.

- Dzięki.

Kiedy ciężkie drewniane drzwi zatrzasnęły się z kliknięciem, Rio zwrócił swoją całą uwagę na dzwoniący telefon i zakończył procedurę łączenia się. Gdy zastrzeżona linia odpowiedziała wprowadził kod, by połączyć się z laboratorium w Bostonie.

Gideon odebrał błyskawicznie.

- Mów kolego.

- Jestem u Reichena - powiedział Rio, zupełnie niepotrzebnie, ponieważ komputer na podstawie numeru telefonu na pewno określił jego lokalizację. Ale pulsowanie w głowie Rio powodowało, że miał on kłopoty z logicznym myśleniem. Koniecznie musiał przekazać najistotniejsze fakty kiedy jeszcze jako tako kojarzył. - Podróż była spokojna i jestem razem z kobietą w Mrocznej Przystani Reichena.

- Masz ją pod kontrolą?

- Tak - odpowiedział Rio. - Czeka zamknięta w pokoju gościnnym na górze.

- W porządku, dobra robota chłopie. - Niezasłużona pochwała sprawiła, że zacisnął mocno zęby. Kombinacja zawrotów głowy i głodu nie pozwalała mu już swobodnie oddychać. Odepchnął od siebie słabość z karczemnym przekleństwem.

- Dobrze się czujesz, Rio?

- Tak.

- A ja myślę, że do dupy. - Ten wampir był genialny nie tylko jeśli chodziło o technikę, ale miał osobliwą zdolność wyczuwania smrodu, nawet gdy ten smród pochodził z odległości innego kontynentu. - Jak tak naprawdę się trzymasz? Nie brzmisz zbyt dobrze, amigo.

Rio pocierał swoje dudniące skronie.

- Nie martw się o mnie. Mamy tu poważniejszy problem do rozwiązania. Okazało się że ta reporterka jest Dawczynią Życia, Gideonie.

- Ja pierdolę. Mówisz serio?

- Widziałem znamię na własne oczy. - odpowiedział Rio.

Gideon wyszeptał coś do drugiej osoby przebywającej razem z nim w laboratorium, brzmiały w odpowiedzi głęboki głos nie mógł należeć do nikogo innego, jak tylko do Lucana, założyciela i przywódcy Zakonu.

Super, pomyślał Rio. Pomimo że tak to wyglądało, nie planował trzymać swoich rewelacji w sekrecie przed przywódcą grupy, więc równie dobrze mógł go zapoznać ze wszystkimi faktami już teraz.

- Lucan jest tutaj - poinformował go Gideon, na wszelki wypadek, gdyby nie zauważył tego faktu. - Jesteś tam sam, Rio?

- Taa, siedzę samotnie w gabinecie Reichena.

- W porządku. Poczekaj podłączę wideokonferencję.

Rio wykrzywił się ponuro.

- Propozycja nie do odrzucenia.

Rzucił okiem na duży płaski ekran, który mrugał naprzeciwko niego, jak okno do drugiego pokoju, ekran otworzył się i ukazał postacie Gideona i Lucana siedzące w Bostońskim laboratorium. Oczy Gideona patrzyły badawczo ponad oprawkami białoniebieskich okularów, jego blond włosy były jak zwykle, w typowy dla roztargnionego naukowca sposób potargane.

- Więc reporterka, którą złapałeś jest Dawczynią Życia. - Powiedział Lucan pocierając dłonią swoją mocną kwadratową szczękę. - Musisz dostarczyć ją tutaj, do Bostonu, Rio. Powinieneś najpierw wyjaśnić jej kilka rzeczy o Rasie i o tym dlaczego potrzebujemy, żeby przyłączyła się do nas, a następnie musisz ją nam przywieść. Gideon zajmie się transportem.

Drugi wojownik, uderzał już z ogromną szybkością w klawiaturę, planując wszystko.

- Mogę mieć nasz prywatny odrzutowiec, gotowy do zabrania was jutro w nocy z lotniska Tegel.

Rio zgadzał się z planami bractwa kiwając głową, ale ciągle pozostawało kilka problemów do rozwiązania.

- Ona miała zabukowany na dzisiaj lot z Pragi do Nowego Jorku. Ma rodzinę i przyjaciół, którzy będą oczekiwać na nią w domu.

- Przecież masz dostęp do jej poczty. - Stwierdził Gideon. - Wyślij zbiorową wiadomość używając jej komputera, że spóźni się i kilka dni będzie niedostępna, oraz że skontaktuje się z nimi tak szybko jak to tylko będzie możliwe.

- Co ze zdjęciami, które zrobiła w jaskini? - Zapytał Rio.

Lucan udzielił odpowiedzi.

- Gideon mówi że masz jej aparat fotograficzny i komputer. Ona musi zrozumieć, że każdy kto miał styczność z tymi zdjęciami jest dla nas śmiertelnym zagrożeniem, na które nie możemy sobie pozwolić, więc musi pomóc nam zatuszować tę historię i żeby nas od tego uwolnić musi też zniszczyć wszystkie kopie zdjęć.

- A co, jeśli nie zechce współpracować? - Rio mógł sobie już wyobrazić rozmowę jaką będzie musiał z nią przeprowadzić. - To co wtedy zrobimy?

- Wytropimy wtedy te osoby, z którymi była w kontakcie i pozbedziemy się tych fotografii przy użyciu wszystkich dostępnych środków.

- Wyczyścimy im wszystkim pamięć? - Zapytał Rio.

Twarz Lucana była poważna.

- Każdemu kto się zetknął z tą historią.

- Jej też? - Rio chciał mieć jasność. - Jako Dawczyni Życia, nie możemy ot tak sobie wyczyścić jej pamięci. Powinna mieć wybór, czyż nie?

- Tak. - Potwierdził Lucan. - Ona ma prawo wyboru. Kiedy tylko dowie się prawdy o istnieniu Rasy i o znamieniu, które ją z nami łączy, wtedy może zdecydować, czy chce być częścią naszego świata, czy wrócić do siebie z wymazaną wiedzą, którą posiadała na nasz temat. To jedyny sposób.

Rio pokiwał głową.

- Zajmę się tym Lucanie.

- Wiem że to zrobisz - powiedział, bez żadnego wahania ani wątpliwości, po prostu z czystym zaufaniem. - I jeszcze jedno Rio.

- Tak?

- Nie myśl że nie zauważyłem twoich dermaglifów człowieka. - Zwężone srebrne oczy przygwoździły go poprzez dzielącą ich odległość. - Koniecznie pożyw się dziś wieczorem.

ROZDZIAŁ 10

Dylan usiadła przy wezłowi łoża z baldachimem, wpatrując się w skupieniu w podświetlany ekran swojego telefonu komórkowego.

Szukam sieci... Szukam sieci...

- No rusz się - wyszeptała miękko na wydechu. - Uruchom się proszę, cholera!

Szukam sieci... Brak sygnału.

- Gówno.

Skłamała swojemu porywaczowi na temat telefonu komórkowego. Cienki jak żyletka telefon, spoczywał zasunięty w jednej z licznych kieszeni jej bojówek przez cały ten czas, ale teraz gdy miała okazję go użyć okazał się bezużyteczny.

Jej bardzo drogi międzynarodowy serwis, był w najlepszym razie figę warty. Dylan próbowała złapać sieć kilka razy w ciągu ostatnich paru godzin, ciągle z takim samym frustrującym skutkiem. Marnowała tylko baterię. Straciła ładowarkę i kabel do komputera, a bateria jej telefonu pracowała już tylko na dwóch kreskach.

Wyglądało na to że jej gehenna szybko się nie skończy.

Jakby po to by podkreślić ten fakt, kliknął zamek w drzwiach i ktoś przekreślił kryształową kulę do zewnątrz.

Dylan pośpiesznie wsunęła swoją komórkę pod poduszkę, ledwo zdążyła cofnąć rękę gdy pchnięte od zewnątrz drzwi jej więzienia otworzyły się.

Rio wkroczył wnosząc drewnianą tacę wypełnioną jedzeniem. Aromat świeżego chleba na zakwasie, czosnku i pieczonego mięsa rozchodził się dookoła niego. Usta Dylan wypełniły się śliną, kiedy dostrzegła grube plastry chleba przełożone grillowanym kurczakiem, marynowanymi papryczkami, cebulką, żółtym serem i chrupiącą sałatą.

Boże, to wyglądało wspaniale!

- To twój lunch, jak obiecałem.

Zmusiła się do beztroskiego wzruszenia ramionami.

- Mówiłam ci, nie tknę niczego czym zechcesz mnie nakarmić.

- Jak chcesz.

Postawił tacę na łóżku obok niej. Dylan próbowała nie patrzeć na pyszne kanapki i paterę dojrzałych truskawek oraz brzoskwiń, która im towarzyszyła. Stała tam również butelka wody mineralnej, a także niska szklanka wypełniona na dwa palce bursztynową, pachnącą dymem, drogą szkocką whisky. Tego samego gatunku, który jej ojciec zwykł popijać wieczorami, mimo że nie bardzo mogli sobie na nią pozwolić.

- Czy alkohol ma ukryć smak środków uspokajających, które dodałeś mi do jedzenia, albo do picia?

- Nie mam zamiaru cię odurzać, Dylan. - Jego słowa brzmiały tak niezwykle szczerze, że prawie mu uwierzyła. - Ten drink ma ci się pomóc zrelaksować, jeśli tego potrzebujesz. Nie planuję używać wobec ciebie jakiegokolwiek przemocy.

- Ooo - powiedziała zauważając w jego zachowaniu w stosunku do niej subtelną zmianę. On nadal wyglądał ogromnie niebezpiecznego, ale kiedy teraz na nią patrzył, jego spojrzenie było lekko zamglone i naznaczone niemal bolesną rezygnacją. Jakby miał jakieś przykre obowiązki do wykonania lub smutne wiadomości do przekazania.

- Jeśli nie zamierzasz nastawać na moje życie, to dlaczego wyglądasz jakbyś przynosił mi ostatni posiłek?

- Przyszedłem z tobą porozmawiać, to wszystko. Są pewne rzeczy, które muszę ci wytłumaczyć. O których musisz się dowiedzieć.

Cóż, nadszedł czas, kiedy ona dostanie wreszcie odpowiedzi na swoje pytania.

- Ok. Możesz zacząć od tego kiedy masz zamiar wreszcie mnie stąd wypuścić.

- Wkrótce - powiedział. - Jutro w nocy wyruszamy do Stanów.

- Mówisz że zabierasz mnie z powrotem do Ameryki? - Widziała że w jej pytaniu było zbyt wiele radosnej nadziei, zwłaszcza że on też występował w tym scenariuszu. - Planujesz uwolnić mnie jutro wieczorem? Pozwolisz mi wrócić do domu?

Obszedł powoli nogi łóżka i podszedł do ściany z zasłoniętym oknem. Oparł się o nią jednym ze skrzyżowanych na piersi, wytatuowanych ramion. Nie odzywał się przez dłuższą chwilę. To jego nieruchome milczenie doprowadzało Dylan prawie do krzyku.

- Wiesz, miałam się spotkać z kimś w Pradze dziś rano, z kimś kto zna mojego szefa i prawdopodobnie zadzwoni do niego by zapytać, co się ze mną stało. Miałam zabukowany lot z powrotem do Nowego Jorku na dzisiejsze popołudnie. Są osoby, które oczekują mojego powrotu. Nie możesz tak po prostu porwać mnie z ulicy i myśleć że nikt nie zauważy, że zniknęłam.

- Teraz nikt się ciebie nie spodziewa.

Serce Dylan zaczęło ciężko uderzać w jej piersi, jakby jej ciało przeczuwało nadchodzącą katastrofę, zanim jej umysł zdołał to pojąć.

- Dlaczego... dlaczego to powiedziałaś?

- Twoja rodzina, przyjaciele, oraz twój pracodawca, zostali poinformowani, że jesteś bezpieczna, cała i zdrowa. Ale nie będzie z tobą przez parę dni kontaktu. - Wyglądając na lekko zmieszanego ciągnął dalej. - Wszyscy odebrali przed chwilą e-maila od ciebie, w którym informujesz ich, że potrzebujesz dodatkowego czasu, aby obejrzeć większy kawałek Europy na własną rękę.

Gniew rozpałił się w niej, silniejszy niż obawa przed nim, którą czuła zaledwie chwilę wcześniej.

- Kontaktowałaś się z moim szefem? Z moją matką? - Praca była dla niej w tej chwili małym problemem, ale to że ten człowiek miał jakąkolwiek styczność z jej matką, kontaktował się z nią, kompletnie wyprowadziło Dylan z równowagi. Poderwała nogi z łóżka i gwałtownie się zerwała, dosłownie dygotała z wściekłości. - Ty bękarcie, ty manipulujący ludźmi skurwysynu.

Rio cofnął się gdy go zaatakowała.

- To było konieczne, Dylan. Jak mówiłaś, ludzie zaczęli by zadawać pytania i martwić się o ciebie.

- Nie wpięprzaj się do mojej rodziny, zrozumiałaś? Nie dbam o to co zrobisz ze mną, ale zostaw moją rodzinę w spokoju!

Pozostawał spokojny, okazując jej niewzruszoną cierpliwość.

- Twoja rodzina jest bezpieczna, Dylan. Ty również. Jutro w nocy dostarczę cię do Stanów, w sekretne miejsce, gdzie spotkasz się z ludźmi mojego rodzaju, myślę też że po tym co zaraz usłyszysz, wszystko co się teraz dzieje stanie się dla ciebie łatwiejsze do zrozumienia. - Dylan wpatrywała się w niego, jej umysł analizował jego dziwny dobór słów. Ludzie mojego rodzaju?

- Jak do cholery mam to rozumieć? Ja naprawdę... Potrzebuję... muszę to wiedzieć. - Ach, do cholery. Jej głos drżał i zaczynała tracić panowanie nad swoimi nerwami, przy tym nieznajomym, który ukradł jej wolność i naruszył prywatność. Musiała wziąć się w garść. Prędzej szlag ją trafi zanim okaże mu jakąkolwiek słabość, choćby nie wiem co miała usłyszeć. - Proszę. Powiedz mi. Chcę usłyszeć prawdę.

- Chcesz usłyszeć prawdę o sobie? - Zapytał swoim głębokim, mrocznym głosem, wolno cedząc sylaby. - Czy o świecie, dla którego się urodziłaś i którego jesteś częścią.

Dylan nie mogła znaleźć słów, żeby odpowiedzieć. Instynkt podpowiadał jej, że wszystko co usłyszy będzie miało związek z jej znamieniem na karku. Podniosła rękę i dotknęła go, poczuła gorąco i drżenie w tym miejscu.

Rio pokiwał z powagą głową.

- To jest bardzo rzadkie znamię, ma je może jedna na pół miliona kobiet, a może jeszcze mniej. Kobiety noszące znamię takie jak ty, Dylan są wyjątkowe. Oznacza to że jesteś Dawczynią Życia. Kobiety takie jak ty mają pewien... dar. Umiejętność, która odróżnia je od innych ludzi.

- Jakiego rodzaju dary i umiejętności. - Nie będąc pewna czy faktycznie chce to wiedzieć.

- Głównie, zdolności paranormalne. Każdy z nich jest inny i mają różną moc. Jedne widzą przyszłość, albo przeszłość. Inne potrafią przesuwac przedmioty, lub odczytywać ich przeszłość. Niektóre potrafią wywoływać burze, lub sterować wolą żywych istot. Potrafią leczyć dotykiem, albo nim zabić.

- To śmieszne - zakpiła. - Takie zdolności to tylko wymysły autorów powieści fantastycznych i brukowców.

Zamruczał, kącik jego ust uniósł się lekko. Wpatrywał się w nią badawczo świdrując ją swoim wnikliwym topazowym spojrzeniem.

- Jestem pewny, że ty też masz swój wyjątkowy dar. Co nim jest Dylan Alexander?

- Nie mówisz serio. - Potrząsnęła głową i rzuciła mu lekceważące spojrzenie. Ale przez cały czas jej myśli krążyły koło jednej rzeczy, która zawsze czyniła ją inną. Jej niewytłumaczalne kontakty ze zmarłymi. Nie było to dokładnie to o czym mówił, to było coś kompletnie odmiennego, czyż nie?

- Nie musisz mi się zwierzać - powiedział. - Ukazałem ci tylko powód, dla którego nie jesteś taka jak wszystkie zwyczajne kobiety. Czujesz że nie pasujesz do tego świata. Kobiety takie jak ty są wrażliwsze od innych. Widzisz wszystko inaczej, czujesz inaczej. Istnieje powód tego wszystkiego, Dylan.

Jak on mógł wiedzieć, dlaczego tak dobrze ją znał. Dylan nie chciała wierzyć w to co mówił. Nie chciała zaakceptować, że jest częścią tego co opisywał, mimo że wydawał się rozumieć ją lepiej niż ktokolwiek w jej życiu.

- Dawczyni Życia są wyjątkowo obdarzone - powiedział Rio kiedy mogła na niego tylko patrzeć w pełnej niedowierzania ciszy. - Ale ich największym darem jest zdolność tworzenia życia z ludźmi mojego rodzaju.

Jezu i znowu wspominał coś o swoim rodzaju. Ale teraz mówił też, coś chyba o seksie i poczęciu?

Dylan wpatrywała się w niego, nagle przypominając sobie ze szczegółami jak łatwo przyszło mu zagarnąć ją pod swoje gorące i w pełni pobudzone ciało, w tamtym praskim hotelu. To nie było nic więcej, tylko jego umięśnione ciało przyciśnięte do jej ciała, jednak dlaczego to wspomnienie sprawiało że jej serce przyspieszyło, a oddech się rwał, tak naprawdę wołała tego nie wiedzieć.

Czy zamknął ją tu na górze, aby powtórzyć przedstawienie? Albo pomyślał że jest wystarczająco naiwna by skusić ją, by uwierzyła że jest wyjątkowa i należy do tajemniczego, innego, lepszego świata, o którym nic do tej pory nie wiedziała? Niby dlaczego powinna w to uwierzyć? Z powodu maleńkiego znamienia z tyłu jej szyi?

Ciągle czuła ten ciepły elektryzujący punkt pod opuszkami swoich palców. Opuściła rękę i objęła się ramionami. Rio śledził jej ruchy swoim przenikliwym ostrym spojrzeniem.

- Myślę że zauważyłaś, że nie jestem taki jak inni mężczyźni. To też ma swój powód. - Ciężka cisza wypełniła pokój, kiedy rozważała jego słowa. - Jestem inny ponieważ nie jestem zwykłym facetem. Jestem kimś więcej.

Dylan musiała to przyznać, że jest inny niż jakakolwiek istota, z którą zetknęła się w całym swoim życiu. Tylko jego rozmiar i siła, już umieszczały go w osobnej klasie.

Ale nie było wątpliwości że był mężczyzną, poznawała to po tym jak na nią patrzył, jego gorące spojrzenie wędrowało powoli z jej twarzy w dół ciała.

Wpatrywał się w nią hipnotyzująco z ognistą intensywnością.

- Jestem jednym z Rasy, Dylan. Z powodu braku lepszego określenia w twoim słowniku, możesz nazwać mnie wampirem. - Przez jedną szaloną sekundę myślała, że źle go zrozumiała. Potem, wszystko cały niepokój i napięcie, które czuła od kiedy Rio wszedł do pokoju znikło w wielkim przypiływie ulgi.

- O mój Boże! - Nie mogła powstrzymać śmiechu, to wybuchło w niej histerycznie, powódź niedowierzania i rozbawienia zmyła cały jej niepokój w jednej chwili. - Wampir. Naprawdę? Wiesz, to robi dużo większe wrażenie niż wszystko, czego mogłabym się domyślać. Nie wojskowy, nie agent rządowy, nie terrorysta, ale wampir!

On się nie śmiał. Nie, po prostu stał nieruchomo. Patrząc na nią. Czekał do czasu aż popatrzyła do góry i napotkała jego poważne spojrzenie.

- Och, przestań - zbeształa go. - Chyba nie oczekujesz że w to uwierzę?

- Zdaję sobie sprawę że to musi być trudne do zaakceptowania. Ale taka jest prawda. To jest to co tak bardzo chciałaś wiedzieć, Dylan. Pytałaś o to i po raz pierwszy powiedziałem ci wszystko. Teraz już wiesz.

- Dobry panie w niebiosach, wyglądało na to, że mówił poważnie o tym wszystkim.

- A co z osobami, które tu mieszkają? I nie próbuj wmawiać mi że jesteśmy sami w tym olbrzymim budynku, ponieważ słyszałam jak jacyś ludzie chodzili po korytarzu i rozmawiali. Tak, co z nimi? Czy oni też są wampirami?

- Niektórzy - potwierdził cicho. - Mężczyźni należą do Rasy. Kobiety mieszkające w tej Mrocznej Przystani są ludzkimi Dawczyniami Życia... jak ty.

Dylan skurczyła się w sobie.

- Przestań opowiadać mi te historyjki. Przestań wciągać mnie do swoich szalonych fantazji. Nic o mnie nie wiesz.

- Wiem dosyć. - Odwrócił ku niej głowę, nieświadomie drapieżnym ruchem. - Twój znak jest wszystkim co muszę o tobie

wiedzieć, Dylan. Jesteś teraz z nami związana, nierozzerwalnie związana. Czy zechcesz pogodzić się z tym faktem, czy nie.

- W porządku, nie chcę tego - wygarnęła, znowu pełna niepokoju.
- Chcę żebyś mnie teraz wypuścił z tego pokoju. Chcę wrócić do domu, do moich bliskich i mojej pracy. I pragnę zapomnieć o tej pieprzonej jaskini i o tobie.

Rio wolno potrząsnął swoją ciemną głową.

- Już na to za późno. Nie mogę tego cofnąć, Dylan. Przykro mi.

- Przykro ci - wysyczała. - Mam powiedzieć ci jaki masz problem, jesteś chory, umyślowo chory. Pomieszało ci się w twojej przeklętej głowie.

Płynnym ruchem mięśni, w ciągu sekundy przemieścił się ze swojego miejsca pod ścianą i stanął naprzeciw niej, nie dzielił ich nawet cal. Uniósł dłoń jakby chciał dotknąć jej policzka, jego palce zawisły w powietrzu, były już tak blisko, jakby nie mógł ich powstrzymać.

Serce Dylan trzepotało w piersi, jak spłoszony ptak, ale nie mogła się poruszyć. Nie, kiedy więził ją rozżarzoną, hipnotyzującym spojrzeniem, swoich topazowych oczu.

Oddychała? Dobry Boże, dopomóż. Nie była pewna. Czekwała na jego delikatny dotyk na swojej skórze, wiedziała że to niewłaściwe, ale pragnęła tego. Jednak on z pomrukiem rezygnacji pozwolił opaść swojej dłoni. Pochylił głowę w kierunku jej ucha. Jego niski głos zawibrował ciepłem na jej gardle.

- Jedz swój lunch, Dylan. To wstyd, marnować dobry posiłek, kiedy wiesz że go potrzebujesz.

Więc, poszło mu wspaniale i gładko, jak zjazd tyłkiem po żwirze.

Rio zamknął jej drzwi na klucz i wpadł jak burza do przyległego pokoju, trzymając dłonie sztywno przyciśnięte do ciała. Były czasy gdy wywiązał by się z takiego zadania z czarem i dyplomacją. Teraz nie mógł sobie tego wyobrazić. Był tępy i nieskuteczny i nie mógł o to obwiniać tylko długotrwałej traumy, czy głodu, który kąsał go jak wilki padlinę.

Nie wiedział jak ma sobie poradzić z Dylan Alexander. Nie wiedział co ma z nią zrobić, albo raczej co ma począć ze swoimi niechcianymi reakcjami na nią.

Od czasu Eve, nie było innej kobiety, która wzbudziła by jego zainteresowanie, ponad najbardziej prymitywne fizyczne potrzeby. Kiedy był już wystarczająco silny, po długich tygodniach rekonwalescencji, by opuścić schronienie Zakonu, zwalczał swoje cielesne swędzenie tym samym sposobem co głód krwi, na zimo, efektywnie i bezosobowo. Wydawało się to nienaturalne dla mężczyzny czerpiącego z życia pełnymi garściami, którym kiedyś był.

Nie zawsze było łatwo, zajęło mu wiele lat wyrwanie się z nizin swojego urodzenia, żeby zrobić coś dobrego i pożytecznego ze swoim życiem. Myślał, że... Cholera, on naprawdę myślał że mu się udało, że to osiągnął. Wszystko rozpadło się w oślepiającym błysku, jak domek z kart zeszłego lata, kiedy Eve sprzedała Zakon wrogowi.

Przez długi czas Rio tkwił w przekonaniu, że zdrada Eve zrujnowała go na zawsze i pewna jego część odczuwała zadowolenie z faktu uwolnienia się od emocjonalnych problemów, które przynosiły damsko męskie kontakty.

Ale teraz pojawiła się Dylan.

Która siedziała w przyległym pokoju myśląc, że on jest wariatem. Nie było to zbyt dalekie od prawdy, pomyślał ponuro. Co pomyślała gdy zdała sobie sprawę z tego, że to co powiedział przed chwilą było prawdą?

To nie miało znaczenia.

Wkrótce i tak dowiedziałyby się wszystkiego. Dostanie czas na podjęcie decyzji, czy wybierze swoją nową życiową drogę w schronieniu Mrocznej Przystani, albo powróci do swojego starego życia, z powrotem wśród ludzi. Nie planował, być w pobliżu i czekać jaką decyzję ona podejmie. Miał swoją własną drogę, a to był tylko frustrujący objazd.

Pukanie do drzwi, wyrwało Rio z jego ponurych myśli.

- Tak - warknął i gwałtownym szarpnięciem wyładowując gniew otworzył drzwi wpuszczając Rrichena.

- Wszystko dobrze poszło? - Spytał mężczyzna z Mrocznej Przystani.

- Po prostu zajebicie - warknął Rio głosem ostrym jak nóż. - Co się stało?

- Idę w nocy na miasto i pomyślałem, że chciałbyś do mnie połączyć. - Spojrzał wymownie na dermoglify Rio, rażące głębokim

kolorem. - Miejsce jest dekadencyjne, ale bardzo dyskretne. Tak samo jak kobiety, które tam pracują. Wybierz sobie jednego z aniołków Heleny na godzinkę, a gwarantuję, że zrobi co zechcesz żebyś zapomniał o wszystkich swoich kłopotach.

Rio odchrząknął.

- Gdzie mam się zarejestrować, żeby dostać tą kurację?

ROZDZIAŁ 11

Burdel w Berlinie, do którego poszli razem z Reichenem tego wieczoru oferował wszystko czego mógł pragnąć mężczyzna, a nawet więcej. Prostytucja została zalegalizowana tu kilka lat temu, a jeśli chodzi o kobiety, to były one piękne, chętne i doskonale wyedukowane, w technikach seksualnych. Klub Afrodyta był prawdziwym klejnotem w swojej branży.

Trzy z najlepszych dziewcząt w klubie, ubrane tylko w mikroskopijne stringi, tańczyły zmysłowy taniec, przed prywatnym stolikiem, przy którym siedzieli Rio, Reichen, oraz niezrównana właścicielka klubu, Helena. Z długimi ciemnymi wijącymi się lokami i twarzą bez skazy, sama Helena była równie piękna jak te niesamowite dziewczyny, które zatrudniała. Ale pod jej uderzającym seksapilem ukrywała się kobieta o bystrym umyśle i talencie do interesów. Wystarczył jeden telefon, by wszystko było przygotowane perfekcyjnie, na czas i tak by zadowolić klienta.

Reichen wyglądał na zachwyconego, sposobem w jaki Helen zajęła się nimi. Siedział naprzeciwko Rio w swobodnej pozie na aksamitnym szkarłatnym siedzisku w kształcie półksiężyca, z jedną nogą opartą o stół koktajlowy umieszczony przed nim. Jego uda były szeroko rozsunięte, by dać swobodny dostęp intrygująco zręcznym dłoniom przytulonej do niego kobiety.

W tej chwili drażniła się z nim, przeciągając swoim karminowym paznokciem w górę i w dół po wewnętrznym szwie jego obcisłych spodni, jednocześnie prowadząc po niemiecku przyciszoną rozmowę tonem typu „nie wciskaj mi tu kitu”, przez swój telefon komórkowy.

Reichen spotkał się spojrzeniem z Rio i skinął wymownie głową w kierunku trzech dziewcząt tańczących i pieszczących się wzajemnie, w odległości nie większej niż na wyciągnięcie ręki.

- Częstuj się przyjacielu, jedną albo wszystkimi. Twój wybór. Są tylko twoje dziś wieczorem, z pozdrowieniami od Helen. Przydzielila ci je po moim telefonie, gdy poinformowałem ją, że przyprowadzę cię tu wieczorem.

Helen błysnęła ku Rio kocim uśmiechem, jak tygrysica, którą niewątpliwie była, żelazną ręką prowadząc swoje interesy. Kiedy, wysyczała szorstką instrukcję do swojej komórki, Reichen pogładził jej ciemne włosy i zsunął je z jej ramienia, po czym koniuszkami palców powędrował po nim w kierunku jej smukłej szyi.

Byli dziwną parą, wolni kochankowie nocą, w normalnym życiu zupełnie niezależne od siebie osobne i równe sobie jednostki. Co było wyborem Reichena.

Mężczyźni Rasy rzadko interesowali się dłużej śmiertelnymi ludzkimi kobietami, jeśli chodziło o seks. Ryzyko ujawnienia Rasy przed ludźmi, było zbyt duże dla wampirów, kiedy w grę wchodziły długotrwałe związki. Zawsze istniało ryzyko, że człowiek może wpaść w łapy Szkarłatnych, albo jeszcze gorzej może zostać zamieniony w sługę, przez silnego, ale zdeprawowanego członka Rasy.

Helen nie była Dawczynią Życia, ale cieszyła się pełnym zaufaniem Reichena. Wiedziała czym jest on, Rio i cała reszta Rasy i potrafiła utrzymać swoją wiedzę w głębokim secrecie. Była sprawdzona, godna zaufania i wierna Reichenowi. Czego Rio mógł tylko pozazdrościć, sam nie doświadczył takiej lojalności ze strony swojej Dawczyni Życia, z którą był przecież związany przez długie lata.

Oderwał swój wzrok od pary naprzeciwko i rozejrzał się po klubie. Ściany z przydymionego szkła otaczały oświetlony nastrojowym światłem prywatny gabinet, nie zakłócając pełnego widoku na akcję rozgrywającą się poniżej, na parterze. Uprawiano tam seks, w każdej pozycji i kombinacji partnerów. Kopulujące z entuzjazmem pary wypełniały całe pole widzenia. Zaś w pobliżu Rio, trzy piękne kobiety oczekiwały by go obsłużyć.

- Piękne, czyż nie? Możesz dotknąć jeśli sprawi ci to przyjemność.

Reichen pokiwał palcem i trzy prostytutki podeszły wystudiowanym, uwodzicielskim krokiem, dłońmi głaskały i dotykały swoich piersi, aby zaprezentować ich jędrność, ten efektowny pokaz wykonywały pewnie po raz tysięczny. Jedna z nich podeszła bliżej i stanęła pomiędzy rozsuniętymi kolanami Rio, jej biodra poruszały się zmysłowo w rytm płynącej z aparatury nagłaśniającej, śpiewanej lekko ochryłym głosem ballady. Dwie koleżanki dotrzymywały jej

towarzystwa, pieszcząc jej ciało, podczas gdy ona wykonywała swój prywatny pokaz.

Skrawek satyny przykrywający jej płeć prawie dotykał ust Rio.

Poczuł się dziwnie oderwany od rzeczywistości, jakby to wszystko działo się gdzieś obok niego, zupełnie niezainteresowany oferowanymi mu wdziękami, ani żeby je wykorzystać, ani sposobem w jaki były mu serwowane.

Helena skończyła rozmawiać przez telefon. Gdy tylko schowała cieniutką komórkę, Reichen wstał i podał jej rękę. Zsunęła się z obitego aksamitem siedziska i ujęła swojego wampirzego kochanka pod ramię.

- One zaspokoją każdy twój apetyt - zapewnił go Reichen.

Rio spojrział na niego pytająco, mężczyzna wytłumaczył bez wahania, prześlizgując się spojrzeniem po sinych wyrażających śmiertelny głód dermoglifach wampira.

- Szkło w tym gabinecie jest ekranowane, zapewnia całkowitą prywatność. Na cokolwiek będziesz miał ochotę, nikt ci nie przeszkodzi. Zostań tak długo jak chcesz. Mój kierowca odwiezie cię do rezydencji kiedy będziesz gotowy. - Uśmiechnął się błyskając wysuwającymi się czubkami kłów. - Ja wrócę późno.

Rio odprowadził wzrokiem oddalającą się parę, która wsiadła do umieszczonej na środku lokalu prywatnej windy, ich usta połączyły się w gwałtownym, namiętnym pocałunku jeszcze zanim zamknęły się za nimi drzwi i winda uniosła ich w górę do prywatnych apartamentów Heleny na ostatnim piętrze budynku.

Zuchwała para rąk zaczęła rozpinąć czarną koszulę Rio.

- Podoba ci się mój taniec? - Zapytała kobieta wijąca się pomiędzy jego nogami.

Nie odpowiedział. One tak naprawdę nie były zainteresowane konwersacją, ale przecież nie po to tu był. Rio spojrział w górę na ich pokryte mocnym makijażem nieskazitelnie piękne twarze. Uśmiechały się, zmysłowo wydymały wargi, ale ani jedna para oczu nie spoczęła na jego twarzy dłużej niż przez ulotną chwilę.

Oczywiście, pomyślał, uśmiechając się cynicznie na myśl, że żadna z nich nie chciała patrzeć dłużej niż to konieczne na jego blizny.

Kontynuowały pieszczotliwe drapanie i ocieranie się o niego, nie chciały już dłużej czekać żeby zająć się nim... były wytrenowane, aby

dobrze wypełniać swoje obowiązki, klient musiał być zadowolony. Głaskały go gruchając jaki jest muskularny, jaki silny, jaki seksowny. Ostrożnie omijały wzrokiem jego twarz, by dalej udawać, że ich nie odstręcza.

Nie był uszczęśliwiony w momencie, gdy stanął twarzą w twarz z Dylan i zobaczyła ona z bliska jego blizny. Nie używając kontroli umysłu, wyczuł w niej prawdziwe współczucie, kiedy z delikatnością w głosie spytała go w jaki sposób został ranny.

Rio został tak bardzo zaskoczony i przestraszony tym nieśmiałym i szczerym zainteresowaniem Dylan, które sprawiło to, że omal nie zgubił butów uciekając od niej.

Ale przynajmniej ona nie raczyła go tym doprowadzającym do szału fałszem. Te kobiety, tak profesjonalnie przygotowane by czarować i uwodzić, nie umiały ukryć i zamaskować swojej niechęci.

Kobiety wiły się i falowały przed nim w erotycznym tańcu i po paru minutach poczuł, że gabinet zaczął tańczyć i wirować razem z nimi. Jaskrawe kolory klubowej dekoracji, czerwień, złoto i elektryzujący błękit oszalały go. Głośna muzyka rozbijała czaszkę Rio, jak młotek rzucony na kruche szkło. Dusił się od przesłodzonej woni perfum, alkoholu i seksu.

Podłoga zaczęła wirować pod nim w szalonym pędzie, jego skronie miażdżył ból, szaleństwo rosło w nim jak czarna fala, która pociągnęła by go w dół, jeśli by nie znalazł punktu zaczepienia.

Zamknął oczy by odgrodzić się od tego bombardowania zmysłów. Ciemność ogarnęła go tylko na chwilę, zanim majaczenia wyobraźni nie porwały jego poranionego umysłu...

Wśród burzy bólu i strachu kłębiącej się wokół niego, dostrzegł twarz.

Twarz Dylan.

Jej kremowa, miękka, brzoskwiniowa skóra była wystarczająco blisko, by mógł jej dotknąć. Współprzymknięte zielono - złote oczy wpatrywały się w niego, piękne i nieustraszone. Ponieważ i on wpatrywał się w nią spod opuszczonych powiek, uśmiechnęła się i powoli pochyliła głowę w jego stronę. Płomienne jedwabiste włosy prześliznęły się po jej ramieniu jak łagodna pieszczota. Ostry dreszcz pożądania przeszył jego ciało i wtedy Rio dostrzegł jasnoczerwoną malinkę naznaczoną dwoma czerwonymi punktami tuż za jej uchem.

Chryste, jej obraz był taki realny. Zaczęły boleć go dżiąsła, końcówki kłów kuły w język. Pragnienie ścisnęło boleśnie gardło. Mógł niemal poczuć miodowo-jałowcowy smak jej krwi, która perliła się z ranek.

Zdał sobie sprawę z tego, że to musi być złudzenie, ponieważ on nigdy jej nie spróbuje. Dylan Alexander była Dawczynią Życia i marzenie o picciu z niej było poza dyskusją. Jeden łyk jej krwi tworzył więź, którą mogła rozerwać tylko śmierć. Rio już przez to przechodził i prawie go to zabiło.

Nigdy więcej!

Rio warknął, ponieważ w tym momencie dziwka tańcząca przed nim uznała, że czas przejść do konkretów. Gdy uchylił zamknięte powieki, wymruczała coś perwersyjnego, następnie pomasowała jego uda i oblizując wargi uklękła przed nim.

Kiedy rozsunęła zamek jego spodni to nie żądza rozpałiła krew w jego żyłach, ale narastająca w nim furia. Jego głowa pulsowała, w ustach czuł suchość pustynnego piasku. Kurwa, mógł stracić panowanie nad sobą jeśli zostałby tu dłużej. Musiał stąd spieprzać.

- Wynocha - warknął - Wynoście się stąd, wszystkie.

Cofnęły się powoli, jak od sprowokowanego dzikiego zwierzęcia. Jedna z nich próbowała być odważna.

- Może chcesz czegoś innego słodziutki? W porządku. Powiedz nam tylko co lubisz.

- Nie znajdę tego u ciebie - powiedział z naciskiem, odwracając się do nich pokrytą bliznami lewą stroną twarzy i podrywał się z miejsca.

Niezbyt pewnie trzymając się na nogach, wytoczył się z prywatnego gabinetu, chcąc opuścić pulsujący muzyką, śmierzący ciężko piżmem klub. Odnalazł ciche boczne wejście, którym weszli wcześniej razem z Reichenem, przepchnął się za ochroniarzami, którzy zeszli mu z drogi gdy zobaczyli, że opuszcza lokal.

Uliczka na zewnątrz była ciemna. Letnie nocne powietrze chłodziło jego rozpaloną skórę, pił je otwartymi ustami. Oddychał głęboko próbując uspokoić zawroty głowy.

Przeklął kiedy nie ustawały.

Jego wzrok wyostrzył się w ciemnościach, ale to wyostrenie było dużo gorsze niż jego normalne nocne widzenie, nadawało

wszystkiemu rozmyte kontury. Źrenice zwęziły mu się z gniewu i głodu, bursztynowy blask jego zmienionych oczu rzucał słaby refleks na chodnik pod stopami. Jego kroki były nierówne. Bezwład, który go ogarniał teraz wkładał się do jego ruchów. Kły wypełniły mu usta, spojrzął na swoje dermoglify i zrozumiał, że jest z nim niedobrze.

Cholera, powinien był skorzystać z żyły jednej z tych kobiet w środku. Powinien pożywić się godziny temu, no i teraz jego główniane samopoczucie zbliżało się do stanu krytycznego.

Spięty z opuszczoną głową i dłońmi ukrytymi głęboko w kieszeniach spodni, Rio ruszył szybkim, niezbyt płynnym krokiem. Pomyślał o tym, żeby pójść do jednego z miejskich parków, gdzie sypiają bezdomni, czyniąc z siebie łatwą ofiarę dla nocnych drapieżników takich jak on. Kiedy jednak przeciął boczną uliczkę, zobaczył młodą kobietę, palącą papierosa na rogu alei.

Opierała się plecami o ścianę ceglanego budynku, dłubiąc w paznokciach, gdy zgasła już papierosa. Czarne szpilki na platformach i obcisłe mini, oraz top bez ramiączek opięty na ogromnym biuście, jednoznacznie określały uprawianą przez nią profesję. Była to tańsza wersja tego, co Rio pozostawił w klubie. Spojrzała na niego i złapała go wzrokiem, w momencie kiedy jej się przyglądał.

- Ich bin nicht arbeiten - powiedziała, ze zjadliwym warknięciem i wróciła do masakrowania swoich paznokci. - Skończyłam dziś pracę.

Podchodził do niej powoli, nieubłagane, jak upiór wychodzący z cienia. Prychnęła coraz bardziej zdenerwowana.

- Moja robota dziś wieczorem, już się skończyła, ja? Nie będzie seksu.

- Nie potrzebuję go od ciebie.

- Och - zakpiła. - Dobra, jeśli nie to spierdalaj!

Rio zbliżył się do niej tak szybko, że nawet nie miała czasu by krzyknąć, pokonał kilkanaście metrów w mgnieniu oka i obrócił kobietę tak, że stała twarzą do muru.

Krótkie włosy dawały mu łatwy dostęp do jej szyi. Uderzył z szybkością kobry, zatapiając kły w głębi jej ciała i ssąc gwałtownie z żyły.

Walczyła tylko przez chwilę, drżąc z początkowego szoku, ale rozluźniła się kiedy ból zamienił się w przyjemność. Rio pił chciwie, biorąc to czego jego ciało tak desperacko potrzebowało. Liźnięciem

zabliźnił ranki po ugryzieniu. Znaki z szyi powinny zupełnie zniknąć za parę minut, teraz musiał zająć się jej pamięcią. Objął dłońmi jej głowę a palce umieścił ponad oczami. Zajął mu tylko parę sekund by zatrzeć ostatnich kilka minut jej wspomnień, ale niestety był to czas wystarczający, żeby jakiś człowiek minął róg budynku i ich dostrzegł.

- Hej! Was zur Hölle ist das? - Był łysy o byczym karku, muskularny i nie wyglądał na szczęśliwego, wycierając ręce w brudny barowy fartuch. Wywrzaskiwał coś do dziwki po niemiecku, sądząc po tonie, pewnie przekleństwa i rozkazy, które ona starała się jak najszybciej wypełnić.

Widocznie nie dość szybko dla zwałistego Niemca, bo kiedy chciała precyzyjnie się obok niego w drodze do baru, chwycił ją za nadgarstek i uderzył pięścią w głowę.

Kiedy z krzykiem uciekła za róg, łysol zaczął zbliżać się do Rio.

- Zrób sobie przysługę i odejdz - warknął Rio głosem, który nie przypominał ludzkiego. - To nie twoja sprawa.

Niemiec potrząsnął swoją, podobną do buldoga głową.

- Pieprzyłeś Utę, więc musisz mi zapłacić.

- Więc przyszedłeś, żeby wyrwać swój kawałek - stwierdził Rio, wystarczająco grobowo spokojnym głosem, by ktoś z odrobiną oleju w głowie, dostrzegł w nim prawdziwe ostrzeżenie.

Ale nie ten facet. On obszedł go i wyciągnął ukryty gdzieś z tyłu nóż. To był jego śmiertelny błąd. Rio dostrzegł zagrożenie i był jeszcze zbyt blisko by je zignorować. Ponieważ sutener zaatakował by wydrzeć od niego jakąś kasę, Rio rzucił się na niego. Powalił Niemca na chodnik, zacisnął dłonie dookoła jego grubej szyi. Szalone tętno dudniło pod jego dłońmi, uderzenie za uderzeniem ciepła krew pulsowała pod grubą skórą.

Podświadomie, Rio rejestrował zwalniający puls mężczyzny, ale przestał panować nad swoim umysłem. Nie miał już nad nim kontroli. Jego głód krwi został chwilowo zaspokojony, ale furia nie wypuściła go ze swoich szpon. Ucisk w jego umyśle, nad którym nie miał kontroli, był nie do opanowania, spychał go w ciemność, której bał się najbardziej.

Maldecido.

Monstruo.

Czuł jak stacza się w nieświadomość...

Obelgi, którymi był obrzucany jako młody chłopiec huczały mu w uszach, jak odgłosy burzy. Przypominał sobie ciemny las i zapach krwi rozlanej w tamtym brutalnym świecie. Chatę, w której jego matkę zabito na jego oczach...

Ciemność owładnęła nim, był znowu dzikim wyrzutkiem w Hiszpanii, dawno, dawno temu. Zagubione i przerażone dziecko, bezdomne, pozbawione rodziny i kogokolwiek, kto rozumiałby jego odmienność i pomógł mu poznać prawdę o samym sobie.

Comedor de la sangre.

Z rykiem pochylił się nad swoją drżącą ofiarą i wgryzł się w mięsiste gardło. Był brutalny i dziki nie z głodu, ale z wściekłości i bólu tak dawno w nim zakorzenionych, że spowodowały iż czuł się jak potwór, przerażający, żywiący się krwią. Przeklęty.

Manos del diablo.

To nie były już ręce diabła, tylko jego własne. Ciemność narastała szybko, pochłaniając go. Rio nie widział już ulicy przed sobą. Kontrola i logika, poddały się szaleństwu, które ogarnęły jego mózg. Ledwo kojarzył, ale zrozumiał, że serce leżącego pod nim człowieka przestało bić, tętno pod palcami zamilkło.

Zdał sobie sprawę, że pod wpływem pochłaniającej go ciemności, dzisiejszej nocy zamordował człowieka.

Głośne walnięcie w sąsiednim pokoju obudziło Dylan z koszmarne snu. Usiadła całkowicie wybudzona. Usłyszała więcej hałasów dobiegających z sąsiedniego pomieszczenia, niskie jęki i ciężki niepewny, potykający się chód, jakby coś lub ktoś cierpiał w agonii.

Sąsiedni pokój należał do Rio. Powiedział jej o tym dzisiejszego wieczoru, kiedy przyszedł do niej z wczesną kolacją, jej plecakiem i ubraniami. Pożyczył jej dobrej nocy i powiadomił że wychodzi poza mur otaczający posiadłość, ale tylko na kilka minut, więc żeby nie próbowała żadnych sztuczek, nie wyjaśnił nic więcej, co nie poprawiło jej to samopoczucia.

Pomimo jego ostrzeżeń, Dylan podejrzewała że wyszedł na dłużej, w jakimś określonym celu. Sąsiedni pokój był cichy przez kilka minionych godzin, aż do pobudki o czwartej nad ranem.

Rio żądał od niej za wiele, chciał żeby uwierzyła że jest mrocznym stworzeniem nocy, ale dźwięki, które dochodziły z sąsiedniego pokoju dowodziły raczej, że wrócił pijany po diabelskiej rundce zaliczania barów w mieście.

Dylan usiadła, zaplotła ręce na piersiach i słuchała jego jęków, potknięć o ciężkie meble i soczystych przekleństw.

Ile było takich nocy gdy jej ojciec wracał do domu w podobnym stanie? Jezu, zbyt wiele by je zliczyć. Wracał potykając się z baru, tak pijany, że cała rodzina musiała wlec go do łóżka, zanim by upadł i rozwalił sobie łeb. Dylan, która już dawno wypracowała w sobie obojętność i brak współczucia, dla ludzi którzy pobłażali swoim słabościom, musiała przyznać że hałasy dochodzące z pokoju Rio były nieco inne niż te, które powodował zamroczony alkoholem człowiek.

Zsunęła się z łóżka i podeszła cichutko do łączących pokoje drzwi. Z uchem przyciśniętym do chłodnego drewna, słuchała jego płytkiego chrapliwego oddechu.

Mogła go sobie niemal wyobrazić, leżącego na podłodze w miejscu gdzie upadł, nie mogącego się poruszyć, ani zawołać o pomoc.

- Hej, wszystko w porządku? - zapytała łagodnie. - Hm... Rio, jesteś tam? - Cisza. Przeciągająca się i wzbudzająca niepokój. - Wszystko z tobą w porządku? - Przekręciła gałkę, ale drzwi nie drgnęły. Były zamknięte na klucz. - Może powinnam zadzwonić po pomoc...?

- Wracaj do łóżka Dylan. - Głos Rio był cichy i zachrypnięty, zmieniony nie do poznania. - Odejdź od drzwi - powiedział znowu, tym dziwnym schrypniętym głosem. - Nie potrzebuję pomocy. - Dylan zmarszczyła brwi.

- Nie wierzę ci, twój głos nie brzmi dobrze. - Przekręciła gałką jeszcze raz, to były stare drzwi, może gałka się zacięła.

- Dylan. Odejdź od tych przeklętych drzwi!

- Dlaczego?

- Dlatego, że jeśli pozostaniesz tam sekundę dłużej, otworzę je i przyjdę do ciebie. - Oddychał chrapliwie, a gdy mówił te słowa jego głos brzmiał jak chrzęst żwiru. - Czuję twój zapach, Dylan i chcę... poczuć twój smak. Pragnę cię i nie panuję nad sobą w tej chwili wystarczająco, by utrzymać ręce przy sobie. - Dylan przełknęła ślinę.

Powinna być przerażona wyznaniem człowieka z tamtej strony drzwi. I jakaś jej część była. Nie z powodu jego niewiarygodnego stwierdzenia, że był wampirem. Nie dlatego że ją uprowadził i więził w tej złotej klatce. Była przerażona tym że uczciwie wyznał że jej pragnie.

I jakkolwiek by temu nie zaprzeczała, ta świadomość rozpałała w niej pragnienie by choć przez moment doświadczyć dotyku Rio.

Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wolno prawie bez udziału swojej woli poruszyła nogami, odsuwając się od drzwi. Powróciła do rzeczywistości, taką miała nadzieję, bo przecież to czego zapragnęła, było nie tylko nie realne, ale po prostu głupie.

Usiadła na pościeli i objęła ramionami podkulone kolana.

Nie będzie już mogła usnąć tej nocy.

ROZDZIAŁ 12

Nie spodziewała się że pierwszą rzeczą, jaka ją spotka tego ranka, będzie wizyta Rio w jej sypialni.

Dylan wyszła spod prysznica znajdującego się w przestronnej gościnnej łazience, wytarła się jednym, z pół tuzina luksusowych bawełnianych ręczników, ułożonych schludnie na łazienkowej półce. Wyciskając wodę z włosów, narzucała na siebie, ostatnie sztuki czystej bielizny ze swojego plecaka. Koszulka na ramiączkach i stringi były wygniecione, ale przecież nikt nie miał jej w nich oglądać. Bosa z przyklejającymi się do ramion wilgotnymi włosami, otworzyła drzwi i podreptała do pokoju.

On tam był.

Rio, siedział na krześle przy drzwiach czekając, kiedy wyjdzie z łazienki.

Dylan zatrzymała się gwałtownie, kiedy zdała sobie sprawę z jego obecności.

- Pukałem - powiedział. Dziwnie taktowne zachowanie, jak na porywacza. - Nie odpowiadałaś, więc chciałem upewnić się, czy wszystko u ciebie w porządku.

- Wygląda na to, że ja też powinnam zapytać cię o to samo. - Ostrożnie weszła głębiej do pokoju. Pomimo, że nie dawał jej powodu do niepokoju, wciąż obawiała się trochę mężczyzny, który ją tu przetrzymywał, a także miała świeżo w pamięci szarpiące nerwy wydarzenia sprzed paru godzin. - Co ci się przytrafiło wczorajszej nocy? Twój głos brzmiał jakbyś był niezle nawalony.

Nie wyjaśnił jej niczego, tylko wpatrywał się w nią poprzez mroczny pokój. Patrząc na niego teraz, zastanawiała się czy nie wyobraziła sobie całej tej sytuacji. Ubrany był w gołębioną szarą koszulkę i smoliście czarne dopasowane spodnie, jego włosy zostały perfekcyjnie zaczesane do tyłu i odsłaniały twarz, wyglądał na wypoczętego i odprężonego. Ciągłe zachowywał ten melancholijny wizerunek tajemniczego, niedostępnego mężczyzny nie z tego świata, ale teraz już jakby trochę mniej bliskiego krawędzi niż przedtem. Tak naprawdę, to wyglądał jakby przespał tę noc spokojnie jak dziecko.

Natomiast Dylan po tej nocnej pobudce i późniejszych wielogodzinnych rozważaniach o nim, czuła się jak zombi.

- Musisz powiedzieć swoim przyjaciołom, że muszą tu naprawić zegar przy roletach - stwierdziła skinąwszy głową w kierunku wysokiego okna, zablokowanego na dzień zdalnie sterowaną żaluzją. - Otworzyli je wczoraj wieczorem, ale zasunęli z powrotem przed wschodem słońca. To działa trochę na odwrót, nie sądzisz? Tak w ogóle był z nich miły widok, nawet po ciemku. Jak się nazywa to jezioro trochę z tyłu za posiadłością? Wannesse? Jest całkiem duże więc to może być również Grunewaldsee, albo Teufelssee i widząc te wszystkie stare drzewa, otaczające to miejsce, przypuszczam że musimy być gdzieś koło rzeki Havla. Mam rację, prawda?

Rio nie zaszczycił jej żadną reakcją, oprócz powolnego westchnięcia i obserwował ją swoimi ciemnymi, nieodgadzionymi oczami.

Przyniósł jej śniadanie. Dylan przespacerowała się do przysadzistego stołu i delikatnej sofy w centrum salonu, gdzie na chińskiej porcelanie czekał omlet, kiełbaski z ziemniakami, oraz gruby kawałek tosta. Stała tam również szklanka pomarańczowego soku i kawa. Obok lśniących srebrnych sztućców leżała biała, lniana serwetka. Nie odmówiła sobie kawy, gdy już przyjrzała się wszystkiemu co jej przyniósł. Wpuściła dwie kostki cukru do filiżanki, potem dołała śmietanki by nadać kawie lekko kremową barwę, słodka, mleczna i droga, musiała być sprawiedliwa uwielbiała taką kawę.

- Wiesz, poza tym że jestem tu uwięziona, muszę przyznać że ludzie z twojego otoczenia wiedzą jak traktować zakładników.

- Nie jesteś zakładnikiem Dylan.

- Nie, to może więzień byłoby lepszym określeniem. Czy twój rodzaj, jak go nazywasz, woli używać mniej oczywistych określeń?

- Nie jesteś ani jednym, ani drugim.

- W porządku, wspaniale! - wykrzyknęła z udawaną radością. - Więc, kiedy mogę iść do domu?

Tak naprawdę, nauczona doświadczeniem nie oczekiwała, że jej odpowie. Rio rozparł się na krześle i skrzyżował swoje długie nogi, opierając kostkę jednej z nich na kolanie drugiej. Był dziś zamyślony, jakby nie wiedział, co dokładnie ma z nią począć. A ona nie mogła

zignorować tego, że kiedy tak siedziała na sofie skubiąc swojego tosta, czuła jego gorący wzrok na swoim ciele.

A także, na swoim gardle.

W nagłym błysk przypomnienia wróciły do niej jego słowa sprzed paru godzin:

Czuję twój zapach, Dylan, chcę poczuć twój smak. Pragnę cię...

Na pewno nie wyobraziła sobie tego. Te słowa wciąż dźwięczały w jej umyśle, powtarzającym się refrenem, odkąd wymruczał je do niej zza zamkniętych drzwi. A teraz przyglądał się jej z bliska, tym swoim melancholijnym wzrokiem, który wyrażał głębię typowo męskiego zainteresowania, Dylan prawie nie mogła zaczerpnąć oddechu.

Wbiła oczy w swój talerz, nagle ogarnęła ją nieśmiałość.

- Wpatrujesz się we mnie - wymruczała, gdy jego cicha obserwacja zaczęła doprowadzać ją do szaleństwa.

- Po prostu zastanawiam się, jak to możliwe, że inteligentna kobieta wybrała zawód, który zupełnie do niej nie pasuje.

- Och, pasuje dość dobrze. - Odpowiedziała Dylan.

- Nie - zaprzeczył. - Wcale do ciebie nie pasuje. Przeczytałem kilka twoich artykułów, które znalazłem na twoim komputerze, także te starsze. To nie były artykuły do tego szmatławca, który cię teraz zatrudnia.

Upiła łyk swojej kawy, czując się nieco zażenowana jego pochwałą.

- Te pliki były prywatne, naprawdę cię nie doceniałam, musiałeś naprawdę bardzo dokładnie przekopać mój twardy dysk, żeby się do nich dostać.

- Napisałaś bardzo dużo na temat morderstwa w północnej części stanu Nowy Jork. Te kawałki miały parę lat, ale były bardzo dobre, Dylan. Jesteś bardzo dobrą, bystrą i przykuwającą uwagę pisarką. Lepszą niż myślisz.

- Jezu - wymamrotała Dylan na wydechu. - Mówiłam, że te pliki są prywatne.

- Tak, mówiłaś. Ale pobudziłaś moją ciekawość. Dlaczego tamten konkretny przypadek tak wiele dla ciebie znaczył?

Dylan potrząsnęła głową i uniosła ją znad talerza.

- To była moja pierwsza praca, świeżo po studiach. Mały chłopiec zginął w małej miejscowości na północy. Policja nie miała żadnych podejrzanych i żadnych poszlak, tylko spekulacje, że mógł być w to zamieszany jego ojciec. Byłam głodna sukcesów i chciałam jak najszybciej wyrobić sobie nazwisko, więc zaczęłam grzebać się w tej historii. Ojciec chłopca był nałogowym alkoholikiem, nie zagrzewał miejsca w żadnej stałej pracy, jeden z takich toksycznych tatuśków.

- Ale, czy był zabójcą? - Zapytał Rio poważnie.

- Tak myślałam, wskazywały na to wszystkie poszlaki. W głębi swojej arogancji byłam pewna jego winy. Nie darzyłam go sympatią i być może nie przyłożyłam się dość mocno do tego by znaleźć coś, co mogło by podważyć jego winę. Po paru fałszywych tropach wpadłam na dziewczynę, która była opiekunką do dzieci. Gdy przesłuchiwałam ją do mojego artykułu, powiedziała mi że widziała siniaki na ciele chłopca. Powiedziała, że facet bił swoje dziecko, że osobiście była tego świadkiem. - Dylan westchnęła. - Pobiełam z tym wszystkim do redakcji, żeby jak najszybciej wysmażyć artykuł. Byłam tak nastawiona na sukces, że nie sprawdziłam dokładnie mojej informatorce.

- Co tak naprawdę się wydarzyło?

- Okazało się że dziewczyna sypiała z ojcem chłopca i miała do niego jakąś osobistą urazę. On może i nie był Ojcem Roku, ale nigdy nie tknął swojego syna i było cholernie pewne, że go nie zabił. Po tym jak wyrzucili mnie już z pracy, przez przypadek badania DNA połączyły śmierć chłopca z mężczyzną, który mieszkał po sąsiedzku. Ojciec był niewinny, a ja wzięłam przedłużony urlop od dziennikarstwa.

Ciemne brwi Rio wygięły się w łuk.

- I to było powodem, że awansowałaś na stanowisko kogoś, kto pisze na temat pojawień się Elvisa i wprowadzeń przez obcych.

Dylan wzruszyła ramionami.

- Tak, wiem. Zjeżdżałam po równi pochyłej. - Znowu zaczął uparcie wpatrywać się w nią, spoglądając w takiej samej jak przedtem, pełnej zadumy ciszy. Nie mogła myśleć, kiedy na nią patrzył. Czuła się niepewna, obnażona i podatna na zranienie.

- Dzisiejszej nocy opuszczamy to miejsce, wspominałem ci o tym wczoraj - powiedział, przerywając milczenie. - Jeśli chcesz możesz

zjeść wcześniejszy obiad. Wrócę o zmierzchu i przygotuję cię do podróży.

To nie zabrzmiało dobrze.

- Przygotujesz mnie... jak?

- Nie mogę pozwolić na to, żebyś mogła zidentyfikować to miejsce lub osoby, które pomogą nam przedostać się do Stanów. Więc wieczorem zanim wyjedziemy, wprowadzę cię w lekki trans.

- Trans, zahipnotyzujesz mnie? - Roześmiała się. - Bądźmy realistami, to na mnie nie podziała. Nie jestem podatna na sugestie, możesz zapytać moją mamę, albo szefa.

- To jest nieco inne niż hipnoza i możesz mi wierzyć, że będzie na ciebie działać. Już działało.

- Co chcesz powiedzieć przez to, że już działało?

Lekko wzruszył ramionami.

- Jak dużo możesz sobie przypomnieć ze swojej podróży z Pragi do tego miejsca?

Dylan zmarszczyła brwi. Rzeczywiście nie zapamiętała zbyt wiele, przypominała sobie moment wrzucenia do furgonetki i ciemność kiedy koła zaczęły się toczyć. Zapamiętała uczucie przerażenia i jej domagające się odpowiedzi pytania, dokąd ją zabiera, co zamierza z nią zrobić. Później już... nic.

- Próbowałam wtedy nie spać, ale byłam bardzo zmęczona. - Wymruczała, próbując przypomnieć sobie choćby jedną minutę z kilkugodzinnej podróży. Kompletna pustka. - Musiałam zasnąć w drodze tutaj. Kiedy się zbudziłam znajdowałam się w tym pokoju...

Delikatne uniesienie warg wyraziło jego wewnętrzną satysfakcję.

- Teraz też będziesz spała, aż do chwili kiedy pozwolę ci się obudzić. Tak musi być, Dylan, przykro mi.

Chciała zrobić jakąś dowcipną uwagę na temat tej sytuacji i nedorzeczności wciskania jej tego kitu o wampirach, którym ją karmił od wczoraj i o transach podczas podróży, dla zachowania tajemnicy lokalizacji, ale w pewnym momencie przestało ją to śmieszyć. Cała ta sytuacja stała się niewiarygodnie poważna.

I nagle, aż za bardzo realna.

Spojrzała na niego, spokojnie siedzącego na krześle. Ten mężczyzna był inny niż wszyscy, których kiedykolwiek знаła i coś w jej podświadomości szeptało, że to nie są żarty. Wszystko o czym jej

mówił było czystą prawdą, jakkolwiek niewiarygodnie mogło brzmieć.

Spojrzenie Dylan powędrowało od jego stoickiej nieodgadnionej twarzy, poprzez szerokie ramiona i klatkę piersiową. Tatuaze, które oplatały jego bicepsy i przedramiona, były nieco inne niż zapamiętała z wczorajszego dnia, były teraz dużo jaśniejsze w oliwkowym kolorze zaledwie kilka tonów ciemniejszym niż jego skóra. Wczoraj atrament w nich był czerwono-złotego koloru, była tego pewna.

- Co się stało z twoimi ramionami? - wypaliła. - Przecież tatuaze nie mogą zmieniać koloru...

- Nie - odpowiedział, zerkając na swoje ramiona pokryte teraz znakami w delikatnym, subtelnym kolorze. - Tatuaze nie zmieniają koloru, ale dermoglify tak.

- Dermoglify?

- Naturalne wzory na skórze występujące u mężczyzn Rasy. Przekazywane z ojca na syna, są zewnętrznym indywidualnym wskaźnikiem ich stanu fizycznego i emocjonalnego. - Rio podciągnął wyżej rękawy swojego podkoszulka, obnażając ramiona i ukazując większą powierzchnię skomplikowanego wzoru. Przepiękne spirale i wzory geometryczne, oraz tribale wtopione w jego skórę, pokrywały całe ramiona i barki dalej ukrywała je koszulka. - Dermoglify służyły jako naturalny kamuflaż przodkom naszego gatunku. Starożytnym. Ich ciała pokryte były rysunkami od stóp do głów. Każda następna generacja Rasy rodzi się z mniejszą ilością znaków, krew homo sapiens rozcieńcza nasze pierwotne geny.

Dylan kręciło się w głowie od natłoku pytań, nie wiedziała, które ma zadać jako pierwsze.

- Mam więc uwierzyć nie tylko w to, że jesteś jednym z nieumarłych, ale jeszcze i w to, że nieumarli mogą się rozmnażać?

Odpowiedział z kpiącym uśmiechem.

- Nie jesteśmy nieumarłymi. Rasa jest bardzo długowiecznym, hybrydowym gatunkiem, który rozpoczął swoją egzystencję na tej planecie tysiące lat temu. Genetycznie częściowo jesteśmy ludźmi, częściowo przybyszami z innego świata.

- Przybyszami z innego świata. - Powtórzyła Dylan spokojniej niż mogła uwierzyć. - Masz na myśli... Obcych? Powoli, wcześniej

rozmawialiśmy o wampiryzmie. Chyba dobrze zrozumiałam to co mówiłeś?

Rio pokiwał głową.

- Ośmiu obcych znajdowało się w pojeździe kosmicznym w chwili, gdy rozbił się o Ziemię dawno temu. Gwałcili i dokonywali potwornych rzezi na miejscowej ludności. Ostatecznie w efekcie tych gwałtów, niektóre ludzkie kobiety zaszły w ciążę. Te kobiety były pierwszymi Dawczyniami Życia, to z ich łon urodziła się pierwsza generacja mojego rodzaju, Rasy, od nich wywodzą się nasze korzenie.

Wszystko co usłyszała graniczyło z czystym obłędem, ale nie sposób było lekceważyć szczerzy ton wypowiedzi Rio. On stuprocentowo wierzył w to co mówił i ponieważ był tak śmiertelnie poważny, trudno było Dylan nie uwierzyć mu. Nie mówiąc już o fakcie, że osobiście mogła stwierdzić autentyczność niepowtarzalnych znaków na jego skórze, których istnienie i charakter, kłócił się z wszelką logiką.

- Twoje dermoglify są dzisiaj tylko odrobinę ciemniejsze od skóry.

- To prawda.

- Wczoraj były mieszanką czerwoni i złota, ponieważ...

- Ponieważ byłem głodny. - Stwierdził beznamiętnie. - Bardzo potrzebowałem krwi, świeżej, prosto z ludzkiej żyły.

O Jezu, chyba mówił poważnie.

Żołądek Dylan wywinął fikołka.

- Więc, ty... pożywiłeś się tej nocy? Mówisz, że gdy wyszedłeś wczoraj wieczorem to piłeś czyjaś krew.

Tylko skinął delikatnie głową. W jego oczach dostrzegła wyrzuty sumienia, jakiś rodzaj prywatnej męki, która sprawiła że wyglądał zarówno na śmiertelnie niebezpiecznego, jak i podatnego na zranienie. Siedział pozornie skupiony na tym by przekonać ją jakim jest potworem, ale ona nigdy nie widziała bardziej udręczonego spojrzenia.

- Nie masz kłów - wytknęła mu, ponieważ jej umysł wciąż próbował odrzucać to co od niego usłyszała. - Czy wszystkie wampiry nie mają kłów?

- Mamy, ale normalnie nie są one widoczne. Nasze górne kły wydłużają się kiedy pragniemy krwi, albo pod wpływem silnych emocji. To proces fizjologiczny, taki jak zmiana koloru dermoglifów.

Ponieważ mówił, Dylan dyskretnie obserwowała jego usta. Za zmysłowymi wargami jego zęby były równe, silne i białe. Jego usta nie należały do bestii, ale do uwodziciela. I prawdopodobnie ten drugi wariant był dla niej bardziej niebezpieczny.

Pięknie uformowane usta Rio, były tym co każda kobieta powitałaby z radością, nigdy nie podejrzewałaby, że mogły nieść śmierć.

- Z powodu obcych genów, nasza skóra i oczy są nadwrażliwe na słoneczne światło - dodał, ze spokojem, jakby omawiał pogodę. - Dłuższe przebywanie na słońcu jest śmiertelne dla wszystkich z naszej Rasy. To jest powodem zasłaniania okien w ciągu dnia.

- Och - wymruczała Dylan, czując jak jej udęczonego umysł, próbuje pojąć sens tego wszystkiego.

Oczywiście, że blokowali światło słoneczne. Każdy idiota wiedział, że wampiry palą się jak bibułka pod lupą, jeśli wystawiłbyś je na słońce. Pomyślała o tym, że nigdy nie widziała Rio w świetle dnia. W górskiej jaskini był on chroniony przed słonecznym światłem. Gdy tropił ją z Jicin do Pragi, był późny wieczór, kompletna ciemność. Wczoraj wieczorem gdy wyszedł by zapolować na swoją ofiarę, zapewniał, że wróci przed świtem.

Trzymaj się kupy, Alexander.

Ten facet nie mógł być wampirem, nie tak naprawdę. Gdzieś musiało być jakieś rozsądniejsze wytłumaczenie tego co się tu dzieje. Wyjaśnienia Rio brzmiały tak spokojnie i rozsądnie ponieważ mógł być kompletnie szalony i głęboko wierzyć, że żyje w tym urojonym świecie. Kompletnie szalony ekscentryk. Tak, musiał nim być.

A co z ludźmi, którzy żyli w tym bogatym majątku? Po prostu więcej miłośników wampiryzmu, podobnych do niego, którzy sądzili, że wywodzą się z uczulonej na światło słoneczne obcej rasy? A ona znalazła się tu, jako mimowolny uczestnik, uprowadzony i przetrzymywany wbrew swojej woli jeniec, ponieważ jakaś bogata, praktykująca picie krwi sekta, sądziła że jest z nimi połączona z powodu zwykłego maleńkiego znamienia. Piekło i szatani, to brzmiało jak tekst z pierwszych stron brukowców.

Ale jeśli coś co powiedział Rio było prawdą... ?

Dobry Boże, gdyby było prawdą, to co właśnie usłyszała, to posiadałaby informacje, które dosłownie zmieniały kształt obecnego świata. Zmieniały rzeczywistość, każdego człowieka na tej planecie. Lodowaty dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie, gdy to do niej dotarło.

- Mam milion pytań - wymruczała, ośmielając się rzucić spojrzenie na Rio.

Kiwnął głową i podniósł się z krzesła.

- To zrozumiałe, podałem ci ogromną ilość informacji do przetrwania i na pewno usłyszysz ich jeszcze więcej zanim przyjdzie czas na podjęcie decyzji.

- Czas dla mnie, abym podjęła decyzję? - Zapytała, patrząc jak podchodzi do drzwi i zwalnia zamek, by opuścić pokój. - Poczekaj chwilkę. Jaką decyzję będę musiała podjąć?

- Czy zostaniesz z nami jako członek Rasy, czy wrócisz do swojego dawnego życia, pozbawiona całej wiedzy o naszym istnieniu.

Dylan nie miała ochoty na śniadanie, ani na obiad, który dostarczono jej później, nie miała apetytu na jedzenie. Jedyne pragnienie które ją nękało, to był głód wiedzy. Ale Rio powiedział żeby zachowała swoje pytania na później.

Kiedy przyszedł by poinformować ją, że nadszedł dla nich czas by opuścić to miejsce. Dylan poczuła nagły przyływ niepokoju.

Drzwi, które otworzył przed nią, ukazywały tylko ciemność po drugiej stronie. Jeśli spojrzałaby w nią, czy ona mogłaby ją wchłonąć? Czy mogłaby potem zawrócić?

- Skąd będę wiedzieć, że jestem gotowa - zapytała, unikając hipnotyzujących pęt oczu Rio, ponieważ zbliżał się do niej poprzez pokój. - Ja... Ja obawiam się tego miejsca gdzie mnie zabierasz. Obawiam się tego o czym się tam dowiem...

Dylan spojrzała w górę, w przystojną naznaczoną tragedią twarz swojego zdobywcy i czekała na jakieś słowa, argumenty, cokolwiek co dawałoby jej nadzieję, że cała ta przygoda dobrze się dla niej skończy.

On nie ofiarował jej żadnej z tych rzeczy, gdy jednak położył swoją dłoń na jej czole, jego dotknięcie było delikatne i niewiarygodnie ciepłe. Boże, poczuła się cudownie.

- Śpij - powiedział.

Stanowcze polecenie prześliznęło się po jej umyśle, jak aksamitna rękawiczka po nagiej skórze. Owinął swoje ramię dookoła jej tali w momencie, kiedy ugięły się pod nią kolana. Obejmował ją mocno, dając jej poczucie komfortu i bezpieczeństwa.

Mogłabym roztopić się w jego silnych ramionach, pomyślała zanim zamknęły się jej powieki.

- Dylan, zaśnij teraz - szepnął jej do ucha. - Śpij.
Zasnęła.

ROZDZIAŁ 13

Jeden z czarnych SUV-ów należących do Zakonu, czekał wewnątrz prywatnego hangaru na niewielki samolot z Berlina, który kołował już na pasie należącym do prywatnej spółki transportowej, działającej przy lotnisku Boston's Logan.

Rio i Dylan byli jedynymi pasażerami lśniącego dwusilnikowego Gulfsteama.

Samolot i jego dwaj piloci byli sownie opłaceni przez Zakon, w zamian za wysokie honorarium, które napełniało ich kieszenie Zakon żądał kompletnej lojalności i całkowitej dyskrecji. Byli opłacani na tyle dobrze, że nie drgnęła im powieka, gdy Rio wnosił do samolotu martwą dla świata, pogrążoną w transie kobietę, a dziesięć godzin później na lotnisku w Bostonie wynosił ją na zewnątrz w takim samym stanie. Z Dylan cicho spoczywającą w jego ramionach, jej plecakiem i torbą przewieszoną przez ramię, Rio zszedł po przystawionych do samolotu schodach na beton płyty lotniska.

Kiedy pokonał krótki dystans dzielący go od Range Rovera czekającego w hangarze, Dante wyszedł zza kierownicy i stanął obok samochodu opierając łokieć o otwarte drzwi. Ubrany był, jak na nocny patrol, w podkoszulek z długim rękawem, wojskowe spodnie i buty wszystko było w czarnym kolorze, tak jak i jego sięgające ramion pukle. Czarny półautomatyczny pistolet spoczywał pod jego lewym ramieniem, następny przymocowany był do uda, ale to nie koniec, dwa pokryte tytanem ostrza lśniły na jego biodrach, bez nich Dante nie ruszał się z domu.

Razem z Dantem przyjechał, by mieć baczenie na wszystko, kolejny z nowych członków Zakonu, były agent Mrocznej Przystani Sterling Chase, również w rynsztunku bojowym, zdolnym powalić niedźwiedzia. Skinał głową z wnętrza samochodu pozdrawiając Rio. Chase wyglądał na takiego samego twardziela jak reszta wojowników Zakonu, jego po wojskowemu ostrzyżone złociste włosy przykryte były czarną czapeczką, stalowo błękitne oczy w jego szczupłej twarzy twardo i bacznie obserwowały otoczenie, były trochę bardziej puste i beznamienne, niż kilka miesięcy temu, jeśli nie myliła Rio pamięć. Nie

zostało już prawie żadnego śladu po spiętym, świętszym od Papieża biurokracie, który zawitał u nich w zeszłym roku, prosząc Zakon o pomoc, a następnie ustalając własne zasady i oczekując, że wojownicy będą z nim współpracować. Dante miał niezbyt sympatyczny zwyczaj nazywać agenta Mrocznej Przystani Harvardem - przezwisko to przyłgnęło do agenta i pozostało z nim nawet wtedy, gdy porzucił swoje cywilne życie i przystał do Zakonu.

- Jay-zus - wykrzyknął Dante, rozciągając usta w szerokim uśmiechu. Gdy Rio zbliżył się do pojazdu z nieprzytomną Dylan w ramionach. - Pięć miesięcy z biletem w jedną stronę. Mowa o opuszczeniu gry, człowieka. Pięć miesięcy bez znaku życia. - Wojownik chichotał otwierając tylne drzwi i pomagając ułożyć Dylan w środku. Gdy już się usadowili, Dante zatrzasnął drzwi i wskoczył za kierownicę. Odkręcił się na siedzeniu i spojrzał Rio w twarz. - Przynajmniej wracasz do domu z fajną pamiątką. Co nie?

Rio odchrząknął, rzucając krótkie spojrzenie na Dylan śpiącą na tylnym siedzeniu obok niego.

- Ona jest dziennikarką i Dawczynią Życia.

- Taa, słyszałem. Wszyscy słyszeliśmy. Gideon poinformował nas o twoim pościgu, aż do Pragi za tą dziennikarką - powiedział Dante.

- Nic się nie martw stary, przycisnęliśmy twardą pokrywką na jej historyjkę i zdjęcia, które zrobiła, zanim cokolwiek z tego gówna wyciekło na światło dzienne. Co do niej, to już dzwoniliśmy do różnych Mrocznych Przystani by znaleźć miejsce, jeśli taki będzie jej wybór i po tym wszystkim zechce z nami zostać. To już właściwie jest załatwione.

Rio nie wątpił w słowa Dantego, ale nie chciał zastanawiać, którą opcję Dylan w końcu wybierze. Jeśli wybrałaby Mroczną Przystań, to byłoby tylko kwestią czasu, żeby jakiś łebski wampir zakręcił się koło niej i przekonał ją, że jest dla niego stworzona. Dobry Bóg wie, że nie zabraknie jej kandydatów. Z jej niezwykłym pięknem, byłaby płomieniem, który wabiłby wszystkich. Wyobrażanie sobie jej osaczonej przez sforę wymuskanych, wygadanych, bezużytecznych cywilów, działało na uzębienie Rio. Nie miał pojęcia dlaczego dostawał cholery na samą myśl o tym, co i z kim mogłaby robić.

Nie miał prawa żądać od niej niczego, poza uprzątnięciem zamieszania, które spowodowała, by nie doprowadziło do katastrofy.

Albo raczej, to on doprowadziłby do katastrofy, pogrążając się w rozpamiętywaniu własnych nieszczęść, zamiast zająć, się wykonaniem powierzonego mu zadania i wysadzić tą cholerną jaskinię.

Będąc z powrotem w Bostonie marzył tylko o tym by wrócić w te góry, nacisnąć detonator i czekać by tony kamieni, zasypały go na dobre.

- Co ty tam robiłeś przez cały ten czas? - Zapytał Chase podejrzliwym tonem. - Powiedziałeś Niko, że zabezpieczysz jaskinię i wyruszasz do Hiszpanii by odnaleźć siebie. Tak nam powiedział, a także i to, że chcesz opuścić Zakon. To było pięć miesięcy temu i przez ten czas nie było o tobie żadnych wieści, a teraz nagle pojawiaasz się przynosząc złe wiadomości i kłopoty. Co się z tobą do cholery dzieje?

- Nie zapalaj się tak człowiek - przystopował go Dante, rzucając mroczne spojrzenie na sąsiednie siedzenie. A do Rio rzucił. - Nie zwracaj uwagi na Harvarda. Miał erekcję przez całą noc, ponieważ nie mógł pofiglować ze swoją Berettą.

- Nie prawda - zaprzeczył Chase, nie poddając się. - Po prostu jestem ciekawy, co naprawdę działo się z tobą odkąd w lutym zostawiliśmy cię, tam na stoku z workiem pełnym C4. Dlaczego czekałeś tak długo, żeby zakończyć tą pieprzoną robotę? Dlaczego zmieniłeś plany?

- Nie było żadnej zmiany planów - odpowiedział Rio napotykając taksujące spojrzenie wojownika na przednim siedzeniu. Nie był urażony jego wyzywającym tonem. Chase miał pełne prawo by zadawać pytania. Wszystko co powiedział było prawdą i Rio naprawdę niewiele mógł powiedzieć w swojej obronie. Pozwolił by przez te kilka miesięcy opanowała go słabość i teraz musiał ponieść tego konsekwencje. - Miałem zadanie do wykonania i po prostu to spieprzyłem.

- Wyluzuj człowiek, gra dopiero się zaczęła. Zdążysz jeszcze poprawić swój wynik. - wtrącił Dante. - Ponieważ komora hibernacyjna koło Pragi, która okazała się pusta dowiodła, że możliwe jest istnienie starożytnego. Chase zaczął potajemnie wewnętrzne dokopywanie się do jakichś informacji, współpracując z Mrocznymi Przystaniami i Agencją Nadzoru, ale na razie żadne z tych źródeł nie

przyniosło nic co mogło się przydać do zlokalizowania Starożytnego wampira.

Z miejsca dla pasażera Chase potwierdził kiwając głową.

- To nie wydaje się możliwe, żeby nikt nic nie zauważył, jeśli Starożytny gdzieś tam jest, to skurwysyn musiał ukryć się, gdzieś głęboko pod ziemią i leży tam bardzo cicho.

- A co z tą niemiecką rodziną Rasy, która miała kontakt ze Starożytnym w średniowieczu? - Zapytał Rio.

- Odolfsów - odpowiedział Dante, potrząsając głową. - Nie odnaleźliśmy nikogo żywego. Tych kilku nielicznych, którzy nie stali się Szkarłatnymi i nie zginęli z powodu nałogu krwi, w przeciągu wieków zaginęło lub zmarło z innych powodów. Linia Odolfsów już nie istnieje.

- Kurwa - wymruczał Rio.

Dante pokiwał głową.

- Wszystko co znaleźliśmy, to całe mnóstwo ślepych uliczek, milczenia i śmierci. Nie poddajemy się, ale to przypomina szukanie pieprzonej igły w stogu siana.

Rio zmarszczył brwi, biorąc pod uwagę trudności w ukryciu istnienia potwora z obcego świata, jak ten na, którego polował teraz Zakon. Byłoby cholernie trudne by nikt nie zauważył dwumetrowego, łysego pokrytego dermaglifami wampira z nienasyconą żądzą krwi. Nawet z pośród najbardziej dzikich mętów wywodzących się z Rasy Starożytny musiał się wyróżniać.

Jedynym powodem, dla którego Starożytny pozostawał tak długo niezauważony, był ten, że jego komora hibernacyjna znajdowała się głęboko w czeskich górach. Ktoś uwolnił Starożytnego z krypty, ale Zakon nie miał pojęcia kiedy i jak, a nawet czy ta krwiożercza kreatura przeżyła po swoim przebudzeniu. Przy odrobinie szczęścia, ten skurwysyn od dawna już nie żył. Inna alternatywa, była scenariuszem, którego nikt, ani Rasa, ani ludzie nie chcieli sobie nawet wyobrazić.

Dante odchrząknął przerywając długi moment ciszy, jego ton był poważny.

- Posłuchaj Rio. Cokolwiek robiłeś przez te pięć miesięcy, kiedy byłeś nieobecny i nieusprawiedliwiony, dobrze jest mieć cię z powrotem w Bostonie. Wszyscy są szczęśliwi, że wróciłeś.

Rio zwiesił ciężko głowę, kiedy napotkał oczy wojownika. Nie było teraz żadnego sensu by mówić Dantemu, że jego powrót jest tylko chwilowy. Ostatnią rzeczą, której potrzebował teraz Zakon, była odpowiedzialność za osobnika takiego jak on, w swoich szeregach. Bez wątpienia oni przedyskutowali już ten temat, gdy Gideon powiadomił ich o powrocie Rio.

Dante złowił jego spojrzenie we wstecznym lusterku.

- Gotowy do jazdy, amigo?

- Taa - odpowiedział Rio. - Bardziej niż gotowy.

Metaliczny klekot uwolnionego zamka odbił się echem, jak głośna karabinowa seria od z grubsza ociosanych granitowych ścian tunelu. Drzwi były z naoliwionego drewna, czarne jak asfalt i stare jak wydrążony kamienny tunel. Zamykane na klucz, oddzielały korytarz od wydzielonej na końcu sekretnej komnaty.

W tym miejscu kończył się surowy prymityw.

Za kamieniem, drewnem i zamkami znajdowało się super nowoczesnie wyposażone laboratorium, stosujące najnowsze rozwiązania technologiczne, rozwijało się przez lata, stosując najnowszą wiedzę i robotykę, jaką można było kupić za pieniądze.

Ludzki personel obsługujący laboratorium został skompletowany z najtęższych umysłów w dziedzinie biologii w kraju. Teraz ludzie ci byli Sługusami, ich kontrolowane umysły czyniły z nich całkowicie lojalnych niewolników.

Wszystko dla jednego celu.

Istoty niepodobnej do niczego co istniałoby na świecie.

Istota ta znajdowała się na końcu korytarza za stalowymi, zaopatrzonymi w elektronicznie sterowany zamek, drzwiami. Wewnątrz celi skonstruowanej specjalnie dla tego mężczyzny, który nie był człowiekiem, ale wampirem, obcym potworem z innej odległej galaktyki.

Był Starożytnym, ostatnią pozostałością po istotach, które zapoczątkowały istnienie Rasy na ziemi. Jego wiek liczył się w tysiące lat, potężniejszy niż cała armia ludzi, nawet teraz, gdy był słaby, trzymany pod kontrolą, na granicy głodowej śmierci. Głód osłabił go, jak było to zamierzone, ale również podsycił jego furję. Wściekłość należało zawsze brać pod uwagę, gdy chciało się

zapanować nad potężną żywą istotą, taką jak ta w celi, podnosząca swoją pozbawioną włosów, pokrytą dermoglifami głowę.

Kraty z promieni skoncentrowanego ultrafioletowego światła, które otaczały celę, w dwu i trzy calowych odstępach, były bardziej skuteczne od stali. Starożytny nie musiał już tego sprawdzać, zrobił to wiele lat temu i omal nie stracił ręki w wyniku poparzeń. Na twarzy miał maskę, aby uspokajała go ale także chroniła jego oczy przed intensywnym blaskiem otaczającego go ultrafioletu. Był nagi ponieważ nikt nie przejmował się jego skromnością, a dla jego posiadacza najważniejsza była możliwość monitorowania najsubtelniejszych zmian w dermoglifach, które pokrywały najmniejszy skrawek skóry obcego.

Jeśli chodzi o urządzenia otaczające szyję, kończyny i tułów istoty, to były one przystosowane do podawania i pobierania różnych płynów, oraz ekstrakcji tkanek.

- Cześć dziadku - wycedził ten, który więził Starożytnego przez przeszło pięćdziesiąt ostatnich lat. On sam też był bardzo stary według ludzkiej oceny, miał blisko czterysta lat, jeśli liczyłby dni. Nie śledził upływu czasu już od dawna, nie obchodziło go to. Jako jeden z Rasy ciągle był młody. Sukces jakim było potajemne przetrzymywanie i kontrolowanie przez tak długi czas Starożytnego, sprawiał że czuł się jak Bóg.

- Wyniki wczorajszych testów, Mistrzu.

Człowiek, który podawał mu pliki z wynikami nie znał jego imienia, nikt z obsługi laboratorium go nie znał. Nikt nie miał pojęcia kim naprawdę jest.

Urodził się jako syn Dragosa, jego ojciec był pierwszym pokoleniem splodzonym, przez taką samą istotę, jak ta uwięziona w specjalnie dla niej zaprojektowanej celi, zabezpieczonej ultrafioletem i ukrytej głęboko pod ziemią. Urodzony w sekrecie i wysłany by wychowywali go obcy, przeżył długie lata zanim zrozumiał swój cel i powołanie.

Długo czekał aby dostać w swoje ręce nagrodę, która wyniosłaby go do wielkości.

- Miałeś przyjemny odpoczynek? - Mimochodem zapytał swojego więźnia, kiedy zamykał pliki z wynikami testów.

Istota nie odpowiadała, tylko powoli uniosła swoje wargi i z sykiem wciągnęła powietrze pomiędzy ogromnymi wydłużonymi kłami.

Przestała mówić około dziesięciu lat temu w wyniku gniewu, szaleństwa, czy też uczucia porażki, jego nadzorca nie znał powodu. Ale nie przejmował się tym. Niczego nie czuł do istoty, która przecież była jego rodziną. Starożytny był tylko środkiem do celu.

- No to co, zaczynamy? - Rzucił do swojego więźnia.

Wpisał kod wejścia do komputera, który nakazał urządzeniom w celi rozpocząć działanie. Testy były bardzo liczne, bolesne i długotrwałe, ale według opinii nadzorcy niezbędne. Płyny ustrojowe i wycinki tkanki zostały pobrane. Do tej pory jego eksperymenty nie przyniosły większych sukcesów, ale wciąż je obiecywały i to mu na razie wystarczało.

Przez ten czas, gdy wprowadzał i katalogował wyniki, Starożytny w swojej celi, gwałtownie opadł z sił, z powodu bólu i wyczerpania. Jego olbrzymie ciało drżało w spazmatycznych dreszczach, podczas gdy jego fizjologia naprawiała urazy doznane w wyniku nieludzkich eksperymentów.

- Jeszcze jedno doświadczenie i będzie komplet - wymamrotał nadzorca.

To ostatnie było najbardziej ryzykowne i zarazem najważniejsze, dla wampira powracającego do zdrowia, w celi za kratą z promieni UV.

Zamknięty na klucz w bardziej prymitywnym więzieniu człowiek, był odurzony narkotykami kobietą porwaną niedawno z ulicy. Również była naga, jej ufarbowane na ciemno włosy zostały krótko obcięte, tak żeby całkowicie odsłonić szyję. Jej oczy były nieprzytomne ze strachu, źrenice rozszerzone pod wpływem narkotyków wstrzykniętych przed chwilą.

Nie krzyczała ani nie walczyła, kiedy dwóch sługusów prowadziło ją do głównego laboratorium, jej małe piersi podrygiwały przy każdym kolejnym, niepewnym kroku.

W pewnym momencie zawisła bezwładnie na ramionach prowadzących ją mężczyzn, głowa poleciała jej do tyłu ukazując maleńkie znamię w kształcie kropli i półksiężyc ukryte pod brodą. Poruszała ospale bosymi stopami, kiedy przytwierdzano je do

zautomatyzowanego krzesła, które miało przewieść ją poprzez zaporę z UV wprost do celi Starożytnego.

Wewnątrz celi poluzowano nieco okowy więźnia, by mógł zająć się dziewczyną tak, jak nakazywał mu to jego instynkt drapieżnika.

- Pożywisz się teraz - powiedział mu nadzorca. - A później ją pokryjesz.

ROZDZIAŁ 14

To było cholernie dziwne uczucie znowu tu powrócić. Ale jeszcze dziwniejsze i bardziej surrealistyczne, było znalezienie się w swoich prywatnych apartamentach, w podziemiach bostońskiej kwatery głównej Zakonu.

Dante i Chase pojechali do laboratorium technicznego, zaraz po tym jak go tu przywieźli, pozostawiając Dylan i Rio samych. Przypuszczał, że wojownicy chcieli dać mu szansę na to by, mógł w poczuciu prywatności pożegnać się z dawnym życiem, z którego rok temu okradła go Ewe, dopuszczając się zdrady. Nie był w swojej kwaterze od bardzo dawna, ale to miejsce nic się nie zmieniło, było dokładnie takie jak je zapamiętał. Dokładnie takie samo, jak w chwili gdy musiał je opuścić, po wybuchu w magazynie, który posłał go ambulatorium na kilka ciężkich miesięcy rekonwalescencji

Apartamenty, które zajmował kiedyś wspólnie z Eve, były jak zamrożone w czasie. Wszystko było nienaruszone i w tych samych miejscach, jak tej piekielnej nocy, kiedy on i jego bracia wyszli na powierzchnię, by wykurzyć Szkarłatnych z ich kryjówek, a zamiast tego trafili na oślep w śmiertelną pułapkę.

Zasadzkę zaaranżowaną przez kobietę, która była jego Dawczynią Życia.

I właśnie tu w tej kwaterze, kiedy Rio ją odtrącił po odkryciu zdrady, Eve własnoręcznie podcięła sobie gardło. Zabiła się nad jego łóżkiem w lazarecie, ale to właśnie tutaj w pomieszczeniach mieszkalnych Rio najmocniej odczuwał jej obecność. Gust i osobowość Eve, nadały kształt tym wnętrzom, począwszy od ekstrawaganckich grafik na ścianach, których nie lubił, poprzez olbrzymie lustra umieszczone w pobliżu szafy, oraz na ścianie naprzeciwko królewskich rozmiarów łoża.

Rio przeniósł Dylan przez elegancki salon i pchnął podwójne francuskie drzwi, które prowadziły do sypialni połączonej z łazienką. Dostrzegł swoje odbicie w tafli lustra, w momencie gdy ostrożnie układał dziewczynę, w łóżu z czterema kolumnami na pościeli w kolorze ciemnej śliwki.

Aż się skulił na widok śniadej, zniszczonej twarzy nieznanego spoglądającego na niego z lustra. Nawet w markowej odzieży, którą dostał od Reichena, nadal wyglądał i czuł się jak potwór, tym mocniej, kiedy spoglądał na bezwładną piękność śpiącą w jego ramionach i całkowicie zdaną na jego łaskę.

Był potworem i nie mógł za to winić jedynie Eve. Urodził się bestią i mordercą, a teraz również jego wygląd o tym świadczył.

Dylan poruszyła się lekko, gdy ułożył ją na materacu i wsunął jedną z puszystych poduszek pod jej głowę.

- Obudź się - powiedział delikatnie głaszcząc dłońmi jej skronie. - Odpoczywałaś już dosyć długo, Dylan, teraz możesz się obudzić.

Nie było takiej potrzeby, by głąskał jej policzki, kiedy wybudzał ją z transu. Nie było konieczności, by pozwolić koniuszkom palców błądzić po aksamitnej skórze, przyprószonej lekka mgiełką, malutkich brzoskwiniowych piegów. Nie powinien bawić się obrysującym delikatnym dotykiem zarys jej szczęki, ale nie mógł się powstrzymać i nie wykorzystać pozostałego mu czasu.

Jej powieki zadrżały, ciemnobrązowa firanka rzęs uniosła się i Rio został złapany w pułapkę zielono-złotego spojrzenia. Spóźnił się z zabranieniem swojej dłoni z dala od jej twarzy i mógł zobaczyć, że miała świadomość tego na co sobie pozwolił. Nie cofnęła się jednak, nie wzdrygnęła, tylko westchnęła miękko przez rozchylone wargi.

- Boję się - szepnęła, jej głos był cichy i zachrypnięty od długiego snu, który jej nakazał. Nie była świadoma transu ani podróży. W swojej podświadomości wciąż przebywała w Mrocznej Przystani Reichena. - Boję się miejsca, do którego mnie zabierasz...

- Już tu jesteśmy - powiedział jej. - Właśnie przylecieliśmy.

Panika błysnęła w jej oczach.

- Gdzie...

- Przyniosłem cię na teren Zakonu, jesteśmy w moich kwaterach, tu jesteś bezpieczna.

Rozejrzała się szybko po swoim otoczeniu.

- Mieszkasz tutaj?

- Kiedyś mieszkałem. - Wstał i cofnął się od łóżka. - Czuj się jak u siebie w domu. Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować, tylko powiedz, postaram się żebyś to dostała.

- A co powiesz na mój powrót do Nowego Jorku, do domu? - zapytała, widocznie jej myśli wróciły już na właściwe tory - Albo o GPS-ie z zaznaczoną trasą z tego miejsca, w którym mnie teraz trzymasz, żebym mogła znaleźć drogę do domu.

Rio skrzyżował ramiona na piersi.

- Teraz tu jest twój dom, Dylan. Ponieważ jesteś Dawczynią Życia, będziesz traktowana z całym należnym ci szacunkiem. Zostanie ci zapewniony komfort, pożywienie i wszystko, czego będziesz potrzebować. Nie będziesz zamykana na klucz i będziesz mogła poruszać się swobodnie wewnątrz kompleksu mieszkalnego, ale ostrzegam żebyś nie próbowała uciekać. Cały teren jest szczelnie zabezpieczony. Moi bracia i ja nie skrzywdzimy cię, ale jeśli zapragniesz opuścić teren kwater, będę wiedział kiedy zrobisz pierwszy krok na zewnątrz. Jeśli będziesz próbować ucieczki, znajdę cię Dylan. - Była cicho przez parę sekund, przyglądała się mu i ważyła jego słowa.

- I co mi wtedy zrobisz, złapiesz mnie i wgryziesz się w moje gardło?

Chryste!

Rio poczuł jak krew uderza mu do głowy na samą myśl o tym. Zdawał sobie sprawę z tego, że dla niej ten akt wiąże się jedynie z przemocą, ale dla niego wyobrażenie sobie momentu gdy obejmując Dylan, przebija jej delikatną szyję swoimi kłami, był pełen czystej zmysłowości.

Fale gorąca przepłynęły przez jego ciało i skumulowały się w pachwinie. Czuł jeszcze ciepło jej jedwabistej skóry w koniuszkach swoich palców i teraz kolejna część jego ciała domagała się żeby je poznać. Odwrócił się gwałtownie, rozgniewany na swoje ciało, że tak szybko i gwałtownie na nią reaguje.

- Kiedy byłam w Jicin, słyszałam o człowieku, który został zaatakowany przez demona. Stary rolnik, który był świątkiem, powiedział że demon przybył z pobliskich gór aby zaspokoić głód. Pijąc ludzką krew. - W czasie gdy Dylan to mówiła. Rio stał tyłem do niej wpatrując się w drzwi przed sobą. Pamiętał noc o której mówiła, przypominał sobie ją bardzo wyraźnie, ponieważ był to ostatni raz przed opuszczeniem gór, kiedy się pożywiał. Obywał się wtedy bez

jedzenia przez prawie dwa tygodnie, kiedy zakradł się do małego gospodarstwa na skraju lasu u podnóża gór.

Głód uczynił go nieostrożnym. Starzec natknął się na niego i zobaczył atak, zobaczył, jak Rio trzymał swoje zęby na ludzkim gardle. To była bardzo ryzykowna pomyłka i prawdopodobnie uratowała ona życie jego ofierze, ponieważ Rio był wtedy bliski utraty panowania nad sobą podczas pożywiania się. Przestał polować tej samej nocy wystraszony myślą o tym co mogło się wydarzyć.

- To już byłaby przesada, nieprawdaż? - Głos Dylan, cichł w miarę zadawania pytania - Nie zrobiłeś tego. Rio?

- Rozgość się - warknął. Zmierzając do wyjścia chwycił jej komputer i aparat cyfrowy. - Mam coś do zrobienia.

Nie czekając na jej protesty lub dalsze pytania, wiedział, że musi wyjść stąd wyjść do cholery, kilkoma energicznymi krokami podszedł do otwartych francuskich drzwi prowadzących do salonu.

- Rosario... - Zatrzymał się na dźwięk jej głosu. Krzywiąc się, odwrócił głowę by na nią spojrzeć. Leżała na łóżku lekko unosząc się na łokciach.

Boże, wyglądała cudownie, niedbale, sennie, kusząco. Nie trzeba było zbyt wiele, by mógł ją sobie wyobrazić po nocy namiętnego seksu. Fakt, że leżała na śliwkowym jedwabiu jego łóżka jeszcze podkreślał ten pełen erotyzmu obraz.

- Co? - Jego głos wydobył się chrapliwie z gardła.

- Twoje imię - powiedziała, jakby on powinien wiedzieć co miała na myśli.

Przechyliła głowę obserwując go w poprzek pokoju.

- Powiedziałeś mi że Rio jest tylko częścią twojego imienia i zastanawiałam się tylko, od jakiego imienia wziął się ten skrót. Czy nie od Rosario?

- Nie.

- Więc jak masz na imię? - Kiedy nie odpowiadał, jej jasnobrązowe brwi zmarszczyły się w zniecierpliwieniu. - Po tym wszystkim co powiedziałaś mi w ciągu tych kilku dni, co ci szkodzi zdradzić mi, z jakim imieniem przyszedłeś na świat?

Zakpił z siebie w duchu, przypominając sobie wszystkie imiona i przydomki jakimi nazywano go od dnia jego urodzin. Żadne z nich nie było jego własnym.

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne, by je poznać?

Potrząsnęła głową i lekko wzruszyła szczupłymi ramionami.

- To nie jest takie ważne. Chyba po prostu jestem ciekawa i chciałabym dowiedzieć się o tobie czegoś więcej. Kim tak naprawdę jesteś?

- Uwierz mi, wiesz już dosyć - powiedział i soczyste przekleństwo spłynęło z jego warg. - Zaufaj mi Dylan Alexander, naprawdę nie chcesz wiedzieć o mnie nic więcej.

- Mylisz się jeśli tak sądzisz - wymruczała Dylan, obserwując jak Rio cicho opuszcza przestronny apartament. Zamknął za sobą drzwi zastawiając ją samą w łagodnie oświetlonym apartamencie.

Przekręciła się na bok na tym ogromnym łożu. Mięśnie jej nóg były osłabione, jakby nie używała ich przez wiele godzin. Podobnie i ona, czuła się jak gdyby była zziębnięta przez większą część nocy. Jeśli to co powiedział było prawdą, że opuścili Berlin i przylecieli do Stanów, to brakuje jej około dziewięciu godzin świadomej pamięci.

Czy to naprawdę możliwe?

Czyżby naprawdę wprowadził ją w trans na cały ten czas.

Była zaskoczona pieśczością jego palców na twarzy, w chwili gdy się obudziła. Jego dotyk był tak delikatny, ciepły i opiekuńczy. Ale również ulotny, skończył się tak szybko, gdy tylko zdał sobie sprawę, że już nie śpi. Nie chciała budzić w sobie, ani w Rio ciepłych uczuć, ale nie mogła zaprzeczyć że jest coś elektryzującego w tym jak na nią patrzył. Było coś niewątpliwie uwodzicielskiego w sposobie w jaki ją dotykał.

Chciała i potrzebowała dowiedzieć się o nim dużo więcej. Przecież będąc jeńcem leżało w jej interesie dowiedzieć się jak najwięcej o człowieku, który trzymał ją w garści. Będąc dziennikarką mającą nadzieję na napisanie bardzo dobrego artykułu, miała obowiązek odkrywać nawet najmniejsze fakty, aby dotrzeć do nagiej prawdy.

Ale Dylan zdawała sobie sprawę że jej zainteresowanie Rio wynikało z czysto kobiecej słabości, jaką do niego czuła i ta prawda doskwierała jej najbardziej.

To bardzo osobiste pragnienie, by dowiedzieć się jak najwięcej o tym jakim człowiekiem jest Rio, kazało rozejrzeć się dokładniej po jego sypialni. Wystrój był przytłaczająco zmysłowy, w nasyconych

kolorach drogich kamieni, śliwkowy jedwab pościeli kontrastował ze złotą barwą ścian. Kolekcja abstrakcyjnych, kłujących w oczy obrazów zajmowała jedną ścianę, na drugiej znajdowało się umieszczone strategicznie naprzeciwko łóżka, olbrzymie, ozdobnie oprawione lustro. To było no cóż...

- Subtelne - wymruczała Dylan z ironią, przechadzając się po sypialni dotarła do podwójnych drzwi prowadzących do następnego pomieszczenia. Otworzyła je i poczuła, że opada jej szczeka. To była garderoba, większa od całej jej garsoniery na Brooklynie. - Mój Boże!

Weszła do środka i uświadomiła sobie, że widać jej odbicia z każdej strony.

- Oczywiście, dlaczego by się nie podziwiać jeśli ma się do dyspozycji połowę kolekcji Marcusa Neimana.

Okręciła się dookoła i pokręciła nosem na ubrania i buty o wartości wielu tysięcy dolarów i nagle dotarło do niej że tylko niewielką część garderoby zajmowała męska odzież. Reszta należała do kobiety, drobnej, ale z kosztownym gustem. Te męskie ciuchy mogły należeć do Rio, ale było też pewne jak cholera, że nie mieszkał tu samotnie.

Pieprzyć to. Był żonaty?

Dylan wycofała się tyłem i zamknęła drzwi, chcąc przyjrzeć się dokładniej reszcie apartamentu. Przeszła do salonu, dostrzegając teraz wszędzie dotyk kobiecej ręki.

Wystrój nie był w jej stylu, ale jakie ona miała pojęcie o dekorowaniu ekskluzywnych wnętrz. Jej najlepszymi meblami były, rozlatująca się komoda i sofa do spania, którą kupiła z drugiej ręki.

Dylan pozwoliła więc swojej dłoni prześliznąć się po bogato rzeźbionym w orzechowym drewnie oparciu krzesła i kontynuowała podziwianie bogato wyposażonego wnętrza. Kiedy przechodziła obok pokrytej złotym aksamitem sofy jej spojrzenie padło na mały stolik z kolekcją oprawionych w ramki zdjęć.

Pierwsza fotografia na, której spoczęły jej oczy przedstawiała Rio. Siedział po stronie pasażera, w wiśniowym ekskluzywnym kabriolecie marki Thunderbird zaparkowanym na oświetlonej księżycowym blaskiem plaży. Ubrany był w czarną jedwabną koszulę z podpinanym na dwa guziki kołnierzem i ciemne spodnie, tak leniwie rozparty na siedzeniu na ile pozwalało mu na to miejsce. Jego uda

były swobodnie rozchylone, a jedna z bosych stóp zanurzała palce w biały, drobny piasek.

Jego topazowe spojrzenie błyszczało sekretną mądrością, a jego uśmiech był równie niebezpiecznie dekadentcki co grzesznie kuszący.

Dobry Boże, ale był z niego przystojniak.

Aby być do końca sprawiedliwym, pojęcie przystojniak nie oddawało prawdy o nim nawet w połowie.

Zdjęcie nie wyglądało na bardzo stare. Nie miał blizn po lewej stronie twarzy, więc wypadek, który go oszpecił musiał wydarzyć się całkiem niedawno. Cokolwiek mu się stało, obrabowało go nie tylko z niewiarygodnie idealnego wyglądu, ale gniew i złość, która narosła w nim i którą nosił w sobie kazały przypuszczać, że spotkała go o wiele większa tragedia. Dylan długo przyglądała się jego zdjęciu z dawnych szczęśliwszych czasów i zastanowiła się nad jego upadkiem.

Spojrzała na następną fotografię, bardzo starą. Była w kolorze sepii, studium kobiety o ciemnych włosach w zapinanej pod szyję, przybranej pienistymi koronkami wiktoriańskiej sukni. Dylan pochyliła się, żeby dokładniej obejrzeć egzotyczną piękność o słodkim uśmiechu, która mogła być babcią Rio. Ciemne oczy patrzyły wprost w obiektyw aparatu, czysto uwodzicielskim spojrzeniem. Była piękna i zmysłowa, pomimo skromnej mody z jej czasów.

Jej twarz... wydawała się dziwnie znajoma.

- O mój Boże!

Niedowierzenie zamieniło się w zachwyt i zalało Dylan wpatrującą się w następną fotografię stojącą na stoliku obok sofy. Ta była kolorowa, zrobiona nie dawniej niż w ciągu ostatnich dziesięciu lat... i to była ta sama kobieta, co na starej fotografii. Była to nocna fotka kobiety stojącej na kamiennym mostku w parku, śmiała się jej długie włosy figlarnie rozwiewał wiatr. Wydawała się taka szczęśliwa, ale Dylan dostrzegła, że głębokie spojrzenie jej ciemnych oczu kryło bolesne tajemnice i to mroczne spojrzenie zostało utrwalone przez osobę, która zrobiła to zdjęcie.

Dylan rozpoznała twarz kobiety na obu fotografiach znajdujących się na stoliku, chociaż było to niemożliwe ze względu na rozbieżność w czasie. To była ta sama twarz, twarz kobiety którą spotkała w górach Jicin, twarz zmarłej.

Potęga północy

Piękny duch, który z takim uporem prowadził Dylan do jaskini gdzie spotkała Rio, był jego żoną.

ROZDZIAŁ 15

Było tak jakby nigdy stąd nie wyjeżdżał.

Rio stał w laboratorium technicznym Zakonu w otoczony przez braci: Lucana, Gideona i Tegana. Każdy z nich przywitał go oferując pełen przyjaźni i zaufania uścisk dłoni.

Uścisk Tegana był najdłuższy. Rio wiedział, że ten płowowłosy i zielonooki wojownik o kamiennej twarzy, poprzez proste uściśnięcie dłoni, może odczytać jego niepewność i poczucie winy. To był specjalna zdolność Tegana, mógł wyczuwać prawdziwe uczucia i emocje dotykając danej osoby.

Niemal niezauważalnie potrząsnął głową.

- Gówniane szczęście, chłopie. I Bóg wie, że w każdym z nas szaleją, szarpiąc łańcuchy jakieś demony. Więc nikt z nas nie ma prawa cię oceniać. Rozumiesz?

Rio kiwnął głową kiedy Tegan puścił jego rękę. Podał torbę z laptopem Dylan Gideonowi i spojrział w głąb laboratorium, gdzie Dante z Chasem czyścili broń przed nocnym patrolem. Dante kiwnął mu głową, ale stalowe spojrzenie Chase'a mówiło, że surowo go osądza i nie ufa mu. Mądry człowiek. Rio zorientował się, że reakcja byłego agenta Mrocznej Przystani była prawdopodobnie taka sama jaką miałby, gdyby nagle zmieniła się załoga samolotu, co mogło grozić przymusowym lądowaniem, albo katastrofą, a Chase był jednym z jego pasażerów.

- Jak dużo ta kobieta o nas wie? - Zapytał Lucan.

Ten dziewięćsetletni, pochodzący z pierwszego pokolenia Rasy, założyciel Zakonu i jego przywódca, potrafił kontrolować wszystkich znajdujących się w tym pomieszczeniu, jedynie uniesieniem ciemnych brwi. Rio uważał go jednak za przyjaciela tak jak i wszystkich obecnych tu wojowników, którzy byli dla niego jak rodzina i nienawidził jak diabli myśli, że mógłby go rozczarować.

- Powiedziałem jej tylko najistotniejsze rzeczy - odpowiedział Rio. - Myślę, że teraz uwierzyła już we wszystko.

Lucan mruknął, kiwając głową w zamyśleniu.

- To piekielnie dużo. Czy zrozumiała do czego służyła krypta w skale?

- Nie dokładnie. Usłyszała jak rozmawiałem z Gideonem o komorze hibernacyjnej, ale nic ponadto. I jest pewne jak piekło, że nie planowałem dawać jej żadnych wskazówek. Wystarczająco źle się stało, że widziała to wszystko. - Rio westchnął ciężko. - Jest inteligentna, Lucanie. Nie sądzę by potrzebowała wiele czasu, żeby dopasować do siebie kawałki układanki.

- Więc będzie lepiej jeśli zaczniemy szybko działać. Mniej ważnymi szczegółami zajmiemy się później, tak będzie prościej. - Powiedział Lucan. Spojrzał na Gideona, który patrzył w otwarty laptop Dylan, leżący na elektronicznej konsoli przed nim. - Jak myślisz bardzo ciężko będzie dostać się do środka i wyczyścić zdjęcia przesłane pocztą elektroniczną?

- Wyczyszczenie plików źródłowych na jej komputerze i aparacie fotograficznym jest łatwe, pół minuty roboty.

- Co z plikami u odbiorców wiadomości?

Gideon skrzywił się, jakby obliczał wartość netto pierwiastka kwadratowego z Billa Gatesa.

- Około dziesięciu minut, żeby wysłać z twojego twardego dysku kulę burzącą do wszystkich komputerów na jej liście. Trzynaście, jeśli poszukamy czegoś z większą odrobiną finezji.

- Pieprzyć finezję - powiedział Lucan. - Zrób cokolwiek chcesz byleby wszystkie materiały z gór, które wysłała wylądowały w koszu.

- Właśnie to robię - odpowiedział Gideon, odprawiając swoje czary na obu urządzeniach.

- Możemy pozbyć się elektronicznych plików, ale ciągle musimy zająć się ludźmi, którzy mieli kontakt z informacjami o jaskini, stwierdził Rio. - Poza jej pracodawcą są jeszcze trzy kobiety z którymi podróżowała, oraz jej matka.

- Pozostawiam to tobie - powiedział Lucan. - Nie obchodzi mnie jak się do tego zabierzesz, użyjesz dziewczyny żeby zaprzeczyła tej historii, zdyskredytujesz ją, albo po kolei wynajdziesz i wyczyścisz pamięć wszystkim osobom, które mogły mieć kontakt z tymi informacjami. To twój wybór Rio. Po prostu to załatw, wiem jak bardzo chcesz to zakończyć.

Rio kiwnął głową.

- Daję ci słowo Lucan, załatwię to.

Wyraz twarzy czystej krwi wampira pozostał grobowo poważny.

- Nie mam żadnych wątpliwości co do tego. Nigdy w ciebie nie zwątpiłem i nie zwątpię.

To niezasłużone zaufanie Lucana, było dla Rio niespodziewanym darem, którego nie zamierzał roztrwonić, nie ważne jak bardzo słaby psychicznie i rozbity by się czuł.

Przez wiele lat, Zakon i wojownicy, którzy w nim służyli byli całym jego światem i głównym celem w życiu. Przewyższało to nawet jego miłość do Eve, która na zewnątrz to akceptowała, ale w głębi duszy oburzało ją to i raniło. Rio był głęboko i własnym honorem związany, z każdym z wojowników, jakby byli jego rodziną.

Zobowiązał się do walki, a nawet śmierci u ich boku. Rozejrzał się dookoła upokorzony poważnym wyrazem twarzy tych odważnych pięciu mężczyzn Rasy, o których wiedział, że też bez wahania oddaliby za niego życie.

Rio odchrząknął, czując się niezręcznie z tym, niemal jednogłośnym powitaniem i akceptacją ze strony braci. W tym momencie szklane drzwi laboratorium otwarły się gwałtownie wpuszczając wchodzących zamaszystym krokiem z korytarza Niko, Broka i Kade'a. Trzej wojownicy rozmawiali z ożywieniem, wnosząc do laboratorium orzeźwiająca atmosferę koleżeństwa.

- Hej - powiedział Niko, rzucając pozdrowienie wszystkim obecnym. Jego lodowato-błękitne spojrzenie na pół sekundy zahaczyło Rio, zanim zaczął zdawać raport z nocnego patrolu Lucanowi. - Zjaraliśmy Szkarłatnego w dole rzeki jakąś godzinę temu. Bękart odsypiał zabójstwo w Dumpster, kiedy go znaleźliśmy.

- Myślisz, że był to jeden z psów gończych Marka? - Zapytał Lucan, myśląc o osamotnionej armii wampirów, którą gromadził jego własny brat do czasu, gdy Zakon wykonał na nim wyrok. Marek nie żył, ale resztki jego armii wciąż wymagały wytropienia i unicestwienia.

Nikolai przecząco pokręcił głową.

- Ten krwio pijca nie był żołnierzem. To był tylko biedny nałogowiec krwi, który kilka nocy temu opuścił Mroczną Przystań, łatwy do eliminacji. - Urodzony w Rosji wampir spojrzał z krzywym

uśmiechem za plecy Rio, na Dante i Chase'a. - Jakaś akcja na South Side?

- Nie, do cholery - warknął Chase. - Byliśmy zbyt zajęci odbieraniem przesyłek z lotniska.

Nikolai odchrząknął, słysząc ten komentarz i spojrzał na Rio.

- Najwyższy kurwa czas, człowieku. Miło cię widzieć w jednym kawałku.

Rio znał tego mężczyznę na tyle dobrze by wiedzieć, że jego odzywka nie była przyjacielska. Ze wszystkich wojowników Zakonu, to zawsze Niko pierwszy stawał za nim murem, czy Rio zasługiwał o to czy nie. Niko był dla Rio jak brat, którego nigdy nie miał, obaj urodzili się w ubiegłym wieku, obaj dołączyli do Zakonu w Bostonie mniej więcej w tym samym czasie.

Dziwne było to że Nikolai nie był obecny w chwili przyjazdu Rio, ale znając jego zamiłowanie do walki, prawdopodobnie wkurzył się że musiał skrócić swój patrol, choć do bladego świtu zostało jeszcze parę godzin.

Zanim Rio odpowiedział coś staremu druhowi, Niko znowu skierował swoją uwagę na Lucana.

- Szkarłatny, którego namierzyliśmy dzisiejszej nocy był bardzo młody, ale zabójstwo, które za sobą zostawił wyglądało na robotę więcej niż jednego wampira. Chcę wrócić w tamto miejsce jutrzejszej nocy i powęszyć trochę wkoło, myślę, że możemy znaleźć tam coś więcej.

Lucan pokiwał głową.

- Niezły pomysł.

Odchodząc na bok, Niko odwrócił się do Kade'a i Broka.

- Mamy jeszcze dosyć czasu przed wschodem słońca, na małe polowanko dla własnych potrzeb. Czy ktoś jeszcze poczuł się nagle spragniony?

Wilcze oczy Kade'a rozbłyły jak czyste srebro.

- Jest takie miejsce około godziny jazdy w kierunku do North End, które prawdopodobnie mogłoby nas zainteresować. Mnóstwo słodkich, młodych jabłuszek gotowych do zerwania.

- Dolicz i mnie - wycedził Chase, wstając z fotela w pobliżu Dantego i dołączając do trzech mężczyzn zmierzających do wyjścia z laboratorium.

Rio obserwował ich przez chwilę, ale kiedy Nikolai zamykający grupę miał już wyjść na korytarz, wysyczał przekleństwo w kierunku pleców przyjaciela i zawołał za nim.

- Niko poczekaj. - Wojownik szedł dalej jakby go nie słyszał. - Zatrzymaj się stary. Niech to szlag, Nikolai. Co się do cholery z tobą dzieje?

Chase, Brock i Kade zatrzymali się, żeby zobaczyć co się stało, Niko machnął na nich żeby szli dalej. Ruszyli i zniknęli za zakrętem korytarza. Po kilku długich sekundach Nikolai w końcu się odwrócił.

Twarz przyjaciela, którą odwrócił się do Rio w białym tunelu korytarza, była martwa i bez wyrazu.

- Dobra. Oto jestem. Czego chcesz?

Rio nie wiedział co na to odpowiedzieć, wrogość wiała od jego najlepszego kumpla jak mroźny zimowy wiatr.

- Zrobiłem coś co cię wkurwiło?

Ostry drwiący śmiech Niko odbił się od polerowanych marmurowych ścian korytarza.

- Pieprzę cię, facet.

Odwrócił się i zaczął iść korytarzem.

Rio dogonił go w mgnieniu oka. Chciał chwycić wojownika za ramię i zmusić go do zatrzymania się, ale Niko poruszał się szybciej. Odwrócił się i uderzył Rio w przedramię na wysokości mostka, męczyzna wyładował plecami na twardej ścianie po przeciwnej stronie korytarza.

- Chcesz umrzeć, ty skurwysynu? - Oczy Niko zwięzły się, pod wpływem gniewu bursztyn zaczął wypierać błękit. - Jak chcesz się kurwa zabić, to twoja sprawa. Ale ja ci w tym nie pomogę. Jasne?

Mięśnie Rio napięły się gotowe do walki, jego agresja narastała, mimo że miał do czynienia z długoletnim zaufanym przyjacielem. Ale to co powiedział Nikolai, sprawiło, że Rio pohamował swoją narastającą furję i rozpalającą go chęć do walki, w jednej chwili. Nagle wściekłość Niko nabrała dla niego sensu. Zrozumiał że, Niko zdał sobie sprawę z tego, że Rio zostając tak długo w czeskich górach planował ze sobą skończyć. Jeśli nie był pewien tego pięć miesięcy temu, to teraz było pewne jak piekło, że to do niego dotarło.

- Okłamałeś mnie - Niko wrzał z wściekłości. - Patrzyłeś mi prosto w oczy i kłamałeś, facet. Nigdy nie planowałeś pojechać do

Hiszpanii. Co zamierzałeś zrobić z tymi ładunkami C4, które ci zostawiłem, prywatnie zbawić się w dżihad. Okręcić się tym głównym i boom, a może po prostu wysadzić się razem z jaskinią i pogrzebać się wewnątrz tego opuszczonego grobu na wieki wieków. Mam rację, amigo? Który sposób wybrałeś?

Rio nie odpowiadał. To nie było potrzebne. Ze wszystkich wojowników Zakonu, Nikolai znał go najlepiej. Zobaczył w nim słabego tchórza, jakim był naprawdę. Tylko on dostrzegł jak blisko Rio był tego, by zakończyć to całe cholerstwo, jeszcze przed przybyciem w czeskie góry. To Niko był tym, kto nie pozwolił mu pogrążyć się we wstępie do samego siebie, to on uczynił swoją osobistą misją, wyciągnięcie Rio z mrocznego wiru, który go wciągał zeszłego lata. Niko był tym, kto czuwał nad nim w następnych tygodniach, polował dla niego gdy Rio był zbyt słaby, aby o siebie zadbać. Nikolai, brat, którego Rio nigdy nie miał.

- Taaa - Niko zaśmiał się drwiąco. - Jak powiedziałem. Pieprzę cię Rio.

Zabrał dłoń z piersi Rio i wycofał się warcząc przekleństwa. Rio obserwował jak buty jego przyjaciela z nerwowym pośpiechem pokonują korytarz i Niko dołącza do innych wojowników oczekujących go na powierzchni.

- Cholera - wychrypiał Rio, przegarniając palcami włosy.

To starcie z Niko było dla niego jeszcze jednym dowodem na to, że nie powinien był wracać do Bostonu, nawet gdyby miało się to wiązać z pozostawieniem do załatwienia problemu Dylan Alexander komuś innemu. Już tu nie pasował. Czuł się tu obco jak słabe ogniwo, w zwartym stalowym łańcuchu odważnych wojowników Rasy.

Ciągle czuł jak jego skronie pulsują od adrenaliny, która zalała jego organizm kilka minut temu, kiedy wyglądało tak jakby Niko chciał odepchnąć go od siebie. Wzrok zaczął go zawodzić obraz rozpływać się, gdy stał tam w bezruchu oparty o zimną ścianę. Wiedział, że jeśli nie ruszy się stąd i nie znajdzie jakiegoś dyskretnego miejsca, żeby przetrwać nadchodzące załamanie, to prawdopodobnie za parę minut ocknie się z tyłkiem na posadzce korytarza. I szczerze mówiąc, świadomość, że wychodzący z laboratorium Lucan i wojownicy zobaczą jaką jest ofiarą losu, nie było tym co pragnął dołożyć do bagażu swoich doświadczeń.

Rio zmusił swoje nogi do stawiania kroku za krokiem i powoli z trudnością udało mu się znaleźć drogę do części mieszkalnej, gdzie mieściła się jego kwatery. Potknął się wchodząc do środka zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie, gdy pierwsza fala mdłości przetoczyła się przez niego.

- Dobrze się czujesz?

Usłyszał kobiecy głos dobiegający z głębi apartamentu. Początkowo nie mógł go sobie przypomnieć i dopasować do osoby, jego mózg walczył by zachować podstawowe funkcje, a poza tym ten jasny, krystaliczny głos nie wydawał się pasować do tego miejsca pełnego starych, pachnących stęchlizną wspomnień.

Odepchnął się od drzwi i powłókł się przez salon w kierunku sypialni, czuł jakby jego czaszka miała za chwilę eksplodować.

Gorąca woda. Ciemność. Cisza. W tej chwili, potrzebował tylko, tych trzech rzeczy.

Ściągnął podkoszulek i rzucił go na śmieszny aksamitny, złotą sofę Eve. Powinien spalić całe to jej gówno. Szkoda że tego nie zrobił i przy okazji nie wepchnął tam również tej zdradzieckiej suki.

Rio uchwycił się swojej złości na Eve i jej zdradę, słaba to była kotwica, ale tylko tego mógł się teraz uchwycić. Doszedł do otwartych, podwójnych drzwi prowadzących do sypialni i usłyszał ciche sapnięcie dobiegające ze środka.

- O mój Boże Rio, co z tobą?

Dylan.

Jej imię podziałało na jego poraniony, spowity mgłą umysł jak balsam. Namierzył wzrokiem swojego niechcianego gościa siedzącego na krawędzi łóżka, z czymś prostokątnym i płaskim, spoczywającym na jej kolanach. Odłożyła tą rzecz na nocny stolik obok i podbiegła do niego w chwilę przed tym, zanim ugięły się pod nim kolana.

- Pysznic - udało mu się wychrypieć.

- Spróbuj stanąć na nogi. - Pomogła mu szczęśliwie dojść do łóżka, na które upadł. - Wyglądasz jakbyś potrzebował lekarza. Jest ktoś kto może ci pomóc?

- Nie - jęknął. - Pysznic...

Był zbyt słaby, żeby wykorzystać zdolności swojej Rasy i siłą umysłu odkręcić kran, ale nie musiał tego robić. Dylan właśnie

pobiegła do przyległej łazienki. Usłyszał syk lecącej się z prysznicą wody i miękkie kroki Dylan po dywanie, kiedy wracała z łazienki do niego, leżącego żałośnie tam gdzie upadł, z nogami poza łóżkiem.

Ledwie zarejestrował spowolnienie jej kroków kiedy podeszła bliżej. Usłyszał nad sobą jej oddech, który przyspieszył i stał się urwany, oraz drżący wydech, kiedy wydyszała ciche pełne współczucia przekleństwo.

- Jezu Chryste. - Szepnęła po długiej chwili ciszy jaka nastąpiła po jej przekleństwie. Następnie zapytała. - Rio... Mój Boże. Przez jakie piekło ty przeszedłeś?

Korzystając z resztki sił jaka mu pozostała, Rio uniósł powieki. To był duży błąd.

Ujrzał prawdziwe przerażenie w oczach Dylan. Patrzyła na jego niczym nie osłoniętą lewą stronę ciała... klatkę piersiową i tułów, które zostały tak pokiereszowane odłamkami i poparzone przez płomienie eksplozji, że niemal obdarte ze skóry do kości. Jasne było, że ledwie uszedł z życiem.

- Czy ona... - miękki głos Dylan załamywał się. - Czy twoja żona miała coś wspólnego z tym, co ci się stało, Rio?

Jego puls zamarł. Krew która pulsowała w uszach zamieniła się w lód, spojrzawszy zmęczonym wzrokiem w zatroskaną i zaciekawioną twarz Dylan.

- Czy ona ci to zrobiła?

Podążył wzrokiem za dłonią Dylan, którą wskazywała fotografię w ramce na nocnym stoliku. Nie potrzebował oglądać zdjęcia za szkłem, żeby wiedzieć że jest to nocna fotka Eva z ich wspólnego spaceru wzdłuż Charles River. Eva uśmiechała się. Eva mówiła jak bardzo go kocha, a za plecami spiskowała z wrogiem, żeby zrealizować własne egoistyczne cele.

Rio warknął gdy przypomniał sobie własną głupotę. Był ślepy.

- To nie dotyczy ciebie - mruknął, wciąż dryfując w ciemności, która pochłaniała jego skołatany umysł. - Nic o niej nie wiesz.

- Ona była tą, która przyprowadziła mnie do ciebie. Widziałam ją w górach koło Jacin - Irracjonalne podejrzenie zaostriżyło jego gniew do śmiertelnie niebezpiecznego poziomu.

- Co masz na myśli, kiedy mówisz że ją widziałas. Znasz Eve?

Dylan przełknęła ślinę i lekko wzruszyła ramionami. Odwróciła zdjęcie frontem do niego.

- Widziałam ją... a dokładniej jej ducha, był tam na tej górze... z tobą.

- Gówno prawda - warknął. - Nie chcę więcej rozmawiać na temat tej kobiety. Ona nie żyje i spoczywa tam gdzie jest jej miejsce. W grobie.

- Ona prosiła żebym ci pomogła, Rio. Szukała mnie. Chciała żebym cię ocaliła...

- Mówiłem ci, że to bzdury!

Ślepa furia poderwała jego ciało z materaca, uderzył gwałtownie jak błyskawica.

Wyrwał ramkę ze zdjęciem z rąk Dylan i rzucił nią na oślep przez pokój z oszalamiającą siłą. Uderzyła w ogromne lustro na ścianie naprzeciwko łóżka, tysiące ostrych jak żyłki błyszczących odprysków eksplodowało dookoła.

Usłyszał płacz Dylan, ale dopóki nie poczuł pachnącej jałowcem woni jej krwi nie zdawał sobie sprawy z tego co zrobił.

Zasłaniała dłonią policzek, a kiedy oderwała palce, były zabarwione szkarłatem z niewielkiego rozcięcia, tuż pod lewym okiem. To był widok, który wyrwał Rio z pochłaniającego go mrocznego wiru. Podziałał na niego jak wiadro lodowatej wody wylanej na głowę, widząc raną Dylan momentalnie otrzeźwiał.

- O Chryste - syknął. - Przepraszam... przepraszam.

Podniósł się żeby ją dotknąć, sprawdzić jak bardzo ją skrzywdził, ale odsunęła się od niego z przerażeniem w oczach.

- Dylan... nie chciałem tego, nie pomyślałem...

- Trzymaj się z dala ode mnie. - Wyciągnął do niej rękę, starając się przekonać ją że, nie ma złych intencji. - Nie. - Wzdrygnęła się, potrząsając głową w szoku. - Och, mój Boże. Nie dotykaj mnie.

- Madre de Dios.

Całkowicie pogrążona w strachu przed nim, Dylan drżała wpatrując się w niego oczami pełnymi przerażenia i szoku.

Kiedy przesunął językiem po zębach zahaczając o ostre zakończenia długich kłów, Rio zrozumiał co jest źródłem jej strachu. Stał przed nią wampir, wcześniej mówił jej kim jest, ale jej umysł nie chciał tego zaakceptować.

Teraz to do niej dotarło.

Prawda dotarła do niej, kiedy zobaczyła fizyczne zmiany jakie w nim zaszły, zmieniając pokrytego bliznami szaleńca, w prawdziwego potwora z nocnych koszmarów. Już nie ukrywał swoich kłów, które wydłużały się w miarę narastania w nim głodu. Pragnienie krwi zwężyło jego źrenice i wypełniło oczy bursztynowym blaskiem.

Przyglądał się strumyczkowi krwi spływającemu z małego nacięcia po jej okiem, w dół po kremowym policzku. Z trudem zebrał myśli.

- Próbowałem ci to powiedzieć Dylan. Oto czym jestem.

ROZDZIAŁ 16

- Wampir.

Dylan usłyszała to słowo, gdy bezwiednie wysunęło się spomiędzy jej warg, nie dowierzała swoim oczom.

W ciągu kilku chwil, Rio zmienił swój wygląd dosłownie na jej oczach. Patrzyła w szoku na zmiany, jakich była świadkiem. Jego tęczówki świeciły jak rozpalone węgle, nie miały już swojego zwykłego koloru przydymionego topazu, ale przybrały świetlista bursztynową barwę, która prawie całkiem pochłonęła niesamowicie zwężone źrenice. Rysy jego twarzy wyglądały bardziej surowo, wyostrome kości policzkowe i kwadratowa szczęka, która wyglądała jak wyciosana z kamienia.

A z pomiędzy pełnych, pięknie wykrojonych warg Rio, wystawała para kłów jak na filmie klasy B.

- Ty... - Jej głos zadrżał pod wpijającym się w nią spojrzeniem hipnotycznych bursztynowych oczu. Osłabła przysiadła na brzegu łóżka. - Mój Boże. Ty naprawdę jesteś...

- Pochodzę z Rasy - powiedział po prostu. - Tak jak ci mówiłem.

Siedząc naprzeciwko niego, widziała dokładnie jego szeroki, muskularny, nagi tors. Skomplikowany wzór znaków wtopionych w jego skórę zdobił jego ramiona oplatał barki i opuszczał się na piersi. Cały wachlarz skomplikowanych wzorów, dermoglifów, jak je nazwał kiedy po raz pierwszy je zauważyła, raziły teraz jaskrawymi kolorami, jaskrawszymi, niż wtedy gdy widziała je pierwszy raz.

Głęboka czerwień, purpura i czerń nasycali i podkreślali piękno skomplikowanych łuków i linii.

- Nie mogę kontrolować przemiany - wymruczał, jakby czuł się zobowiązany jej to wytłumaczyć. - Przemiana jest automatyczną reakcją każdego osobnika rasy, kiedy poczuje świeżo rozlaną krew.

Jego spojrzenie przesunęło się od jej oczu w dół, gdzie zraniony odłamkiem lustra policzek lekko piekł. Poczwała jak ciepła kropla krwi spływa jej na brodę jak łza. Rio przyglądał się spływającej kropli z intensywnością przyprawiającą ją o dreszcze.

Oblizwał wargi, przełknął ślinę, ale jego zęby pozostawały zaciśnięte jak imadło.

- Zostań tu - powiedział, marszcząc mocno brwi, jego głos był władczy i mroczny.

Instynkt podpowiadał Dylan, że to dobry moment na ucieczkę, ale odrzuciła strach. To było dziwne, ale poczuła że poznała tego człowieka przez tą garść minionych dni, kiedy zmuszeni byli przebywać razem. To pewne, że Rio nie był święty. Uprowadził ją, uwięził i ciągle nie była pewna co zamierzał z nią zrobić, ale nie uważała, że mógłby być dla niej niebezpieczny.

To czego była właśnie świadkiem nie było powodem do świętowania, ale w głębi serca, nie czuła strachu przed tym czym był.

Dobra, może nie całkiem.

Woda z prysznicą wciąż się lała. Po chwili usłyszała jak Rio zakręca kran. Wszedł niosąc wilgotną białą ściereczkę. Podał ją jej z odległości wyciągniętego ramienia.

- Przyciśnij to do rany, zatamujesz krwawienie.

Dylan zwinęła ściereczkę i przyłożyła ją do policzka. Nie mogła nie zauważyć jak głęboko Rio odetchnął, gdy zasłoniła rozcięcie i jaką poczuł ulgę, że nie musi już patrzeć na krew. Ognisty kolor jego oczu zaczął przygasać, wydłużone źrenice powróciły do normalnego kształtu. Ale jego dermoglify wciąż jaśniały żywymi barwami, a kły wyglądały na śmiertelnie ostre.

- Ty naprawdę jesteś... jesteś, prawda? - mruzczała. - Jesteś wampirem. Cholera, nie mogę uwierzyć, że to prawda. Chodzi mi o to, jak to możliwe, że to prawda. Rio?

Usiadł przy niej na łóżku, w odległości nie większej niż pół metra.

- Już ci to wyjaśniałem.

- Pijące krew pozaziemskie istoty i kobiety z pasującym do nich DNA - powiedziała, przypominając sobie jego dziwaczne opowieści o hybrydach wampirzej rasy, próbowała potraktować to wtedy, jak fantastyczną opowieść. - To wszystko były fakty?

- Prawda jest trochę bardziej skomplikowana, niż to co zrozumiałaś, ale tak. Wszystko co ci powiedziałem to fakty.

Niewiarygodne.

Absolutnie niewiarygodne, niepojęte.

Mała wyrachowana cząstka w niej, niemal krzyknęła z radosnego podniecenia wyczuwając potencjalną sławę i fortunę, jaką mogłoby przynieść jej opublikowanie tej niewiarygodnej historii. Ale inna jej cząstka, ta o której związku z tym nowym, dziwnym światem przypominało jej małe znamię na karku, sprawiała że poczuła natychmiastową potrzebę ochrony go, tak jakby Rio i świat, w którym on żyje był cudowną tajemnicą, która należała wyłącznie do niej.

- Przepraszam, że cię zdenerwowałam - powiedziała mu cicho. - Nie powinnam była grzebać w twoim prywatnym życiu, kiedy cię tutaj nie było.

Gwałtownie uniósł głowę i zmarszczył ciemne brwi, wymruczał barwne i dosadne przekleństwo.

- Nie musisz mnie przepraszać, Dylan. Tylko ja tu zawiniłem. To nigdy nie powinno się wydarzyć. Nikt nie powinien być przy mnie, kiedy jestem w takim stanie.

- Teraz wyglądasz trochę lepiej.

Kiwnął głową i opuścił ją nisko na klatkę piersiową.

- Wściekłość... w końcu mija. Jeśli ciemność nie dopadnie mnie w kilku pierwszych chwilach, czasami... może minąć.

Nie wiele było trzeba, aby mógł sobie wyobrazić, jak wyglądał kiedy wszedł niedawno na kwaterę. Nie mógł już prawie myśleć, jego nogi odmawiały posłuszeństwa, gdy walczył o zrobienie każdego następnego kroku. Ledwo kojarzył, a jego ciało, wszystkie mięśnie i kości drżały od wstrzymywanej furii.

- Co wywołuje w tobie ten stan, Rio?

Wzruszył ramionami.

- Drobiazgi. Nic szczególnego, nigdy nie mogę tego przewidzieć.

- Czy tego rodzaju wściekłość jest częścią tego kim jesteś? Czy wszyscy pochodzący z Rasy muszą przechodzić przez taką mękę?

- Nie - szydził sam z siebie pod nosem. - Nie, ten problem dotyka tylko mnie. Coś popieprzyło mi się w głowie. Nie jestem sobą od ostatniego lata.

- Czy miałeś jakiś wypadek? - Zapytała go delikatnie. - Czy nieszczęśliwy wypadek był, tym co ci się przytrafiło?

- To był błąd - powiedział łamiącym się głosem. - Zaufałem komuś, komu nie powinienem był zaufać.

Dylan patrzyła na straszne okaleczenia jakie odniosło jego ciało. Twarz i szyję znaczyły mu głębokie blizny, a lewe ramię i połowa umięśnionego torsu wyglądały tak, jakby przeszedł przez piekło w tą i z powrotem. Serce mocno ścisnęło się jej w piersi, kiedy pomyślała jak wielki ból musiał znieść, zaraz po wypadku i w długich miesiącach rehabilitacji, które nastąpiły potem.

Siedział sztywno na skraju łóżka, taki smutny i nieosiągalny, mimo że dzielila ich odległość mniejsza, niż na wyciągnięcie ramienia. Wydawał się jej taki samotny.

Samotny i zagubiony.

- Przykro mi, Rio - powiedziała i zanim mogła się powstrzymać, położyła dłoń na jego dłoni, która spoczywała na jego udzie. Drgnął, jakby rozpalone węgle dotknęły jego skóry. Ale się nie cofnął.

Patrzył w dół na jej palce, takie jasne, na tle jego oliwkowej skóry. Kiedy spojrział na nią, jego oczy były całkiem dzikie. Zastanawiała się, jak długo pozbawiony był wszelkiego rodzaju czułości? Jak długi czas upłynął od kiedy, pozwolił się komuś dotknąć?

Dylan głaskała delikatnie palcami wierzch jego dłoni, badając jej kształt, wielkość i siłę. Jego skóra była taka ciepła, było w nim tyle energii, nawet wtedy gdy był w kompletnym bezruchu.

- Przepraszam za wszystko co przeze mnie przeszedłeś, Rio. Naprawdę.

Jego szczęki zacisnęły się tak mocno, że aż zaczęło drgać ścięgno na jego twarzy.

Dylan odłożyła swój zimny kompres na łóżko, ledwie świadoma swoich ruchów, ponieważ jej wszystkie zmysły wyczulone były na Rio i energię, która przepływała pomiędzy ich złączonymi dłońmi.

Usłyszała cichy dźwięk wydobywający się z piersi Rio, coś pomiędzy warknięciem a jękiem. Jego wzrok powędrował na jej usta, przez krótki jak bicie serca moment, zastanawiała się czy ma zamiar ją pocałować.

Wiedziała, że powinna się wycofać. Zabrać swoją dłoń z dala od niego. Powinna zrobić to wszystko, ale potrafiła tylko siedzieć, czekać i myśleć, jak bardzo pragnie dotyku jego ust na swoich.

Nie mogła się powstrzymać, żeby go nie dotknąć. Uniosła drugą dłoń do jego twarzy i poczuła nagłe uderzenie chłodu, odpychając ją mentalną ścianę.

- Nie chcę twojej litości! - warknął Rio zmienionym głosem. Hiszpański akcent był taki sam jak zwykle, ale sylaby brzmiały ostro, brzmienie głosu było nie do końca ludzkie, przypominając jej, jak mało wciąż wiedziała o nim i o jego Rodzaju.

Wyciągnął swoją rękę spod jej dłoni i wstał z łóżka.

- Twoja rana wciąż krwawi. Potrzebujesz pomocy, której nie mogę ci udzielić.

- Jestem pewna, że wszystko jest już dobrze - zapewniła Dylan czując się jak idiotka, że tak mu się narzucała. Chwyciła wilgotną ściereczkę i przetarła policzek. - To nie jest nic poważnego, wszystko jest ze mną w porządku.

Nie było teraz żadnego sensu, by mówić do niego cokolwiek i tak jej nie słuchał.

Patrzyła jak przechodzi przez szkło z rozbitego lustra, do salonu. Podniósł telefon bezprzewodowy i wystukał kilka cyfr.

- Dante? Cześć. Nie, nic się nie stało. Ale... Ja... jest tam gdzie Tess? Chcę ja poprosić o przysługę. - Rio przemierzał niewielką przestrzeń salonu, w tą i z powrotem, jak zamknięte w klatce zwierzę, oczekując przez kilka krótkich minut na przybycie pomocy. Nie wchodził do sypialni. Ograniczał się do przebywania na małej przestrzeni, w pobliżu drzwi wejściowych. Im dalej od Dylan tym lepiej, może powinien wyjść z apartamentu i poczekać na zewnątrz?

Madre de Dios. Niemal ją pocałował.

Ciągle chciał to zrobić, przyznanie się do tego było dla niego jak cios pięścią w brzuch. Całowanie Dylan Alexander było idealnym sposobem, by zamienić złą sytuację w katastrofę. Ponieważ Rio zdawał sobie sprawę bez cienia wątpliwości, że gdyby pocałował tę ognistą piękność, to na pewno nie skończyło by się tylko na pocałunku.

Sama myśl o tym, że mógłby poczuć nacisk jej ust na swoich, sprawiała, że krew wrzała mu w żyłach. Jego dermoglify rozbłysły kolorami pożądania, ciemnego wina i złota. Nie mógł też negować innych dowodów na to, że desperacko jej pragnie. Jego penis był

twardy jak granit, był taki od chwili, gdy tak niespodziewanie położyła dłoń na jego ręce.

Piekło i szatani!

Nie ośmielał się spojrzeć w stronę sypialni, z obawy że nie oprze się pokusie i jego stopy same zrobią w tył zwrot, naprzód marsz poprzez podwójne drzwi i w prawo zwrot prosto w ramiona Dylan.

Nie, żeby go chciała, pomyślał złośliwie.

Ten dotyk jej ręki był słodkim gestem pocieszenia, z rodzaju „Wszystko będzie dobrze.” Opiekuńczy matczyzny gest, jaki ofiarowuje się skrzywdzonemu dziecku. Albo jeszcze gorzej, mogła to być bolesna sympatia i pocieszenie miłosiernego anioła dla ofiary boskich błędów.

Maldecido.

Manos del diablo.

Monstruo.

Tak, był tym wszystkim. A teraz Dylan zobaczyła całą jego szpetotę. Trzeba przyznać, że nie cofnęła się ze strachem i obrzydzeniem na widok poskręcane go ciała i kłów, ale widocznie była ulepiona z twardszej niż inni gliny.

Ale pomyśl, że jest dość silna, by przyjąć jego dotyk? Dość silna, by pozwolić mu zbliżyć do siebie jego zrujnowaną twarz wystarczająco blisko, by mógł ja pocałować?

Nie, do kurwy nędzy, niemożliwe żeby była, aż tak silna. I Bogu należy dziękować za to, że uratował go od widoku jej obrzydzenia. Uratował go przed zrobieniem czegoś naprawdę głupiego, na przykład o zapomnieniu o właściwym celu, dla którego Dylan znalazła się na jego prywatnej kwaterze. Liczyło się tylko naprawienie jego błędu, którym było pozwolenie na to, by kiedykolwiek zbliżyła się do jaskini. Im wcześniej to wszystko wyprostuje i się jej pozbędzie, tym lepiej dla niego.

Stukanie do drzwi w rytmie rapu, przerwało jego czarne myśli, sfrustrowany z mruknięciem otworzył.

- Miałeś gówniany głos przez telefon, więc pomyślałem, że przyjdę razem z Tess i sam na ciebie zerknę. - Dante wyszczerzył do niego zęby w dziwnym, wkurzającym uśmiechu, ponieważ Rio wciąż tarasował drzwi, przed nim i jego cudowną partnerką stojącą u jego boku. - Pozwolisz nam wejść, człowiek?

- Taaa. - Rio cofnął się, umożliwiając przyjaciółom wejście.

Tess wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Długie falowane, miodowego koloru włosy zebrała w luźny koński ogon, jej mądre oczy koloru akwamaryny miękko patrzyły prosto w twarz Rio.

- Jak dobrze cię widzieć - powiedziała i bez wahania wspinając się na palce objęła go i cmoknęła w policzek. - Dante i ja martwiliśmy się bardzo o ciebie, w ciągu tych ostatnich miesięcy, Rio.

- Nie było takiej potrzeby - odparł, ale ich troska ogrzała mu serce.

Tess i Dante byli razem od późnej jesieni ubiegłego roku, ona wniosła ze sobą do Zakonu niezwykły dar uzdrawiania i przywracania do życia, dotykiem swoich czułych dłoni. Dotyk Tess miał niesamowitą siłę, ale nie mogła uleczyć wszystkich obrażeń Rio. Minęło już zbyt dużo czasu od wypadku, w momencie gdy Tess przybyła do Zakonu. Jego blizny zarówno te na zewnątrz jak i wewnątrz, były już utrwalone i starania Tess nie mogły już wiele pomóc.

Dante objął ramieniem swoją Dawczynię Życia, jego gest był opiekuńczy i nabożnie czuły. W tym momencie Rio zauważył niewielką krągłość brzuszka pod bladoróżową trykotową bluzeczką, którą na sobie miała. Złowiła jego spojrzenie i uśmiechnęła się słodko jak Madonna

- Skończył mi się pierwszy trymestr - powiedziała, posyłając Dantemu pełne miłości spojrzenie. - Ktoś uczynił z tego, by mnie rozpieszczęzać swoją nową życiową misję.

Dante zachichotał.

- To przyjemność jest moim celem.

- Gratuluję wam - powiedział Rio, naprawdę ciesząc się z ich szczęścia.

To nie było typowe zachowanie wojownika, by mieć rodzinę w Zakonie. To się praktycznie nie zdarzało. Mężczyźni Rasy, którzy poświęcali swoje życie walce, z reguły nie byli typami lubiącymi spędzać czas przy domowym ognisku. Ale Dante nigdy nie poddawał się regułom.

- Gdzie jest Dylan? - Spytała Tess.

Rio wskazał na zamknięte drzwi do sypialni.

- Zrobiłem przy niej z siebie durnia. Miałem doła i... och, cholera, rozbiłem lustro, odprysk szkła zranił ją w policzek.

- Nadal masz ataki? - Zapytała Tess, marszcząc brwi. - Bóle głowy też?

Wzruszył ramionami, nie życząc sobie omawiania jego licznych problemów.

- Ze mną jest wszystko w porządku. Wszystko o co proszę, to... żebyś się nią zaopiekowała. Dobrze?

- Oczywiście. - Tess wzięła małą czarną torbę medyczną z rąk Dantego. Nie przestając patrzeć na Rio powiedziała - Odkąd jestem w ciąży, moja zdolność uzdrawiania jest nieaktywna. Myślę że to normalne, że cała energia Dawczyni Życia skierowana jest do wewnątrz, na dziecko. Myślę, że moje zdolności wrócą po porodzie. Do tego czasu muszę posługiwać się standardową medycyną.

Rio rzucił spojrzenie przez ramię w kierunku sypialni. Nie mógł zobaczyć Dylan, ale pomyślał sobie, że siedząc tam samotnie potrzebuje towarzystwa kogoś miłego i łagodnego. Kogoś, normalnego, kto uspokoi ją i zapewni, że jest bezpieczna wśród ludzi którym może zaufać. Szczególnie po szalonym przedstawieniu, które jej zafundował.

- W porządku - powiedziała Tess. - Zaopiekuję się nią.

Dante lekko stuknął Rio pięścią w biceps.

- Chodź. Do świtu została jeszcze ponad godzina. A ty, człowiek, wyglądasz jakbyś potrzebował świeżego powietrza.

ROZDZIAŁ 17

Dylan przykuciała na podłodze koło łóżka, zbierając szkło z rozbitego lustra, kiedy drzwi do sypialni uchyliły się delikatnie.

- Dylan? - To był głos kobiety, słyszała go już wcześniej, gdy nieznajoma rozmawiała z Rio i jakimś innym mężczyzną, kilka minut temu w sąsiednim pokoju. Dylan podniosła wzrok i poczuła ogarniające ją ciepło, jakie niosło w sobie rozświetlone spojrzenie jej piwnych oczu.

Piękna, młoda kobieta uśmiechnęła się.

- Cześć, nazywam się Tess.

- Cześć. - odpowiedziała Dylan próbując wyłuskać z dywanu następny kawałek lustra.

- Rio poprosił mnie, żebym przyszła i sprawdziła czy wszystko z tobą w porządku. - Wchodząc do sypialni, wniosła ze sobą małą, czarną skórzaną torbę. - No więc, wszystko z tobą w porządku?

Dylan potwierdziła skinieniem głowy.

- To tylko zadrapanie.

- Rio czuje się naprawdę okropnie z tego powodu. On ma... czasami problemy. Od czasu eksplozji w magazynie ostatniego lata. Ma szczęście, że żyje.

O Boże. To wyjaśnia te wszystkie oparzenia i blizny po odłamkach. Jaka eksplozja mogła wyrządzić takie szkody? On naprawdę wyszedł z prawdziwego piekła.

Tess ciągnęła dalej.

- Ze względu na uraz mózgu w następstwie wybuchu, zdarzają mi się czasem stany utraty świadomości, oprócz tego cierpi na silne bóle głowy i wahania nastrojów... cóż myślę, że widziałaś to na własne oczy. To wszystko jest dla niego bardzo trudne. Ale zapewniam cię, że nie chciał cię rozmyślnie skrzywdzić.

- Nic mi nie jest - powiedziała Dylan, nie przejmując się zadrapaniem na policzku. - Próbowałam powiedzieć mu, że to nic wielkiego. Ranka przestała już nawet krwawić.

- No to mi ulżyło. - powiedziała Tess stawiając swoją medyczną torbę na toalecie. - Cieszę się że nie jest tak źle, jak Rio się obawiał.

Sądząc po jego nerwowym głosie, kiedy rozmawiał ze mną przez telefon, myślałam, że będę musiała założyć ci co najmniej pół tuzina szwów. Trochę antyseptyku i mały opatrunek załatwią sprawę. - Podeszła do miejsca, gdzie Dylan zbierała kawałki potłuczonego lustra. - Pozwól że ci z tym pomogę.

Kiedy się zbliżyła Dylan zauważyła, że dłoń Tess pociera delikatnie lekką wypukłość brzucha. Była w ciąży. Nie była ona jeszcze bardzo zaawansowana, ale kobieta promieniowała takim wewnętrznym blaskiem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

A ręka, która gładziła niewielką wypukłą zapowiedź nowego życia, naznaczona była małym znamieniem. Dylan nie mogła przestać wpatrywać się w szkarłatną łzę wiszącą nad miseczką w kształcie półksiężyca, na prawej dłoni Tess, był to identyczny znak jak ten, który Dylan miała na szyi od urodzenia.

- Mieszkasz tu? - Zapytała Dylan. - Razem z... nimi?

Tess potwierdziła skinieniem głowy.

- Jestem z Dantem. Jest on wojownikiem Zakonu, tak jak Rio i inni, którzy tu mieszkają.

Dylan wskazała na maleńkie znamię pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym Tess.

- Jesteś jego... Dawczynią Życia? - Zapytała, przypominając sobie określenie jakiego użył Rio gdy zobaczył znamię u Dylan. - Poślubiłaś jednego z nich?

- Dante i ja zostaliśmy związani w zeszłym roku - powiedziała Tess. - Jesteśmy połączeni unią krwi, która wiąże nas w sposób trwalszy i głębszy, niż zwykłe małżeństwo. Wiem, że Rio mówił ci trochę o Rasie, jak żyją, skąd pochodzą. Po tym co się tutaj stało z Rio, jestem pewna, że nie masz wątpliwości, co do tego kim są.

Dylan kiwnęła głową, choć wciąż ciężko jej było uwierzyć w tą prawdę.

- To wampiry.

Tess uśmiechnęła się delikatnie.

- To właśnie i ja pomyślałam na początku, ale nie można ich tak prosto i jednoznacznie określić. Rasa jest skomplikowanym gatunkiem, żyjącym w trudnym, pełnym wrogów świecie. Ciągłe czyha na nich i na tych, którzy ich kochają, jakieś niebezpieczeństwo.

Dla tych kilku mężczyzn, którzy związali swoje życie ze służbą Zakonowi, każda noc może być ich ostatnią.

- Czy to był wypadek? - Dylan wyrzuciła z siebie pytanie. - Ta eksplozja, która poraniła Rio... była jakimś strasznym wypadkiem?

Coś bolesnego przemknęło przez wyrazistą twarz Tess. Patrzyła na Dylan przez długą chwilę, jakby nie była pewna jak dużo może jej powiedzieć, po czym lekko potrząsnęła głową.

- Nie. To nie był wypadek. Ktoś bardzo bliski Rio zdradził go. Eksplozja zdarzyła się podczas akcji w starym magazynie na obrzeżach miasta. Rio i reszta drużyny, zostali wciągnięci w zasadzkę.

Dylan spojrzała na dół i zdała sobie sprawę że wpatruje się w połamaną ramkę, którą Rio cisnął przez pokój, w swoim ataku furii. Ostrożnie podniosła ją i ułożyła na swojej dłoni. Pozbyła się rozbitej szybki, która zasłaniała fotografię pajęczyną pęknięć, spojrzała w dół w egzotyczne ciemne oczy, do których nie dotarł uśmiech wykrzywający wargi.

- To Eva - stwierdziła Tess. - Była Dawczynią Życia Rio.

- Ale zdradziła go?

- Tak - powiedziała Tess po dłuższej przerwie. - Eva zawarła umowę z jednym z wrogów Zakonu, potężnym wampirem, który był również bratem przywódcy naszych wojowników, Lucana. W zamian za informacje, które pomogły by zgładzić Lucana, Eva zażądała od wrogiego wampira dwóch rzeczy. Żeby Rio przeżył i był ranny na tyle, by nie mógł już walczyć.

- Jezu - wysapała Dylan. - Więc, dostała czego chciała?

- Nie zupełnie. Urządzono zasadzkę na wojowników Zakonu, opartą o informacje dostarczone przez Eve, ale wampir, z którym pertraktowała nie miał najmniejszego zamiaru dotrzymać swojej części umowy. Umieścił tam bombę, która miała zlikwidować wszystkich, którzy znaleźliby się w środku, jak na ironię to Rio był wtedy najbliżej i przyjął na siebie główne uderzenie eksplozji. A po wszystkim dowiedział się, że to Eva była winna temu co się stało.

Dylan nie mogła nic powiedzieć. Próbowwała wyobrazić sobie jakim ciężarem musiały być dla Rio te przeżycia, nie tylko fizyczne urazy, ale psychiczne rany wynikłe z kłamstw i zdrady najbliższej mu osoby.

- Widziałam ją. - Dylan rzuciła okiem na Tess i zobaczyła jak kobieta zmarszczyła brwi i zmieszana posłała jej pytające spojrzenie. Dylan знаła ją tylko od paru minut i nie była skłonna dzielić się swoim szczególnym sekretem, o zdolności, która różniła ją od innych ludzi, ze wszystkimi. Ale coś w Tess, może te jej opiekuńcze oczy, mówiły, że powierzona jej tajemnica będzie bezpieczna. Poczowała do tej kobiety natychmiastową sympatię, która pozwalała zaufać Tess, jak najlepszej przyjaciółce. - Od czasu do czasu nawiedzają mnie duchy zmarłych, zawsze są to kobiety. Kobiety które już nie żyją. Eva przyszła do mnie parę dni temu, gdy byłam na pieszej wycieczce z przyjaciółkami w górach koło Pragi.

- Ona... przyszła do ciebie - powiedziała Tess powoli. - Co przez to rozumiesz?

- Widziałam jej ducha, przypuszczam że trudno ci w to uwierzyć. Zaprowadziła mnie do ukrytej jaskini. Nie wiedziałam, że Rio był w środku. Ona, Eva przyprowadziła mnie tam i prosiła, żebym go uratowała.

- Mój Boże. - Tess wolno potrząsnęła głową. - On wie o tym?

Dylan popatrzyła znacząco na kawałki rozbitego lustra, ścielące się u jej stóp.

- Taaa, on wie. Kiedy mu o tym mówiłam, naprawdę stracił nad sobą panowanie.

Tess spojrzała na nią przeprasza jąco.

- Jest w nim ogromnie dużo gniewu na Eve.

- To zrozumiałe - odpowiedziała Dylan - Czy on jest już w porządku, Tess? Myślę, patrząc na niego, że... chyba wraca do siebie?

- Mam taką nadzieję, wszyscy ją mamy. - Tess przechyliła lekko głowę mierząc ją spojrzeniem. - Nie boisz się go. Prawda?

Nie, nie bała się go. Była nim absolutnie zafascynowana, niepewna jego zamiarów, ale nie przestraszona. Nawet będąc świadkiem tego, co niedawno działo się z nim w tym pokoju, tego szaleństwa, z którym się zmagał, Dylan się go nie bała. W rzeczywistości miała różne myśli na temat Rio, ale żadna z nich nie powodowała w niej strachu.

- Myślisz, że powinnam się go bać?

- Nie - bez wahania odpowiedziała Tess. - Chodzi mi o to, że to wszystko nie jest dla ciebie łatwe. Bóg wie, ja też nie przyjąłam tego

zbyt dobrze, kiedy po raz pierwszy usłyszałam całą tę gadkę o krwi, kłach i wojnie.

Dylan wzruszyła ramionami.

- Piszę artykuły do brukowca. Wierz mi, słyszałam wiele dziwnych rzeczy. Nie jest łatwo mnie zaszokować.

Tess uśmiechnęła się, ale nie patrzyła Dylan w oczy zbyt długo, spuściła wzrok. Dla Dylan było jasne, że słowa których nie wypowiedziała, a przekazała swoim krótkim spojrzeniem, brzmiałyby

- To nie były historie z brukowca. To było prawdziwe.

- Co było w tej jaskini, Tess? To było coś w rodzaju krypty, komory hibernacyjnej, tak nazywał to Rio. Ale do czego to do cholery służyło? Czy coś uwolniło się z tego miejsca na zboczu góry?

Tess podniosła oczy, ale tylko lekko potrząsnęła głową.

- Nie myślę, żebyś naprawdę chciała to wiedzieć.

- A właśnie, że chcę - nalegała Dylan. - Cokolwiek to było, musiało być na tyle istotne, że Rio poczuł się zmuszony, by porwać mnie i uwięzić, żebym była cicho na temat tego co widziałam.

Milczenie Tess spowodowało, że żołądek Dylan zacisnął się ze strachu. Dawczyni Życia wiedziała co znajdowało się w tej jaskini i było jasne, że ta wiedza ją przerażała

- Tess, cokolwiek było uśpione w tej ukrytej krypcie, musiało tam spoczywać przez wieki. Jakiego rodzaju istota to była... a może wciąż jest?

Tess podniosła się i wrzuciła kawałki rozbitego lustra do kosza na śmieci, stojącego obok toaletki.

- Pozwól mi spojrzeć na twoje skaleczenie. Trzeba je opatrzyć i założyć opatrunek, żeby nie było blizny.

W zabezpieczonej promieniami UV celi, Starożytny odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie piekielny ryk. Krew kapłała z jego ogromnych kłów na szeroką, nagą pierś, ginąc pośród pulsujących wściekłym kolorem dermoglifów wampira.

- Zablokuj te cholerne zabezpieczenia - wrzeszczał jego nadzorca do swoich sługusów przez mały mikrofon z pokoju obserwacyjnego na zewnątrz celi. - I na rany Chrystusa posprzątajcie ten bałagan.

Automaty ciasno owinęły okowami potężne ramiona i nogi Starożytnego. Odpowiednio zaprogramowane kajdany, trzymały

mocno, dopasowując się do jego ciała. Walczył przeciwko uwięzieniu, ale walka była beznadziejna. Wykrzywił wargi i ponownie ryknął. Ten nieartykułowany ryk był wyrazem niewątpliwej furii, kiedy jego olbrzymie ciało przegrywało walkę z współczesną techniką ze stali i tytanu.

Wciąż był jeszcze podniecony krwią i ciałem Dawczyni Życia. Jego gwałtowność spowodowała śmierć kobiety, której martwe ciało było teraz pośpiesznie usuwane z celi.

Dawczyni Życia była pokiereszowana. Twarde pazury i kły pozostawiły swoje ślady na całym jej ciele i zanim odciągnięto od niej Starożytnego, kobieta była martwa.

Nie była pierwsza. Przez prawie pięć dekad, od kiedy Starożytny wybudził się z hibernacji i znalazł się pod jego kontrolą, nadzorca, karmił go, oraz zapewniał mu kobiety do kopulacji i było to bardzo kosztowne i frustrujące przedsięwzięcie.

Pomimo wszystkich pieniędzy i technologii, którymi dysponował, nie mógł osiągnięciami nauki zastąpić podstawowych pierwotnych praw natury, które miały miejsce w celi jego więźnia jakiś czas temu. Połączenie ciał było jedyną, realną metodą zapłodnienia, jeżeli chodziło o Starożytnego. Tak było w całej Rasie. Sam seks był tylko częścią procesu, tylko wytrysk z jednoczesną wymianą krwi, był momentem, w którym Dawczyni Życia mogła zostać zapłodniona nasieniem wampira.

Normalnie, pary tworzyły nowe życie, w naturalnym zmysłowym akcie. Jednak w tym miejscu było inaczej. Tutaj, z dzikim obcym potworem, oszalałym z bólu i głodu stworzenie życia, lub śmierć, było hazardem. Wypadki takie jak dzisiejszy były częścią ryzyka. Zgonów należało się spodziewać.

Ale sukcesy, które odnosił, sprawiały że ryzyko się opłacało, na jedną zabitą przypadały dwie, które pozostawały przy życiu... z nasionami nowej, potężnej generacji wampirów, zasadzonymi głęboko w ich łonach.

Właściciel Starożytnego, uśmiechnął się z satysfakcją, mimo dzisiejszej straty.

Ta potężna nowa generacja już dojrzewiała w sekrecie.

I była mu całkowicie lojalna.

ROZDZIAŁ 18

Rio zabijał ostatnie godziny przed świtem na tyłach dziedzińca z Dantem, później spędził samotnie jakiś czas na dole w kaplicy. Małe ciche sanktuarium, które służyło Zakonowi do odprawiania najważniejszych prywatnych uroczystości, zawsze było dla niego przyjaznym schronieniem. Jednak nie teraz. Wszystko co widział w tym świętym miejscu, przypominało mu zdradę Eve.

To przez nią, ponad rok temu musieli wykonać ostatnie namaszczenie, przykryć śmiertelnym całunem i umieścić na pokrytym białą tkaniną pogrzebowym ołtarzu z przodu rzędu ławek, jednego z najszlachetniejszych wojowników Zakonu. Śmierć Conlana w tunelu metra, wydawała się na początku tragicznym zbiegiem okoliczności, ot znalazł się w niewłaściwym miejscu, w nie właściwym czasie, ale okazało się że i jego krew miała na rękach Eva.

Rio wciąż widział ją stojącą w kaplicy u swojego boku, jak tuliła się do niego i płakała, cały czas ukrywając zdradę i oszustwo. Czekwała na następną szansę by spiskować z wrogiem Zakonu, nawet planowała, żeby go okaleczyć, aby mógł wreszcie należeć tylko do niej.

Ironią było to, że nigdy nie opuściłby Zakonu.

Nie chciał opuszczać go i teraz i nie odszedłby, gdyby mógł być choć trochę przydatny dla wojowników, którzy byli jego rodziną prawie przez stulecie. Jeśli ten wybuch tak dotkliwie obrabował go z panowania nad własną psychiką, to powinien go także zabić.

- Cholera - wymruczał, obracając się dookoła, jego piekło dopadło go i tu, w kaplicy.

Nie potrzebował siedzieć tu dłużej razem ze starymi duchami i rozpamiętywać nieszczęść do których go przywiodły. Wszystko, każde spojrzenie w lustro lub odbicie w oknie, przywoływało w jego umyśle wspomnienia o Eve. Próbował cholernie mocno, by nie oglądać swojej twarzy, nie tylko z powodu wstrząsu jakiego doznawał za każdym razem, ale także dlatego, że chciał ją, Eve, kompletnie wyrzucić ze swojego życia. Nawet dźwięk jej imienia, doprowadzał go do szaleństwa. Co Dylan mogła niestety poświadczyć.

Zastanawiał się czy z nią wszystko w porządku. Oczywiście Tess na pewno wspaniale się nią zajęła, mimo, że z powodu ciąży jej cudowny dotyk osłabł.

A jednak Rio się martwił. Nienawidził siebie za to co się stało. Dylan pewnie też nie darzyła by go sympatią. Jeśliby tylko pozbyła się tego współczucia dla szalonego ludzkiego wraku, jakim stał się na jej oczach.

Czując się samotny i wyobcowany jak duch, Rio przemierzał puste korytarze kwatery, z kaplicy poszedł do pustego lazaretu. Wziął szybki prysznic w szpitalnej łazience, sali pooperacyjnej, która była jego domem przez wiele miesięcy po eksplozji. Pozwolił gorącej wodzie, zmywać ból z mięśni i łagodzić narastające pulsowanie w skroniach.

Kiedy zakręcił prysznic i wytarł się szpitalnym ręcznikiem, jego myśli powróciły do Dylan. Nie robił niczego dobrego, trzymając ją tu wbrew jej woli. Ani wikłając ją w tą historię, która spowodowała jej zniknięcie dla świata.

Teraz nastał poranek ze zbyt dużą ilością światła dla osobników Rasy, ale nie dla ludzi, żyjących na górze. Zabierali się teraz do zwykłych codziennych zajęć, co oznaczało również jeden dzień więcej dla szefa Dylan, żeby mógł przemyśleć sposób wydrukowania artykułu. Jeden dzień więcej dla kobiet, które z nią podróżowały, by mogły prowadzić rozmowy o jaskini, którą znalazła Dylan i snuć domysły co mogła ukrywać. Jeden pierdolony dzień więcej dla Rio, który pozwalał, by Zakon i cała rasa wampirów mogła zostać odkryta przez Rodzaj Ludzki.

Założył luźna wojskową bieliznę i kilka innych sztuk garderoby, które wisały po jego długim pobycie w szpitalu, zapomniane we wnękowej szafie. Kiedy wyszedł na korytarz kierując się w stronę kwater, w jego głowie narodził się nowy plan. Myślał teraz jasno i był gotowy, by w ciągu kilku minut skłonić Dylan do pracy nad usunięciem historii o jaskini.

Lecz kiedy otworzył drzwi do swoich apartamentów, w środku było ciemno. Tylko niewielka lampka oświetlała kąt salonu, jak nocna latarenka zostawiona dla niego na wszelki wypadek, gdyby wrócił. Spojrzał na to zapraszające małe światełko, wśliznął się do środka i cichutko zamknął drzwi.

Dylan spała. Widział ją we własnym łóżku w sypialni, skulona leżała na kołdrze. Musiała być wykończona, minione trzy dni odbiły się na niej. Cholera, na nim też się odbiły.

Wszedł do ciemnej sypialni i natychmiast zapomniał o swoich wcześniejszych planach, ponieważ sycił swój wzrok widokiem długich, obnażonych nóg Dylan.

Miała na sobie bawełnianą koszulkę z postacią z kreskówek i pastelowe bokserki w szkocką kratkę, strój ten najpewniej wyciągnięty był z jej podróźnej torby, która stała otwarta koło łóżka.

Bawełniany komplecik nie był niczym prowokująco seksownym i był dużo skromniejszy, od tych drogich skrawków koronki i atlasu, w których Eva zwykła była przed nim paradować. Ale niech go szlak trafi jeśli Dylan nie wyglądała wspaniale... i równie wspaniale pasowała do jego łóżka.

Chryste, zbyt dobrze.

Rio podniósł z krzesła stojącego w rogu, jedwabną narzutę, żeby otulić nią śpiącą dziewczynę. Nie robił tego jedynie z uprzejmości. Będąc jednym z Rasy, widział lepiej w ciemnościach, wszystkie jego zmysły były wyostrzone, a w tej chwili zdradzały go, katując świadomością obecności półnagiej kobiety, leżącej bezbrinnie w jego łóżku.

Próbował nie zauważać, jej nagich piersi pod zawiniętą koszulką, jej sutki rysowały się doskonale pod cienką obcisłą bawełną. Pokusa by wpatrywać się w jej gładką białą skórę była nie do odparcia, szczególnie przyciągał jego wzrok odsłonięty klin jej brzucha, gdzie koszulka poskręcała się i podjechała tak słodko odsłaniając jej pępek, to było więcej niż mógł wytrzymać.

Kiedy zbliżył się z narzutą do krawędzi łóżka, wyprostowała nogi i przekręciła się trochę bardziej na plecy. Rio stał nieruchomo, modląc się, żeby się nie obudziła i nie zastała go, wiszącego nad nią jak upiór.

Patrzenie na nią wywoływało słodki, gorący ból w jego piersi. Nie miał żadnych praw do Dylan, ale nagły przypływ zaborczości, przeszył jego ciało i krew, jak impuls elektryczny o natężeniu tysiąca wolt. Ona nie należała do niego, nie chciała być jego. Nie ważne jaką decyzję w końcu podejmie i czy jej przyszłością będzie życie wśród Rasy w Mrocznej Przystani lub na powierzchni bez jakichkolwiek

wspomnień o Rio i jego Rodzaju, ona i tak nie będzie do niego należała. Z pewnością zasługuje na kogoś lepszego niż on.

Inny mężczyzna, wampir albo człowiek będzie znacznie lepszym towarzyszem i opiekunem, dla kobiety takiej jak Dylan. Przywilejem innego mężczyzny będzie poznawanie łagodnych krzywizn jej ciała i smakowanie delikatnej skóry. Inny mężczyzna zazna rozkoszy smakowania delikatnego tętna, które pulsowało w uroczym zagłębieniu u podstawy jej gardła. Inny mężczyzna Rasy będzie miał honor z czułością i nabożeństwem nakłuć żyłę Dylan i delektować się słodyczą jej krwi. To będą uroczyste zaślubiny dla kogoś innego, nigdy dla niego, chronienie jej przed całym złem świata i wierne dostarczanie jej energii do wiecznego życia wraz z krwią i siłą nieśmiertelnego ciała, będą przywilejem kogoś innego. To wszystko nie będzie jego prawem, pomyślał ponuro Rio bardzo delikatnie nakrywając ją narzutą. Nie powinien pożądać żadnego kawałeczka jej cudownego ciała.

Ale pożądał.

Boże, bardziej niż kiedykolwiek.

Płonął z pragnienia, choć wiedział, że nie powinien.

Rio wmawiał sobie, że tylko przez przypadek jego dłonie prześliznęły się po krzywiznach jej ciała, gdy podciągał wyżej jedwabną narzutę. Nie zamierzał pozwolić swoim palcom, przeczesywać delikatnych ognistorudych pukli, lekko wilgotnych po niedawnej kąpieli. Nie mógł powstrzymać się od przesunięcia kciukiem po wypukłości jej policzka i dotknięcia delikatnej aksamitnej skóry za uchem.

I nie mógł także powstrzymać wyszeptanego przekleństwa, kiedy jego spojrzenie spoczęło na niewielkim opatrunku, przykrywającym zranienie, które spowodował.

Cholera. To była cała prawda o tym co mógł jej ofiarować, tylko ból i przeprosiny.

Jedynym powodem, który pozwalał mu teraz być tak blisko niej, było to, że ona o tym nie wiedziała.

Nie obudziła się, by zdać sobie sprawę z obecności bestii stojącej nad nią w ciemnościach, która dotykała jej ukradkiem i marzyła o tym jak by to było, gdyby mogła zrobić dużo więcej.

Pragnął jej tak rozpaczliwie, że kły kaleczyły mu język, a żądza zmieniła jego oczy, w rozświetlone bursztynowym blaskiem pochodnie. Te właściwe Rasie mocne światło, kąpało ją w złocistym blasku, rozświetlając każde zagłębienie i wzniesienie, wszystkie smakowite krzywizny jej ciała.

Rio cofnął dłoń, kiedy dziewczyna się poruszyła, prawdopodobnie wyczuwając jego gorące spojrzenie. Szybko opuścił powieki i zgasił dwa bliźniacze światła, pogrążając sypialnię w całkowitych ciemnościach.

Wycofał się bezszelestnie.

Wymknął się z sypialni chyłkiem jak złodziej, zanim mógł stać się nim naprawdę, przez tą kobietę.

Początkowo Dylan myślała, czy to dotknięcie, było tym co ją obudziło, ale pieszczota palca, który głaskał jej obolały policzek, napełniła ją uspokajającym ciepłem i czyniła jej sen spokojniejszym. Nagły brak tego ciepła, wyrwał ją z bardzo przyjemnego snu.

Otworzyła oczy, nie widząc w sypialni niczego oprócz ciemności.

Sypialnia Rio. Łóżko Rio.

Usiadła, gdy to sobie uświadomiła, czując się cholernie niezręcznie, że tak twardo zasnęła, zaraz po prysznicu, który wzięła tej nocy. A może to był dzień, nie miała pojęcia i nie mogła tego sprawdzić, ponieważ nie było tu żadnych okien, ani jednego w całym tym ogromnym apartamencie Rio.

Pokój nadal był ciemny, ale Dylan wyczuwała, że nie jest sama.

- Halo?

Odpowiedziała jej głucha cisza.

Spojrzała w stronę salonu i przypomniała sobie, że lampa, którą zostawiła zapaloną, teraz jest zgaszona. Ktoś na pewno był tu, kiedy spała, ktokolwiek to był, okrył ją lekką jedwabną narzutą, która leżała wcześniej na jednym ze stojących w sypialni krzesel.

To był Rio, była tego absolutnie pewna.

To on był tym, kto był przy łóżku nie dalej, niż chwilę temu, to jego dotyk sprawił, że było jej tak dobrze i zrobiło się tak zimno, kiedy go zabrakło.

Dylan obróciła się na łóżku opuściła bose stopy na podłogę i podreptała do zamkniętych podwójnych drzwi, prowadzących do

salonu, otworzyła je cichutko, próbując dostrzec coś w nieoświetlonym pomieszczeniu.

- Rio... Śpisz?

Nie musiała pytać, czy był tam. Wiedziała że był. Wyczuwała jego obecność ponieważ jej serce zaczęło bić szybciej i krew w żyłach przyspieszyła. Dylan przeszła w poprzek salonu po puszystej dywanowej wykładzinie, w miejsce, gdzie jak pamiętała na małym biurku powinna stać lampa z kwadratowym abażurem w kolorze imbiru. Poczowała, że dobrze trafiła, kiedy delikatnie macając wyczuła pod dłonią chłodną, porcelanową podstawę lampy.

- Nie włączaj.

Dylan obróciła głowę w kierunku głosu Rio. Był po prawej stronie na środku pokoju.

Teraz, kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyła zarys jego dużej ciemnej postaci. Siedział na obitej aksamitem sofie, jego ciało i długie nogi zajmowały cały ten niewygodny mebelek.

- Możesz spać w swoim łóżku. Nie myślałam, że tam usnę. - Szła w głąb pokoju... i usłyszała niski pomruk dobiegający z miejsca, w którym siedział.

O Boże. Zatrzymała się w miejscu jak zamrożona, tylko kilka kroków dzieliło ją od sofy. Czy znowu dopadł go atak? Może jeszcze nie w pełni nad sobą panował?

Dylan przełknęła ślinę. I zrobiła kolejny krok w jego kierunku.

- Czy jesteś... hmm, czy... potrzebujesz czegoś? Bo jeśli istnieje coś, co mogę dla ciebie zrobić ...?

- Boże, cholera! - Dźwięk jego głosu był bardziej zdesperowany niż gniewny. W jednym z tych jego szybszych niż mgnienie oka ruchu, zerwał się z sofy i przeniósł pod ścianę. Jak najdalej od niej. - Dylan, proszę cię. Wystarczy, żebyś wróciła do łóżka. Powinnaś być teraz jak najdalej ode mnie.

To była prawdopodobnie bardzo dobra rada. Przebywanie jak najdalej od wampira z urazem mózgu i poziomem niepohamowanego gniewu o sile bomby atomowej, było prawdopodobnie najmądrzejszą rzeczą jaką mogła zrobić. Jednak stopy Dylan posuwały się do przodu, prawdopodobnie jej rozsadek i instynkt samozachowawczy spakowały manatki i wyjechały na nieplanowane wakacje.

- Nie boję się ciebie Rio. Nie sądzę żebyś chciał mnie zranić.

On milczał nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. Dylan słyszała jego oddech, szybki, płytki i urwany. Czuła się jakby podchodziła do dzikiego, rannego zwierzęcia i nie miała pewności jak zareaguje, czy zdobędzie jego zaufanie, lub popełniła błąd i popróbuje smaku kłów i pazurów.

- Byłeś w sypialni... u mnie... parę minut temu... byłeś, prawda? - Ciągłe podchodziła do niego, próbując dotrzeć do niego poprzez ciężkie milczenie i ciemność, w których się ukrywał. - Dotykałeś mnie. Czułam twoją dłoń na mojej twarzy. I... spodobało mi się to, Rio. Nie chciałam żebyś przestał.

Wysyczał gwałtowne, paskudne przekleństwa. Bardziej poczuła niż zobaczyła, że gwałtownie odwrócił głowę. Po dłuższej chwili, chyba musiał otworzyć oczy, ponieważ ciemność została rozświetlona dwoma punktami bursztynowego żaru skierowanymi prosto na nią.

- Twoje oczy... - Wyszepiała, złowiona jak ćma przez płomień. Widziała już wcześniej jak oczy Rio zmieniają kolor z topazu w bursztynowy, ale teraz... to było inne. Były w nich jakieś emocje, coś innego niż gniew i ból. Coś bardziej intensywnego, jeśli to możliwe.

Dylan nie mogła się poruszyć, po prostu stała, ogrzewana jego wzrokiem, czując jak spojrzeniem omiata jej ciało, od palców u stóp do czubka głowy. Jej serce gubiło rytm, a jego bursztynowe spojrzenie paliło ją i rozpalało w niej ogień.

Poruszył się, zbliżając się do niej powolnym, pełnym gracji krokiem drapieżnika.

- Dlaczego weszłaś na tą górę? - zapytał ją, jego głos był twardy, oskarżający.

Dylan przełknęła ślinę, patrząc jak zbliża się do niej w ciemnościach. Zaczęła usprawiedliwiać się, że to Eva ją tam wysłała, ale to była tylko część prawdy. Duch Eve pokazał jej drogę, jednak Dylan wróciła do jaskini z powodu Rio. Tak mocno chciała uwierzyć, że to praca skłoniła ją do opisywania historii demona w czeskich górach, ale to był Rio. To on zmuszał ją do pozostania w jaskini i do próby nawiązania z nim kontaktu, kiedy zdrowy rozsądek kazał jej uciekać. To jego obecność zmuszała ją teraz do stania w miejscu, chociaż strach powinien pchnąć ją do ucieczki w przeciwnym kierunku, tak szybko jak tylko by mogła.

Stał teraz przed nią, wciąż maskowany przez mrok z wyjątkiem niesamowitego, uwodzicielskiego blasku jego wampirzych oczu.

- Niech to szlag, Dylan. Dlaczego tu przyszedłeś? - Jego dłonie zacisnęły się na jej ramionach. Potrząsnął nią lekko, ale to on był tym, który drżał mocniej. - Dlaczego? Dlaczego to musiałaś być ty?

Nawet w ciemności wiedziała, że zbliża się by ją pocałować, już pierwsze muśnięcie jego ust rozpało w niej ogień. Napiętnowało ją. Gorące pożądanie rozgorzało w jej duszy. Roztapiała się, zatracala się w dotyku warg Rio... i, och, Chryste... jego kłów.

Poczuła ich ostre zakończenia, kiedy otworzył usta by pogłębić pocałunek i wsunąć swój język do jej ust, zmuszając ją by przyjęła to co chciał jej teraz ofiarować.

Dylan nawet przez chwilę nie myślała o tym żeby się bronić. Nigdy nie zaznała niczego tak erotycznego jak nacisk kłów Rio podczas pocałunku. Było w tym tyle niebezpiecznej mocy, że niemal mogła ją poczuć zwiniętą i sprężoną na krawędzi wybuchu. Rio trzymał ją mocno w ramionach i gwałtownie całował, a Dylan nigdy w całym życiu nie zatraciła się tak bardzo.

Popchnął ją na kanapę, silnymi ramionami łagodząc upadek. Opadł na nią, przyciskając ją swoim twardym ciałem. Czowała jego nabrzmiałą męskość, była ogromna i sztywna jak kamień, zaklinowana pomiędzy ich ciałami. Dylan objęła rekami jego plecy, wsuwając dłonie pod bawełnianą koszulkę bez rękawów, którą miał na sobie, głaskała jego ramiona, czując jak jego silne mięśnie napinają się pod jej dotykiem, kiedy poruszał się nad nią.

- Chcę na ciebie patrzeć - wydyszała pomiędzy głodnymi pocałunkami. - Muszę cię zobaczyć, Rio...

Nie czekała na jego zgodę.

Dłonią po omacku odnalazła włącznik lampy, stojącej za sofą i nacisnęła go. Miękkie żółte światło zalało pokój. Rio zawisł nad nią utrzymując równowagę na łokciach i kolanach, jego spojrzenie pełne było czystej rozpaczy.

Jego oczy jarzyły się bursztynowym światłem, jego wampirze cechy stały się bardziej widoczne, rysy wyostrzyły się, zacisnięte szczęki nie zdołały ukryć długich i ostrych kłów. Dermoglify na jego barkach i ramionach, pulsowały pięknymi nasyconymi kolorami burgunda, indyga i złota.

I blizny... cóż, też je widziała. Nie mogła ich zignorować i nie próbowała tego robić.

Dylan oparła się na łokciu, a drugą ręką sięgnęła do jego twarzy. Wzdrygnął się, przekręcił głowę w lewo próbując ukryć poraniony policzek, ale Dylan nie pozwoliła mu się ukryć. Nie teraz. Nie przed nią. Delikatnie zablokowała ruch jego głowy umieszczając dłoń na jego silnej szczęce.

- Nie - powiedział szorstko.

- Wszystko w porządku. - Delikatnie odwróciła jego twarz do siebie. Spojrzała mu w oczy. Delikatnie koniuszkami palców pogładziła blizny na jego policzku. Następnie jej palce przesunęły się szlakiem uszkodzeń po szyi, ramieniu, bicepsie. Po skórze, która kiedyś była gładka i bez skazy jak reszta jego ciała. - Boli cię, kiedy cie tak dotykam?

Odpowiedział coś, ale jego słowa były zduszone i niezrozumiałe.

Dylan podciągnęła się siadając wyżej, tak by jej twarz znalazła się naprzeciwko jego twarzy. Spojrzała mu prosto w oczy, upewniając się, że jego wąskie kocie źrenice utkwione były w jej oczach, delikatnie pogłaskała go po policzku, szczęce, cudownie zmysłowych ustach.

- Nie patrz na mnie, Dylan - wychrypiał. Wszystko co mówił wcześniej, teraz stało się dla niej jasne. - Kurwa... jak możesz patrzeć na mnie z bliska? Jak możesz mnie dotykać i nie czuć obrzydzenia?

Serce Dylan zacisnęło się w jej piersi jak pięść.

- Patrzę na ciebie, Rio. Widzę cię. Dotykam cię. Ciebie. - Powiedziała z naciskiem.

- Te blizny...

- Są nieważne - dokończyła za niego. Uśmiechnęła się i spojrzała na jego usta, gdzie z dziąseł wystawały idealnie białe kły. - Zaczynam myśleć, że te blizny są w tobie jedną zwyczajną rzeczą, jeśli mam być szczerą.

Jego wargi poruszyły się, jakby chciał dalej mówić na temat swoich wad, ale Dylan nie dała mu tej szansy. Ujęła jego twarz w dłonie, pochyliła się i złożyła na jego ustach głęboki, namiętny, niespieszny pocałunek.

Jęknęła kiedy wplótł palce w jej włosy i oddał jej pocałunek.

Dylan pragnęła go tak gwałtownie, że ledwie mogła to wytrzymać. Boże, to wszystko nie miało sensu, to pożądanie, które czuła do człowieka, którego prawie nie znała i z wielu powodów powinna się obawiać, a nie całować jakby nie miało być jutra.

Ale nie chciała i nie mogła przestać całować Rio. Objęła go ramionami i przyciągnęła do siebie, z powrotem na sofę. Pod swoimi dłońmi czuła jego jedwabiste włosy a na ustach jego usta, gorące i żądające. Jego dłoń była silna, ale bardzo delikatna, kiedy wsunął ją pod brzeg jej koszulki, głaszcząc brzuch i pieszcząc nagie piersi. Dylan wiła się z rozkoszy, gdy jego palce drażniły twarde aż do bólu sutki, a język igrał z językiem głęboko w jej ustach.

- Och, Boże - wydyszała płonąć dla niego z pożądania.

On przycisną swoje biodra mocniej zaklinowany między jej udami, skłonił ją by szerzej rozsunęła kolana i ocierał się o nią zmysłowo swoją sztywną erekcją. Dzieliły ich tylko dwie warstwy cienkiej tkaniny. Prawie dochodziła pod wpływem tego rozkosznego tarcia. Dobry Jezu, nie wytrzyma i będzie szczytowa, jeśli on dłużej utrzyma ten płynny rytm, który nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, jakim będzie kochankiem, jeśli w końcu pozbędą się ubrań.

Dylan uniosła stopy i oplotła udami jego biodra, dając mu do zrozumienia, że jest gotowa na wszystko. Już nie pamiętała kiedy ostatni raz obejmowała udami męskie biodra, ledwie pamiętała, że w ogóle uprawiała seks, nie wspominając już o dobrym seksie. Ale teraz nie mogła myśleć o niczym innym, tylko o tym, że pragnie kochać się z Rio. Właśnie tu i teraz.

Wessał jej dolną wargą między swoje zęby, ciągle napierając na nią swoimi biodrami.

Upajała się muśnięciami jego kłów i płynnym ruchem mięśni jego twardego ciała pod jej dłońmi. Wśliznął się dłonią pomiędzy jej nogi i wsunął palce w jej mokrą gorącą szparkę, Dylan nie mogła powstrzymać szlochu rozkoszy, który wyrwał się z jej gardła.

- Taaak - wysyczała, gdy ostry orgazm niespodziewanie przeszył jej ciało. Och, Boże... Rio...

Wciąż zagubiona w fali przyjemności przepływającej przez jej mięśnie, ścisnęła Rio, podczas, gdy jadro jej kobiecości wciąż pulsowało rozkoszą. Usłyszała dziki pomruk Rio, ledwo zareagowała,

gdy przerwał pocałunek i jego usta powędrowały wzdłuż kolumny jej szyi. Objęła go ramionami, podczas gdy on łąsił się do jej gardła, jego język igrał na jej pulsującej skórze.

Zaskoczył ją nacisk jego zębów.

Zesztywniała, chociaż nie chciała się bać tego co może nastąpić. Ale nie mogła zablokować swojej odruchowej reakcji i Rio odsunął się od niej, jakby wrzasnęła wniebogłosy.

- Przykro mi - wyszeptała, wyciągając do niego ręce, ale on już się odsunął z zasięgu jej ramion na drugi koniec sofy. Dylan usiadła, czując się dziwnie ograbiona. - Wybacz mi, Rio. Ja po prostu nie byłam pewna...

- Nie przepraszaj - mruknął ponuro. - Madre de Dios, nie przepraszaj mnie, proszę. To była moja wina, Dylan.

- Nie - odpowiedziała, zdesperowana by go zatrzymać. - Chciałam tego, Rio.

- Nie powinnaś - powiedział. - A ja nie byłem w stanie się opanować.

Przeczesał dłonią ciemne włosy, patrząc na nią tymi swoimi płonącymi, bursztynowymi oczami.

- To byłby ogromny błąd dla nas obojga - powiedział po dłuższej chwili. - Ach, kurwa. To już jest ogromny błąd.

Zanim mogła wykrztusić cokolwiek, Rio po prostu odwrócił się na pięcie i ją zostawił. Kiedy drzwi apartamentu zatrzasnęły się za nim, Dylan obciągnęła swoją koszulkę i poprawiła poskręcane bokserki. W ciszy, w której zostawił ją Rio, przyciągnęła kolana do piersi i objęła się ramionami, a następnie sięgnęła do lampy i zgasiła światło.

ROZDZIAŁ 19

Rio podniósł swoją dziewiątkę i wycelował w tarczę umieszczoną na końcu strzelnicy. Pistolet ni cholery nie leżał mu w dłoni mimo, że był kiedyś jego bronią numer jeden, której używał ze śmiertelną zręcznością... przedtem.

Przed wybuchem w magazynie.

Przed urazami, które kalecząc jego umysł i ciało, wykluczyły go z walki i przykuły do szpitalnego łóżka.

Przed tym, gdy jego ślepotą na dwulicowość Eve, kazała mu rozmyślać o tym co było i co już nigdy nie będzie takie samo.

Rosa lśniącego potu zebrała się nad jego górną wargą, kiedy próbował namierzyć cel. Palec na spuście drżał, gdy koncentrował się na niewielkiej postaci wydrukowanej na tarczy w odległości około dwudziestu metrów od niego.

Ale po to właśnie tu przyszedł.

Po tym co działo się z nim i z Dylan parę minut temu, Rio chciał zrobić coś co przywróciło by mu spokój, ostudziło jego pragnienie. Przy odrobinie szczęścia może udałoby mu się pozbyć tego cielesnego głodu, który wciąż go nękał. Chciał Dylan, pierwotną potrzebą, która pulsowała głęboko w jego żyłach.

Wciąż czuł, zmysłowe ruchy jej ciała pod swoim, takiego miękkiego i zapraszającego. Tak żywo i namiętne reagowała. Akceptowała go, choć pasował do głównej roli w historii *Piękna i Bestia*.

To była jego fantazja, którą spełniał całując Dylan, przyciskając ją swoim ciałem i zastanawiał się czy ogromny pociąg, który czuł do niej mógł być odwzajemniony.

Nikt nie mógł być, aż tak dobrym aktorem.

Eva twierdziła, że jest jej jedyną miłością. Głębia jej zdrady była dla niego wstrząsem, ale w głębi serca wiedział, że nie była szczęśliwa z decyzji, którą podjął, by jako wojownik związać się dożywotnio z Zakonem.

Nie chciała zrozumieć co było dla niego najważniejsze. Nigdy nie pojęła jego potrzeby, by być potrzebnym i użytecznym.

Niejednokrotnie pytała go dlaczego ona mu nie wystarcza, dlaczego miłość do niej i czynienie jej szczęśliwą, to nie dość dla niego. Pragnął czynić obie te rzeczy, ale nawet ona dostrzegła, że pragnął więcej, że służyć Zakonowi pragnął bardziej.

Rio wciąż pamiętał tę noc, kiedy spacerowali razem z Eve po miejskim parku, robili zdjęcia na małym mostku spinającym brzegi rzeki. Mówiła mu, że chce żeby opuścił Zakon i dał jej dziecko. Nie mógł, a raczej nie chciał spełnić jej żądań.

Za jakiś czas, odpowiedział jej. Wojownicy zajmowali się wtedy gaszeniem wzrastającej aktywności Szkarłatnych, więc kazał jej być cierpliwą. Powiedział, że o powiększeniu rodziny pomyśla, kiedy będzie spokojniej.

Oglądając się wstecz, nie był pewien, czy naprawdę tak myślał. Eva nie wierzyła mu, widział to w jej oczach. Cholera, może to był właśnie ten moment, kiedy zdecydowała, że weźmie sprawy w swoje ręce.

To on był winien tego co stało się z Eve i wiedział o tym. Ale odpłaciła mu z nawiązką. Jej zdrada wstrząsnęła nim do głębi duszy. To sprawiło, że zaczął zadawać sobie pytania, między innymi i to, dlaczego do cholery powinien zajmować cenne miejsce na tym świecie.

Kiedy Dylan go pocałowała, kiedy naprawdę spojrzała mu prosto w twarz i w jej oczach odbijała się tylko uczciwość, Rio mógł chociaż przez chwilę uwierzyć, że nie jest tylko żalosnym śmieciem, zatruwającym ziemię i powietrze. Kiedy patrzył w oczy Dylan i czuł jej delikatny dotyk na poranionym ciele, mógł znowu uwierzyć, że rzeczywiście warto żyć.

Byłby samolubnym draniem, gdyby sadił, że miał coś do zaoferowania kobiecie takiej jak ona. Zniszczył już życie jednej kobiecie, omal nie tracąc przy tym własnego. Nie miał prawa, próbować tego po raz drugi z życiem Dylan.

Rio zmrużył oczy żeby nakierować broń na cel, ustabilizował pistolet i pociągnął za spust. Poczł znajome kopnięcie swojej broni, kiedy Beretta wystrzeliła i kula przeszła środek tarczy trafiając w dziesiątkę.

- Dobrze wiedzieć, że nie marnujesz amunicji i nie straciłeś celności. Wróg jak zwykle martwy.

Rio odłożył broń na półkę przed sobą. Kiedy odwrócił się, Niko stał oparty swoimi szerokimi plecami o ścianę. Rio wiedział, że nie był tu sam, ponieważ słyszał rozmowę Niko z trzema wojownikami, na końcu strzelnicy, gdy czyścili broń i dzielili się wrażeniami, z wypadu do nocnego klubu i późnonocnego polowania na ludzką krew.

- Jak tam po polowaniu na górze?

Niko wzruszył ramionami.

- Tak samo jak zwykle.

- Gorące laseczki, które nie mają dość rozsądku, żeby uciec kiedy widzą, że nadchodzisz? - Zapytał Rio, żartobliwie, próbując przełamać lody, które narosły między nimi, odkąd wrócił do Zakonu.

Ku jego uldze, Nikolas się roześmiał.

- To nic złego jeśli kobiety są łatwe i na luzie, chłopie. Może zabierzesz się z nami następnym razem, chciałbym zobaczyć cię z czymś słodkim i nieprzyzwoitym uwieszonym na twojej szyi. - Bliźniacze dołeczki pojawiły się na jego szczupłych policzkach. - Wiesz, oczywiście jeśli nie planujesz skończyć ze sobą w najbliższym czasie. Ty cholerny bękarcie.

Było to powiedziane bez jadu, tylko z zaniepokojeniem o los przyjaciela.

- Dam ci znać. - powiedział Rio i wyczytał ze spojrzenia zwięzonych oczu Niko, że wojownik rozumie, że nie mówi o wypadzie na nocne rozrywki.

Głos Niko przybrał poufały ton.

- Nie możesz pozwolić jej wygrać, wiesz o tym? Bo do tego właśnie prowadzi twoja rezygnacja. Tak, zrypała ci życie, nie powiem ci, że masz wybaczyć i zapomnieć, ponieważ szczerze mówiąc nie sądzę, żebym mógł jej wybaczyć gdybym był tobą. Ale nadal jesteś tu ze mną. Więc pieprzyć ją. - powiedział szorstko Nikolai. - Pieprzę Eve i ta cholerną bombę, która wybuchła w tym magazynie. Ponieważ, mój przyjacielu, nadal jesteś tutaj.

Rio roześmiał się, ale jego gardło było zaciśnięte. Próbował je rozluźnić, czując się jak diabli głupio i niewygodnie przyjmując czyjąś troskę.

- Cholera, amigo. Oglądałeś za dużo Oprah, kiedy mnie nie było? Ponieważ to co mówisz jest naprawdę wzruszające.

Niko zarechotał.

- Po sekundzie namysłu, mówię żebyś zapomniał o tym głównie, które z siebie wydusiłem. Ciebie też pieprzę.

Rio roześmiał się, pierwszy prawdziwy śmiech wydobył się z jego ust... Jezu, minął już pełny rok.

- Hej Niko. - Kade podszedł do nich z drugiego końca strzelnicy, granatowe sterczące włosy i bystre srebrne oczy, nadawały mu dziki, wilczy wygląd. - Mam do ciebie prośbę. Dziś w nocy jeśli natkniemy się na następnego Szkarłatnego z Mrocznej Przystani, nie zapomnij obiecać, że on będzie mój.

- Jeśli ja nie dorwę tego ssącego łba pierwszy - dołożył mu Brock, podążający za, ciemnowłosym wojownikiem i uśmiechający się, gdy udało mu się sprytnie przytknąć ogromny sztylet do podbródka Kane'a.

Z piersi Brocka zagrzmiał pogodny, zdławiony chichot, ale było też znanym faktem, że wojownik, którego Zakon zrekrutował w Detroit w walce był groźny i dokładny jak Czarny Żniwiarz. Puścił Kade'a i dalej spierając się z nim o to, który z nich zajmie się Szkarłatnym, razem opuścili zbrojownię i skierowali się w stronę swoich kwater.

Chase był ostatnim, który do nich podszedł. Jego czarna koszula miała na dole z przodu długie rozdarcie, jakby ktoś, usiłował się gwałtownie dostać do niego. Sądząc po neutralnym kolorze jego dermoglifów, cieplejszym spojrzeniu jego normalnie lodowatych oczu twarziela, można było wysnuć wniosek, że skwapliwie skorzystał, z tego co oferowały dzisiejszej nocy dziewczyny z klubu na powierzchni.

Kiwnął do Rio głową w pozdrowieniu, mówiąc do Niko.

- Jeśli usłyszysz coś więcej na temat Seattle, daj mi znać. Jestem ciekawy dlaczego sprawę tego zabójstwa tak szybko zagarnęła Agencja.

- Taaa - powiedział Nikolai. Też chciałbym to wiedzieć.

Rio zmarszczył brwi.

- Było jakieś zabójstwo w Seattle?

- Nie żyje jeden z długoletnich rezydentów tamtejszej Mrocznej Przystani - powiedział Niko. - Ponadto facet był wampirem z pierwszego pokolenia. - Włosy na karku Rio zjeżyły się gdy usłyszał tą nowinę.

- W jaki sposób zginął?

Spojrzenie Niko było grobowo poważne.

- Kula rozwalila mu mózg. Strzał był oddany z bliska.

- Gdzie?

- Typowym miejscem dla mózgu są okolice głowy - Wycodził Chase, krzyżując na piersi swoje umięśnione ramiona.

Rio prześlizną się po mężczyźnie spojrzeniem spod przymkniętych powiek.

- Dzięki za lekcję anatomii, Harvard. Chodzi mi o to gdzie, był ten obywatel z pierwszego pokolenia w chwili kiedy został zabity?

Niko napotkał spokojne bystre spojrzenie Rio.

- Został zastrzelony na tylnym siedzeniu swojej limuzyny. Mój kontakt powiedział, że biedny drań wracał z opery, czy baletu, albo jakiejś innej podobnej cholery. Kiedy kierowca czekał na zmianę świateł, ktoś strzelił facetowi w głowę i zniknął, zanim kierowca zdał sobie sprawę z tego co się stało. Dlaczego cię to zainteresowało?

Rio wzruszył ramionami.

- Może to nie ma żadnego związku z tą sprawą, ale kiedy byłem w Berlinie, Andreas Reichen wspomniiał mi o zabójstwie kogoś z pierwszego pokolenia, które miało tam niedawno miejsce. Tylko, że tanto morderstwo wydarzyło się w klubie krwi.

- Przecież te kluby zostały zakazane dziesiątki lat temu - stwierdził Chase.

- To prawda - zgodził się z nim Rio, cały sarkazm, jakim częstował go były agent Mrocznej Przystani udowadniał, że dalej był złośliwym kutasem. - Więc teraz drukują zaproszenia atramentem sympatycznym i ustalają tajne kody wejścia dla swoich członków.

- Jest jakiś wspólny modus operandi w przypadku tego berlińskiego zabójstwa? - Zapytał Niko.

- Nie, ten nie skończył z kulą w głowie. Według informacji jakie posiadał Reichen ten miłośnik krwawych sportów, dosłownie stracił głowę.

Niko zagwizdał pod nosem.

- To dwie z trzech metod najskuteczniejszej eliminacji pierwszej generacji Rasy wampirów. Trzecią opcją jest silne promieniowanie UV, to nie oszukujmy się jest najmniej efektywny sposób, nie zawsze masz dziesięć, albo piętnaście minut na wykonanie mokrej roboty.

- Te dwa morderstwa mogą być niepowiązane ze sobą - powiedział Rio, nie chcąc ufać swojemu instynktowi, który ostrzegwał go bijąc na alarm w jego umyśle jak dzwony katedry w Niedzielę Wielkanocną.

- Coś tu śmierdzi - stwierdził Chase, dołączając się w końcu do tych rozważań. - Nie lubię tego smrodu. Dwóch martwych z pierwszego pokolenie w ciągu tygodnia. Czy to nie pachnie egzekucją?

- Nie wiemy dokładnie dlaczego im się to przytrafiło - ostrzegł go Niko. - Tylko pomyśl, o co mogło w tym chodzić. Jeśli żyjesz tysiąc lat, zawsze może znaleźć się ktoś kogo wkurwiłeś do tego stopnia, że odstrzelili ci łeb, albo zgilotynuje w klubie krwi.

- A Mroczne Przystanie nie chcą podawać tego do publicznej wiadomości - dodał Rio.

Chase zmarszczył mocno ciemne brwi.

- Berlin też chce to wyciszyć?

- Taaa, Reichen mówił że dobrze byłoby utrzymać to w tajemnicy, aby uniknąć skandalu. Nie wygląda to za dobrze, jeśli filar lokalnej społeczności zostaje zaciukany w klubie, pełnym zakrwawionych ludzkich trupów.

- Faktycznie - zgodził się Chase. - Ale dwóch zamordowanych z pierwszej generacji jest dość poważnym problemem dla całej społeczności wampirów. Zostało tylko może około dwudziestu obywateli pierwszego pokolenia w całej naszej populacji, wliczając również Lucana i Tegana. A gdyby oni zginęli, całe pierwsze pokolenie by zniknęło.

Nikolai skinął głową

- To prawda i nic nie moglibyśmy na to poradzić.

Nagły chłód zmroził Rio.

- Nie, chyba żebyśmy mieli żyjącego Starożytnego, Dawczynię Życia i jakieś dwadzieścia lat czasu na działania.

Wojownicy spojrzeli na niego z przerażeniem.

Niko przeczesał dłonią swoje blond włosy.

- Ja pierdołę, nie myślisz chyba...

- Modlę się o to, abym się mylił - powiedział Rio. - Ale lepiej będzie jeśli obudzimy Lucana.

ROZDZIAŁ 20

Dylan nie mogła sobie znaleźć miejsca po tym jak Rio zostawił ją samą. Myśli kłębiły się w jej głowie, przepełniały ją sprzeczne emocje. Nie pomagały jej też myśli o swoim życiu, kiedy już wróci z powrotem do Nowego Jorku. Musiała przynajmniej dać znać swojej matce, że nic jej nie jest.

Zapaliła lampę, poszła do sypialni i wyciągnęła swoją komórkę z ukrycia. Praktycznie zapomniała o niej, odkąd zaraz po przybyciu tutaj wyciągnęła ją z kieszeni spodni i wsunęła pod materac na łóżku Rio, teraz nadarzyła się pierwsza okazja jej użycia.

Włączyła ją, starając się zagłuszyć dźwięk muzyczki, gdy telefon ożył. To był cud ponieważ bateria była prawie wyczerpana, ale zawsze jedna kreska to lepiej niż nic.

Wyświetliła się ikonka informująca o tym, że ma nieodsłuchane wiadomości głosowe.

Znowu miała zasięg.

Och, dzięki Ci Boże.

Pierwsza wiadomość głosowa była z biura Colemana Hoggsa w Nowym Jorku. Dylan nie była zaskoczona kiedy słyszała jak jej szef, pluje się i przeklina ją po chamsku za to, że wystawiła do wiatru niezależnego fotografa w Pradze.

Zrezygnowała z dalszego słuchania jego wywodów i przeszła do następnej wiadomości. Ta była od jej mamy, nagrana dwa dni temu, dzwoniła tylko po to by sprawdzić czy u niej wszystko w porządku, powiedzieć, że ją kocha i ma nadzieję, że dobrze się bawi. W jej głosie brzmiało zmęczenie, ten słaby szeleszczący głos powodował, że serce ścisnęło się w piersi Dylan.

Następna wiadomość była znowu od szefa. Tym razem był jeszcze bardziej wściekły, mówił, że obciąży ją kosztami wynajęcia fotografa, a jej e-mail, w którym informuje go o przedłużonym pobycie za granicą, uznał za wypowiedzenie z efektem natychmiastowym. Dylan była bezrobotna.

- Wspaniale - wymruczała wzdychając pod nosem, wyrzucając wiadomość do kosza.

Nie żałowała zbyt wiele straconej posady, bardziej bolał ją brak wypłaty, który niedługo odczuje. Chyba, że znalazłaby coś lepszego, coś większego, coś naprawdę monumentalnego. Coś z prawdziwymi zębami... lub kłami, jak tutaj.

- Nie - powiedziała sobie ostro, zanim pomysł ten na dobre zagnieździł się w jej umyśle.

Nie mogła podać tej historii do wiadomości publicznej. Nie wtedy, gdy miała więcej pytań niż odpowiedzi, nie kiedy sama stała się częścią tej historii, jakkolwiek dziwnie było o tym myśleć.

A poza tym, był jeszcze Rio.

Jeśli potrzebowałyby jakiegoś powodu, aby chronić to czego dowiedziała się o Rasie żyjącej obok ludzkości, to on nim był. Nie chciała go zdradzić, albo narazić na jakiekolwiek ryzyko. Teraz było inaczej niż na początku, teraz kiedy poznała go lepiej, chciała się nim opiekować i odsunąć od niego wszelkie niebezpieczeństwa.

To co niedawno wydarzyło się pomiędzy nimi wstrząsnęło nią do głębi. Pocałunki były niesamowite. To co czuła gdy przywierał do niej swoim ciałem, było najbardziej gorącym i podniecającym doznaniem w całym jej życiu. I moment, kiedy poczuła ukłucie jego kłów na delikatnej skórze szyi, był jednocześnie przerażający i podniecający. Czy naprawdę by ją ukąsił? A jeśli tak, to czym by to było dla niej?

Biorąc pod uwagę to, jak szybko od niej uciekł, nie spodziewała się, że kiedykolwiek otrzyma na to odpowiedź. I naprawdę, nie powinna odczuwać w sobie takiej pustki na tą myśl.

To czego potrzebowała, to opuszczenie tego miejsca i powrót do własnego życia. Powrót do mamy, która prawdopodobnie szalała teraz ze zmartwienia, ponieważ Dylan przez trzy dni nie dawała znaku życia.

Następne trzy nieodebrane połączenia były ze schroniska, wszystkie z wczorajszej nocy. Nie było przy nich wiadomości głosowych, ale próby połączenia dzielił bardzo krótki czas, co wskazywało na coś ważnego.

Dylan nacisnęła przycisk szybkiego wybierania, żeby połączyć się z mamą, ale u niej w domu nikt nie odbierał, to samo powtórzyło się kiedy zadzwoniła na jej komórkę.

Dziewczynie serce podeszło do gardła, wystukała numer schroniska. Telefon odebrała Janet.

- Dzień dobry, tu biuro Sharon Alexander.
- Cześć Janet, tu Dylan.
- Och... cześć, kochanie. Co u ciebie? - Pytanie brzmiało dziwnie ostrożnie, jakby Janet wiedziała, że dla Dylan ten dzień prawdopodobnie nie jest najszcześniejszy. - Dzwonisz ze szpitala?
- Co, nie... - Żołądek Dylan zacisnął się w supeł. - Co się stało? Czy to mama? Co z nią?
- Och, mój Boże - miękko westchnęła Janet. - Czy to znaczy, że o niczym nie wiesz? Myślałam że Nancy dzwoniła do ciebie... Gdzie jesteś, wróciłaś już do domu?
- Nie - odpowiedziała, starając się ignorować lodowate palce bólu zaciskające się w jej piersi - Nadal nie ma mnie w mieście. Gdzie jest moja mama, Janet? Co się z nią stało? Czy wszystko z nią w porządku?
- Czują się trochę osłabiona przez ostatnie kilka dni, a wczoraj po południu zemdląca, tu w schronisku. Dylan, kochanie nie jest z nią dobrze. Zawiozłyśmy ją do szpitala i zatrzymali ją tam.
- Och Boże. - Dylan zdrętwiała ze strachu. - Czy to nawrót choroby?
- Oni myślą, że tak. - Głos Janet brzmiał ciszej niż kiedykolwiek.
- Tak mi przykro, kochanie.

Lucan nie był najszcześniejszy z powodu wyrwania go z łóżka i ramion Gabrielle w samo południe, ale kiedy usłyszał co było powodem tej nagłej pobudki, lider Zakonu natychmiast zerwał się na równe nogi, wrzucił na siebie ciemne dżinsy, jedwabną niezapinaną koszulę i wyszedł na korytarz do czekających na niego Rio, Niko i Chase'a.

- Będziemy potrzebowali Gideona, do obsługi konsoli - stwierdził Lucan, wyjmując z kieszeni swoją komórkę i łącząc się z kwaterą wojownika. Wymruczał przeprosiny za dzwonienie nie w porę, a następnie przekazał Gideonowi nowiny i wnioski jakie wojownicy udostępnili mu chwilę wcześniej. We czterech podążyli korytarzem w kierunku laboratorium technicznego, którym kierował Gideon. Lucan zakończył krótką rozmowę i wyłączył komórkę. - Już idzie, będzie za chwilę. Mam, cholera nadzieję, Rio, że się mylisz.

- Ja też - powiedział, nie bardziej niż inni chętny do zaakceptowania takiej możliwości. Nie minęło więcej niż kilka minut, gdy Gideon dołączył do tego na szybko zorganizowanego zebrania. Wszedł do laboratorium ubrany w szary dres i białą obcisłą koszulkę, jego niezawiązane trampki wyglądały tak jakby w pośpiechu wcisnął w nie stopy i przybiegł tutaj. Klapnął tyłkiem na obrotowe krzesło w centrum dowodzenia i uruchomił komputer.

- Dobra, wpuszczamy nasze macki do baz danych wszystkich Agencji Nadzoru i Mrocznych Przystani, oraz Międzynarodowej Bazy Danych Identyfikacji Tożsamości - powiedział Gideon, wpatrując się w monitor, jak dane powoli przewijają się na ekranie. - Hmm. To dziwne. Powiedziałeś, że jeden z zabitych był z Seattle?

Nikolai potwierdził skinieniem głowy.

- No więc, to się nie zgadza. Seattle nie ma żadnych raportów o zgonach. W ich dokumentach nie ma, też żadnej wzmianki na temat obywateli z pierwszej generacji, chociaż to akurat nie jest takie dziwne. Główna Baza Danych pracuje dopiero kilkadziesiąt lat, więc może być mocno niedokładna. Wprowadzono do niej tylko kilku najstarszych członków Rasy, ale większość z dwudziestu żyjących najstarszych wampirów ceni sobie ochronę własnej prywatności. Chodzą słuchy, że kilku z nich wiezie pustelniczy żywot i nie byli w pobliżu Mrocznej Przystani od wieku lub dłużej. Chyba czują, że po tysiącletnim życiu należy się im pewna niezależność. Mam rację, Lucan?

Lucan, liczący sobie około dziewięćset lat, też nie zarejestrowany w bazie danych, mruknął tylko potakująco i zwięzionymi, szarymi oczami obserwował ekran komputera.

- A co z Europą? Żadnych danych na temat wampira o którym wspominał Reichen?

Gideon wystukał błyskawicznie na klawiaturze kilka sekwencji i wszedł do zastrzeżonej bazy danych z dziecinną łatwością.

- Gównno. Znowu nic się nie pokazuje. Muszę ci powiedzieć, że ta niesamowita cisza jest podejrzana jak diabli.

Rio musiał się z tym zgodzić.

- Jeśli nie ma żadnych raportów na temat zgonów osób z pierwszego pokolenia, to równie dobrze może ich być dużo więcej, niż te dwa, o których wiemy.

- To jest coś, czego musimy się dowiedzieć - powiedział Lucan.

- Jak wielu z pierwszego pokolenia jest zarejestrowanych w bazie danych, Gideon?

Wojownik przeprowadził szybkie wyszukiwanie.

- Mam siedmiu w Stanach i Europie. Wysłałam dane do drukowania.

Kiedy pojedyncza kartka papieru wypadła z laserowej drukarki, Gideon obrócił się na krzesło i wręczył ją Lucanowi. On przyjrzał się wydrukowanemu nazwiskom.

- Większość tych nazwisk jest mi znane. Znam także kilka, których nie ma na tej liście. Tegan też pewnie przypomni sobie i doda kilka. - Położył kartkę na stole, żeby Rio i inni wojownicy też mogli na nią zerknąć. - Czy jakiegoś nazwiska, o którym wiecie nie ma na tej liście?

Chase i Rio potrząsnęli głowami.

- Sergei Yakut - mruknął Niko. - Widziałem go raz na Syberii, kiedy byłem dzieckiem. To pierwszy z pierwszego pokolenia, którego poznałem. Potem gdy przyjechałem do Bostonu spotkałem ciebie i Tegana. Cholera, tylko jego, Yakuta mogę dodać do listy.

- Myślisz, że mógłbyś go odnaleźć, gdybyś musiał? - Zapytał Lucan. - Zakładając, że nie jest od dawna martwy.

Nikolai zachichotał.

- Sergei Yakut to kawał skurwysyna, za sprytny żeby umrzeć. Założę się, że wciąż żyje, myślę, że zdołałbym go odszukać.

- Dobrze - powiedział Lucan, swoim mrocznym głosem. - Chcę jak najszybciej mieć to pod kontrolą. Na wszelki wypadek powinniśmy poznać miejsca pobytu każdego wampira z pierwszego pokolenia.

- Jestem pewien, że Agencja Nadzoru wie trochę więcej, na ten temat niż my - dodał Chase. - Mam tam jeszcze jednego, albo dwóch przyjaciół. Może ktoś coś wie, albo da mi cynk na temat kogoś, kto może wiedzieć.

Lucan skinął głową.

- Taaa, sprawdź to, ale pamiętaj nie wykrywaj przy nich swoich kart. Możesz mieć kilku przyjaciół w agencji, ale nie są oni na pewno przyjaciółmi Zakonu. I bez obrazy, Harvard, ale ufam tym

bezużytecznym lizy dupom z Mrocznej Przystani tylko wtedy, gdy mam ich pod kontrolą.

Lucan spojrział poważnie na Rio.

- Jeśli chodzi o hipotetyczną sytuację jaką nam przedstawiłeś. Czy Starożytny mógł zostać ożywiony i użyty do hodowania nowej linii wampirów pierwszej generacji ? - Potrząsnął głową i przeklął grubiańsko.

- Koszmarny scenariusz, przyjacielu. Ale równie dobrze może okazać się prawdą.

- Jeśli się okaże - powiedział Rio. - To miejmy nadzieję, że niedługo złapiemy jakiś trop i nie spóźniliśmy się o kilkadziesiąt lat by dorwać tego łajdaka.

Dopiero w chwilę po wypowiedzeniu tych słów, Rio uświadomił sobie że użył słowa - my - mówiąc o wojownikach i ich przyszłych poczynaniach. Podświadomie włączał siebie w poczet wojowników Zakonu. Co więcej, zaczynał czuć się z powrotem ważną częścią grupy, gdy tak siedział z Lucanem i innymi, robiąc plany i omawiając strategię.

Poczuł się z tym bardzo dobrze, to fakt.

Może wciąż mimo wszystko, było tu dla niego miejsce. Narobił bałaganu i popełnił kilka błędów, ale może jeszcze uda się wrócić do tego kim kiedyś był.

Wciąż czepiał się tej nadziei, kiedy ciche bipanie dobiegło z konsoli Gideona.

Wojownik przekręcił się na krześle w kierunku ekranu monitora, marszcząc brwi.

- Co się dzieje? - zapytał Lucan.

- Wychwyciłem sygnał aktywnego połączenia z telefonu komórkowego, z tego budynku, numer nie należy do żadnego z nas - powiedział, po czym spojrział na Rio. - Wychodzi z twojej kwatery.

Dylan.

- Kurwa mać - Rio zerwał się na równe nogi, wściekły na siebie i na nią. - Powiedziała, że nie ma żadnej komórki.

Niech to szlag. Okłamała go. Jeśliby miał głowę na karku, to powinien przeszukać ją od stóp do głów, przecież wiedział, że nie można wierzyć kobiecie na słowo. Reporter musiał mieć komórkę w swoim wyposażeniu. I na ile zdążył ją poznać to mogła teraz siedzieć

w jego apartamencie i przez telefon informować CNN o wszystkim co zobaczyła i usłyszała, ujawniając sekret Rasy przed ludźmi i robiła to wszystko pod jego pieprzonym nosem.

- Nic nie znalazłem w jej bagażu, musiała mieć telefon przy sobie
- Rio wymruczał, mając świadomość, że to kiepskie usprawiedliwienie. - Cholera, powinienem był ją przeszukać.

Gideon wystukał coś na głównym panelu.

- Mogę wprowadzić zakłócenia blokujące sygnał.

- Zrób to - polecił mu Lucan. Następnie zwrócił się do Rio. - Mamy pewne niedokończone sprawy, wymagające zamknięcia, mój panie, wliczając tą w twojej kwaterze.

- Taaa - potwierdził Rio, wiedząc, że Lucan miał rację. Dylan musiała podjąć decyzję, był wielki czas po temu, ponieważ Zakon miał teraz na głowie ważniejsze sprawy.

Lucan położył dłoń na ramieniu Rio.

- Myślę, że to najwyższy czas, powinienem poznać osobiście Dylan Alexander.

- Halo... Janet? Nie wzięłam od ciebie numeru pokoju mamy. Halo... Janet? Jesteś tam jeszcze?

Dylan odjęła komórkę od ucha. Brak sygnału.

- Gównu.

Trzymając telefon przed sobą zaczęła chodzić po pokoju, z nadzieją na złapanie sygnału. Niestety... nic. Ta cholerna rzecz kompletnie zdechła, rozłączyło ją mimo, że bateria nie była jeszcze całkiem wyczerpana.

Ciężko było jej o tym myśleć, panika przyspieszała jej puls.

Mama była w szpitalu.

Nawrót raka... och, Boże.

Z trudem opanowała się żeby nie rozbić martwej komórki o najbliższą ścianę.

- Pieprzony kawałek gówna!

Pobiegła do salonu, gorączkowo starając się znowu złapać sygnał...

Omam nie wyskoczyła ze skóry, kiedy drzwi do apartamentu otworzyły się z hukiem, jakby na korytarzu szalała burza i stanął w nich Rio.

I dobry Boże, był naprawdę wkurwiony.

- Daj mi to.

Jego jarzące się bursztynowo oczy i odsłonięte kły sprawiły, że jej żołądek ścisnął się ze strachu, ale ona też była wkurzona i roztrzęsiona wiadomością o tym, że mamie znowu się pogorszyło. Musi ją zobaczyć. Musi opuścić to cholerne nierealne piekło, w którym przez przypadek się znalazła i wrócić do tego co jest dla niej naprawdę ważne.

Jezu Chryste, pomyślała, niedługo może wszystko stracić. Mama jest znowu chora i samotna w jakimś szpitalnym pokoju. Musi się do niej dostać.

Rio wkroczył do pokoju.

- Telefon, Dylan. Daj mi go, natychmiast.

W tym momencie spostrzegła, że nie jest sam. Stojący za nim w korytarzu mężczyzna był potężny, miał prawie dwa metry wzrostu, grzywę ciemnych włosów i wyglądał na bardzo niebezpiecznego, mimo że był niewzruszenie spokojny. Trzymał się z tyłu, kiedy Rio wszedł do środka i podszedł do Dylan.

- Zrobiłeś coś z moim telefonem? - ostro zażądała odpowiedzi, choć była bardziej niż mocno przestraszona Rio i nowym zagrożeniem w postaci ogromnego mężczyzny, ale bardziej martwiła się o stan zdrowia swojej matki, niż o to co może się stać z nią w ciągu najbliższych minut. - Co zrobiłeś, że przestał działać? Odpowiadaj! Co do cholery z nim zrobiłeś!

- Okłamałaś mnie, Dylan.

- A ty mnie, kurwa porwałeś! - Nienawidziła łez, które zaczęły spływać po jej policzkach, prawie tak samo jak nienawidziła swojego uwięzienia i raka i lodowatego bólu w swojej piersi, który nękał ją od czasu, gdy zadzwoniła do schroniska.

Rio wyciągnął rękę i podszedł do niej. Mężczyzna który czaił się na korytarzu, teraz wszedł do środka. Nie musiała pytać, był wampirem, wojownikiem Rasy, jak Rio. Jego szare oczy przeszywały ją jak ostrza, w ten sam sposób w jaki zmysły zwierzęcia wyczuwają drapieżnika, Dylan wyczuwała, że jeśli Rio był niebezpieczny, to ten wojownik był dwa razy niebezpieczniejszy od niego. Starszy pomimo młodzieńczego wyglądu i bardziej zabójczy.

- Do kogo dzwoniłaś? - zapytał Rio.

Nie odpowiedziała mu. Ścisnęła swoją komórkę w zaciśniętej pięści, ale poczuła, że jakaś niewidoczna siła rozwiera jej palce. Nie mogła utrzymać ich zaciśniętych, bez względu na to jak bardzo się starała. Bezsilnie dyszała kiedy jej telefon wyśliznął się z jej dłoni na rękę wampira stojącego obok Rio.

- Jest kilka wiadomości z jej gazety - powiedział mrocznym tonem. - Kilka połączeń z innymi numerami w Nowym Jorku, z mieszkaniem Sharon Alexander i komórką na to samo nazwisko, oraz zastrzeżonym numerem na Manhattanie, które przerwaliśmy.

Rio przeklął soczyście.

- Powiedziałaś komuś o nas, albo o tym co widziałaś?

- Nie! - zapewniała go. - Nikomu o niczym nie mówiłam, przysięgam. Nie jestem dla was zagrożeniem...

- Ale te zdjęcia i historia, którą wysłałaś swojemu pracodawcy, są dla nas problemem. - przypomniał jej ciemnowłosy wampir, z takim potępieniem w głosie, jakby chciała ich posłać do komory gazowej.

- Nie musisz się o to martwić - powiedziała, ignorując surowy i szyderczy wzrok Rio, kiedy wypowiadała te słowa. - Ta wiadomość z gazety była od mojego szefa. Poinformował mnie, że jestem zwolniona. No..., technicznie rzecz biorąc, to była niezamierzona rezygnacja, ponieważ, ze względu na to, że raczyliście mnie porwać nie stawiałam się na umówione przez niego spotkanie w Pradze.

- Straciłaś pracę? - zapytał Rio, zerkając na jej nachmurzoną minę.

Dylan wzruszyła ramionami.

- To już nie ma znaczenia. Wątpię też, by mój były szef chciał teraz wykorzystać materiały, które mu wysłałam.

- To już nie stanowi problemu. - Ponury wampir patrzył na nią badawczo, jakby sprawdzał jej reakcję na tą wiadomość. - Do tej pory wirus, który mu wysłaliśmy powinien już wymazać wszystkie dane z dysku w jego biurze. Będzie teraz miał zajęcie ze swoim komputerem do końca tygodnia.

Naprawdę nie chciała czuć zadowolona z tego powodu, ale wyobrażenie sobie jak Coleman Hogg gryzie swoje paznokcie z powodu awarii twardego dysku, było małym jasnym punkcikiem w całej tej nieznośnej sytuacji.

- Ten sam wirus został wysłany do wszystkich, którym wysłałaś fotografie. - poinformował ją. - To ułatwia sprawę namacalnych dowodów, ale wciąż mamy do czynienia z faktem, że kilka osób posiada wiedzę na ten temat i może ją świadomie lub nie przekazać innym. Musimy więc wyeliminować to ryzyko.

Coś lodowatego przesunęło się po plecach Dylan.

- Co rozumiesz przez... wyeliminowanie ryzyka?

- Musisz dokonać wyboru, panno Alexander. Dzisiejszej nocy zostaniesz przeniesiona do jednej z okolicznych Mrocznych Przystani i objęta opieką Rasy, albo wrócisz do siebie do Nowego Jorku.

- Muszę jechać do domu - powiedziała bez zastanowienia. Spojrzała na Rio, patrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem. - Jak najszybciej muszę wrócić do Nowego Jorku. Czy to znaczy, że uwolnicie mnie żebym mogła pojechać?

Twarde szare spojrzenie zwróciło się w kierunku Rio, ignorując jej pytanie.

- Dziś w nocy odstawisz pannę Alexander do jej domu w Nowym Jorku. Chcę żebyś wreszcie zakończył tą sprawę z nią, Niko i Kade mogą wyczyścić inne osoby, z którymi była w kontakcie.

- Nie! - wyrzuciła z siebie Dylan, lodowaty dreszcz na plecach zamienił się w lodowaty strach. - O mój Boże... nie, nie możesz... Rio, powiedz mu...

- Koniec dyskusji - powiedział ciemnowłosy wampir, kierując swoją uwagę do Rio, na nią nawet nie spojrzał. - Wyruszasz o zmierzchu.

Rio z szacunkiem skinął głową, akceptując rozkaz, bez mrugnięcia okiem. Tak jakby robił tego typu rzeczy co najmniej sto razy.

- Od dzisiejszej nocy, żadnych więcej problemów. - Jego wzrok wymownie przesunął się po Dylan. - Ani jednego.

Kiedy jego przerażający przyjaciel wyszedł, Dylan spytała Rio drżącym głosem.

- Co on miał na myśli mówiąc, wyeliminować ryzyko i żadnych więcej problemów?

Rio spojrzał na nią mrocznie, spode łba. Jego kłujące, pełne zjadliwego chłodu spojrzenie bardzo ją raniło. Gdzie był ten czuły mężczyzna, który tak niedawno namiętnie całował ją w tym pokoju?

Poczuła zimny dreszcz pod jego twardym, chłodnym wzrokiem, jakby patrzyła w twarz obcemu.

- Nie pozwolę tobie, ani twoim przyjaciołom nikogo skrzywdzić - powiedziała do niego, życząc sobie żeby jej głos nie łamał się gdy to mówiła. - Nie pozwolę ci ich zabić!

- Nikt nie umrze, Dylan. - Jego głos był bezbarwny, więc nie działał na nią uspokajająco. - Usuniemy im z pamięci to co zobaczyli na twoich zdjęciach i to co mogłaś powiedzieć im o Rasie i o jaskini. Nie zrobimy im żadnej krzywdy, ale musimy zabrać im te wspomnienia.

- Ale jak? Nie rozumiem...

- Nie musisz rozumieć - powiedział miękko.

- Ponieważ ja też nie będę niczego pamiętać. To masz na myśli?

Przez długą chwilę patrzył na nią w ciszy. Szukała w jego twarzy chociaż odrobiny uczucia, śladu jakiegokolwiek emocji pod tą kamienną maską, pod którą się ukrywał.

Wszystko co zobaczyła, to twarz wojownika, skupionego na swoim zadaniu. Ani śladu wcześniejszej czułości, żadnego współczucia. Była tylko niepożądanym przystankiem na jego drodze, jeńcem na jego łasce. Niewygodnym problemem, ryzykiem, które należało wyeliminować.

Rio zmarszczył brwi i lekko potrząsnął głową.

- Dziś w nocy wracasz do domu, Dylan.

Powinna być szczęśliwa, słysząc te słowa, przynajmniej odczuć ulgę, ale Dylan czuła się tylko dziwnie opuszczona, patrząc jak Rio wychodzi z pokoju i zamyka za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 21

Wrócił do niej po paru godzinach i powiedział, że czas wyruszać. Nie było dla Dylan wielkim zaskoczeniem, że jej następny powrót do świadomości nastąpił na tylnym siedzeniu ciemnego SUV-a, w momencie gdy Rio zaparkował przy krawężniku pod budynkiem na Brooklynie, gdzie mieściło się jej mieszkanie. Kiedy podniosła się rozespana i usiadła na siedzeniu, napotkała we wstecznym lusterku wzrok Rio.

Dylan wykrzywiła twarz, patrząc na niego.

- Znowu to zrobiłeś?

- To po raz ostatni - odpowiedział cichym, przepraszającym tonem.

Wyłączył silnik i otworzył drzwi po swojej stronie. Byli sami w samochodzie, żadnego znaku dwóch wojowników, którzy mieli przyjechać razem z nimi, by zająć się „innymi problemami”, podczas gdy Rio osobiście zaopiekuje się nią.

Boże, świadomość, że jej mama mogłaby się zetknąć z takiego rodzaju niebezpiecznymi osobami jak Rio, wywoływała w niej dreszcz niepokoju. Jej mama miała dość problemów i bez tego, Dylan nie chciała, by musiała się ona stykać jeszcze, z tą jej nową mroczną rzeczywistością.

Dylan zastanawiała się jak szybko Rio by ją złapał, gdyby próbowała uciec z samochodu. Jeśli naprawdę by się sprężyła i miała wystarczający zapas czasu mogłaby dobiec do stacji metra Midton, w której pobliżu mieścił się szpital. Ale po chwili zaśmiała się sama z siebie. Rio śledził ją z Jicin do Pragi. Znalezienie jej na Manhattanie byłoby dla niego wyzwaniem... na maksimum około trzydzieści sekund.

Ale ona, do cholery, musi zobaczyć się z mamą. Musi z nią teraz być, przy jej łóżku i widzieć jej twarz, aby przekonać się czy wszystko jest w porządku.

Dobry Panie, pozwól, żeby była zdrowa.

- Myślałam, że będziemy mieli towarzystwo podczas tej podróży
- powiedziała Dylan w nadziei, że jakimś cudem doszło do zmiany

planów i towarzyszy Rio nie ma razem z nimi. - Co się stało z facetami, którzy mieli przyjechać z tobą?

- Wyrzuciłem ich w mieście. Nie muszą być tu z nami. Zgłoszą się do mnie kiedy zakończą swoje zadanie.

- Masz na myśli, kiedy zakończą terroryzowanie kilku niewinnych osób. Skąd wiesz, że twoi wampirzy kumple nie zechcą ukraść im trochę krwi razem z pamięcią?

- Mają szczególną misję i wykonają ją.

Spojrzała w oczy koloru zadymionego topazu, wpatrujące się w nią z tylnego lusterka.

- Tak jak i ty, mam rację?

- Tak jak ja. - Wsiadł z samochodu i przeszedł do tyłu, by zabrać plecak i torbę z siedzenia obok niej. - Chodź Dylan. Nie mamy za dużo czasu, by to zakończyć.

Ponieważ się nie ruszała, wyciągnął rękę i zaskoczył ją delikatnym dotknięciem w policzek.

- Chodź, wejdźmy do środka. Wszystko będzie dobrze.

Zsunęła się ze skórzanego siedzenia i poszła z nim w po betonowych stopniach w kierunku głównego wejścia do budynku. Rio podał jej klucze, które wyjął z torby.

Dylan przekręciła klucz w zamku i weszła do śmierdzącego stęchlizną, niebieskiego jak jajo rudzika przedsionka, czując się, jakby była dziesięć lat poza domem.

- Moje mieszkanie jest na drugim piętrze - szepnęła, ale Rio prawdopodobnie już o tym wiedział. Szedł tuż za nią przez dwie kondygnacje schodów, aż do jej drzwi na końcu wspólnego korytarza.

Otworzyła drzwi, ale Rio wszedł do mieszkania przed nią, trzymając ją z tyłu, jakby był przyzwyczajony do kontrolowania niebezpiecznych miejsc i robił to rutynowo, jakby sprawdzał bezpieczeństwo na linii frontu. Był prawdziwym wojownikiem. Jeśli jego czujność, ostrożność i potężna sylwetka nie wystarczyłyby, aby to potwierdzić, to wielki pistolet zatknięty za paskiem jego ciemnych bojówek, był wystarczającym dowodem. Patrzyła jak sprawdzał pomieszczenia, zatrzymując się przy zajmującym róg pomieszczenia biurku, gdzie stał komputer.

- Czy znajdę tu coś czego nie powinno tu być? - Zapytał i włączył urządzenie, monitor uruchomił się świecąc jasnoniebieskim światłem.

- Ten komputer jest bardzo stary i ciężki w obsłudze.

- Nie myśl, że go nie sprawdzę. - I bez pytania zaczął otwierać pliki i kontrolować to co zawierały. Nie mógł znaleźć tam nic poza jej starymi artykułami i korespondencją.

- Masz wielu wrogów? - zapytała Dylan, chcąc wyciągnąć coś na jego temat.

- Wystarczająco.

- Wiesz, ja nie jestem jednym z nich. - Zapaliła światło, bardziej dla siebie niż dla niego, bo jemu mrok oczywiście nie przeszkadzał. - Nikomu nie powiem o tym co mi mówiłeś i co widziałam, przez te kilka ostatnich dni. Nic a nic. Przysięgam ci. I mówię to nie dlatego, że zamierzasz odebrać mi wspomnienia. Pragnę by twoje sekrety były bezpieczne, Rio. Chciałabym żebyś o tym wiedział.

- To nie takie proste - odpowiedział, patrząc jej w oczy. - To nie jest bezpieczne, ani dla nas, ani dla ciebie. Chronimy swoich, ale nie możemy być wszędzie a zawsze istnieje zagrożenie. Pozostawanie na zewnątrz osoby związanej z naszym światem i posiadającej jakiegokolwiek informacje o nas mogłoby być katastrofą. Czasami to się praktykuje, nawet jeśli jest to niewskazane. Tu i tam żyją zaufani ludzie, którzy znają prawdę o nas, ale jest to bardzo rzadkie i spowodowane wyższą koniecznością. Osobiście nie pamiętam, żeby to się dobrze kończyło. Ktoś zawsze zostawał skrzywdzony.

- Umiem o sobie zadbać.

Zaśmiał się, ale nie było w tym nawet odrobiny radości.

- Nie mam co do tego wątpliwości. Ale ty jesteś inna, Dylan. Nie jesteś tylko człowiekiem. Jesteś Dawczynią Życia, a to oznacza, że zawsze będziesz różnić się od zwykłych ludzi. Możesz stworzyć związek krwi z mężczyzną z mojego rodzaju i możesz żyć wiecznie. W każdym razie bardzo, bardzo długo.

- To znaczy tak jak Tess i jej partner?

Rio skinął głową.

- Tak, podobnie jak oni, ale żeby zostać częścią świata Rasy, trzeba przeciąć wszystkie więzi z ludźmi. Trzeba zostawić je za sobą.

- Nie mogę tego zrobić - jej mózg automatycznie odrzucił pomysł zostawienia mamy samej. - Moja rodzina jest tutaj.

- Rasa też jest twoją rodziną. Będą opiekować się tobą jak prawdziwa rodzina, Dylan. Możesz mieć bardzo przyjemne życie w Mrocznej Przystani.

Nie mogła nie zauważyć, że mówił o tym wszystkim z bezpiecznego dystansu, wyłączając całkowicie siebie. Część jej zastanawiała się, czy byłoby jej łatwo odmówić, gdyby to on osobiście pytał ją, czy dołączy do jego świata. Ale on nie zrobił tego i wybór Dylan łatwy czy nie, był taki sam niezależnie od jego propozycji.

Potrząsnęła głową.

- Moje życie jest tutaj, z moją mamą, poświęciła dla mnie całe swoje życie i nie mogę jej tak zostawić. Nie teraz. Nigdy.

Muszę znaleźć sposób by dostać się do niej jak najszybciej, pomyślała, unikając badawczego wzroku Rio. Nie chciała czekać, aż zdecyduje się wymazać jej pamięć, skoro zrezygnowała z zielonej karty do jego świata.

- Ja hmm... Muszę skorzystać z toalety - szepnęła. - Mam nadzieję, że nie będziesz mnie tam pilnował, mogę iść?

Rio przymrużył oczy, ale wolno, przyzwalająco skinął głową.

- Idź, ale niech to nie trwa zbyt długo.

Dylan nie mogła uwierzyć, że pozwolił jej samotnie pójść do łazienki i zamknąć się w środku. Przy całym tym dokładnym sprawdzaniu jej mieszkania, musiał przeoczyć fakt istnienia małego okienka obok toalety.

Okienko wychodziło na schody przeciwpożarowe, które prowadziły aż do ulicy poniżej.

Dylan odkręciła do oporu kran z zimną wodą przy umywalce i kontynuowała swój szalony plan. Miała trochę mniej niż dwumetrowego, wyszkolonego do walki, poważnie uzbrojonego wampira czekającego na nią po drugiej stronie drzwi. Była już światkiem jego błyskawicznych reakcji więc szansa, że go prześcignie była mniej niż realna. Wszystko na co mogła mieć nadzieję to ukradkowa ucieczka, a to oznaczało, nadzieję na to, że stare spróchniałe okno otworzy się bez zbyt głośnych zgrzytów, a następnie uda jej się zejść po schodach ewakuacyjnych i nie zarwą się one pod nią. Gdyby udało się jej pokonać te przeszkody, to wszystko co musiały by potem zrobić to dobiec do stacji metra.

Taaa, Bułka z masłem.

Wiedziała, że to było świrnięte, ale podbiegła do okna i zdjęła blokady, trzeba było się natrudzić, żeby naruszyć kilka warstw starej farby, które spajały ramę z futryną na mur. Dylan zakasłała głośno kilka razy, aby zagłuszyć hałas, kiedy waliła pięścią w ramę okna.

Czekała przez chwilę, nasłuchując odgłosów jakiegoś poruszenia w sąsiednim pomieszczeniu, kiedy nie usłyszała niczego, otworzyła okno i poczuła na twarzy duchotę nocnego miejskiego powietrza.

O, Chryste. Czy ona naprawdę to robi?

Zrobi to.

Nic nie było ważne, jeśli mogłaby zobaczyć mamę.

Dylan wysunęła się z okna do połowy, żeby upewnić się że droga na dół jest czysta.

Była czysta. Mogła to zrobić. Musiała spróbować. Nabrała kilka głębokich wdechów, spuściła wodę w toalecie i wykorzystując ten hałas precyzyjnie się przez skrzypiące okno. Niezdarnie i w pośpiechu schodziła zejściem ewakuacyjnym, ale po kilku sekundach znalazła się na dole. W chwili gdy jej stopy dotknęły chodnika, popędziła jak strzała do stacji metra.

Poprzez szum wody lejącej się do umywalki w łazience, Rio usłyszał niemal bezgłośnie otwieranie okna, splukiwanie toalety niemal zagłuszyło metaliczny szczepek schodów ewakuacyjnych w chwili gdy Dylan na nie wchodziła.

Próbowała uciec, tak jak się tego spodziewał.

Widział obracające się w jej głowie trybiki, kiedy z nią rozmawiał, narastającą desperację w jej oczach w miarę jak pozostawali w apartamencie. Wiedział, że będzie próbowała uciec, zanim jeszcze skorzystała z pretekstu konieczności pójścia do łazienki. Rio mógł ją zatrzymać, mógł ją powstrzymać, kiedy schodziła na dół po rachitycznej drabinie. Ale był ciekawy, gdzie chce pójść i z kim planuje się spotkać.

Uwierzył jej kiedy powiedziała, że nie chce narażać Rasy na ujawnienie przed ludźmi. Jeśli okazałoby się, że go okłamała, nie miał pojęcia co by z nią zrobił. Nie potrafił źle o niej myśleć, mówił sobie że w razie czego nie będzie dla niego żadnym problemem by wyczyścić jej umysł.

Ale wahał się by to zrobić nawet po tym co powiedziała, że nie pozostawi ludzkiego świata dla życia wśród Rasy. Wahał się, ponieważ zdał sobie sprawę, że był na tyle egoistyczny, żeby nie chcieć zniknąć z jej myśli.

A teraz uciekła w noc, z dala od niego. Z głową pełną informacji, wspomnień i wiedzy, o których wiedział doskonale, że nie powinien pozwolić jej ich zachować.

Rio wstał od biurka z komputerem Dylan i wszedł do małej łazienki. Była pusta o czym dobrze wiedział, okno było otwarte na ciemną letnią noc.

Wspiął się na nie, na ułamek sekundy zatrzymując się na podeście wyjścia ewakuacyjnego, skoczył i wylądował na asfalcie. Odchylił głowę do tyłu, nabrał powietrza w płuca, aż wyłapał zapach Dylan.

Następnie podążył za nią.

ROZDZIAŁ 22

Dylan stała pod przeszklonymi drzwiami do pokoju swojej matki, który mieścił się na dziesiątym piętrze szpitala i próbowała zebrać w sobie dość siły i odwagi, by wejść do środka. Oddział onkologiczny był bardzo cichy tej nocy, słychać było tylko przyciszone rozmowy pielęgniarek pełniących dyżur i czasami kroki powłóczących nogami pacjentów, zaciskających palce na stojakach od kroplówek, które za sobą ciągnęły. Jej mama niedawno była jednym z takich, uparcie walczących z chorobą pacjentów o zmęczonych oczach.

Dylan nienawidziła myśli, że matkę czeka następna runda walki z cierpieniem i chorobą. Biopsja, którą zlecieli lekarze, powinna odbyć się za kilka dni zgodnie z planem znajdującym się na biurku pielęgniarek. Lekarze byli pełni nadziei, że gdyby wynik był pozytywny i prawdopodobnie nastąpił nawrót, będą mieli dość czasu i będą mogli zacząć wystarczająco wcześnie, nową bardziej agresywną rundę chemoterapii. Dylan modliła się o cud, pomimo przytłaczającego stalowego ciężaru w jej piersi zwiastującego złe nowiny.

Nacisnęła dozownik do dezynfekcji rąk zamontowany obok drzwi, wyciśnięta kropla żelu izopropenowego spadła na jej rękę, wtarła ją w dłonie i wyjęła parę lateksowych rękawiczek z pudełka stojącego na ladzie i założyła je. Wszystko co przeżyła w ciągu ostatnich dni i kilku ostatnich godzin, odeszło w zapomnienie. Jej osobiste problemy przestały istnieć w momencie, kiedy pchnięciem otworzyła drzwi, ponieważ nic nie było teraz ważniejsze od tej skulonej na łóżku, podłączonej do licznych monitorów i kroplówki wpiętej do żyły, kobiety.

Boże, jak słabo i krucho wyglądała jej matka leżąca na szpitalnym łóżku. Zawsze była drobna, niższa od Dylan o dobre dziesięć centymetrów, o włosach, których odcień czerwieni, był bogatszy nawet przełamany pasemkami siwizny, pamiątką po pierwszej walce z rakiem. Teraz włosy Sharon były krótkie i wystrzępione, ta odważna fryzurka sprawiała, że wyglądała ona o dziesięć lat młodziej niż wskazywałby na to jej wiek, sześćdziesiąt cztery lata. Dylan czuła

irracjonalny gniew na to, że następna tura chemoterapii zniszczy ten ich wspaniały, miedziany połysk.

Dylan podeszła cicho do łóżka, starając się nie robić hałasu. Ale Sharon nie spała. Uniosła powieki, jej zielone oczy były błyszczące i ciepłe.

- Och... Dylan... cześć, dziecinko. - Jej drżący głos był jedynym, fizycznym objawem choroby. Uścisnęła mocno dłoń Dylan ubrana w lateksową rękawiczkę. - Jak upłynęła ci podróż, moje słodkie serduszko? Kiedy wróciłaś?

Cholera. Prawda, rzekomo przedłużyła swój pobyt w Europie. Wydawało się jej, że była z Rio już rok, a nie marne kilka dni.

- Hmm, właśnie niedawno wróciłam do domu. Parę godzin temu - odpowiedziała Dylan, kłamiąc tylko częściowo.

Usiadła na brzegu cienkiego szpitalnego materaca, z ręką wciąż zamkniętą w mocnym matczynym uścisku.

- Trochę się zmartwiłam, gdy tak nagle zmieniłaś swoje plany. Twój e-mail, w którym poinformowałaś mnie, że zostajesz na wycieczce nieco dłużej, był taki krótki i tajemniczy. Dlaczego nie zadzwoniłaś?

- Przepraszam - powiedziała Dylan. Kłamstwo, które musiała ciągnąć bolało ją jeszcze bardziej, ponieważ jej mama się martwiła. - Zadzwoniłabym gdybym mogła. Och, mammo... Tak mi przykro, że źle się czujesz.

- Czuję się dobrze. Dużo lepiej bo jesteś tu ze mną. - Wzrok Sharon był opanowany i spokojny. - Ja umieram, dziecinko. Wiem o tym, rozumiesz?

- Nie mów tak. - Dylan ścisnęła matczyne dłonie, a następnie uniosła je do swoich ust i pocałowała chłodne palce. - Wyjdiesz z tego, tak jak poprzednim razem. Na pewno wyzdrowiejesz.

Wymowna... cisza... zaległa w pokoju. Jej matka nie ciągnęła już tego tematu, ale istniał on, jak upiór czający się za rogiem.

- Dobrze, porozmawiajmy teraz o tobie. Chcę usłyszeć o tym, gdzie byłaś i co robiłaś... Opowiedz mi o wszystkim co widziałaś, kiedy cię nie było.

Dylan spuściła wzrok, nie będąc w stanie patrzeć mamie w oczy, jeśli nie mogła powiedzieć jej prawdy, która w większości była kompletnie niewiarygodna. Zwłaszcza ta część, w której Dylan

wyznałaby, że boi się rozwijającego się w niej uczucia do niebezpiecznego, tajemniczego mężczyzny. Chryste w niebie!... wampira. Szaleństwem była nawet myśl o wypowiedzeniu tych słów.

- Opowiedz mi coś więcej na temat tej historii nad, którą teraz pracujesz, to było coś na temat kryjówki demona, czyż nie tak, dziecinko? Te zdjęcia, które mi przesłałaś to było naprawdę coś. Kiedy twoja historia ujrzy światło dzienne?

- Nie ma żadnej historii, mamó. - Dylan potrząsnęła głową, głęboko żałując, że wspominała mamie i... innym cokolwiek na temat jaskini. - Okazało się, że to była tylko zwykła jaskinia - powiedziała, mając nadzieję, że przekona matkę. - Nie było w niej nic szczególnego.

Sharon patrzyła na nią sceptycznie.

- Naprawdę? Ale przecież znalazłaś jakiś grób... i te niesamowite znaki na ścianach. Jak to wszystko się tam znalazło? To musiało coś oznaczać.

- To był tylko grób, prawdopodobnie bardzo stary, takie znaki często występują w tego rodzaju grobowcach.

- A zdjęcie tego mężczyzny, które zrobiłaś?

- To był jakiś włóczęga. - Dylan kłamała, nienawidząc każdej sylaby, która wyszła z jej ust. - To zdjęcie zostało tak zrobione, że wydaje się czymś więcej niż naprawdę jest. Ale nie ma żadnej historii, nawet takiej, którą mógłby wykorzystać szmatławiec Colemana Hogga. Uczciwie ci powiem, on mnie wykopał.

- Co? Nie mógł tego zrobić.

Dylan wzruszyła ramionami.

- Taaa, zrobił to. I dobrze. Znajdę coś innego.

- Jego strata. Jesteś zbyt dobra żeby pracować w takim miejscu. Jeśli jest to dla ciebie jakieś pocieszenie to ja uważam, że to była świetnie napisana historia. Pan Faso myśli tak samo. Zupełnie na serio wspominał, że ma kontakty w kilku poważnych serwisach informacyjnych w mieście. Prawdopodobnie mógłby coś dla ciebie znaleźć gdybym go o to poprosiła.

O, cholera. Rozmowa kwalifikacyjna była ostatnią rzeczą, o którą się teraz martwiła.

Nie kiedy reszta tego co usłyszała, spowodowała, że ze strachu ścisnęło się jej gardło.

- Mamo nie opowiadałaś mu chyba o mojej historii. Mam nadzieję, że nie zrobiłaś tego?

- Oczywiście, że to zrobiłam. Pokazałam mu też zdjęcia. Przykro mi ale nie mogłam się powstrzymać, żeby się tobą nie pochwalić. Jesteś moją małą gwiazdą.

- Co ty zrobiłaś... Och, Boże, mamo, proszę powiedz mi, że nie rozprowadziłaś tego zbyt wielu ludziom. Nie zrobiłaś tego, prawda?

Sharon poklepała ją po ręce.

- Nie bądź taka skromna. Jesteś bardzo utalentowana Dylan, powinnaś pracować nad większymi, bardziej porywającymi historiami. Pan Fasso zgadza się ze mną. Gordon i ja rozmawialiśmy na twój temat podczas rejsu parę nocy temu.

Dylan żołądek podjechał do gardła, na myśl o tym, że coraz więcej osób zostało wtajemniczonych w to co widziała w jaskini, ale nie mogła też nie zauważyć błysku radości w oczach swojej matki, kiedy wspominała o człowieku, który założył schronisko dla młodocianych uciekinierów z domu.

- Czyżbyście byli już po imieniu z panem Fasso?

Sharon zachichotała, zabrzmiało to tak młodzieńczo i szelmowsko, iż Dylan zapomniała na chwilę, że siedzi przy mamie na szpitalnym łóżku oddziału onkologicznego.

- On jest bardzo przystojny, Dylan. Oraz absolutnie czarujący. Zawsze myślałam, że jest chłodny i trzyma się na uboczu, ale tak naprawdę jest bardzo intrygującym człowiekiem.

Dylan uśmiechnęła się.

- Lubisz go.

- Tak, bardzo - zwierzyła się jej mama. - Ale już takie moje szczęście. Kiedy znalazłam prawdziwego dżentelmena... który, wiesz... może mógłby być moim prawdziwym księciem z bajki?... to jest już za późno dla mnie, żeby się zakochać.

Dylan potrząsnęła głową, nienawidząc, kiedy mama mówiła tego rodzaju rzeczy.

- Na to nigdy nie jest za późno, mamo. Ciągle jeszcze jesteś młoda. Masz jeszcze długie życie przed sobą.

Cień przeszedł przez matczyne oczy, kiedy spojrzała w górę na siedzącą na łóżku Dylan.

- Zawsze byłam z ciebie dumna. Wiesz o tym kochanie, prawda? - Dylan skinęła głową z zaciśniętym gardłem.

- Tak, wiem. Zawsze mogłam na ciebie liczyć, mamó. Byłaś jedyną osobą w moim życiu na, którą mogłam liczyć. Nadal jesteś. Dwaj muszkietierowie, prawda?

Sharon uśmiechnęła się na wspomnienie ich powiedzenia, ale w jej oczach lśniły łzy.

- Chcę żebyś była silna. Kiedy się to wydarzy, mam na myśli... to, że wkrótce cię opuszczę... dlatego, że umieram.

- Mamusiu...

- Wysłuchaj mnie, proszę. Martwię się o ciebie, serduszek. Nie chcę żebyś była całkiem sama.

Dylan wytarła gorące łzy, które spływały po jej policzkach.

- Nie powinnaś teraz martwić się o mnie. Musisz skupić się na sobie, myśleć o powrocie do zdrowia. Trzeba myśleć pozytywnie. Biopsja może nie...

- Dylan. Przestań i wysłuchaj mnie. - Matka usiadła na łóżku i przygwoździła Dylan stanowczym spojrzeniem zmęczonych oczu, które dziewczyna bardzo dobrze знаła.

- Rak wrócił, jest gorzej niż przedtem. Wiem o tym. Czuję to. Już się z tym pogodziłam i muszę być pewna, że i ty kiedy przyjdzie czas, też będziesz w stanie się z tym pogodzić.

Dylan spojrzała na ich splecione dłonie, jej zabezpieczone żółtym lateksem, matki prawie przezroczyste, kruche ścięgna i kości pod chłodną, zbyt bladą skórą.

- Jak długo już się mną opiekujesz, dziecinko? Nie myślę tylko o mojej chorobie. Od czasu kiedy byłaś małą dziewczynką, zawsze się o mnie martwiłaś i starałaś się dbać o mnie najlepiej jak potrafiłaś. - Dylan potrząsnęła głową.

- Dbaliśmy o siebie nawzajem. Zawsze tak było...

Delikatne, chłodne palce ujęły ją pod brodę, kierując jej spojrzenie na matczyną twarz.

- Jesteś moim dzieckiem. Żyłam tylko dla ciebie i twoich braci, ale ty zawsze byłaś dla mnie najważniejsza. Nie powinnaś podporządkowywać swojego życia dla mnie, Dylan. Nie powinnaś być brać na siebie dorosłej roli w naszych stosunkach. Potrzebujesz kogoś kto zaopiekuje się tobą.

- Sama mogę o siebie zadbać - szepnęła, niezbyt przekonująco, ponieważ łzy spływały jej po policzkach.

- Tak, możesz i pewnie zadbasz. Ale zasługujesz na coś więcej z życia. Nie możesz dłużej bać się tego, że chcesz żyć i kochać. Czy możesz mi to obiecać, Dylan?

Zanim Dylan mogła cokolwiek jej odpowiedzieć, drzwi do pokoju uchyliły się i weszła dyżurna pielęgniarka niosąc parę nowych woreczków do kroplówki.

- Jak tam, Sharon? Boli cię teraz?

- Przydałoby mi się coś - powiedziała, zerkając na Dylan, jakby czuła się winna, że nie potrafi ukryć swojego bólu. Oczywiście, że nie mogła. Było znacznie gorzej niż Dylan mogła to zaakceptować.

Podniosła się z łóżka, pozwalając pielęgniarce zająć się pacjentką. Kiedy siostra wyszła. Dylan znowu usiadła obok mamy. To było takie trudne, żeby się nie załamać. Musiała z całych sił starać się żeby być silną, kiedy spojrzała na dół w ciepłe, zielone oczy i zobaczyła, że te walczone iskierki, których tak potrzebowała w matczym spojrzeniu, zgasły.

- Chodź tu i przytul mnie, dziecinko.

Dylan nachyliła się i wzięła w objęcia delikatne ramiona, czując jaka krucha stała się teraz jej matka.

- Kocham cię mamo.

- Ja też cię kocham - Sharon westchnęła i ciężko oparła się plecami o poduszki.

- Jestem taka zmęczona, serduszek. Potrzebuję odpoczynku.

- W porządku - odpowiedziała Dylan ochryłym głosem. - Ja tu sobie po prostu posiedzę, kiedy będziesz spała.

- Nie, nie będziesz tu siedzieć. - Matka potrząsnęła głową. - Nie chcę żebyś tu siedziała i zamartwiała się o mnie. Nie planuję opuścić cię dzisiejszej nocy, ani jutro, ani w ciągu następnego tygodnia... Obiecuję. Idź do domu Dylan. Chcę żebyś to dla mnie zrobiła.

Dom, pomyślała Dylan, kiedy jej mama odpłynęła w wywołany lekami sen. To słowo było dla niej dziwnie puste, kiedy w wyobraźni zobaczyła swoje mieszkanie i tych kilka gratów, które tam miała. To nie był jej dom. Chciała znaleźć się teraz gdzieś, gdzie czułaby się bezpieczna i chroniona, jej żałosna dziupla to nie było to.

Tak naprawdę to nigdy nie było to.

Dylan podniosła się z łóżka i odwróciła się w stronę wyjścia z pokoju. Wycierając załzawione oczy, jej wzrok napotkał ukrytą w cieniu twarz i szerokie ramiona rysujące się na tle oświetlonego korytarza.

Rio.

Przyszedł tu za nią i ją odnalazł.

Wbrew instynktowi, który kazał jej od niego uciekać, Dylan poszła do niego.

Popychając przeszkłone drzwi wyszła na korytarz, nie mogąc wydobyć z siebie głosu objęła ramionami jego silny, ciepły tors i cicho zapłakała opierając mu głowę na piersi.

ROZDZIAŁ 23

Nie spodziewał się, że widząc go stojącego tutaj, podbiegnie do niego.

Teraz Dylan była w jego ramionach, cała drżała zanosząc się szlochem, Rio był kompletnie zagubiony. Pełen gniewu i podejrzeń śledził ją przez całe miasto. W głowie dzwoniło mu od hałasów i od niekończącego się tłumu ludzi, gdziekolwiek spojrzał. Skronie jęczały od jasnych światła, atakowane były wszystkie jego zmysły.

Ale to nie miało znaczenia w tej chwili, kiedy stał tu i trzymał Dylan w ramionach, czując drżenie jej ciała, głęboki strach i ból. Cierpiała, a Rio czuł dojmującą potrzebę by ją chronić. Nie chciał widzieć jej w takim jak ten bólu.

Madre de Dios, nienawidził widzieć ją w takim stanie.

Głaskał jej delikatne plecy, przycisnął usta do czubka jej głowy, który ledwie sięgał jego brody, cicho szepcząc słowa otuchy. Kiepska pomoc, ale to było wszystko co mógł wymyślić, żeby ją pocieszyć.

- Tak się boję, że ją stracę - szepnęła. - Och, Boże Rio... jestem przerażona.

Nie było mu trudno domyślić się o kim Dylan mówi. Pacjentka śpiąca w pokoju za nimi, miała taki sam kremowy kolor skóry, takie same ogniste włosy, jak jej młodsza wersja, którą Rio trzymał w objęciach.

Dylan uniosła ku niemu zapłakaną twarz.

- Zabierzesz mnie stąd, proszę?

- Zabiorę cię gdziekolwiek zechcesz. - Rio delikatnie otarł kciukami ślady łez z jej policzków. - Chcesz iść do domu?

Jej cichy smutny śmiech zabrzmiał żalonym zagubieniem.

- Czy możemy po prostu... trochę się przejść?

- Taaa. Oczywiście. - Rio skinął głową, obejmując ją ramieniem. - Chodźmy stąd.

Szli w milczeniu, na dół do windy, a potem wyszli ze szpitala na zewnątrz w ciepłą noc. Nie wiedział gdzie ma ją zabrać, więc po prostu spacerowali. Kilka przecznic od szpitala znajdowała się kładka prowadząca do promenady nad East River. Przeszli po niej, a kiedy

spacerowali wzdłuż brzegu rzeki, Rio czuł spojrzenia ludzi przechodzących obok nich po chodniku.

Były to rzucane ukradkowo spojrzenia na jego blizny. Wyczuwał w tych spojrzeniach pytanie, skąd u jego boku dziewczyna tak piękna jak Dylan. Cholernie trafne pytanie, nie mógł znaleźć na nie w tej chwili sensownej odpowiedzi. Przywiózł ją do miasta, by wykonać konkretne zadanie i był cholernie pewny, że nie powinien pozwalać sobie na takie jak teraz zbaczanie z trasy.

Dylan w końcu zwolniła, zatrzymując się przy metalowej barierze zapatrzyła się w płynącą wodę.

- Mama poważnie zachorowała zeszłej jesieni. Myślała, że to zapalenie oskrzeli, ale to nie było to. Diagnoza. Rak płuc, chociaż nie wypaliła w życiu ani jednego papierosa. - Dylan zamilkła na dłuższą chwilę. - Ona umiera. To właśnie powiedziała mi dzisiaj wieczorem.

- Przykro mi - powiedział Rio, przysuwając się do niej bliżej.

Chciał ją dotknąć, ale nie był pewny czy potrzebuje jego pocieszenia... nie był pewny czy by je zaakceptowała. Zamiast tego dotknął luźnego kosmyka jej płomiennych włosów, łatwiej było udawać, że tylko łapie zbłąkany lok, który letni wietrzyk zdmuchną jej na twarz.

- To nie ja miałam odbyć tę podróż do Europy. To miała być jej wielka przygoda z przyjaciółkami, ale nie czuła się na tyle dobrze, żeby wyruszyć, więc ja pojechałam na jej miejsce. I gdyby nie to, moja noga nigdy nie stanęłaby w tej cholernej jaskini. I nigdy nie spotkałabym ciebie.

- Teraz chciałabyś móc to cofnąć. - On nie pytał, po prostu stwierdzał prosty fakt.

- Żałuję, że nie mogę cofnąć tego dla niej. Życzyłabym sobie, żeby mogła mieć swoją przygodę. Życzyłabym sobie, żeby nie była chora. - Dylan odwróciła głowę i spojrzała na niego. - Jednego tylko nie chciałabym cofnąć. Tego, że spotkałam ciebie.

Rio poczuł się oszołomiony jej cichym wyznaniem. Uniósł dłoń i dotknął delikatnej linii jej szczeki, patrząc na twarz tak uczciwą i piękną, że brakowało mu tchu w piersiach. A ona patrzyła na niego, jakby był człowiekiem jej godnym, mężczyzną, którego mogłaby pokochać...

Westchnęła cicho i niepewnie.

- Cofnęłabym to wszystko w jednej sekundzie, Rio. Wszystko, tylko nie to, że poznałam ciebie.

O Chryste!

Zanim mógł powiedzieć sobie, że to zły pomysł, Rio pochylił głowę i ją pocałował.

Było to delikatne spotkanie ich ust, miękkie zetknięcie warg, które nie powinno tak go rozpalić. Rozkoszował się jej słodkim smakiem i tym jak dobrze czuła się w jego ramionach.

Nie powinien tego tak bardzo chcieć. Nie powinien tego tak bardzo potrzebować, tego czułego uczucia rozpalającego się w nim za każdym razem, kiedy myślał o Dylan.

Nie powinien przyciągać jej do siebie mocniej, zanurzać palców w jej ciepłych jedwabistych włosach, by zatonęła w jego objęciach i zatracić się w jej pocałunku.

Nie mógł się zmusić, by go przerwać, a kiedy już uniósł głowę nie mógł przestać pieścić jej twarzy. Nie mógł się od niej oderwać.

Grupa nastolatków wtoczyła się za nimi na promenadę, agresywni ludzcy chłopcy w za dużych o parę rozmiarów ubraniach, dyskutowali hałaśliwie wpychając się na siebie, kiedy szli. Rio śledził ich wzrokiem, poczuł ukłucie podejrzenia, kiedy zobaczył, że gang zatrzymuje się przy barierce i zaczyna zawody w pluciu do rzeki. Nie wydawali się jawnie niebezpieczni, ale tacy jak oni zawsze oznaczali kłopoty.

- Demetrio?

Rio spojrzał na Dylan zmieszany.

- Hmm?

- Jestem bliżej? Mam na myśli twoje prawdziwe imię... czy to Demetrio?

Roześmiał się i nie mógł się powstrzymać, by nie pocałować drobnych piegów na jej nosku.

- Nie, to nie jest moje imię.

- Dobra. Więc, może to jest... Arrio? - Zgadywała, jaśniejąca dla niego w księżycowym świetle, wyslizgując się z jego ramion, pytała dalej. - Oliverio? Terrio?

- Eleuterio - powiedział.

Otwarła szeroko oczy.

- Ely-lay-oo... jak?

- Moje pełne imię brzmi: Eleuterio de la Noche Atanacio.
- Łał. Wydaje mi się, że moje zwykłe Dylan może się wydać przy tym trochę nieciekawe, co nie?

Rio zachichotał.

- Nic w tobie nie jest nieciekawe, zapewniam cię.

Jej uśmiech był zaskakująco nieśmiały.

- Więc, co znaczy to tak pięknie brzmiące imię?

- W swobodnym tłumaczeniu to będzie „ten który jest wolny w wiecznie trwającej nocy”.

Dylan westchnęła.

- To jest piękne, Rio. Mój Boże, twoja matka musiała cię uwielbiać, żeby dać ci tak niesamowite imię.

- Moja matka nie zrobiła tego. Ona została zabita kiedy byłem bardzo młody. Moje imię zostało mi nadane później w Mrocznej Przystani przez rodzinę Rasy, która się mną zaopiekowała w mojej ojczyźnie. Oni mnie znaleźli i przygarnęli jak swojego.

- Co się stało z twoją matką? To znaczy, nie musisz mi odpowiadać jeśli nie chcesz... wiem, zadaję za dużo pytań - powiedziała, przepraszając wzruszając ramionami.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby ci o tym opowiedzieć - odparł, dziwiąc się, że naprawdę tak myślał.

Z zasady, nienawidził rozmawiać o swojej przeszłości. Nikt w Zakonie nie znał przerażających szczegółów jego dzieciństwa, nawet Niko, którego uważał za swojego najbliższego przyjaciela. Nie czuł potrzeby, by rozmawiać o tym z Eve, ponieważ poznali się w hiszpańskiej Mrocznej Przystani, gdzie dorastał i znała jego okropną historię. Eva wybrała politykę grzecznego ignorowania brzydkich faktów związanych z jego narodzinami i latami które spędził jako wyrzutek, zabijając bo musiał, bo inaczej nie potrafił. Był małym dzikusiem, zanim przygarnięto go do Mrocznej Przystani i pokazano jak żyć, lepiej niż zwierzęta z którymi walczył i do których stał się podobny, by przetrwać na własną rękę.

Rio nie chciał widzieć jak Dylan patrzy na niego ze strachem albo odrazą, ale większa jego część pragnęła wyznać jej prawdę. Jeśli mogła patrzeć na jego blizny i nie czuła do niego obrzydzenia, to może byłaby na tyle silna, żeby zobaczyć również i te rany, które naznaczyły głęboko jego duszę.

- Moja matka mieszkała na obrzeżach bardzo małego, rolniczego miasteczka w Hiszpanii. Była zaledwie szesnastoletnią dziewczyną, kiedy została zgwałcona przez wampira, który stał się Szkarłatnym. - Rio mówił cichym głosem, żeby nikt go nie mógł podsłuchać, ale najbliższymi ludźmi, jacy znajdowali się na promenadzie, była grupa młodocianych opryszków, którzy kontynuowali swoją zabawę nie zwracając na nich uwagi. - Ten Szkarłatny pożywiał się na niej, kiedy ją bezcześcił, ale moja matka walczyła z nim. Musiała go pewnie ugryźć. Na tyle mocno, że jego krew dostała się do jej ust a następnie wniknęła w jej ciało. Ponieważ była Dawczynią Życia, połączenie krwi i nasienia zaowocowało ciążą.

- Tobą - wyszeptała Dylan. - Och Boże, Rio. Jakie to musiało być dla niej straszne przeżycie. Ale przynajmniej na koniec miała ciebie.

- To cud, że się mnie nie pozbyła ze swojego łona - powiedział, patrząc na ciemną lśniąca rzekę i przypominając sobie o udrękach matki z powodu odrażającej istoty, której dała życie. - Moja matka była prostą, wiejską dziewczyną. Nie była wykształcona, nie w tradycyjnym sensie. Nie wiedziała zbyt wiele o życiowych sprawach. Mieszkała samotnie w domku w lesie, odrzucona przez swoją rodzinę rok przed moim urodzeniem.

- Z jakiego powodu?

- Manos del diablo - odpowiedział Rio. - Oni bali się jej diabelskich rąk. Pamiętasz jak ci mówiłem że kobiety urodzone ze znamieniem Dawczyni Życia, posiadają również jakiś specjalny dar... specjalne, zdolności psychiczne?

Dylan potwierdziła skinieniem głowy.

- Tak.

- No cóż, dar mojej matki był mroczny. Jej dotyk, gdy skupiła myśli, przynosił śmierć. - Rio zaśmiał się gorzko pod nosem i uniósł do góry własne śmiercionośne dłonie. - Manos del diablo.

Dylan milczała przez chwilę, przyglądając mu się w ciszy.

- Ty również posiadasz tę zdolność?

- Kiedy Dawczyni Życia zostaje matką, przekazuje swojemu synowi wiele cech: kolor oczu, włosów i skóry... a także zdolności psychiczne. Myślę, że gdyby moja matka miała świadomość co rośnie w jej brzuchu, to zabiłaby mnie na długo przed urodzeniem. Starła się to zrobić przynajmniej raz, już po fakcie.

Czoło Dylan zmarszczyło się, a jej ręka delikatnie przykryła jego dłoń spoczywającą na metalowej barierze.

- Co się wydarzyło?

- To jedno z moich pierwszych zapamiętanych wspomnień. - wyznał Rio. - Widzisz, potomstwo Rasy rodzi się z małymi, ostrymi kłami. Od momentu opuszczenia łona matki, potrzebuje ono krwi i ciemności, żeby przeżyć. Moja matka musiała samodzielnie dojść do tego, w jakiś sposób i tolerowała to, bo jakoś wyrosłem ze wczesnego dzieciństwa. Dla mnie to było zupełnie naturalne, unikanie słońca i pożywanie się z matczynego nadgarstka. Myślę, że musiałem mieć wtedy około czterech lat, kiedy po raz pierwszy zauważyłem, że płakała za każdym razem, gdy mnie karmiła. Gardziła mną... gardziła tym czym byłem... mimo to byłem wszystkim co miała.

Dylan pogładziła wierzch jego dłoni.

- Nie mogę sobie nawet wyobrazić, czym to musiało być dla ciebie. Dla was obojga.

Rio wzruszył ramionami.

- Nie znałem innego życia. Ale moja matka tak. Tego szczególnego dnia, okiennice naszego domku były szczelnie zamknięte, by chronić mnie przed słonecznym światłem. Moja matka podała mi swój nadgarstek. Kiedy piłem, poczułem jej drugą dłoń z tyłu mojej głowy. Trzymała ją tak przez chwilę i nagle poczułem jakby błyskawicę bólu uderzającą w moją czaszkę. Zapłakałem i otworzyłem oczy. Ona też płakała, gwałtownym, strasznym szlochem, karmiąc mnie i trzymając swoją dłoń na mojej głowie.

- Jezu Chryste - wyszeptała, kompletnie zaszokowana Dylan. - Zamierzała cię zabić swoim dotykiem?

Rio przypomniał sobie własny głęboki szok, jaki był wtedy jego udziałem... dziecko patrzące z przerażeniem, jak osoba, której ufał najbardziej próbuje zakończyć jego życie.

- Ona nie mogła tego doprowadzić do końca - szepnął ze stanowczością w głosie. - Nie zależnie od tego co nią wcześniej kierowało, cofnęła rękę i uciekła z chaty. Nie było jej przez dwa dni, w chwili gdy wróciła, byłem głodny i przerażony. Myślałem, że na zawsze mnie opuściła.

- Ona też musiała być przerażona - podkreśliła Dylan, a Rio był szczęśliwy, że nie usłyszał żadnych śladów współczucia w jej głosie.

Jej palce były ciepłe i pocieszające, kiedy oplótła nimi jego dłoń. Tą dłoń, o której mówił jej przed chwilą, że jest zdolna zabić dotykiem. - Obydwoje musieliście czuć się bardzo odizolowani i samotni.

- Tak - powiedział. - Przypuszczam, że byliśmy. Wszystko skończyło około roku później. Pewni mężczyźni z wioski, obserwowali moją matkę i najwyraźniej zaczęli się nią interesować. Przyszli pewnego dnia do naszego domku, spaliśmy wtedy. Było ich trzech. Kopniakiem otworzyli drzwi i podeszli do niej. Musieli słyszeć jakieś pogłoski, ponieważ pierwszą rzeczą jaką zrobili, było związanie jej rąk tak, żeby nie mogła ich dotknąć.

Dylan nie mogła złapać oddechu.

- Och, Rio...

- Wyciągnęli ją na zewnątrz. Pobiegłem za nimi, starając się jej pomóc, ale słońce paliło zbyt mocno. Oślepiło mnie na kilka sekund, które wydawały mi się wiecznością, kiedy słyszałem krzyki mojej matki błagającej, żeby nie krzywdzili jej ani dziecka.

Rio miał jeszcze przed oczami obraz drzew, bujnych i zielonych i nieba tak błękitnego... eksplozja kolorów, dla kogoś kto widział tylko ich stonowane, ciemniejsze odcienie w mroku bezpiecznej nocy. Zdołał jeszcze zobaczyć mężczyzn. Trzech ogromnych ludzkich mężczyzn, katujących na zmianę bezbronną kobietę, podczas gdy jej syn na to patrzył, sparaliżowany widzianym terrorem, bezsilnością i słabością swojego pięcioletniego ciała.

- Bili ją, wyzywając brudnymi słowami. Maldecido. Manos del diablo. La puta de infierno. Coś pękło we mnie, kiedy widziałem jej czerwoną krew spływającą na ziemię. I skoczyłem na jednego z mężczyzn. Byłem taki wściekły, chciałem żeby umierał w męczarniach... i tak się stało. Gdy zrozumiałem, co zrobiłem, skoczyłem na kolejnego mężczyznę. Wbiłem mu palce w gardło i karmiłem go moim dotykiem, aż skonał powoli.

Dylan patrzyła na niego, nic nie mówiąc. Stojąc przy nim. Wciąż jeszcze stojąc przy nim.

- Ostatni spojrzał i zobaczył, co zrobiłam. Wyzywał mnie tymi samymi wyrazami, co moją matkę, a następnie dodał dwa kolejne wyzwiska, których nigdy nie słyszałem: Comedor de la sangre. Monstruo. Pijący krew. Potwór. - Rio westchnął i roześmiał się delikatnie. - Do tego momentu, nie wiedziałem czym byłem. Ale

kiedy zabiłem ostatniego z napastników mojej matki i patrzyłem, jak ona umiera na oświetlonej słońcem trawie, jakaś głęboko ukryta we mnie świadomość zaczęła się budzić. W końcu zrozumiałam, że jestem inny i co to dla mnie znaczy.

- Byłeś tylko dzieckiem - powiedziała Dylan cicho. - Jak przeżyłeś po tym wszystkim?

- Przez jakiś czas byłem głodny. Próbowałem się karmić ze zwierząt, ale ich krew była dla mnie jak trucizna. Znalazłem mojego pierwszy człowieka około tygodnia po ataku. Byłem jak oszalały z głodu i nie miałem żadnego doświadczenia w samodzielnym pożywianiu się. Zabiłem kilku niewinnych ludzi, w przeciągu kilku pierwszych tygodni, kiedy byłem skazany tylko na siebie. Ja stałbym się w końcu Szkarłatnym, ale stał się cud. Byłem zajęty śledzeniem ofiary w lesie, gdy zza drzew wyszedł wielki cień. To człowiek, pomyślałem, ale poruszał się tak szybko i tak się skradał, że nie mogłem nadążyć za nim wzrokiem. Też był na polowaniu. Przyszedł po chłopca, obserwowałem go, ponieważ brakowało mi towarzystwa. Podeszedł do człowieka i zaczął karmić się z rany w jego gardle. Był pijącym krew, jak ja.

- Co zrobiłeś, Rio?

- Patrzyłem z fascynacją - powiedział pamiętając, wszystko tak wyraźnie, jak gdyby to wydarzenie miało miejsce kilka minut temu. - Kiedy było po wszystkim, człowiek wstał i odszedł, jak gdyby się nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Zdziwiłem się i pewnie głośniej odetchnąłem, a wtedy pijący krew dostrzegł, że ukrywałem się w pobliżu. Przywołał mnie i kiedy zorientował się kim jestem i że jestem sam, zaprowadził mnie do swojego domu. To była Mroczna Przystań. Poznałem tam wielu takich jak ja i dowiedziałem się, że byłem częścią Rasy. Ponieważ moja matka uznała, że nie jestem godzien, aby dać mi imię, moja nowa rodzina w Mrocznej Przystani nadała mi takie jakie teraz noszę.

- Eleuterio de la Noche Atanacio - powiedziała Dylan, słowa brzmiały tak słodko kiedy ona je wymawiała. Jej dłoń, którą czule położyła na pokrytej bliznami stronie twarzy sprawiała mu, aż zbyt wielką przyjemność. - Boże mój, Rio... to cud, że w ogóle stoisz tutaj ze mną.

Potęga północy

Przysunęła się do niego bliżej, patrząc mu w oczy. Rio prawie nie mógł oddychać, kiedy uniosła się ku niemu na palcach i pochylił głowę na spotkanie jej pocałunku.

Ich usta spotkały się po raz drugi tej nocy... i swojego pragnienia, żadne z nich nie chciało, a może nie mogło ukryć.

Mógłby całować ją wiecznie.

Ale w tym właśnie momencie spokojna promenada wybuchła nagłą kakofonią wystrzałów.

ROZDZIAŁ 24

Panika zalała żyły Rio jak kwas.

Odgłos strzałów powtórzył się znowu, następne szybkie wystrzały przerwały nocną ciszę. Gwałtowne staccato dochodziło gdzieś z bliska i brzmiało w jego głowie jak kanonada armatnia, ten dźwięk powodował szok i atakował jego zmysły, jego umysł był w gęstej mgłę, która pochłonęła całą rzeczywistość.

Dylan, pomyślał w ostatnim przeblysku świadomości.

Musi zapewnić jej bezpieczeństwo.

Był ledwie świadomy swojego działania, kiedy chwycił ją za ramiona i pociągnął w dół na trawę pod siebie. Jej krzyk został wytłumiony, bardziej odczuł go niż usłyszał, kiedy nakrył jej ciało swoim, gotowy poświęcić się dla niej. Chronienie jej było wszystkim, co się teraz liczyło.

Ale kiedy oboje upadli na twarda ziemię, Rio poczuł jak rozpryskuje się jego umysł. Przeszłość i terażniejszość zaczęły się mieszać... w zamglonym kalejdoskopie pomieszanych myśli i strzaskanej logiki.

Nagle znowu znalazł się w magazynie. Lucan, Niko i inni wojownicy przeprowadzali atak na legowisko Szkarłatnych w Bostonie. Był tam obserwując krokwie w opuszczonym budynku, zwracając uwagę na ruch przeciwników czających się w cieniu. Dostrzegając srebrny błysk detonatora w ręce Szkarłatnego. Wykrzykując ostrzeżenie do Niko, że bomba została aktywowana...

Ach, kurwa.

Rio ryknął w rozpacz, ponieważ zapamiętany ból rozsadził mu głowę i wypełnił każdy centymetr jego ciała. Czuł się, jakby znowu był w ogniu, odór palonego ciała, wypełniał mu nozdrza smrodem spalonej skóry i włosów.

Chłodne dłonie dotknęły do jego twarzy, ale był zbyt daleko by pojąć sens tego, co prawdziwe, a co było koszmarem z jego niedawnej przeszłości.

- Rio?

Usłyszał cichy głos i poczuł te kojące, chłodne dłonie wędrujące po jego twarzy.

I, skądś z niedaleka dobiegły go pohukiwania i chichoty kilku ludzkich młodzików. Śmiech towarzyszył oddalającym się szybko odgłosom kroków odzianych w tenisówki stóp.

- Rio. Wszystko w porządku? - Znał ten głos. Przefiltrował go z wzbierającego szaleństwa, które go ogarniało, chwytając się go jak liny ratowniczej rzuconej w ciemności jego umysłu. Sięgnął jej, czując, jak jej głos sprowadza go do rzeczywistości jak nic innego kiedykolwiek nie potrafiło.

- Dylan - udało mu wydusić pomiędzy dyszącym łapaniem oddechu. - Nie chcę żeby cię zranili...

- Ze mną jest wszystko w porządku. To były tylko petardy. - Starła swoimi palcami chłodny pot z jego czoła. - To zrobili ci chłopcy, którzy uciekają teraz przez ogrodzenie. Wszystko już dobrze?

Było dobrze jak cholera.

Poczuł jak ogarnia go ciemność, nadchodziła, nadchodziła szybko. Odtoczył się od Dylan z jękiem.

- Cholera... Boli mnie głowa... nie mogę logicznie myśleć.

Musiała przechylić się przez niego ponieważ poczuł, jak jej oddech owiewał jego policzek, gdy wysyczała karczemne przekleństwo.

- Twoje oczy, Rio. Cholera... zmieniły się świecą teraz jak rozżarzony bursztyn. - Wiedział, że muszą tak wyglądać. Ponieważ kły kuły go w język, skóra napięła na jego ciele, kiedy wściekłość i ból wywołały przemianę. Był śmiertelnie niebezpieczny, kiedy nie panował nad swoim umysłem. Jego diabelskie dłonie były wtedy najbardziej nieprzewidywalne, a ich moce najpotężniejsze.

- Musimy zabrać cię gdzieś w mniej publiczne miejsce - powiedziała Dylan. Wsunęła ręce pod jego ramiona. - Trzymaj się mnie. Mam zamiar pomóc ci wstać.

- Nie.

- Co masz na myśli, mówiąc nie?

- Zostaw mnie - wychrypiał.

Dylan odpowiedziała mu z ironią.

- Jak cholera, cię zostawię? Nie możesz tu sobie tak leżeć na środku Manhattanu i oczekiwać, że nikt cię nie zauważy. A teraz, dalej. Podnoś się.

- Nie mogę... nie chcę cię dotknąć. Nie chcę cię skrzywdzić, Dylan.

- Więc nie rób tego - powiedziała i zapała się całym ciałem podnosząc go na nogi.

Rio nie miał wyboru, musiał położyć ręce na jej ramionach, aby ustać na nogach, podczas gdy mgła w jego głowie gęstniała, pochłaniając świadomość. Walczył by utrzymać nadchodzącą ciemność w ryzach, wiedząc, że Dylan będzie bezpieczna tylko wtedy, gdy pozostanie świadomy.

- Oprzyj się na mnie, do cholery - rozkazała mu. - Zamierzam ci pomóc.

Dylan wcisnęła się pod ramię Rio i objęła dłońmi jego nadgarstek, biorąc na siebie jak najwięcej jego ciężaru i próbowała znaleźć dla niego jakieś ustronne miejsce, żeby przeczekać gwałtowne dreszcze jakie ogarnęły go w następstwie ataku.

Zaprowadziła go do nadrzecznej kładki i w górę jednokierunkowej bocznej uliczki, gdzie ruch uliczny był mniejszy i mniej ludzi wokoło będących wystarczająco blisko, by zobaczyć jego przemianę.

- Trzymasz się jakoś? - zapytała go, śpiesząc się w kierunku starego ceglanego kościoła z mnóstwem cienistych zakamarków. - Wytrzymasz jeszcze trochę?

Kiwnął głową i przytaknął, ale każdy jego krok był wolniejszy od poprzedniego.

- Ciemność. Musi być...

- Tak, myślę, że znalazłam coś odpowiedniego - powiedziała. - Jest dobrze, Rio. Przytrzymaj się mnie jeszcze przez minutę, dobrze?

Nie odpowiedział tym razem, ale poczuła, jak usiłował trzymać się prosto i poruszać nogami. Walczył by pozostać przytomnym wystarczająco długo, żeby mogła mu pomóc.

- Wspaniale sobie radzisz - powiedziała mu. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Wciągnęła go w ciemności za budynkiem, prowadząc go do niszy w pobliże zardzewiałych, zamkniętych na kłódkę drzwi. Używając

ceglanego muru jako poparcia dla Rio, Dylan ostrożnie posadziła mężczyznę na ziemi. Rzuciła spojrzeniem w obu kierunkach, z ulgą stwierdzając, że ta boczna uliczka była dobrą kryjówką przed niepożądanymi spojrzeniami przechodniów. Byli tu bezpieczni.

- Powiedz mi co robić, Rio. Czego potrzebujesz, żeby ci to przeszło?

On nie odpowiadał. Może nie mógł. Dylan odgarnęła mu z twarzy ciemne włosy i popatrzyła w jego oczy szukając jakiegokolwiek znaku, że był wciąż świadomy.

Cienkie pionowe źrenice zawsze ją szokowały, ale nie bardziej niż uwięziony w nich bursztynowy blask. Oczy Rio płonęły jak dwa żarzące się węgle w jego czaszce. Każdy kto by przejeżdżał lub przechodził obok małego kościółka, musiałby być ślepy, żeby nie dostrzec tego nieziemskiego blasku.

Dylan rzuciła okiem na stare drzwi i rozlatujący się zamek. Widziała, jak Rio siłą swojego umysłu gasił latarkę i odkręcał kran z wodą, więc włamanie się do opuszczonego kościoła nie powinno być dla niego zbyt wielką rzeczą. Tyle, że najwyraźniej nie był w stanie teraz tego zrobić. Jego głowa opadła w dół na klatkę piersiową i z bolesnym jękiem, zaczął osuwać się na bok.

- Cholera - wysyczała Dylan.

Zostawiła go tylko na moment wystarczający, by w ciemnościach znaleźć coś ciężkiego. Wróciła z kawałkiem rozbitego pustaka, który przyciskał klapę od pojemnika na śmieci. Pustak był nieporęczny i spowodował odbity głuchym echem huk i iskrę kiedy trzasnęła nim o kłódkę na drzwiach kościelnych. Potrzebowała aż dwóch silnych uderzeń zanim kłódka spadła z głośnym hałasem.

- Rio - szepnęła gwałtownie, unosząc go w górę za jego muskularne ramiona. - Rio, czy mnie słyszysz? Musimy wejść do środka. Możesz wstawać?

Podniosła jego brodę i zajrzała w jego otwarte oczy, które były teraz niewidzącymi, gorejącymi studniami ognia.

- Niech to szlak - mamrotała, żałując, że ma taki mały zasób przekleństw, biorąc pod uwagę, że właśnie miała zabrać nieprzytomną istotę nocy by ochronić ją w niebiańskim azylu.

Dylan delikatnie otworzyła drzwi kościelne i nasłuchiwała jakichkolwiek znaków czyjejkolwiek obecności. Wszystko było ciche,

żadnego światła wewnątrz niewielkiego przedsionka ani we wnętrzu głównej nawy kościoła.

- W porządku, wchodzimy - powiedziała sapiąc, ponieważ podeszła do Rio i chwyciła jego ramiona, żeby przeciągnąć go przez próg.

Był piekielnie ciężki, sto kilogramów zupełnie bezwładnych, nie skłonnych do współpracy, solidnych mięśni i kości. Dylan szarpiąc mocno wciągnęła go w ciemność, po czym zamknęła za nimi drzwi.

Nie zajęło jej dużo czasu, by znaleźć w szafce parę świec i pudełko zapalek. Dylan zapaliła kilka białych knotów i wyszła na zewnątrz by przynieść kawałek pustaka i zrobiła z niego prowizoryczny świecznik. Wepchnęła świece w walcowate otwory, po czym podeszła sprawdzić stan Rio.

- Hej - powiedziała łagodnie, pochylając się nad jego nieprzytomnym, niereagującym ciałem leżącym nieruchomo na podłodze. Oczy miał teraz zamknięte, ale poruszały się one niespokojnie pod powiekami. Mięsień jego szczęki drgnął, kończyny były nieruchome ale Dylan czuła gotującą się w nich siłę.

Pogłaskała jego policzek dotknięciem delikatnym jak piórko, przeciągając czubkami palców po jego zdrowym nieskazitelnym policzku ukazującym jego cudowną urodę i po tym drugim, który całkowicie złamał jej serce. Kto mógł przewidzieć, że przez kilka minionych dni doświadczy wszystkich tych rzeczy? Czy coś mogłoby ją przygotować na spotkanie z tym skomplikowanym, niesamowitym człowiekiem? Czy byłaby zdolna naprawdę o nim zapomnieć, nawet gdyby tak jak miał zamiar, wyczyścił jej pamięć?

Wątpiła w to. Nawet gdyby jej umysł został zmuszony by zapomnieć, jej serce pamiętałoby go zawsze.

Dylan pochylili się i przycisnęła swoje wargi do jego lekko rozchylonych ust.

Oczy Rio otwały się gwałtownie. Jego dłonie wystrzeliły w kierunku jej szyi i zacisnęły się wokół gardła tak szybko, że nie miała nawet szansy nabrać powietrza, by krzyknąć.

ROZDZIAŁ 25

Nie wiedział, co wyszarpnęło go skutecznej z martwej mgły jego umysłu: uczucie dotyku miękkich warg na ustach, czy uświadomienie sobie ułamek sekundy później, że trzyma dłonie na smukłym kobiecym gardle. Cisnął mocno, furia pochodząca z wypełniającej go ciemności dotarła do czubków palców, wciśniętych w śmiertelnej intencji w delikatną kobietą krtań.

Nie mógł tego powstrzymać.

Jego oczy były otwarte, ale nie mógł skupić spojrzenia na twarzy przed sobą.

Usłyszał zduszone tchnienia, wibrację jęków pod jego przyciśniętymi kciukami. To nie wyrwało go z głębokiej ciemności. Dopiero kiedy miękka dłoń pogładziła blizny na jego twarzy, poczuł pierwszy błysk jasności.

Dylan.

Chryste... skrzywdził ją.

Z dzikim rykiem, Rio oderwał się od niej, co uzmysłowiło Dylan, że zdał sobie sprawę z tego co robił. Wcisnął się w cień w nieznanym otoczeniu, przerażony tym, co mogłoby się stać. Piekło i szatani... co mogłoby uczynić, gdyby przytrzymał ją dłużej.

Usłyszał ją z tyłu za sobą, jak wciągała w płuca kilka szybkich oddechów. Czekał, aby usłyszeć dźwięk jej kroków, kiedy będzie uciekać od niego w panice. Nie winił jej za to. Nie będzie już jej śledził. Nawet w celu oczyszczenia jej umysłu by chronić Rasę i utajnić informacje o czeskiej jaskini. Jeśli teraz ucieknie uwolni się od niego całkowicie.

- Dalej, Dylan. Uciekaj jak najdalej ode mnie... proszę.

Usłyszał szelest poruszenia, wstała. Zamknął oczy, gotowy, by pozwolić jej odejść. Modląc się by to zrobiła.

Zamiast tego zbliżyła się do niego. Rio wzdrygnął się, kiedy jej ręka miękko dotknęła jego głowy, a następnie pogładziła powoli jego włosy.

- Odejdź - wychrypiał. - Zanim znowu stracę swój pieprzony rozsądek i zrobię ci coś jeszcze gorszego. Zostaw mnie, choćby kurwa dlatego, że mogłabyś już teraz nie żyć.

Syknął kiedy uklękła obok niego na podłodze. Delikatnie zmusiła go, żeby odwrócił swoją głowę ku jej twarzy.

- Wszystko ze mną w porządku, jak widać. Przestraszyłeś mnie trochę, ale to wszystko. Boże, Rio... jak często to się z tobą dzieje?

On skrzywił się i pokręcił głową, nie zainteresowany kontynuowaniem tej rozmowy.

- Jak można z tym walczyć? - Zapytała. - Chciałbym ci pomóc...

- Nie możesz.

Nie mógł utrzymać swojego spojrzenia z dala od jej gardła, kiedy to mówił, bardzo się męczył starając się nie patrzeć na pełną wdzięku kolumnę szyi Dylan. Dzięki Bogu nie posiniaczył tej cudowności, ale wciąż czuł jej aksamitną skórę pod dłońmi, jej ciepło ciągle jeszcze mrowiło opuszki jego palców.

A tam, w pobliżu dołeczka u podstawy jej gardła, biło silne, kuszące tętno.

- Potrzebujesz krwi, nieprawdaż - powiedziała, zbyt mądra, żeby nie dostrzec słabości, której nie mógł ukryć. - Czy poczujesz się lepiej jeśli się pożywisz?

- Nie od ciebie.

- Dlaczego nie, jeśli tego potrzebujesz?

Przeklął, głowa wciąż mu pulsowała od długotrwałych skutków ataku.

- Twoja krew w moim ciele stworzy trwałą, nierozzerwalną więź. Zawsze mógłbym cię czuć... znaleźć cię, podążać za tobą... jak długo będziesz żyć.

- Och - powiedziała łagodnie. - I my z pewnością nie chcielibyśmy tego. Nie gdy wolisz czuć się odizolowanym i samotnym.

Rio zaśmiał się z gorzką ironią.

- Ty nie możesz wiedzieć co ja czuję.

- Kiedy zacząłeś czuć do siebie odrazę? - zapytała, niewzruszona oślepiającym ogniem w jego spojrzeniu. - Wtedy kiedy zdradziła cię Eva, albo może znacznie wcześniej? Może powinniśmy wrócić do małego domku w pobliżu lasu w Hiszpanii?

Warknął, odwracając się od niej zanim podsyci jego gniew bardziej. Był nieprzewidywalny w swoim obecnym stanie, śmiertelny drapieżnik chwiejący się na samiutkiej krawędzi zdrowia psychicznego.

Było jedynym sprawiedliwym wyjściem, zabicie mieszkającej w nim bestii. Zanim znowu zada komuś ból. Zanim pozwoli sobie myśleć, że może istnieje dla niego jakaś przyszłość i miejsce na tym świecie.

I cholera, zanim przyjmie lekkomyślną ofertę Dylan.

- Moja matka walczy o życie już niemal rok. A ty nie możesz się doczekać, żeby odejść.

- Jak myślisz co się stanie jeśli pozwolisz mi teraz pić z ciebie? - wypalił w odpowiedzi, jego głos był szorstki, napastliwy. Trochę zrozpaczony. - Jestem ostatnią rzeczą jakiej potrzebujesz, Dylan. Jeśli myślisz, że uratujesz mnie z mojej pułapki, to wiedz, iż nie mogę ci obiecać, że przy tej okazji nie odgryzę ci ręki.

- Nigdy mnie nie skrzywdzisz.

Rio wydał z siebie, szorstki, zwierzęco brzmiący dźwięk.

- Skąd wiesz, że tego nie zrobię?

- Ponieważ ci ufam.

Zrobił bardzo poważny błąd odwracając się, by na nią spojrzeć. Z oczami utkwionymi w jego oczach, Dylan odrzuciła na bok za ramię swoje włosy i przysunęła się do niego bliżej, aż jej szyja znalazła się tuż obok, gotowa na przyjęcie jego ust.

Rio wpatrywał się w odsłoniętą kolumnę bladej skóry, jego spojrzenie utkwilo w miejscu gdzie pod miękką skórą szybko pulsowało jej tętno.

Rzucił gwałtowne przekleństwo. Po czym pozwolił swoim kłom wysunąć się spod uniesionych warg i zatopił je w jej szyi.

Och... Boże!

Całe ciało Dylan natychmiast omdlało w momencie, kiedy ukąszenie Rio przebiło jej skórę. Był to nagły, przenikliwy wstrząs rozszarzonego do białości bólu, a po chwili... wypełniła ją rozkosz.

Wypełniło ją dziwne ciepło, kiedy wargi Rio przyssały się do krwawiących ranek a jego język nakłaniał jej krew, by zaczęła wpływać do jego ust. Pił z niej z żarliwą intensywnością, jego kły muskały jej skórę, a jego język masował szyję rozkosznymi

pociągnięciami, za każdym ciężkim, wilgotnym łykiem krwi, który wpłynął z jej żyły.

- Rio - szepnęła, wzdychając drżąco.

Wydał z siebie niski dźwięk, dudniące warkniecie pochodzące z głębi jego gardła, które zawibrowało poprzez jej skórę i kości, kiedy pociągnął ją pod siebie na podłogę. Silne ramiona zamortyzowały upadek, a jego żar rozgrzał ją, kiedy przykrył jej ciało swoim.

Dylan wtapiała się w niego, zatracając się w przyprawiającej o zawrót głowy przyjemności, mrocznego, erotycznego pocałunku Rio. W środku cała płonęła. Wiła się pod nim. Zalewało ją pożądanie, kiedy tak mocno ją do siebie przytulał i nie przestawał pić jej krwi.

On też płonął.

Dylan mogła poczuć obłą twardość jego penisa napierającą na jej biodro, kiedy leżał na niej mocno ją obejmując. Jego uda zaklinowane były pomiędzy jej nogami, czyniąc ją otwartą i bezbronną. Pragnęła nagości. Potrzebowała poczuć jak w nią wchodzi, kiedy tak ssał jej szyję. Jęczała z narastającego w niej pragnienia, udręczona przyciskała się do jego ud.

- Rio... chcę... Och, Boże, pragnę poczuć cię w sobie.

Jęknął rozdzierająco, jego biodra podskoczyły, kiedy natarł na nią swoją twardą erekcją. Ale jego ssący pocałunek na jej gardle, osłabł nieco, spowolnił swoje tempo.

Pragnienie wewnątrz Dylan, potrzebowało poczuć więcej tego namiętnego ognia.

Poczuła jego język omiatający ranki po ukąszeniu, powodując łaskoczące uczucie jakby przechodziły przez nią delikatne wyładowania elektryczne. Rio uniósł głowę i Dylan jęknęła z żalu, że oderwał swoje usta od jej skóry.

- Nie chciałam żebyś przestał - powiedziała, sięgając ku niemu. - Nie przestawaj.

Popatrzył w dół na nią i powiedział coś ochrypłym głosem po hiszpańsku. Brzmiało to gniewnie i bluźnierczo.

Dylan wpatrywała się w jego gorące bursztynowe oczy.

- Teraz mnie też nienawidzisz, prawda?

- Nie - warknął, jego kły błysnęły w migoczącym świetle świec.

Wyciągnął spod niej jedną rękę i dotknął jej twarzy. Jego palce drżały, kiedy z ogromną delikatnością pogładził jej brwi, policzek,

podbródek. Potem jego palce kontynuowały swoją podróż wzdłuż linii mostka. Dylan gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy zaczął pieścić jej piersi. Rozpiął jej bluzkę, a zaraz po tym wahając się przez ułamek sekundy, zapinany z przodu biustonosz.

- Jesteś taka miękka i delikatna - wymruczał nakrywając dłonią jej nagą pierś.

Pochylił się i pocałował jej różowe zwieńczenie. Wsysając twardą perłę brodawki głęboko w ciepło swoich ust. Dylan szarpnęła się ku niemu przeszyta gorącą strzałą nagłej przyjemności, jej pożądanie narastało gwałtownie jak wiosenna burza.

Rio znowu zaczął całować jej usta, majstrując przy zamku i guziku w dzinsach Dylan, kiedy już je rozpiął wślizną się dłonią w jej majtki. Miedziany smak krwi na jego języku nie powinien jej tak rozpalać, ale świadomość, że wziął siłę i pocieszenie z jej ciała w taki pierwotny i intymny sposób, było najsilniejszym afrodyzjakiem jaki kiedykolwiek poznała.

I to co robił jej palcami, niemal doszła tylko od dotyku jego dłoni.

Krzyknęła, bojąc się, że stanie się to bez niego.

- Rio, proszę...

Zerwał z siebie koszulę i spodnie, następnie ściągnął z niej dzinsy. Majteczki ściągał z niej wolniej, całując każdy centymetr skóry od bioder po kostki, aż całkiem zdjął z jej nóg maleńki skrawek satyny i rzucił go na bok.

Uklęknął obok niej wspaniały w swojej nagości.

- Chodź do mnie, Dylan. - powiedział.

Chciała cieszyć oczy pięknem jego muskularnego ciała, ale pożądanie jakie do niego czuła, było teraz zbyt intensywne. Ujął ją za ręce i przyciągnął do swoich ud. Jego penis przeżył się pomiędzy nimi, gruba włócznia twardego ciała. Jego szeroka główka lśniła wilgocią, tak kusząco, że Dylan nie mogła się oprzeć by nie pochylić się nad nim i wessać go głęboko do ust.

- Chryste! - syknął, kiedy jego penis drgał pod jej językiem.

Wsunął palce w jej włosy, podczas gdy ona drażniła go długimi powolnymi pieszczotami swoich ust, ślizgając się kilkukrotnie w górę i w dół po całej jego sztywnej męskości. Kiedy uniosła głowę, oczy Rio płonęły dla niej. Jego kły wydawały się teraz ogromne, twarz była

napięta pożądaniem. Jego dłonie pieściły jej ciało, kiedy wspięła się na niego siadając okrakiem na jego udach.

Całował jej piersi, jej ramiona, jej gardło, jej usta.

- Co ty ze mną robisz - wychrypiał, odrzucając głowę do tyłu, gdy ujęła w dłoń jego penisa i nakierowała go w swoją wilgotną szparkę. - O, cholera... Dylan.

Siedząc na nim powoli brała go w siebie.

Och, to było cudowne.

Rio wypełniał ją z żarem jakiego nigdy przedtem nie знаła. Początkowo Dylan tylko siedziała na nim nieruchomo, rozkoszując się czystym rajem ich połączonych ciał.

Rio objął ją ramionami, kiedy zaczęła się poruszać wolnym, przyprawiającym go o dreszcze rozkoszy rytmem. Odpowiadał mocnym pchnięciem na każdy jej ruch, jego erekcja drgała, zanurzając się za każdym razem głębiej pomiędzy jej uda.

Nie trzeba było długo czekać, żeby Dylan osiągnęła satysfakcję. Była dalej niż w połowie drogi zanim jeszcze zaczęli. Ujeżdżała go, mocno chwytając za ramiona kiedy porwała ją pierwsza fala orgazmu. Krzyczała z rozkoszy, która eksplodowała jej ciele, milionem lśniących refleksów.

Zaborcze warknięcie Rio wywołało uśmiech na jej twarzy. Objął ją ramionami i pochylił się, kładąc z powrotem na ziemię, ich ciała nadal były ściśle połączone. Brał ją teraz gwałtownymi uderzeniami twardego penisa. Jego tempo było gwałtowne, dzikie, pełne ledwo powstrzymywanej mocy.

Dylan zaciskała dłonie na jego plecach przyjmując w siebie jego silne pchnięcia, rozkoszując falowaniem twardych mięśni pod swoimi dłońmi. Nad ich głowami, świece rzucały erotyczne cienie na suficie, ich płomienie rozpały się mocniej, kiedy Rio zatracił się głęboko w jej wnętrzu i wykrzyczał z mocą swoje spełnienie.

Kiedy Dylan gładziła jego silne plecy, poczuła napływające do jej oczu łzy, z powodu głębokiej i intensywnej rozkoszy jakiej z nim doświadczyła... i z powodu głosu w jej głowie ostrzegającego ją, że może się w nim zakochać.

Ale musiała się przyznać do pewnego faktu, na to ostrzeżenie było już za późno.

ROZDZIAŁ 26

Jeśli martwił się o popełnienie nowych błędów, szczególnie jeśli chodziło o Dylan, Rio musiał się przyznać, że właśnie przekroczył niebezpieczny punkt, z którego nie ma odwrotu.

Picie z jej żyły, jak to właśnie uczynił, było wystarczająco złe. Żaden mężczyzna Rasy, który posiadał choć odrobinę honoru nigdy nie pożywiłby się z Dawczyni Życia tylko dla własnej korzyści. To sycący i uspokajający smak krwi Dylan wyciągnął go z kłopotu, którym były godziny bólu i zamroczenia, kiedy był bezbronny i narażony na odkrycie przez ludzi lub inne wampiry... cholera.

Bezbronny na wielu płaszczyznach, było tych płaszczyzn więcej, niż chciałby się do tego przyznać...

Ale czy potrzebował tego czy nie, to błędem było branie krwi od Dylan. Chociaż ona dała mu ją dobrowolnie, to pewnie ledwo rozumiała co zrobiła przywiązując siebie do niego i z jakiego powodu? Dobroczynność? Może litość?

Palilo go ze wstydu na myśl, że był zbyt słaby żeby ją odepchnąć. Pragnął tego co mu ofiarowała... wszystkiego. I teraz było już za późno by cofnąć to co uczynił. To co zrobił było nieodwołalne. Wiedział o tym i może instynktownie ona też zdawała sobie z tego sprawę, ponieważ od tamtej chwili tak cicho odpoczywała w jego ramionach.

Rio był z nią teraz połączony, nierozzerwalnymi więzami. Z jej krwią płynącą przez jego ciało, do jego komórek, Dylan stała się jego częścią. Do czasu, aż śmierć nie zabierze jednego z nich, Rio będzie wyczuwał jej obecność, jej emocje, całą jej istotę, nie ważne jaka będzie dzielila ich odległość.

Głaskając niewiarygodnie miękki łuk jej nagiego ramienia, leżącej w jego ramionach Dylan, musiał zastanowić się, czy ta więź krwi nie była w pewnym stopniu wynikiem głębokiego pociągu, który czuł do tej kobiety. Czuł się z nią związany od samego początku, od chwili w której trafiła do jaskini i usłyszał jej głos w ciemnościach.

Kochanie się z Dylan dziś wieczorem, było może jeszcze większym błędem, niż picie z niej: teraz kiedy spróbował jej

namiętności, mógł tylko pragnąć więcej. Był chciwy i samolubny i już dawno udowodnił sobie, że nie może zachować się z honorem i trzymać swoich pragnień na wodzy.

Zamiast dalej rozpamiętywać swoje błędy, skupił się na niej... jej płytkim oddechu, ostrożnym milczeniu... oraz ciężarze, który wyczuwał w jej duszy niemającym nic wspólnego, z tym co dziś zrobili.

Wypełniała ją żaloba.

- Jak bardzo źle jest... z twoją matką? - zapytał.

Dylan przełknęła ślinę, jej włosy rozsypały się na jego piersi, kiedy bezsilnie potrząsnęła głową.

- Nie jest dobrze. Staje się coraz słabsza. - Głos Dylan brzmiał coraz ciszej. - Nie mam pojęcia jak długo będzie w stanie walczyć. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak długo będzie próbowała to robić.

- Przykro mi - Powiedział Rio, pieszcząc jej plecy, wiedząc, że wszelkie słowa byłyby zbyt słabą pociechą.

Nie chciał ranić Dylan, wiedział, że była pogrążona w głębokim bólu. Powinien wiedzieć to nawet nie będąc związany z nią krwią. Zasłużył sobie, by zostać nazwany bękartem najgorszego rodzaju, za to co zrobił z nią dziś wieczorem.

- Nie możemy tu zostać - powiedział Rio, nie zastanawiając, że zabrzmiało to jak warknięcie. - Musimy się zbierać. - Przesunął się sprawiając, że zrobiło się jej niewygodnie, jęknęła, kiedy zaczął podnosić się razem z nią z twardej posadzki. Wymruczał przekleństwo po hiszpańsku.

- Wszystko w porządku? - zapytała Dylan. Podniosła głowę i spojrzała na niego, marszcząc brwi z zaniepokojeniem. - Znowu zaczyna cię boleć? Jak się czujesz?

Narastająca w nim frustracja powodowała, że złośliwy śmiech narastał w jego gardle, ale powstrzymał go. Zamiast tego wyciągnął dłoń i pogłaskał jej policzek.

- Czy zawsze troszczysz się o wszystkich, tylko nie o siebie?

Jej brwi zmarszczyły się bardziej.

- Ja nie potrzebuję opieki, nie potrzebuję jej już kawał czasu.

- Od jak dawna, Dylan?

- Odkąd pamiętam.

Kiedy to powiedziała, jej broda uniosła się dumnie w górę i Rio mógł sobie łatwo wyobrazić, obraz na którym mała piegowata dziewczynka, uparcie odmawia jakiegokolwiek pomocy, nie ważne jak bardzo by jej potrzebowała. Jako kobieta pozostała taka sama. Wyzywająco dumna, by nie dać poznać po sobie jak bardzo boi się zranienia.

Dobrze znał ten rodzaj strachu, przeszedł podobną drogę kiedy był dzieckiem.

Samotność, której prawie nie przetrwał, ale Dylan była silniejsza od niego pod wieloma względami. Dopiero zaczynał rozumieć, jak bardzo była silna.

I jak bardzo samotna.

Przypomniał sobie mówiła, że ma dwóch braci, o imionach po gwiazdach rocka, ale nigdy nie wspominała o ojcu. Tak naprawdę, jedyną rodziną, którą liczyła się teraz w jej życiu, wydawała się być kobieta przebywająca obecnie w onkologicznym skrzydle szpitala po drugiej stronie ulicy. Jej matka, którą najprawdopodobniej miała niedługo stracić.

- Długo byliście tylko we dwie? - zapytał.

Kiwnęła głową.

- Mój tata odszedł gdy miałam dwanaście, prawdę mówiąc porzucił nas. Rozwiedli się niedługo potem i mama nigdy powtórnie nie wyszła za mąż. Nie z powodu braku kandydatów. - Dylan zaśmiała się, ale to był smutny rodzaj śmiechu. - Moja mama zawsze miała coś z niespokojnego ducha, zawsze kiedy zakochiwała się w nowym mężczyźnie, przysięgała mi, że w końcu znalazła tego jedyne. Myślę że myliła zauroczenie z miłością. Teraz, zagięła parol na człowieka, który założył schronisko dla uciekinierów z domu, gdzie pracuje. Boże, jest w niej tak dużo miłości do rozdania, nawet teraz, gdy rak odbiera jej siły...

Rio pogładził opuszkami palców ramię Dylan, ponieważ walczyła z nagłym drżeniem w głosie.

- Co z twoim ojcem? Wiesz co się z nim działo po tym jak was opuścił?

Zaśmiała się gorzko.

- On mnie nie obchodzi, nawet gdybym wiedziała gdzie jest i był wystarczająco trzeźwy by mnie słuchać. Dla niego rodzina była cenna

tylko wtedy, gdy płaciliśmy za niego kaucję wyciągając go z kłopotów, albo gdy mógł wyłudzić pieniądze na alkohol i narkotyki.

- Brzmi to jak opis prawdziwego łajdaka - powiedział Rio, gniew na sposób, w jaki ojciec ranił Dylan powodował, że ścisnął mu się żołądek.

- Żałuję, że odszedł. Chciałbym się spotkać z tym skurwysynem.

- Chcesz dowiedzieć się dlaczego odszedł?

Głaskał jej włosy, przyglądając się, jak blask świec padał na błyszczące fale.

- Tylko, jeżeli chcesz mi o tym opowiedzieć.

- To był mój dar, pamiętasz tak to nazwałeś. Moją dziwną umiejętność widzenia zmarłych. - Dylan bezwiednie spojrzała na jego dermaglify, kiedy to mówiła, pamiętając o jego poprzedniej nieprzyjemnej reakcji. - Kiedy byłam mała, w szkole podstawowej i wcześniej, moi rodzice nie zwracali zbyt uwagi na fakt, że od czasu do czasu rozmawiałam z niewidocznymi ludźmi. To nie takie niezwykle dla dzieci mieć wymyślonych przyjaciół, więc zignorowali to. Dodaj do tego sytuację w naszym domu, te wszystkie kłótnie i problemy, nikt nie miał głowy do tego, by zwracać zbyt uwagę na to co mówię. Kiedyś, parę lat później. W jednym z jego rzadkich trzeźwych momentów, mój ojciec natknął się na mój pamiętnik. W którym pisałam o tym, że do czasu do czasu widzę zmarłe kobiety i o tym, że one mówią do mnie. Próbowałam zrozumieć dlaczego to mi się to zdarzało i co oznaczało, rozumiesz?... Ale on dostrzegł w tym tylko okazję do zarobienia na mnie jakiejś kasy.

- Jezu. - Rio coraz bardziej pogardzał tym człowiekiem. - Jak chciał na tobie zarobić?

- Nigdy nie potrafił utrzymać się zbyt długo w żadnej pracy, zawsze szukał sposobu, żeby szybko i łatwo zarobić jakieś pieniądze. Uważał że będzie kasował forszę od ludzi, którzy przyjdą by ze mną porozmawiać, ludzi którzy stracili swoich bliskich i mieli nadzieję że pomogę się im w jakiś sposób skontaktować się z nimi. Uważał, że będzie tylko siedział i liczył zarobioną kasę. - Potrząsnęła powoli głową.

- Próbowałam mu wytłumaczyć na czym polegają moje wizje, nie przychodziły na rozkaz. Nigdy nie wiedziałam kiedy nadejdą, a nawet kiedy już przychodziły, nie mogłam z nimi rozmawiać. Martwe

kobiety mówiły do mnie to co chciały, żebym usłyszała lub zrobiła i to wszystko. Nie było mowy o żadnym przechodzeniu na drugą stronę, ani żadnych innych gierkach jakie pokazuje się w telewizyjnych Talk Showach. Mój ojciec nie chciał o tym słuchać. Zmuszał mnie, do używania moich umiejętności... i przez jakiś czas, starałam się udawać. To nie trwało długo. Jedna z rodzin, które próbował oszukać wniosła oskarżenie, mój ojciec wystraszył się i zwiął. To był ostatni raz kiedy go widzieliśmy, nigdy też nie było o nim żadnej wiadomości.

Krzyżyk na drogę, pomyślał bezlitośnie Rio, ale rozumiał jak takie porzucenie musiało odbić się na dziecku, którym była wtedy Dylan.

- Co z twoimi braćmi? - Zapytał. - Czy nie byli wystarczająco dorośli, by wkroczyć i zrobić porządek z ojcem?

- Obaj już wtedy opuścili dom. - Głos Dylan brzmiał bardzo cicho, było w nim więcej bólu niż wtedy, gdy opowiadała o zdradzie ojca. - Miałam tylko siedem lat, kiedy Morrison zginął w wypadku samochodowym. Dopiero co otrzymał prawo jazdy, miał je może od tygodnia, właśnie ukończył szesnaście lat. Mój ojciec zabrał go ze sobą, żeby to uczcić. Upił Morriego, ale widocznie sam był w jeszcze gorszym stanie, więc dał Morrisonowi kluczyki, żeby brat przywiózł ich do domu. On stracił kontrolę nad samochodem, uderzyli w słup telefoniczny. Mój ojciec wyszedł z tego tylko ze wstrząsem mózgu i złamanym obojczykiem, ale Morri nigdy nie wybudził się ze śpiączki, umarł trzy dni później.

Rio nie mógł powstrzymać warknięcia, które kipiało w jego gardle. Pragnął zabić, mścić się i chronić tą kobietę w swoich ramionach był dziko wściekły, gniew wrzał w jego żyłach.

- Naprawdę chciałbym odnaleźć tego, nie mam słów aby go nazwać, człowieka i nauczyć go smaku prawdziwego bólu. - wymamrotał. - Powiedz mi, że twój drugi brat wymierzył sprawiedliwość twojemu ojcu za jego bezużyteczne życie.

- Nie - powiedziała Dylan. - Lennon był starszy od Morisona o półtora roku, ale gdy Morrie był głośny i otwarty. Len był cichy i pełen rezerwy. Pamiętam wyraz jego twarzy, kiedy mama wróciła ze szpitala i powiedziała, że Morri nie żyje, a ojciec, kiedy już wyjdzie ze szpitala spędzi trochę czasu w więzieniu. Len tylko... zapłakał.

Widziałam jak coś w nim też umarło tego dnia. Wyszedł z domu i poszedł się zaciągnąć do wojska. Nie mógł doczekać się żeby... nas opuścić, żeby zostawić to wszystko za sobą. Nigdy nie obejrzał się za siebie. Jego przyjaciele powiedzieli nam, że wysłano go do Bejrutu, ale nie wiem tego na pewno. Nigdy nie napisał, ani nie zadzwonił. Po prostu... zniknął. Mam tylko nadzieję, że jest szczęśliwy, tam gdzie zagnał go los. Zasługuje na to.

- Ty też na to zasługujesz Dylan. Jezu, twoja matka też zasługuje na więcej niż przyniosło jej życie.

Uniosła głowę i odwróciła ku niemu twarz, jej oczy lśniły wilgocią. Rio ujął w dłonie jej piękną twarz i delikatnie przyciągnął ją do siebie, muskał jej usta delikatnymi pocałunkami. Objął ją ramionami i kiedy tak ją przytulał, myślał, że może istnieje jakiś sposób by dać Dylan jakąś nadzieję... jakiś okruszek szczęścia dla niej i dla jej matki, którą tak bardzo kochała.

Pomyślał o Tess, Dawczyni Życia Dantego i o jej niewiarygodnym talencie leczenia dotykiem. Tess pomogła mu w leczeniu jego urazów, niejednokrotnie był też świadkiem jak leczyła rany i spajała połamane kości. Twierdziła że z powodu ciąży jej umiejętności osłabły, ale gdyby była choć niewielka szansa?

W czasie kiedy jego umysł rozważał tą możliwość, zadzwoniła jego komórka. Wyciągnął ją z kieszeni leżącej obok marynarki i sprawdził połączenie.

- Cholera. To Niko. - Nacisnął zieloną słuchawkę. - Taaa.

- Gdzie ty kurwa jesteś, człowieku?

Spojrzał na Dylan, wyglądała rozkosznie, naga w blasku świateł.

- Jestem w centrum miasta z Dylan.

- W centrum z Dylan - Niko powtórzył sardonycznym tonem. - Myślę, że to wyjaśnia, dlaczego Rover stoi przy krawężniku, a w jej mieszkaniu nikogo nie ma. Poszłicie sobie na jakieś przedstawienie czy coś? Co się do cholery dzieje pomiędzy tobą i tą kobietą, amigo?

Rio nie czuł się w tym momencie na siłach, by wyjaśnić mu cokolwiek.

- U mnie wszystko w porządku. Czy ty i Kade mieliście jakieś problemy?

- Żadnych. Zlokalizowaliśmy cztery osoby i delikatnie w jedwabnych rękawiczkach wyczyściliśmy im z pamięci wszystkie

informacje o jaskini. - Niko zachichotał. - W porządku, może nie byliśmy zbyt delikatni z tym dupkiem, dla którego gazety pracowała. Facet był kutasem pierwszej klasy. Została tylko jedna osoba do zrobienia, jej matka. Próbowaliśmy złapać ją pod adresem zamieszkania i w schronisku gdzie pracuje, ale nie mieliśmy szczęścia. Może masz jakiś pomysł, gdzie ona może być?

- A... taaa - powiedział Rio. - Nie martw się o to, wszystko jest pod kontrolą, sam się tym zajmę.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła trwająca chwilę cisza.

- W porządku. Kiedy, hmm, opanujesz sytuację, to może Kane i ja podjedziemy Roverem po ciebie? Trzeba wyruszać jak najszybciej jeśli mamy wrócić do Bostonu przed wschodem słońca.

- Taaa, potrzebuję podwózki - potwierdził Rio. Wklepał nazwę ulicy przecinającej kompleks szpitalny. - Do zobaczenia za dwadzieścia minut.

- Hej, amigo?

- Tak?

- Zgarniamy cię solo, czy powinniśmy spodziewać się towarzystwa w drodze powrotnej?

Rio spojrzał na Dylan, patrzył jak zaczyna się ubierać. Nie chciał się z nią żegnać, ale zabranie jej ze sobą z powrotem do kwater Zakonu, nie wydawało się najwłaściwszą rzeczą dla nich obojga. Wciągnął ją wystarczająco głęboko w swoje problemy dziś wieczorem, najpierw pijąc jej krew, a potem ją uwodząc. Jeśli zabrałby ją teraz ze sobą, czy oparł by się pokusie, aby zrobić to jeszcze raz?

Ale jakaś jego cząstka, pragnęła trzymać ją blisko przy sobie, pomimo wiedzy, że mogła... i powinna... należeć do kogoś lepszego niż on. Nie mógł jej wiele zaoferować, ale to nie powstrzymywało go od pragnienia, by złożyć jej u stóp cały świat.

- Zadzwoń kiedy będziesz na miejscu - powiedział do Niko. - Będę na ciebie czekał.

ROZDZIAŁ 27

Dylan skończyła się ubierać, kiedy Rio przez telefon rozmawiał z Niko. Planował wrócić do Bostonu dzisiejszej nocy. Z jego rozmowy wynikało, że niedługo przyjadą po niego wojownicy. Dwadzieścia minut, tak powiedział. To niezbyt długo.

I absolutnie nic nie wspominał, co teraz z nimi będzie.

Dylan starała się nie dopuścić, aby ukłuło ją żądło niepokoju, ale tak się stało.

Chciała jakiegoś znaku, że to co wydarzyło się między nimi tej nocy coś dla niego znaczyło. Ale był cicho, zamknął swoją komórkę i zaczął się ubierać, w małym prezbiterium na tyłach kościoła, za plecami Dylan.

- Czy z Nancy i innymi wszystko w porządku?

- Tak - odezwał się gdzieś za nią, z tyłu. - Wszystko jest w porządku. Niko i Kade nie skrzywdzili ich, a proces wymazywania wspomnień jest bezbolesny.

- To dobrze. - Pochyliła się i zgasła dwie na wpół stopione świece. W ciemności, zdobyła się na odwagę, aby zadać mu pytanie, które wisiało pomiędzy nimi całą noc. - Więc co teraz, Rio? Kiedy planujesz wymazać mi pamięć? - Nie usłyszała jak się poruszył, ale poczuła podmuch powietrza, kiedy błyskawicznie znalazł się przy niej, a jego silne, ciepłe dłonie delikatnie spoczęły na jej ramionach.

- Nie chcę tego robić, Dylan. Dla twojego dobra, może i dla mojego powinienem usunąć wspomnienia o mnie z twojej pamięci, ale nie chcę tego. I nie sądzę bym mógł to zrobić. - Dylan zamknęła oczy, ciesząc się jego wyznaniem.

- Więc... Dokąd nas to zaprowadzi?

Powoli odwrócił ją twarzą do siebie, pocałował ją słodko i dotknął jej czoła swoim.

- Nie wiem. Wiem tylko, że nie jestem gotowy, żeby teraz powiedzieć ci żegnaj.

- Twoi przyjaciele wkrótce tu będą.

- Tak.

- Nie jedź z nimi. - Opuścił brodę i przyciskając wargi do czubka jej głowy, powiedział.

- Muszę. - W swoim sercu, nawet zanim to powiedział, Dylan wiedziała, że wróci do Bostonu. Zakon był całym jego światem. A niezależnie od znamienia, które przyznawało jej szczególne miejsce wśród rasy, Dylan musiała pozostać z mamą.

Przytuliła policzek do piersi Rio, wsłuchując się w mocny rytm jego serca. Nie była pewna, jak da radę pozwolić mu odejść, jej ręce owinięły się wokół niego.

- Czy pójdziesz ze mną, z powrotem do szpitala? Chcę jeszcze raz sprawdzić, jak ona się czuje.

- Oczywiście - powiedział Rio, wypuszczając ją z ramion i biorąc ją za rękę.

Opuścili swoje prowizoryczne schronienie w pustym kościele i poszli z powrotem do kompleksu szpitalnego. Godziny odwiedzin skończyły się jakiś czas temu, ale strażnik w recepcji wydawał się stosować wyjątkowe zasady dla członków rodzin pacjentów na oddziale onkologicznym. Machnął do Dylan i Rio, żeby szli, więc pojechali windą na dziesiąte piętro.

Rio czekał na korytarzu, kiedy Dylan nakładała rękawiczki i otwierała drzwi. Matka była pogrążona we śnie, więc Dylan usiadła na krześle przy łóżku i po prostu siedziała cicho obserwując jej oddech.

Tyle chciała jej powiedzieć, nie tylko o tym, że poznała niezwykłego człowieka. Chciała powiedzieć mamie, że była zakochana. Była podekscytowana i przerażona i pełna rozpaczliwej rodzaj nadziei na to, że może czeka ją przyszłość z mężczyzną stojącym na szpitalnym korytarzu. Chciała, żeby jej mama wiedziała, że była po uszy zakocha w Eleuterio de la Noche Atanacio... mężczyźnie jakiego nie znała nigdy wcześniej. Jednak Dylan nie mogła powiedzieć jej żadnej z tych rzeczy. Były tajemnice, które musiała na razie, a może na zawsze, zachować.

Sięgnęła i pogładziła włosy matki, starannie podciągnęła cienki koc się pod jej delikatny podbródek. Tak bardzo chciała, żeby jej matka mogła dowiedzieć się, jak to jest przeżyć jedną prawdziwą, głęboką miłość w swoim życiu. Wydawało się niesprawiedliwe, że dokonała ona tak wielu złych wyborów, kochała zbyt wielu

nieodpowiednich mężczyzn, podczas gdy zasługiwała na kogoś przyzwoitego i życzliwego.

- Och, mamusiu - szepnęła Dylan cicho. - To jest tak cholernie niesprawiedliwe.

Łzy pojawiły się i popłynęły. Może wstrzymywała je przez całe życie, by były gotowe na tą chwilę, bo nie mogła powstrzymać ich teraz. Dylan wytarła łzy, ale wciąż płynęły, było ich zbyt wiele by mogła je otrzeć pokrytymi lateksem dłońmi.

Wstała, aby wziąć jednorazową chusteczkę z pudełka leżącego na blacie wózka na kółkach stojącego obok szpitalnego łóżka matki. Kiedy otarła oczy, zobaczyła ozdobne opakowanie leżące na stole po drugiej stronie małego pokoju. Podeszła i stwierdziła, że to czekoladki. Pudełko było zamknięte, ale na oko było widać, że były bardzo drogie. Zaciekawiona Dylan podniosła małą białą karteczkę wsuniętą pod szeroką kokardę z grubo tkanego jedwabiu.

Dedykacja brzmiała następująco:

Do Sharon. Wróć do mnie szybko. Pozdrawiam, GF

Dylan przetrawiała przez chwilę znaczenie inicjałów, w końcu zdała sobie sprawę, że musiały należeć do właściciela schroniska, pana Faso. Gordona jak nazywała go jej matka. Musiał przyjść z wizytą, już po wyjściu Dylan. Wiadomość na karcie brzmiała nieco bardziej intymne niż zwykle życzenia szefa do pracownika, było w niej uczucie...

Dobry Boże, może to rzeczywiście było coś więcej niż jedno z wielu fatalnych zdarzeń jej matki?

Dylan nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać jeszcze mocniej na myśl, że matka mogła znaleźć wreszcie kogoś przyzwoitego. To prawda, nie wiedziała o Gordonie Faso wiele więcej, poza jego powszechną opinią zamożnego, działającego charytatywnie, nieco ekscentrycznego biznesmena. Ale o ile znała gust matki co do wyboru mężczyzn, Dylan doszła do wniosku, że mama zwykle trafiała o wiele gorzej.

Ona mnie nie słyszy.

Nagły dźwięk kobiecego głosu w pokoju zmroził Dylan.

To nie była jej matka.

To nie był głos z tego świata, zdała sobie z tego sprawę w ułamek sekundy przed tym, gdy po usłyszeniu szeptu odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z duchem młodej kobiety.

Próbowałam jej powiedzieć, ale mnie nie słyszała... czy ty możesz... usłyszeć mnie?

Wargi ducha były nieruchome, ale Dylan słyszała jej słowa, tak czysto i wyraźnie jak tylko pozwalał jej na to dar, który posiadała jako Dawczyni Życia. Widziała smutek w spojrzeniu zmarłej dziewczyny, która mogła mieć niespełna dwadzieścia lat.

Dziewczyna wydała się Dylan znajoma. Ten strój Gotki i para czarnych warkoczy, które opadały na dziewczęce ramiona. Widziała ją wcześniej w schronisku.

Dziewczyna była jedną z ulubienic matki. Toni tak miała na imię. Uciekinierka, która nie pokazała się w pracy, którą matka Dylan dla niej znalazła. Sharon była bardzo rozczarowana, gdy mówiła Dylan o utracie Toni i jej powrocie na ulicę. Teraz, to biedne zagubione dziecko, wróciło w końcu, ale z za grobu, odeszła za daleko dla każdego, kto chciałby jej pomóc.

Więc, dlaczego ona próbowała komunikować się z Dylan?

W przeszłości, być może chciała ignorować objawienia lub zaprzeczać swoim zdolnościami, ale nie teraz. Dylan skinęła głową, gdy duch zapytał ponownie, czy go słyszy.

Dla mnie jest już za późno, powiedziały nieruchome wargi. Ale nie dla nich. Potrzebują cię.

- Potrzebują mnie do czego? - spytała cicho Dylan, wiedząc, że jej głos nigdy nie przenosił się w zaświaty. - Kto mnie potrzebuje?

Jest nas więcej... twoich sióstr.

Młoda kobieta odchyliła głowę, odsłaniając swój podbródek. Tam na eterycznej, delikatnej skórze zjawy znajdowało się znamię, które Dylan znała bardzo dobrze.

- Jesteś Dawczynią Życia - wysapała.

Cholerne gównno.

Czy one wszystkie były Dawczyniami Życia? Wszystkie te duchy, które kiedykolwiek ją nawiedziły były wyłącznie rodzaju żeńskiego, zawsze były to młode, wyglądające jak żywe kobiety. Czy wszystkie urodziły się ze znamieniem półksiężyca i łzy, takim samym jakie miała i ona.

Dla mnie jest już za późno, powiedział duch Toni.

Jej postać zaczęła się rozmywać i blaknąć jak słaby hologram. Stawała się przejrzysta, wydawała się być niczym więcej niż pojedynczym wyładowaniem energii elektrycznej w powietrzu. Jej głos teraz był cichszy niż szept, coraz słabszy i tak jak wizerunek Toni rozpływał się w nicość. Ale Dylan usłyszała jej słowa i zmroziły ją one.

Nie pozwól mu zabić nas więcej...

Twarz Dylan była barwy popiołu, kiedy wyszła z pokoju matki.

- Co się stało? Czy z nią jest wszystko w porządku? - zapytał Rio, jego serce ścisnęło się na myśl, że coś stało się z matką Dylan. - Czy coś...

Dylan potrząsnęła głową.

- Nie, moja mama jest w porządku. Ona śpi. Ale był tutaj... O Boże, Rio. - Ściszyła głos i wciągnęła go w zacisze rogu korytarza. - Właśnie widziałam ducha Dawczyni Życia.

- Gdzie?

- W pokoju mojej matki. Ta dziewczyna była uciekinierką ze schroniska, jedną z bardzo bliskich mojej matce, dopóki niedawno nie zaginęła. Miała na imię Toni i ona... - Dylan urwała, obejmując się ramionami. - Rio, ona po prostu powiedziała mi, że została zamordowana i że nie była jedyna. Powiedziała, że jest więcej takich jak ona. Pokazała mi swoje znamię Dawczyni Życia, a następnie prosiła mnie, żebym nie pozwoliła mu zabijać więcej sióstr.

Święty... Boże.

Strach ścisnął żołądek Rio, kiedy Dylan przekazywała mu wiadomość o tym ostrzeżeniu z zaświatów. Natychmiast pomyślał o skorumpowanym synu Dragosa i o bardzo realnej możliwości, że ten drań wypuścił Starożytnego z krypty, jak obawiał się Zakon. Mógł stworzyć hodowlę potworów, tworząc wielu nowych wampirów pierwszego pokolenia w łonach wielu kobiet. Na rany Chrystusa, syn Dragosa może porwać Dawczynię Życia z czterech stron świata, w tym właśnie celu.

- Ona powiedziała „nie pozwól mu zabić nas więcej”, jakbym również i ja była w niebezpieczeństwie.

Skóra Rio pokryła się gęsią skórą z powodu złego przecucia.

- Jesteś pewna tego co widziałaś i słyszałaś?

- Tak.

- Pokaż mi. - Zrobił krok w kierunku pokoju. - Muszę to zobaczyć na własne oczy. Czy ona nadal tam jest?

Dylan potrząsnęła głową.

- Nie, już jej tam nie ma. Objawienia są jak mgła... nie są widoczne zbyt długo i szybko się rozplywają.

- Czy zapytałaś ją, gdzie mogą być inne lub kim jest ten, który ją zabił?

- To niestety nie działa w ten sposób. Mogą mówić, ale nie sądzę, żeby mnie słyszały tam, gdzie się znajdują. Próbowałam mówić do nich, ale to nigdy nie działa. - Dylan patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. - Rio, myślę, że każde z tych nawiedzeń, które miałam... od samego początku, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, było duchem zmarłej Dawczyni Życia. Ja zawsze myślałem, że to dziwne, że widziałem tylko młode kobiety, które przecież powinny były w najlepszym zdrowiu. Kiedy zobaczyłem znamię pod podbródkiem Toni, to wszystko zaskoczyło na odpowiednie miejsca w moim umyśle. Rio, rozumiem teraz, czuję to. One wszystkie były Dawczyniami Życia.

Rio pogładził się dłonią po głowie, pozwalając uciec przez zęby ostremu sykowi.

- Muszę zadzwonić do Bostonu i zdać im raport w tej sprawie.

Dylan skinęła głową, nadal wpatrując się mu w oczy. Kiedy zaczęła mówić, jej głos brzmiał trochę niepewnie.

- Boję się, Rio.

Przyciągnął ją do siebie bliżej, wiedząc ile kosztowało ją przyznanie się do strachu, nawet jemu.

- Nie bój się. Przy mnie będziesz bezpieczna. Ale nie mogę zostawić cię tu dziś wieczorem, Dylan. Zabieram cię z powrotem do kwatery Zakonu.

Ona zmarszczyła brwi.

- Ale, moja mama...

- Jeśli tylko będę mógł jej pomóc, zrobię to - powiedział, składając jej obietnicę. - Ale najpierw muszę wiedzieć, że ty będziesz bezpieczna.

Dylan patrzyła na niego błagalnie, a następnie, w końcu niepewnie skinęła głową.

- Dobrze, Rio. Wrócę z tobą.

ROZDZIAŁ 28

Rio nie chciał wprowadzać Dylan w trans w drodze powrotnej do Bostonu.

Pomimo krzywych spojrzeń Niko i Kade'a rzucanych z przednich siedzeń SUV-a i sugerujących, że jest idiotą łamiącym zasady, Rio nie mógł potraktować Dylan inaczej, niż z całkowitym zaufaniem. Wiedział, że podejmuje piekielne ryzyko, wierząc, że jest godna, by zdradzić jej lokalizację centrali Zakonu, chociaż nie był do końca pewny czy, lub jak długo Dylan z nim zostanie, ale ufał jej.

Kurcze, to było coś więcej, cholera, był tego całkiem pewny... Kochał ją.

Zatrzymał tę oszałamiającą świadomość dla siebie, zdawał sobie bardzo wyraźnie sprawę z tego, że Dylan była pełna niepokoju o matkę, którą zostawiła samą w Nowym Jorku. Z każdą milą, która przybliżała ich do Bostonu, czuł, jak jej serce bije coraz szybciej. Nie musiał być związany z nią krwią, by czuć cierpki smak niezdecydowania emanujący z jej ciała, kiedy siedziała cicho obok niego na tylnym siedzeniu, jej spojrzenie utkwione było w umykającym pejzażu za przyciemnionymi szybami.

Nie chciała tu być.

Rio nie wątpił, że czuła do niego jakąś sympatię. Po tym co stało się dziś wieczorem, wiedział o tym. I wierzył, że w innych okolicznościach, ona nie pragnęłaby tak bardzo wyskoczyć z jadącego samochodu i uciec z powrotem do domu, do Nowego Jorku.

- Hej - wymruczał obok jej ucha, kiedy Niko skręcił Roverem w bramę prowadzącą do drogi dojazdowej kwatery głównej Zakonu - Spróbuj nie przejmować się tym wszystkim tak bardzo, dobrze?

Delikatnie uśmiechnęła się do niego, ale jej oczy były smutne.

- Po prostu przytul mnie, Rio.

Przyciągnął ją głębiej w swoje ramiona i przycisnął usta do jej warg w czułym pocałunku.

- Nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego. Obiecuję ci to.

Nie był całkowicie pewien, jak mógłby zrealizować tą wielką obietnicę, ale widząc nadzieję w oczach Dylan, gdy patrzyła na niego,

to niech go cholera, jeśli nie zrobi z tego swojej życiowej misji. Aby dotrzymać tego przyrzeczenia, wszystkie chwytły były dozwolone.

SUV wtoczył się do strzeżonego garażu Zakonu. Rio nienawidził chwili, w której musiał wypuścić Dylan ze swoich ramion, gdy samochód zatrzymał się wewnątrz hangaru.

- Nie ma to jak w domu - powiedział Kade przeciągając samogłoski, otworzył drzwi od strony pasażera i wygramolił się na zewnątrz.

Nikolai rzucił Rio spojrzenie ponad oparciem przedniego siedzenia.

- Pójdziemy pierwsi na dół do laboratorium. Myślę, że powinniśmy opowiedzieć o wszystkim Lucanowi i innym. Dołączysz do nas za chwilę?

Rio kiwnął głową.

- Tak, masz rację. Daj mi dziesięć minut.

- Masz je. - Niko spojrzał na Dylan. - Słuchaj. Jest mi naprawdę przykro z powodu twojej matki. To się stało bardzo trudne. Tego nie da się opisać słowami, wiesz?

- Wiem - szepnęła. - Ale dziękuję, Nikolai.

Niko przytrzymał jej wzrok przez chwilę, po czym klepnął dłonią w oparcie fotela.

- Ok. Do zobaczenia na dole, chłopie.

- Powiedz Lucanowi, że mam zamiar przyprowadzić Dylan na spotkanie. - Zarówno ona, jak i Niko rzucili w jego kierunku zaskoczone spojrzenia. Stojący obok Rovera, Kade wyrzucił z siebie drwiące przekleństwo i zaczął się śmiać pod nosem stwierdzając, że Rio oszalał.

- Chcesz wprowadzić cywila na spotkanie z Lucanem - powiedział Niko. - Cywila, któremu zgodnie z jego oczekiwaniem miałeś oczyścić dziś wieczorem pamięć.

- Dylan widziała coś dzisiejszej nocy - powiedział Rio. - Myślę, że Zakon powinien usłyszeć o tym z pierwszej ręki.

Nikolai zastanawiał się nad tym w milczeniu przez bardzo długi czas. Potem skinął głową, jakby widział, że Rio nie zamierza ustąpić w tej sprawie. Rio mógłby powiedzieć, swojemu staremu przyjacielowi, iż zdał sobie sprawę, że Dylan była dla niego nie tylko cywilem lub misją, której Rio nie udało się wykonać. Ale błysk w

lodowato niebieskich oczach wojownika, uświadomił Rio, że Niko zrozumiał, jak wiele Dylan zaczęła dla niego znaczyć. Zrozumiał i sądząc po krzywym uśmiechu, który wygiął kącik jego ust, zaaprobował to.

- Cholera, amigo. Taaa. Przekażę mu, co mi powiedziałaś.

Niko i Kade weszli do windy, kilka minut później Rio i Dylan też opuścili Rovera i udali się w ślad za nimi. Trzymając się za ręce, zjechali windą trzysta stóp w dół do kwatery głównej Zakonu.

To było dziwne kroczyć labiryntami zabezpieczonych specjalnym systemem kamer korytarzy i nie czuć się tak jak przez wiele miesięcy po wybuchu, jak zagubione zwierzę zostawione samotnie w kryjówece i przemierzające puste korytarze bez celu i sensu.

Teraz, miał i to i to, jego serce zawarło je w jednym słowie: Dylan.

- Czy nie będzie ci trudno mówić o tym co widziałaś dzisiejszej nocy w szpitalnym pokoju? - zapytał ją, kiedy podążali korytarzem. - Bo jeśli będzie ci zbyt ciężko, mogę to zrobić za...

- Nie, wszystko w porządku. Chcę pomóc, jeśli myślisz, że mogę.

Zatrzymał ją w długim wyłożonym białym marmurem holu, niedaleko szklanych ścian laboratorium, gdzie czekali na nich jego bracia.

- Dylan, to co zrobiłaś dla mnie tej nocy... dając mi swoją krew, zostając ze mną, kiedy miałaś święte prawo opuścić mnie nie oglądając się za siebie... Wszystko co zaszło dziś pomiędzy nami, chcę żebyś wiedziała ile to dla mnie znaczyło. Ja...

Chciał powiedzieć, że jest w niej zakochany, ale nie wypowiadał tych słów tak dawno... nie mógł uwierzyć, że znów je wypowie, z głębokim i szczerym przekonaniem, jakie teraz czuł. Zaciął się i to wyznanie stało się dla niego bardzo trudne, niezręczna chwila milczenia była jak przepaść.

- Jestem... ci bardzo wdzięczny - powiedział, próbując uporządkować wypełniające jego serce emocje, kiedy na nią patrzył. - Nie wiem jakbym mógł ci się odwdzińczyć za to co dałaś mi tej nocy.

Jakieś światełko przygasło w jej oczach, kiedy wypowiedział te słowa.

- Myślisz, że domagałabym się od ciebie spłaty długu? - Powoli pokręciła głową. - De nada³. Nie jesteś mi nic winien, Rio.

Zaczął coś jeszcze mówić, podjął słabą próbę wyjaśnienia, jak wiele zaczęła dla niego znaczyć. Ale Dylan była już parę kroków przed nim.

- Cholera - syknął, przesuwając ręką po włosach.

Podbiegł kilka kroków dołączając do niej na korytarzu, w sam raz, aby usłyszeć okrzyk Lucana przez szkła Laboratorium.

- Co do cholery znaczy, że ją tu ze sobą przyprowadzi? Lepiej, żeby miał cholernie dobry powód, by przywieść tą reporterkę z powrotem do nas.

Jakiegolwiek rozdrażnienie, które poczuła Dylan po uprzejmym wyrażeniu przez Rio swojej wdzięczności, wydawało się niczym w porównaniu z strachem, który wypełnił chłodem jej żyły, gdy słyszała jak przywódca Zakonu wrzeszczy w oburzeniu. Nie chciała myśleć, że musi potrzebować protekcji Rio, ale obecność jego szerokiej dłoni na jej plecach, kiedy weszli do sali konferencyjnej wypełnionej ośmioma ponurymi twarzami, ubranych jak do walki wampirzych wojowników, była jedyną rzeczą, która powstrzymała jej kolana przed trzęsieniem się.

Oczy Dylan szybko odszukały zagrożenie, do którego stanęła twarzą: Lucan, ciemnowłosy wojownik, w którego oczach widać było oczywiste oskarżenie. To on był wtedy z Rio, wcześniej tego dnia, wydając szorstką instrukcję, że ona wraca do domu do Nowego Jorku i ma mieć wyczyszczony umysł, tak jak jej mama, jej szef i jej przyjaciele.

Obok Lucana przy więcej niż imponującym ośrodku dowodzenia z zawierającą pół tuzina komputerów i dwa razy więcej monitów konsolą, siedział mężczyzna Rasy z nastroszonymi włosami blond, które wyglądały jakby były przeczesywane palcami, aż do stanu całkowitego rozwichrzenia. Rzucił okiem na Dylan sponad oprawek wąskich prostokątnych okularów słonecznych z bladymi błękitnymi soczewkami. Ze wszystkich zebranych tam wojowników, ten wydawał się najmniej groźny, chociaż był bardzo wysoki i tak jak inni miał szczupłe wspaniale umięśnione ciało.

³ De nada - drobnostka, nic wielkiego

- To jest Dylan Aleksander - oznajmił Rio grupie. - Jestem pewny, że wszyscy słyszeliście już o tym co zdarzyło się w jaskini w Jicin i o zdjęciach, które Dylan tam zrobiła.

Lucan skrzyżował na piersi swoje ramiona.

- Chciałbym dowiedzieć się dlaczego zlekceważyłaś rozkazy dotyczące twojej misji i przywiozłaś ją dziś wieczorem. Ona może i jest Dawczynią Życia, ale to cywil, Rio. Cywil, który ma dostęp do masowych środków przekazu, na miłość Boską!

- Już nie - wtrąciła Dylan, mówiąc w swoim imieniu, zanim Rio zostałby zmuszony do bronienia jej. - Moje kontakty medialne, są już historią. I nawet jeżeli by istniały, masz moje słowo, że nigdy nie ujawniła bym niczego co o was wiem na zewnątrz. Życzyłabym sobie, żeby te zdjęcia nigdy nie były zrobione, a ta historia opisana. Jest mi naprawdę przykro z powodu tego, że zrobiłam coś co mogło narazić Rasę na ryzyko ujawnienia.

Nawet jeśli uwierzyli jej, żaden z nich nie dał tego po sobie poznać. Reszta Zakonu wpatrywała się w nią zza dużego stołu konferencyjnego, przy którym siedzieli, wyglądający jak sędziowie przysięgli rozważający czy uznać ją za winną. Niko i Kade też tam byli, siedzieli obok czarnoskórego wojownika z ramionami, które przyćmiłyby największą gwiazdę rugby. Jeśli jednak ten facet wyglądał groźnie, to ten siedzący po przeciwnej stronie stołu, był jeszcze bardziej przerażający. Z płowymi włosami do ramion i bystryimi, nefrytowymi oczami, wojownik wyglądał jakby widział i robił w swoim życiu już wszystko i prawdopodobnie tak właśnie było.

Popatrzył na Dylan z zwięzonymi oczyma, taksując ją spojrzeniem, tak samo jak dwaj pozostali mężczyźni w pokoju, jeden wyglądający na zamkniętego w sobie wojownik polerujący wyglądającą na morderczą parę zakrzywionych ostrzy oraz drugi ze ściętymi na krótko po wojskowemu włosami, wyrzeźbioną ostro brodą i kośćmi policzkowymi, oraz ponurymi, stalowymi oczami.

Ramię Rio owinęło się dookoła jej ramion. To był ciepły uścisk, który sprawił, że poczuła się tak bezpieczna, jakby nie stała samotnie pośród niebezpiecznej grupy wojowników wyszkolonych do walki. Rio wspierał ją, jej jedyny sojusznik w tym pokoju.

Zaufał jej. Dylan mogła poczuć to zaufanie w ciepłe jego ciała i w czułym spojrzeniu, którym patrzył na nią kiedy przemówił do swoich braci.

- Wszyscy zdajecie sobie sprawę, że Dylan odkryła ukrytą jaskinię na tej czeskiej górze, ale nie wiecie co dokładnie stało się, że mogła ją odnaleźć. - Rio odkaslnął, by rozluźnić ściśnięte gardło. - To Eva wskazała jej drogę.

Pomruk niedowierzania pełen jawnej wrogości przetoczył się przez pokój. Ale to głos Lucana, był tym, który zabrzmiał ponad innymi.

- Mówisz nam, że ona skontaktowała się w jakiś sposób z tą wiarołomną suką. ? Jak to do diabła mogło być możliwe skoro Eva nie żyje od zeszłego lata?

- Dylan zobaczyła ducha Eve, tego dnia na górze - powiedział Rio. - To jest specjalny dar Dylan, widzenie i słyszenie zmarłych. Eva objawiła się jej i przyprowadziła ją do mnie ukrytego w tej jaskini.

Dylan przyglądała się, jak wojownicy chłonęli tę wiadomość. Mogła zobaczyć w niemal każdej twardej twarzy w pokoju, że ta Eva nie miała wśród nich przyjaciół. To nie była żadną niespodzianką, zważając na to co zrobiła Rio. Co zrobiła im wszystkim swoją zdradą.

- Dziś wieczorem Dylan zobaczyła inną zmarłą kobietę - powiedział Rio. - Dokładnie rzecz ujmując, zobaczyła kolejną Dawczynię Życia. Tym razem widmo ukazało się w pokoju szpitalnym jej matki. Zmarła dziewczyna powiedziała coś o czym myślę, że wszyscy chcieliby usłyszeć.

Odwrócił się do Dylan i dał jej znak skinieniem głowy by samodzielnie kontynuowała wyjaśnienie. Napotkała poważne spojrzenia i ostrożnie przekazała wszystko co powiedział jej duch Toni, linijka po linijce, powtarzała każde jej słowo, na wypadek, że mogłoby pomóc zrozumieć sens ostrzeżenia z drugiej strony.

- Jezu Chryste - powiedział wojownik siedzący przy komputerowej konsoli, kiedy Dylan skończyła mówić. Przegarniał palcami swoje blond włosy robiąc sobie na głowie jeszcze większy bałagan. - Rio, przypomnij mi co mówiłeś wczoraj na temat potencjalnej hodowli nowej generacji wampirów pierwszego pokolenia.

Rio kiwnął głową, a ponury grymas na jego twarzy wywołał chłód przechodzący przez kręgosłup Dylan.

- Jeśli Starożytny został z sukcesem wybudzony z hibernacji, powiedzcie mi dlaczego miałby nie rozpocząć prokreacji? Albo ktoś mógł go do tego zmusić.

Kiedy Dylan słuchała ich rozmowy, fragmenty układanki, które gromadziła przez kilka minionych dni, od kiedy postawiła stopę w jaskini teraz znalazły właściwe miejsca w jej umyśle. Ukryta krypta z jej otwartym grobowcem. Dziwne, pochodzące nie z tego świata symbole na ścianach. Wyczuwalne istnienie zła, które przeniknęło ciemną jaskinię chociaż jej prawowity lokator ją opuścił...

Jaskinia była przechowalnią, komnatą hibernacyjną, tak jak nieumyślnie zdradził jej to Rio.

Ten groźny stwór, który spał wewnątrz niej zerwał się z uwięzi i gdzieś teraz jest.

Płodząc.

Zabijając.

O, Boże.

W poprzek długiego stołu, Nikolai posłał Rio spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

- Ciekawy jestem od jak dawna trwa produkcja dzieci płodzonych przez tego dzikusa?

- I na ilu Dawczyniach Życia? - dodał poważnie Lucan. - Jeśli ten scenariusz jest prawdziwy Dawczynie Życia są porywane i gdzieś przetrzymywane i w co najmniej kilku przypadkach, zamordowane, nienawidzę nawet myślenia o tym, że to może być realne. Gideon, zechcesz przeprowadzać kontrolę rejestrów Mrocznych Przystani, chcę wiedzieć czy są jakiekolwiek zgłoszenia zaginięć Dawczyń Życia przez okres ostatnich dziesięciu lat lub coś koło tego.

- Zrobione - odpowiedział, tłukąc w klawiaturę i rozpoczynając jednocześnie poszukiwania na wielu komputerach.

Wojownik przy stole konferencyjnym, który wyglądał jak żywcem wyjęty z gry „Soldier of Fortune”, przemówił jako następny.

- Dobra, to był niespodziewany cud, ale dyrektor Regionalnej Agencji Nadzoru zgodził się na spotkanie dziś wieczorem. Chcesz bym wspomniał o tych rewelacjach zmarłej Dawczynie Życia dyrektorowi Starknowi?

Lucan wydawał się rozważyć pomysł, po pewnym czasie potrzęsnał jednak głową.

- Powstrzymamy się z na razie. Nie jesteśmy pewni czego faktycznie mamy teraz szukać i zmartwiliśmy Agencję wystarczająco, gdy powiedzieliśmy im, że myślimy, iż niewielka pozostała przy życiu populacja wampirów pierwszego pokolenia jest celowo mordowana.

Chase skinął głową na znak zgody.

Ponieważ członkowie grupy zaczęli rozmawiać pomiędzy sobą, Lucan podszedł do Rio i Dylan by pomówić z nimi prywatnie.

- Doceniam twoje informacje - poinformował ją. - Ale jakkolwiek nie były by cenne, ten Zakon nie jest miejscem dla żadnego cywila. - Rzucił okiem na Rio, jego srebrzyste oczy studiowały go dokładnie. - Daliśmy jej wybór i dokonała go. Wiesz, że nie możemy pozwolić jej zostać. Nie jako cywilowi.

- Tak - powiedział Rio. - Wiem, o tym.

Lucan czekał, dostrzegając oczywisty fakt, że było coś intymnego między Rio i Dylan. Odchrząknął po czym powiedział.

- Więc, jeśli masz mi coś do powiedzenia, mój chłopie...

Odpowiedziała mu przedłużająca się cisza, Dylan nieświadomie wstrzymywała swój oddech. Nie wiedziała jakich słów oczekiwała od Rio: że byłby gotowy zażądać od Lucana by zmienił zasady. Że kochał ją i chciał walczyć, by zatrzymać ją u jego boku, choćby nie wiem co reszta Zakonu myślała o niej?

Ale on nie powiedział niczego takiego.

- Muszę porozmawiać z Dantem - powiedział do Lucana. - I muszę porozmawiać również z Tess. Jest coś ważnego o co muszę ją zapytać.

Lucan uważanie przyjrzał mu się zwężonymi oczyma.

- Wiesz czego oczekuję, Rio. Dasz mi znać jeśli coś się zmieni.

- Tak - odpowiedział Rio.

Gdy Lucan obrócił się i podszedł z powrotem do Gideona, Rio podniósł brodę Dylan krawędzią swojej ręki.

- Obiecałem ci, że zamierzam spróbować pomóc twojej matce - przypomniał jej łagodnie. Gdy przytaknęła skinieniem głowy, kontynuował. - Nie wiem czy powinienem to robić, ale czy mógłbym poprosić cię, żebyśmy wcześniej porozmawiali o tobie i o mnie, mam

pytanie, na które potrzebuje twojej odpowiedzi. Wiem nie powinienem pytać cię o to czy zostaniesz ze mną, kiedy jesteś pogrążona w bólu i chcesz być blisko swojej matki. Nie powinienem pytać cię o to prawda? - Nadzieja zabłysła w jej oczach.

- Ale zrobisz to... prosisz mnie, żebym została z tobą?

Popieścił jej policzek, wsuwając kosmyk jej włosów z powrotem za ucho.

- Boże, tak. Chcę tego, Dylan, bardzo.

Rio pochylił głowę i pocałował ją w obecności wszystkich wojowników. To był krótki pocałunek ale bardzo, bardzo słodki. Gdy odsunął się, Dylan poczuła na sobie, na nich obojgu oczy całego Zakonu. Ale dla niej ważne były tylko oczy Rio, które ją urzekły. Były rozpalone pożądaniem i czułą sympatią, olbrzymie tęczówki błyszczały iskrami bursztynu.

- Pozwól, że zaprowadzę cię z powrotem na moją kwaterę i przyniosę ci coś do jedzenia. Muszę porozmawiać z Dantem i Tess, ale nie będę tam zbyt długo.

ROZDZIAŁ 29

Kwatera Rio była cicha, gdy wrócił do niej po jakimś czasie. Mógł wyczuć ślad woni innej Dawczyni Życia, która była tu niedawno by przynieść jedzenie i dotrzymywać Dylan towarzystwa, ale to zapach jałowca i miodu, prowadził go przez pusty salon w kierunku sypialni. Prysznic w przyległej do niej łazience był włączony i nie trzeba było mu wiele, by wyobrazić sobie jak obłoki pary i gorąca woda pieściły jej piękne ciało.

Zbliżył się do uchylonych drzwi i odkrył, że rzeczywistość jest jeszcze wspanialsza niż jego wyobrażenia.

Dylan stała pod dwudyszowym natryskiem, w ogromnej oddzielonej szybą od pozostałej części łazienki kabinie prysznicowej. Jej ręce oparte były na wyłożonej płytkami ścianie, kręgosłup wygięty w pełen gracji łuk, który miękko opływała lejąca się woda. Jej broda była odchylona do tyłu, oczy zamknięte. Płomień jej włosów został zgaszony do ciemnej przetykanej złotem miedzi, przykleiły się do niej jak mokry jedwab, kiedy spłukała szampon z całej ich długości. Białe pasemka piany spływały po zaokrąglonych wypukłościach jej pupy... Chryste, w dół pomiędzy nie, aż do ciasnej rozpadliny pomiędzy jej pośladkami i na jej długie, szczupłe uda.

Rio oblizwał wargi, nagle zaschło mu w ustach. Poczł ból wysuwających się z dziąseł kłów i pulsującą odpowiedź swojego penisa na wzrastający w nim głód pożądania, jakie czuł do tej kobiety.

Jego kobiety, ta odpowiedź na impuls, była czysto męska i właściwa Rasie.

Pragnął jej. Chciał jej ciepłej i mokrej pod jego ciałem i nie wyobrażał sobie, że mógłby czekać zbyt długo by ją mieć.

Musiał wydać z siebie jakiś dźwięk, ponieważ Dylan odkręciła głowę w jego kierunku. Uniosła powieki i uśmiechnęła się do niego przez szybę powolnym, uwodzicielskim uśmiechem, który sprawił, że natychmiast zapragnął być nagi i znaleźć się przy niej.

Ale kochanie się w ciemnościach nawy kościółka, było całkiem inną rzeczą niż robienie tego twarzą w twarz, ciało do ciała, w jaskrawo oświetlonej i wyłożonej lustrami przestrzeni, gdzie teraz

byli. Tu nie było gdzie się ukryć. Dylan zobaczyłby go... całe jego ciało, wszystkie blizny, których być może nie zauważyła, kiedy kochali się po ciemku parę godzin temu.

Wstyd sprawił, że chciał rozbić tuzin wbudowanych w sufit świateł. Rzucił rozdrażnione spojrzenie do góry, ale głos Dylan oderwał go od tych myśli.

- Rio... przyłącz się do mnie.

Madre de Dios, to zaproszenie wypowiedziane lekko schrypniętym głosem niemal wystarczyło, aby całkowicie pozbył się wszelkich myśli... z wyjątkiem tej, która nakłaniała go do zrzucenia z siebie ubrania i zrobienia tego o co go prosiła.

Spotkał jej oczy przez szkło prysznicowych drzwi, jego własne pod ciężkimi powiekami wypełnione były ostrym bursztynowym blaskiem i był pewny tego, że jego źrenice stały się wąskimi paskami czerni.

- Chcę, żebyś był tu ze mną - powiedziała Dylan. Więziła jego spojrzenie, przesuwając dłońmi po swoim płaskim brzuchu w kierunku nabrzmiątych prężących się piersi. - Chodź tu do mnie... Chcę poczuć na sobie twoje ręce. Całe twoje ciało.

Święty... niech to cholera.

Szczęki Rio zacisnęły się tak ściśle, że groziło to połamaniem trzonowych zębów.

Cholernie trudno było pograżać się w wątpliwościach lub wstydzie, gdy jedyna kobieta, której pragnął... pragnął bardziej niż czegokolwiek, kiedykolwiek w całej swojej egzystencji, patrzyła na niego jakby chciała pożreć go w całości.

Pozbył się butów i skarpetek, a następnie zdjął z siebie koszulę, spodnie i bokserki.

Stał tam, nagi, w pełnym wzwodzie, jego dermaglify pulsowały wszystkimi barwami pożądania. Dłonie w opuszczonych rękach zacisnął w pięści, pozwalając Dylan dobrze mu się przyjrzeć. To było potworne... te pierwsze kilka sekund, kiedy spojrzenie jej pociemniałych oczu powoli się po nim przesuwało.

Dobrze wiedział, co ona widziała. Cholera, znał to dokładnie: swój pokiereszowany tułów, skórę, która błyszczała mocno w niektórych miejscach, a w innych, gdzie nadal znajdowały się drobne kawałki odłamków, była szorstka. I niżej na dole, znajdowała się

gruba czerwona blizna, która ciągnęła się przez całą długość jego lewego uda, została po głębokiej ranie, która kosztowała go prawie utratę kończyny.

Czekał, żeby podniosła wzrok.

Czekał, żeby zobaczyć litość w jej twarzy. Bał się, że może zobaczyć obrzydzenie.

- Rio - szepnęła namiętnie. Powoli uniosła głowę, a jej oczy spotkały się z jego oczami. Jej zniewalające spojrzenie miało kolor ciemnego, nocnego lasu, a pod gęstą firanką rzęs jej źrenice były rozszerzone. Nie współczuciem, ale kobiecym pragnieniem.

Rio chciał odrzucić głowę do tyłu i krzyknąć z ulgi, ale widok rozchylnych ust Dylan, jej głodnych oczu wpatrzonych w niego pożądliwie, odebrał mu głos.

Otworzyła szklane drzwi do kabiny prysznicowej.

- Chodź tu - zażądała, jej usta wygięły się w niezwykle seksownym uśmiechu. - Chodź tutaj... w tej chwili.

Uśmiechnął się i wszedł do środka, dołączając do niej pod ciepłym strumieniem.

- Tak jest dużo lepiej - wymruczała Dylan oplatając go ramionami i wyciągając w głęboki, mokry pocałunek.

Tak dobrze do niego pasowała, cała ta zachwycająca, gorąca skóra, wszystkie te wspaniałe zagłębienia. Rio trzymał ją blisko, wplątał palce w jej mokre włosy, czując pod spoczywającymi na jej szyi nadgarstkami, uderzenia pulsu pompującego ciepłą krew.

- Chcę cię posmakować - powiedziała, odrywając usta od jego ust i powoli zaczęła znaczyć pocałunkami szlak w dół jego gardła do wgłębienia przy jego podstawie, następnie wzdłuż linii jego ramienia. Zsuwała się coraz niżej, igrając językiem po szerokich płaszczyznach jego klatki piersiowej, drażniąc jego męskie sutki, aż skurczyły się do małych ściśniętych węzełków. - Tak cudownie smakujesz, Rio. Mogłabym cię zjeść.

Jęknął ponieważ pozwoliła swoim wargom powędrować w dół jego mostka, lekko przyszczypując go zębami. Jej pocałunek stał się mniej żartobliwy, kiedy ruszyła w kierunku jego okaleczonej lewej strony.

Rio zachłysnął się oddechem.

- Nie... - zachrypiał w ogarniającej go panice, gdy pomyślał o jej ustach w pobliżu tych ohydnych blizn. Rzuciła na niego w pytające spojrzenie i chciał umrzeć ze wstydu. - Jest w porządku. Nie musisz tego...

- Czujesz ból, kiedy cię tu dotykam? - zapytała łagodnie, jej palce muskały ostrożnie pokrytą bliznami skórę. - Czy to boli, Rio?

Zaprzeczył delikatnym potrząśnięciem głowy.

To nie bolało. To co mógł poczuć przez uszkodzone zakończenia nerwowe poranionej skóry było miłe.

Cristo en cielo, tak dobrze było poczuć jej dotyk.

- Czy to sprawia ci przykrość - zapytała, składając najdelikatniejszy, najbardziej kochający pocałunek na jego najbrzydszej bliźnie. - Jak się czujesz, Rio?

- Dobrze - wychrypiał, jego gardło było zaciśnięte aż do bólu i nie tylko z czystej przyjemności dotyku ust Dylan na jego ciele. Jej czułość była dla niego darem... ten słodki, wyrażający akceptację pocałunek, dotknął w nim miejsca tak głęboko ukrytego i zapomnianego, że myślał iż od dawna jest martwe. - Dylan... jesteś... Jezu, naprawdę myślę, że jesteś najbardziej niesamowitą kobietą jaką kiedykolwiek poznałem.

Uśmiechnęła się do niego rozpromieniona.

- No cóż, przygotuj się, ponieważ dopiero się rozkręcam. - Uklękła przed nim na mokrych płytkach, całowała jego biodra i uda, głądzone cienkimi strumykami wody, spływającymi w dół z jego ramion. Każde dotknięcie jej ust w pobliżu penisa, czyniło jego erekcję coraz silniejszą i twardszą.

Kiedy sięgnęła i wzięła go w swoje małe wilgotne dłonie, myślał, że straci nad sobą panowanie.

- A to jak czujesz? - Zapytała, głaszcząc go od jąder do główki i z powrotem, jej grzeszny wzrok, gdy spojrzał w jej oczy powiedział mu, że wiedziała dokładnie, jak on się czuje. I dobrze, bo nie był w stanie wydobyć z siebie głosu tak długo, jak długo pieściła go rytmicznymi powolnymi ruchami.

I jak gdyby tego było mało, język Dylan też przyłączył się do zabawy. Przesunęła nim wzdłuż całej jego długości, a następnie wzięła w usta główkę jego penisa i wessała go głęboko w usta.

Rio wydał z siebie ochryply jęk i to było wszystko, co mógł zrobić, aby utrzymać równowagę. Drgał kiedy łaskotała go językiem po spodzie penisa, jej usta ślizgały się po nim w górę i dół, powodując, że ostra przyjemność zaczęła narastać u podstawy jego kręgosłupa. Gwałtowny orgazm huczał w nim jak parowóz.

Cholera, jeśli za chwilę jej nie powstrzyma zaraz dojdzie.

Ze zwierzęcym warknięciem, podniósł Dylan od swojego pulsującego penisa.

- Teraz moja kolej - powiedział, jego głos był głęboki i nieziemski.

Zaczęła dyszeć, gdy popchnął ją by oparła się plecami o kafelki i zaczął całować ją powoli podążając tym samym szlakiem, rozpoczynając tą samą słodką torturę, którą ona mu zaaplikowała. Igrał swoimi wargami po jej gardle i niżej pomiędzy piersiami, tam gdzie bicie jej serca dudniło pod jego językiem. Pocałował cudowne różowe sutki używając końcówek swoich kłów do delikatnego muskania jej skóry kiedy zsuwał się w dół, do zagłębienia jej pępka, a następnie kuszącej krągłość jej biodra.

- Ty też bardzo, bardzo dobrze smakujesz - powiedział zachrypniętym głosem, pozwalając jej zobaczyć błysk jego w pełni wysuniętych kłów.

Jej oczy rozszerzyły się, ale nie w strachu. Usłyszał jej nagły wdech, kiedy pochylił głowę i posażł łagodnie słodkie małe V rudych loczków między jej udami.

- Mmm - zajęczał nad jej kremowym ciałem. - Jesteś bardzo, bardzo smaczna.

Krzyknęła kiedy poczuła pierwsze dotknięcie jego ust na swojej kobiecości, po czym roztopiła się z powolnym, chrapliwym jękiem, kiedy jego język ślizgał się po miękkich fałdkach jądra jej kobiecości. Był bezlitosny, chciał usłyszeć jak będzie krzyczała z przyjemności, którą jej sprawiał. Zagłębił się mocniej pomiędzy jej miękkimi udami, upajając się kurczowym zaciskaniem się jej palców na jego włosach, gdy złapała jego głowę i mocno przyciskała go do siebie, drząc, podczas gdy on rozpalał ją, aż do spełnienia.

- O, mój Boże - szepnęła mocno dysząc. - Och, Rio... tak...

Wypowiedziała jego imię jeszcze raz, nie przezwisko, które znał każdy, ale jego prawdziwe imię. Zabrzmiało ono tak naturalnie na jej

wargach. Znów wykrzyknęła jego imię w chwili, gdy porwał ją orgazm i to była najpiękniejsza rzecz jakiej kiedykolwiek doświadczył.

Rio chciał trzymać ją w ramionach, ale jego potrzeba była zbyt wielka. Jego penis był gotowy wybuchnąć. Chciał być wewnątrz niej... potrzebował tego żeby przeżyć, tak samo jak powietrza i krwi.

Wstał i odsunął mokre włosy z jej twarzy.

- Odwróć się - wychrypiał. - Oprzyj swoje ręce o płytki i wygnij się w łuk tak jak wtedy, gdy tu przyszedłem.

Z zaspokojonym uśmiechem posłuchała go, oparła dłonie o ścianę i wypięła przed nim swój śliczny tyłeczek. Rio popieścił jej nieskazitelną skórę, pozwalając swoim palcom podążać tropem rozpadliny między zaokrąglonymi pośladkami, aż do wilgotnych ust jej kobiecości. Wciągnęła gwałtownie powietrze, kiedy rozsunął jej nogi i potarł czubkiem penisa po nabrzmiąłych, ciemno różowych fałdkach.

- To jest to co pragnąłem z tobą zrobić, kiedy cie tu zobaczyłem, Dylan.

- Tak - wyszeptała drżąc, kiedy głaskał ją tak intymnie.

Pchnął do wewnątrz i poczuł gorące ścianki pochwy zaciskające się na jego twardym ciele. Wycofał się, drżąc z nieziemskiej rozkoszy. Słodkie piekło, ale on nie będzie w stanie wytrzymać tego zbyt długo. Nie dbał o to teraz. Musiał zatracić się w środku, w ciepłe Dylan, dać jej wszystko co mógł. Bo w głębi serca wiedział, że ich czas razem był ulotny.

Ona wróci niedługo do swojego świata, a on pozostanie w swoim.

Rio owinał ramiona wokół ciała Dylan, trzymając ją tak blisko, jak tylko mógł kiedy orgazm zaczął się w nim budować. Krzyczał kiedy osiągał spełnienie. Ale nawet po wszystkim jego ramiona pozostały szczelnie owinięte dookoła kobiety, o której wiedział, że nie mógł jej zatrzymać.

ROZDZIAŁ 30

Dylan nie była pewna, ile godzin minęło od momentu, kiedy Rio wziął ją do łóżka.

Wytarli się nawzajem, potem znowu się kochali, ten drugi raz był wolniejszy, spokojniejszy, jakby chcieli zapamiętać każdy niuans tej chwili i zachować go na zawsze.

Chociaż nie chciała o tym myśleć, Dylan wiedziała, że nie może zostać tutaj z Rio zbyt długo. Miała niedokończone sprawy w Nowym Jorku i to, że nie było jej w pobliżu w czasie, gdy jej matka tego potrzebowała, powodowało że Dylan czuła się wewnętrznie rozdarta.

Ale Boże, czuła się tak cudownie leżąc tak jak teraz w ramionach Rio.

Z policzkiem opartym o jego nagą pierś, Dylan pogładziła miękką skórę, bezwiednie wodziła palcem po eleganckim wzorze jednego z jego dermoglifów. Rysunek był teraz tylko o jeden ton ciemniejszy od oliwkowego koloru jego skóry, ale kiedy go dotknęła kolor skomplikowanego wzoru zaczął się zmieniać, wypełniając się czerwienią, o której wiedziała już z doświadczenia, że jest kolorem pożądania.

Inna oznaka jego pragnienia też zaczęła się budzić, naciskając mocno na jej brzuch.

- Rób tak dalej, to może nigdy nie wyjdziemy z tego łóżka - wymruczał, jego głęboki głos zawibrował pod jej policzkiem.

- Nie jestem pewna, czy chcę wyjść z łóżka w najbliższym czasie - odparła. Kiedy spojrzała na niego, oczy Rio były zamknięte, jego zmysłowe, usta wygięte były w zadowolonym, szelmowskim uśmiechu. - Nie pamiętam, kiedy czułam się taka szczęśliwa, Rio. Czuję się jak we śnie. Wiem, że muszę się kiedyś obudzić, ale nie chcę tego.

Jego powieki uniosły się i Dylan zatonęła w ciepłe ciemnego, topazowego spojrzenia.

- To co się dzieje między nami jest... bardzo niespodziewane, Dylan. Dopóki nie weszłaś do tej górskiej jaskini, myślałem, że moje

życie dobiegło końca. Wiem o tym, ponieważ planowałem ze sobą skończyć, naprawdę byłem tego bardzo bliski.

- Rio - wyszeptała, czując jak serce podchodzi jej do gardła.

- Nikolai zostawił mnie tam z workiem materiałów wybuchowych, w lutym, kiedy Zakon odkrył ukrytą kryptę. Wszyscy wrócili do Bostonu, ale ja zostałem. Miałem zabezpieczyć jaskinię tak by nikt nie mógł jej odnaleźć. Obiecałem, że to zrobię i powiedziałem Niko, że chciałbym wrócić na jakiś czas do domu do Hiszpanii po wypełnieniu mojej misji. - Wypuścił powietrze z krótkim westchnieniem. - Nigdy nie planowałem opuścić tej góry. Wszystko co musiałem zrobić, to ustawić C-4 tak by wybuchło do wewnątrz...

- Planowałeś pozwolić się tam zasypać? - Zapytała przerażona Dylan. - Mój Boże, Rio. To byłaby długa, straszna i samotna droga ku śmierci.

Wzruszył ramionami.

- Nie dbałem o to. Myślałem, że wszystko musi być lepsze niż to jak żyłem.

- Ale ty byłeś tam przez kilka miesięcy, zanim cię znalazłem. Musiałeś znaleźć w sobie trochę nadziei, bo odwlekałeś swoje plany.

- Gorzki chichot wydobył się z jego gardła. Opóźniłem się, gdyż nie miałem dość siły by to zakończyć. Ponieważ moje bóle głowy i omdlenia znowu zaczęły mnie nękać, tak bardzo, że chwilami całkowicie traciłem świadomość.

- Masz na myśli takie stany utraty świadomości, jak wczoraj nad rzeką?

- Tak. Tamte były jeszcze gorsze. Nie pożywiałem się wtedy bardzo długo, więc głód też zrobił swoje. W pewnym momencie, zupełnie straciłem poczucie upływu czasu.

- I wtedy pojawiłam się ja.

Roześmiał się.

- I wtedy pojawiłaś się ty. - Uniósł jej dłoń i pocałował w miejsce na nadgarstku, tam gdzie pulsowało jej tętno. - Byłaś dla mnie ogromną niespodzianką, Dylan. Przyniosłaś mi szczęście jakiego nigdy wcześniej nie zaznałem.

- Nigdy wcześniej? Nawet... z Eve? - Dylan nienawidziła siebie za to, że prosi go, aby je porównywał, ale ona naprawdę pragnęła poznać odpowiedź. Kiedy Rio milczał przez chwilę, a jej serce

zaczęło zamierać. - Przepraszam. Nie musisz mi odpowiadać. Nie chcę sprawiać ci bólu.

Pokręcił głową, ściągnął razem brwi.

- Eva była zmysłowa i zalotna. Była bardzo piękną kobietą. Każdy mężczyzna, który ją ujrzał pragnął jej. Zarówno wampiry jak i ludzie. Zdziwiłem się, że mnie zauważyła. Tym bardziej, kiedy jasno dała mi do zrozumienia, że chce być moją partnerką. Zdobyła mnie tak jak to sobie zaplanowała, a moje ego rozrosło się do granic możliwości. Ochłodziło się między nami nieco po tym jak wstąpiłem do Zakonu. Eva niechętnie akceptowała mnie moje powołanie, by zostać wojownikiem.

Dylan słuchała, pogrążając w bardzo nieprzyjemnym uczuciu zazdrości, sama była sobie winna, zmuszając go do rozmowy o kobiecie, którą wcześniej kochał.

- Po katastrofie, jaką zakończył się mój związek z Eve, nie spodziewałem się, żebym mógł jeszcze raz otworzyć swoje serce dla innej kobiety. Ale ty, Dylan... - Podniósł kosmyk jej włosów, obserwując czerwono złoty połysk jedwabistej spiralki okręcał ją wokół palca. - Jesteś czystym płomieniem. Dotykam cię i się rozpalam. Całuję i mocniej płonę. Pochłaniasz mnie i fascynujesz... tak jak, żadna kobieta przed tobą i sądzę, że żadna inna nie mogłaby już tego dokonać.

Uniosła się i pocałowała go, ujmując jego twarz w dłonie. Kiedy oderwała usta od jego warg nie mogła się powstrzymać przed wyrzuceniem z siebie słów, które odzwierciedlały to, jak wiele dla niej znaczył.

- Kocham cię, Rio. Śmiertelnie bałam się powiedzieć to głośno, ale to prawda. Kocham cię.

- Och, Dios - wyszeptał zachrypniętym głosem. - Dylan... zakochałem się w tobie od pierwszej chwili, w której cię ujrzałem. Nie wiem jakim sposobem i z jakiej przyczyny, możesz kochać mnie, takiego jakim teraz jestem...

- Kocham cię właśnie z tej przyczyny jaki teraz jesteś - powiedziała Dylan, powoli kręcąc głową ze zdziwieniem. - Jak patrzysz na mnie, jak mnie dotykasz, jak mogłabym cię nie kochać? Ty, Rio. Takim jakim teraz jesteś. - Pieściła go wkładając w to wszystkie uczucia jakie ją przepełniały, pozwalając swoim palcom

łagodnie muskać chropowatą lewą stronę przystojnej twarzy, której widok nigdy jej nie odstręczał.

Ledwo zauważała teraz jego blizny. Och, niestety, nie można było cofnąć tego, co przeszedł. Dowód na piekło, które przeżył zawsze tam pozostanie, na jego twarzy i ciele. Ale kiedy Dylan patrzyła na Rio, widziała jego odwagę i siłę. Widziała jego honor, w jej oczach, był najpiękniejszym mężczyzną jakiego kiedykolwiek poznała.

- Kocham cie, Eleuterio de la Noche Atanacio. Z całego serca.

Coś gwałtownego błysnęło w jego twarzy. Z niskim dźwiękiem rodzącym w gardle, zmiażdżył ją w swoich objęciach i po prostu trzymał ją mocno przytuloną.

- Bardziej niż czegokolwiek innego, pragnę twojego szczęścia - mruknął jej do ucha. - Wiem, że twoja rodzina... twoja matka, to by wyzdrowiała... jest dla ciebie najważniejsze na świecie. Wiem o tym, że pragniesz być z nią teraz.

- Tak - wyszeptała Dylan. Wysunęła się z jego objęć i spojrzała mu w oczy. - Nie mogę jej teraz zostawić, Rio. W tym momencie... nie mogę. - Pokiwał głową.

- Wiem o tym. Rozumiem to, że pragniesz być teraz przy niej, Dylan. Ale jakaś samolubna częśćka we mnie chce spróbować przekonać cię, że teraz tu jest twoje miejsce. Ze mną, związana krwią, jako moja towarzyszka życia. - Och, cudownie było to usłyszeć. Przypomniała sobie, dość obrazowo, jakie to było niesamowite uczucie, kiedy Rio karmił się jej żyły. Chciała, żeby zrobił to jeszcze raz... teraz, gdy czuła miłość do niego przepelniała jej serce.

Ale nie mogła zostać.

- Nie będę teraz nalegał, Dylan. Ale pragnę, żebyś wiedziała o tym, że chcę być z tobą na zawsze. To, że jestem gotowy czekać. - Radość wybuchła w niej kiedy usłyszała jego czułe słowa.

- Będziesz czekać...?

- Będę na ciebie czekać, tak długo jak będzie trzeba, Dylan. - Odsunął kosmyk włosów z jej policzka i założył go za ucho. - Pamiętasz, mówiłem ci, że chciałbym spróbować znaleźć sposób, aby pomóc matce gdy wrócimy do Zakonu?

- Tak.

- Dlatego muszę porozmawiać z Tess. Ona jest Dawczynią Życia Dantego. - Dylan skinęła głową. - Pomogła mi oczyścić i opatrzeć

ranę na policzku. Prawda. Ona jest uzdrowicielem. Przed ciążą, Tess była obdarzona zdolnością leczenia otwartych ran dotykiem. Ona leczyła również dolegliwości wewnętrzne. Jest tu jeden mały brzydki terier biegający po terenie całej kwatery, tylko dlatego, że Tess była zdolna wyleczyć go z kilku dolegliwości które go zabijały. Włączając w to raka, Dylan. Nie chcę ci nic obiecywać, najpierw muszę porozmawiać z Tess i Dante.

Dylan z wrażenia przestała oddychać. Wpatrywała się w Rio w zdumieniu, myśląc że się przesłyszała.

- Tess potrafi uleczyć raka? Ale tylko u zwierząt, prawda? To znaczy, nie chcesz chyba powiedzieć, że mogłaby ewentualnie pomóc...

- Jej dar nie wydaje się ograniczać tylko do zwierząt, ale teraz jest pewna komplikacja. Odkąd jest w ciąży, jej dar jest osłabiony. Ona nie jest pewna, czy będzie w stanie pomóc teraz twojej matce, ale powiedziała mi, że jest skłonna spróbować...

Dylan nie pozwoliła mu dokończyć. Nadzieja tak jasna, jak wybuch oślepiającego światła rozbłysła w niej, rzuciła się na Rio i zaplotła swoje ramiona wokół niego mocno się przytulając.

- Och, mój Boże! Rio, dziękuję ci.

Delikatnie zdjął jej dłonie ze swoich barków.

- Nie obiecuj sobie zbyt wiele. To tylko cień nadziei, nawet gdy będziemy wielkimi optymistami. Może się zdarzyć, że Tess nie będzie w stanie pomóc.

Dylan skinęła głową, godząc się z tym, że ich starania mogą okazać się daremne, ale jednocześnie radowała się w duszy, że być może istnieje cień szansy na to, by uratować jej matkę.

- Musiałaby być przywieziona tutaj, do siedziby Zakonu. Dante nie chce narażać Tess na ryzyko podróży, teraz, kiedy ona oczekuje dziecka. Nie możemy ryzykować również tego, że twoja matka będzie wiedziała, gdzie nas znaleźć lub co się z nią dzieło, więc oznacza to wyczyszczenie jej pamięci po zakończeniu kuracji. I pamiętaj, że nie ma gwarancji, że jej rak zostanie wyleczony.

- Ale jest szansa - powiedziała Dylan. - To więcej niż mama ma teraz. Bez tej szansy, zostałoby jej prawdopodobnie tylko kilka miesięcy życia. A jeśli Tess mogłaby jej pomóc...

Byłoby cudownie, jeśli udałoby się jej kupić dla matki chociaż rok życia, może nawet dekadę. Gdyby była zupełnie zdrowa w wieku sześćdziesięciu czterech lat, nie byłoby niedorzecznością stwierdzenie, że jej mama mogłaby żyć jeszcze dwadzieścia pięć lub trzydzieści lat.

W którym momencie Dylan będzie gotowa porzucić ją dla własnego kawałka szczęścia i wrócić tutaj z powrotem do Rio?

Spojrzała na niego i zobaczyła, że on również to rozważa. Chciał, spróbować pomóc matce Dylan, bo wiedział, że nie mogła znieść myśli o jej stracie, choć zdawał sobie sprawę, że pomoc ta może sprawić, iż znajdzie się ona daleko poza jego zasięgiem.

- Rio...

- Będę czekał - powiedział uroczyście. - Będę na ciebie czekał, aż będziesz gotowa by być ze mną.

Zamknęła oczy i poczuła, że jego miłość zalewa jej serce jak balsam. Za to, że dał jej taki bezinteresowny dar... dar nadziei, Dylan uwielbiała go jeszcze bardziej.

Pocałowała go z nabożeństwem i poczuła w sercu, że musi być blisko niego... czuć go w sobie na każdy możliwy sposób.

Pomyślała o więzi, o której jej wspominał, więzi krwi, tej która uczyniła by ją jego prawdziwą towarzyszką życia. Chciała tego. Potrzebowała czuć się z nim połączona w bardzo pierwotny sposób, zaślubić go na sposób Rasy.

- Uczynź mnie swoją - szepnęła z ustami na jego ustach. - Teraz, Rio... chcę związać się z tobą krwią. Chcę być twoja. Nie chcę na to dłużej czekać.

Jego niski pomruk aprobaty wzbudził w niej dreszcz oczekiwania.

- To jest nierozzerwalne. Gdy to zrobimy, to nie będzie można się już cofnąć.

- Tym lepiej.

Lekko przyszczypnęła zębami jego dolną wargę i została nagrodzona widokiem jego kłów, w jednej chwili przetoczył się z nią po łóżku i przykrył ją swoim ciałem.

Błysk bursztynu zaćmił przydymiony topaz tęczówek. Jego źrenice stały się wąskie, wyostrome pożądaniem. Pocałował ją i pozwolił igrać językowi Dylan na czubkach długich kłów, umierając z pragnienia by przebić nimi cienką skórę jej szyi.

Ale Rio cofnął się, podpierając się nad nią na pięściach. Wyglądał tak potężnie, zawieszony nad nią, piękny, nagi, mężczyzna.

- Nie powinienem ci tego robić - powiedział cicho, z szacunkiem.
- Jeśli weźmiesz w siebie moją krew, Dylan, to zawsze będę częścią ciebie... nawet jeśli zdecydujesz się żyć beze mnie. Zawsze będziesz mnie czuć w twoich żyłach, czy będziesz tego chciała, czy nie. Powinienem pozwolić ci zachować więcej swobody.

Dylan spojrzała na niego bez najmniejszego wahania.

- Chcę tego, Rio. I chcę, żebyś zawsze był częścią mnie. Moje serce zawsze będzie cię znało, niezależnie od tego czy zwiążemy się teraz krwią czy nie.

Przeklinał cicho, potrząsając głową.

- Jesteś pewna, że naprawdę tego chcesz? Jesteś pewna, że... mnie chcesz?

- Na wieczność -, odpowiedziała mu. - Nigdy w życiu nie byłam niczego bardziej pewna.

Jego oddech stał się urwany kiedy okraczył jej talię i ukląkł nad nią. Podniósł swój nadgarstek do ust. Z gorącym bursztynowym spojrzeniem utkwionym w jej oczach, Rio zatopił ostre kły w swoim ciele.

Krew zaczęła spływać mocnym strumieniem po jego przedramieniu, wypływając z nakłuc pulsowała w rytmie mocnych uderzeń jego serca. Bardzo delikatnie, podniósł głowę i ramiona Dylan z poduszki i przyłożył swój nadgarstek do jej ust.

- Pij ze mnie, kochana.

Czuła gorący, wilgotny płyn przy swoich ustach. Poczowała ostry mroczny zapach jego krwi, wstrzymała oddech i przywarła ustami do krwawiącego nadgarstka. Pierwsze zetknięcie jej języka z jego krwią było jak wstrząs elektryczny. Energia wypełniła całe jej ciało po pierwszym łyku, który od niego wzięła. Czuła mrowienie kończyn, palce rąk i nóg kuły dziwnym, przyjemnym gorącem. Ciepło rozprzestrzeniało się, po jej klatce piersiowej i brzuchu, a następnie do jądra jej kobiecości. Roztapiała się, pożądanie rosło w niej z ogromną intensywnością docierając do samego jej rdzenia.

Ach Boże, jakże cudownie smakował.

Dylan wtuliła się w niego, zagubiona w pulsującym cieple, którym karmił ją ze swoich żył. Spojrzała w górę i napotkała jego

wzrok, patrzył na nią wzrokiem pełnym czystego pożądania i surowej męskiej dumy. Jego penis był w pełni wyprostowany, większy niż kiedykolwiek.

Dylan sięgnęła po niego, głaszcząc go, wciąż ssąc mocno jego nadgarstek. Kiedy rozsunęła uda i zaczęła ocierać się o niego, Rio odrzucił w głowę do tyłu i syknął, ścięgną na jego szyi napięły się jak struny. Spuścił głowę z powrotem w dół i oślepił ją bursztynowym blaskiem swoich rozpalonych pasją oczu.

Jednym wygięciem bioder zagarnęła go w siebie. Wszedł w nią głęboko, mocnym pchnięciem, prostując nogi nakrył jej ciało swoim.

- Teraz jesteś moja, Dylan. - Jego głos szepczący do jej do ucha był ochrypły, zmieniony, ale piekielnie seksowny. Falował nad nią, wciąż piła z niego, kiedy jej rozkosz sięgnęła szczytu.

Kiedy osłabła pod nim, oślepiona wybuchem orgazmu, Rio ukrył twarz w jej szyi i wbił się w jej żyłę.

ROZDZIAŁ 31

To było dla niego cholernie trudne przyglądanie się, jak następnego poranka Dylan bierze prysznic i ubiera się, wiedząc, że musi go opuścić.

Ale Rio nie próbował jej zatrzymać. Odchodziła w miejsce, gdzie nie mógł jej towarzyszyć... w oświetlony słonecznym blaskiem świat, który prawdopodobnie mógł zatrzymać ją z dala od niego na dłużej niż chciałby się do tego przyznać. Może w rzeczywistości na dłużej niż będzie mógł to znieść.

Wspólne godziny, które dzielili w jego łóżku, tworząc więź przez wymianę krwi i obietnicę, że to nie jest pożegnanie, musiały mu na razie wystarczyć.

Nie mógł strzec jej przed życiem, które czekało ją na zewnątrz, zabijało go to podczas całej drogi i jazdy windą, kiedy odprowadzał ją do garażu.

Zatrzymali się na chwilę, kiedy wyszli z windy. Rio wyjął kluczyki do jednego ze swoich samochodów. Nie do żadnego ze sportowych wozów z podrasowanymi silnikami, ale do miłego, bezpiecznego sedana Volvo.

Cholera, wsadziłby ją do opancerzonego czołgu, gdyby posiadał choć jeden. Nacisnął przycisk zdalnego otwierania zamków i Volvo stojące pięć pojazdów dalej zareagowało niezbyt głośnym ćwierkaniem.

- Dzwon do mnie co godzinę i informuj czy wszystko jest w porządku - powiedział, podając jej kluczyki i telefon komórkowy. - Ten zakodowany numer, który wpisałem do twojego telefonu połączy cię bezpośrednio ze mną. Chcę usłyszeć cię co godzinę, żebym był spokojny, że wszystko u ciebie jest w porządku.

- Chcesz bym ryzykowała, że dostanę mandat za rozmowę telefoniczną podczas prowadzenia pojazdu? - Uśmiechnęła się i mrugnęła do niego. - Może chcesz też zamontować mi chip z GPS-em zanim wyjadę?

- Samochód jest już wyposażony w GPS - powiedział, zadowolony, że nie straciła poczucia humoru, szczególnie, że jemu

przychodziło ono z trudnością. - Ale jeśli poczekaś tu krótką chwilę, to jestem pewny, że Gideon albo Niko mógłby załatwić coś również dla ciebie.

Dyskretny śmiech Dylan zabrzmiał trochę głucho. Uniosła dłonie i pogładziła palcami długie włosy na jego karku.

- Zabija mnie to, że muszę cię zostawić, wiesz. Już za tobą tęsknię.

Objął ją ramionami i pocałował.

- Wiem. Jakoś to wszystko rozwiążemy. Ale nie żartowałem, z tym dzwonieniem do mnie co godzinę. Chcę wiedzieć gdzie jesteś i że twoja droga powrotna przebiega bezpiecznie.

- Wszystko będzie dobrze. - Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do niego. - Zadzwoń do ciebie gdy dojadę do szpitala.

- Dobrze - powiedział, wiedząc, że był nierozsądny. Martwił się na zapas. Usprawiedliwiała go tylko to, że czuł wielką potrzebę chronienia jej, która zmuszała go, by zamknąć ją w objęciach i tam ją zatrzymywać. Puścił ją i zrobił krok do tyłu, wciskając zaciśnięte w pięści dłonie do kieszeni luźnych dzinsów. - W porządku. Zadzwoń do mnie kiedy dotrzesz na miejsce.

Dylan uniosła się na palcach i pocałowała go ponownie. Gdy odsuwała się, nie mógł powstrzymać rąk od owinięcia się wokół niej jeszcze raz.

- Ach, do diabła - zaklął ostro pod nosem. - Wynoś się stąd, zanim zabiorę cię z powrotem do mojej kwatery i przywiążę do łóżka.

- To mogłoby być interesujące.

- Przypomnij mi o tym później - powiedział - Kiedy wrócisz.

Skinęła głową.

- Muszę już jechać.

- Taaa.

- Kocham cię - powiedziała i wycisnęła pocałunek na jego policzku. - Zadzwoń do ciebie.

- Będę czekał.

Rio stał tam, z pięściami zaciśniętymi głęboko w kieszeniach, kiedy patrzył jak wsiadała do samochodu. Uruchomiła, a następnie powoli wyprowadziła samochód z jego miejsca parkingowego w hangarze. Pomachała do niego, powstrzymując się przed

opuszczeniem szyby w dół i daniem mu więcej czasu, aby spróbował wyperswadować jej wyjazd.

Uderzył przycisk na automatycznych drzwiach hangaru i zmrużył oczy od różowego światła przedświtującego się przez gąszcz drzew otaczających siedzibę Zakonu.

Dylan wyprowadziła samochód na zewnątrz w światło dnia. Rio chciał poczekać, aż tylne światła samochodu znikną w oddali, ale blask promieni UV był zbyt silny, żeby wytrzymały go oczy wampira nawet z późnej generacji Rasy.

Uderzył klawisz ponownie i szerokie drzwi zamknęły się.

Kiedy wysiadł z windy, Nikolai podszedł do niego na korytarzu uzbrojony jak piekło na kółkach. Rio mógł prawie zobaczyć parę wydobywającą się z uszu wampira, taki był wściekły.

- Co się dzieje? - Zapytał napotykając zimne, niebieskie oczy.

- Zostałem właśnie wypieprzony - odpowiedział Niko - Oczywiście nie w pozytywnym sensie.

- Przez kogo?

- Starkna - syknął. - Okazuje się, że dyrektor regionalnej Agencji Nadzoru po prostu robił zasłonę dymną. Kiedy Chase i ja spotkaliśmy się z facetem ostatniej nocy i powiedzieliśmy mu, że podejrzewamy celowe ataki, zapewnił nas, że wyśle ostrzeżenie do wszystkich znanych wampirów pierwszego pokolenia w populacji. Cóż, zgadnij, nie zrobił tego.

Rio zaśmiał się.

- Nie wysłał ostrzeżenia do wszystkich znanych wampirów pierwszego pokolenia.

- Dokładnie - powiedział Niko. - Wampir pierwszego pokolenia, z którym się kontaktowałem, Siergiej Jakut mówił, że nie słyszał o żadnym gównie od Agencji w Montrealu, gdzie teraz mieszka, ani żadna z innych osób pierwszego pokolenia też o niczym nie wie. Jakby tego było mało, dziś rano otrzymaliśmy wiadomość z Denver o następnym zabójstwie. Następny wampir został ścięty, Rio. To gówno rozprzestrzenia się niebezpiecznie szybko. Nadchodzi coś naprawdę dużego.

- Myślisz, że Starkn może maczać ręce w tej sprawie?

Przebiegłe, niebieskie oczy Niko złodowaciały.

- Tak myślę. Mój nos mówi mi, że sukinsyn siedzi w tym bagnie po uszy.

Rio skinął głową, zadowolony z tego, że Niko pomógł mu oderwać się od myśli o Dylan i żalu nad ich rozstaniem. Oraz zwrócił jego uwagę z powrotem do spraw Zakonu. Jego interesów, jego świata.

Kiedy Niko skierował się do laboratorium, Rio podążył u jego boku, tak jak za dawnych czasów.

Okolo pięciu godzin zajęła Dylan podróż z Bostonu na Manhattan, w szpitalu zjawiała się okolo pierwszej po południu. Zadzwoniła do Rio z samochodu kiedy czekała na miejsce parkingowe i zapewniła go, że jest cała i zdrowa, a następnie udała się do holu, by złapać windę na oddział onkologiczny.

Boże i pomyśleć, że może być to jeden z ostatnich dni które, jej mama spędzi w tym miejscu. Jeden z ostatnich dni, jej choroby. Dylan strasznie tego chciała, tak bardzo, że dostawała niemal zawrotu głowy na tą myśl. Wysiadła z windy na dziesiątym piętrze i przeszła przez podwójne wahadłowe drzwi, które prowadziły do skrzydła w którym leżała jej matka.

Dyżurujące pielęgniarki walczyły akurat z awarią drukarki, tak więc tylko przeszła obok ich stanowiska, nie zatrzymując się z prośbą o wiadomość na temat biopsji.

Dylan zatrzymała się pod drzwiami pokoju mamy, właśnie naciskała pojemnik do dezynfekcji rąk, kiedy zobaczyła wychodzącą pielęgniarkę. Kobieta niosła naręczę w połowie pustych worków do kroplówki. Gdy zobaczyła Dylan, lekko skinęła głową i posłała jej smutny uśmiech.

- Co się dzieje? - zapytała Dylan, kiedy pielęgniarka wyszła na korytarz.

- Odstawiamy jej leki i kroplówki. Nie powinno potrwać to dłużej niż pół godziny i jej wypis też będzie gotowy.

- Wypis? - Dylan zmarszczyła brwi, zupełnie zdezorientowana. - Co się stało? Czy my dostałyśmy już wyniki biopsji?

Łagodnie skinęła głową.

- Tak, otrzymaliśmy je dziś rano.

Sądząc po tonie odpowiedzi, wyniki nie były dobre. Mimo to, musiała zapytać, bo naprawdę nie chciała wyobrazić sobie najgorszego.

- Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem. Jeśli odstawiliście jej kroplówki i leki to znaczy, że wszystko będzie w porządku?

Wyraz twarzy pielęgniarki nieco się zmienił.

- Nie rozmawiałaś z nią jeszcze... - Dylan zerknęła przez ramię do pokoju. Jej matka siedziała na krawędzi łóżka przodem do okna i wkładała niebieski sweter. Była ubrana, jej fryzura była starannie uczesana i wymodelowana. Wygląda jakby była gotowa wyjść ze szpitala w każdej chwili.

- Dlaczego moja mama została wypisana? - Pielęgniarka odchrząknęła.

- Ja, hmm... Naprawdę myślę, że musisz z nią o tym porozmawiać, dobrze?

Kiedy kobieta odeszła, Dylan wtarła w dłonie antyseptyczny żel i weszła do pokoju.

- Mamo? - Sharon obróciła się na łóżku i rozpromieniła się w szerokim, szczęśliwym uśmiechu.

- Och! Dylan. I nie spodziewałem się zobaczyć cię tak szybko, kochanie. Zadzwoiłabym do ciebie później.

- Dobrze, że teraz przyszedłam. Właśnie usłyszałam, że za kilka minut wychodzisz do domu.

- Tak - odpowiedziała. - Tak, już czas. Nie chcę tu dłużej leżeć. - Dylan nie mogła znieść rezygnacji w jej głosie matki. To brzmiało jak pogodzenie się z losem, zbyt łagodnie, kojąco.

- Pielęgniarka powiedziała mi, że wyniki biopsji przyszły dziś rano.

- Nie rozmawiajmy o tym. - Wzruszyła ramionami i podeszła do stołu, gdzie leżało teraz otwarte pudełko czekoladek. Podniosła cukierki i wyciągnęła rękę z pudełkiem w stronę Dylan. - Spróbuj jedną z tych trufl. Są pyszne! Gordon przeniósł mi je wczoraj, przyszedł zaledwie kilka minut po twoim wyjściu. Życzę sobie żebyś poczekała dzisiaj, aby go spotkać. On chce cię poznać, Dylan. Był bardzo zainteresowany, kiedy powiedziałem mu, że będziesz potrzebować nowej pracy...

- Och nie, mammo - jęknęła Dylan. Wystarczająco złe było to, że jej matka chwaliła się szefowi historią Dylan dotyczącą górskiej jaskini, ale żeby próbować znaleźć Dylan pracę ze szpitalnego łóżka już było zbyt wiele.

- Gordon ma kontakty z wieloma ważnymi ludźmi w mieście. On może pomóc, kochanie. Czy nie byłoby wspaniale, gdyby mógł coś ci załatwić w jakiejś poważnej redakcji?

- Mammo - powiedziała Dylan, teraz bardziej zdecydowanie. - Nie chcę rozmawiać o pracy, ani o Gordonie Faso, czy czymkolwiek innym. Wszystko, czego chcę to porozmawiać o tym, co dzieje się z tobą. Wyraźnie widzę, że wyniki badań nie były dobre. Więc dlaczego opuszczasz dziś szpital?

- Bo tego chcę. - Westchnęła i podeszła do Dylan. - Nie chcę tu dłużej być. Nie chcę więcej badań, rurek i igieł. Jestem tym zmęczona i chcę tylko wrócić do domu.

- Co mówią lekarze? Czy możemy porozmawiać z nimi o biopsji?

- Nie mogą już nic więcej dla mnie zrobić, kochanie. Oprócz przedłużania oczekiwania na nieuniknione i tylko o chwilę.

Dylan zniżyła głos do szeptu.

- A co, jeśli powiem, że znam kogoś, kto może być w stanie przywrócić cię do zdrowia?

- Nie chcę więcej zabiegów. Skończyłam z tym...

- To nie byłoby nic w tym stylu. Jest to rodzaj... alternatywnego leczenia. Coś czego nie można dostać w szpitalu. To nie gwarantuje stu procentowego sukcesu, ale jest szansa, że możesz być całkowicie wyleczona. Myślę, że to może być dobra okazja, mammo. Myślę, że być może jedyna...

Matka uśmiechnęła się delikatnie i pogłaskała chłodnymi palcami policzek Dylan.

- Wiem, jak trudne jest to dla ciebie, skarbie. Naprawdę. Ale wybór należy do mnie, sama go dokonałam. Miałam pełne życie. Nie oczekuję już cudu

- A co ze mną? - Głos Dylan był ochrypły. - Czy mogłabyś spróbować... dla mnie?

W długim milczeniu, które udzieliło odpowiedzi, Dylan próbowała rozpaczliwie powstrzymać szloch, który narastał w gardle.

Jej serce pękło na kawałki, ale widziała, że jej matka już podjęła decyzję. Prawdopodobnie podjęła ją na długo przed tą chwilą.

- Dobrze - powiedziała w końcu.

- Dobrze, to... Powiedz mi, czego teraz chcesz ode mnie, mamo.

- Zabierz mnie do domu. Zjedzmy razem lunch, wypijmy herbatę i po prostu porozmawiajmy. To jest to czego naprawdę teraz pragnę, bardziej niż czegokolwiek innego.

ROZDZIAŁ 32

Rio nie miał ponownej wiadomości od Dylan, aż do późnego popołudnia. Kiedy w jego kieszeni odezwał się telefon komórkowy, był w laboratorium z Lucanem, Gideonem, Niko i Chase'm, dyskutowali w pięciu na temat kreacji roboty Gerarda Starka i o tym jak Zakon może najlepiej przejąć kontrolę nad sytuacją w jakiej znalazły się wampiry pierwszego pokolenia. Wymknął się ze spotkania i odebrał telefon od Dylan w korytarzu.

- Co się stało? - To nie było zbyt serdeczne powitanie, ale może wyczuł jej zdenerwowanie na drugim końcu linii i to uczucie przeszło przez niego jak elektryczny impuls. - Wszystko w porządku?

Nastąpiła chwila ciszy, po czym powiedziała:

- Ze mną wszystko w porządku, taaa. Mam zamiar trzymać się myśli, że w końcu będzie dobrze.

- Jak się czuje twoja matka?

- Zmęczona - powiedziała Dylan, znużonym głosem. - Och, Rio... Byłam z nią przez całe popołudnie, w jej mieszkaniu w dzielnicy Queens. Wypisała się dziś ze szpitala, ona odmawia dalszej terapii. Ona... nie chce dłużej żyć, Rio. Już zdecydowała.

Zaklął cicho, ból, który czuła Dylan był jak jego własny.

- Czy wspominałaś jej o Tess?

- Próbowałam, ale nie chciała słuchać. To mnie zabija, ale jeśli to jest tym czego ona naprawdę chce, to wiem, że muszę pozwolić jej odejść.

- Ach, kochanie. Nie wiem, co powiedzieć.

- Wszystko w porządku. Sama nie wiem, co chciałabym teraz usłyszeć. - Dylan trochę pociągała nosem, ale trzymała się z podziwu godną odwagą. - Spędziłyśmy ten dzień tak, jak nie udało się tego zrobić od długiego czasu. To było miłe. Powiedziałam jej o tobie, o tym, że poznałam wyjątkowego mężczyznę i że bardzo go kocham. Ona chciałaby się kiedyś z tobą spotkać, żeby cię poznać.

Rio uśmiechnął się, zażyczył sobie znaleźć się tam teraz.

- Jestem pewien, że mogę to zorganizować.

- Rozmawiałam z jej lekarzem, kiedy wychodziłyśmy ze szpitala. Mówił, że bez leczenia, mama prawdopodobnie ma realną szansę przeżyć, kilka tygodni... może parę miesięcy. On zamierza dać jej leki na ból, ale ostrzegł, że nadchodzący okres nie będzie dla nas łatwy.

- Cholera, Dylan. Czy chcesz, żebym przyjechał tam dzisiaj? Słońce już prawie zaszło. Jeśli mnie potrzebujesz, mógłbym wyjechać o zmierzchu i być w mieście około jedenastej.

- Co z Zakonem? Jestem pewna, że masz wobec niego obowiązki.

- To nie to, o co cię pytałem. - Faktem było, że miał być dzisiaj w noc na misji, ale pieprzyć to. Jeśli Dylan go potrzebowała, Lucan może posłać na patrol kogoś innego. - Czy chcesz, żebym przyjechał do ciebie dziś w nocy, Dylan? - Westchnęła.

- Byłoby cudownie. Wiesz, że nigdy nie powiem ci nie, Rio. Czy naprawdę chcesz jechać tak długo, by być ze mną dziś w nocy?

- Tylko spróbuj mnie zatrzymać - powiedział, wyczuwając jej radość na drugim końcu linii. W tle usłyszał klakson ciężarówki. - Czy gdzieś teraz jedziesz?

- Acha. Jestem teraz w drodze, żeby przywieść niektóre rzeczy mojej mamy ze schroniska. Dzwoniłyśmy do jej przyjaciółek po wyjściu ze szpitala, żeby je zawiadomić, co się dzieje. Wszyscy bardzo się o nią martwią, jak możesz sobie wyobrazić. I domyślam się, że rezydenci schroniska i ich dzieci robią dla niej jakąś specjalną kartkę.

- Ona ucieszy się z tego.

- Tak - Dylan powiedział. - Planuję złapać coś po drodze na kolację, kiedy będę wracać z powrotem. Ona ma ochotę na żeberka, słodkie ziemniaki i pełnoziarnisty chleb... och i wymyśliła sobie jeszcze szampana, z okazji mojej świeżo odnalezionej miłości.

- Brzmi to jakbyś miała bardzo zajęty wieczór.

Dylan milczała przez chwilę.

- Jest naprawdę dobrze, kiedy mogę zobaczyć jej uśmiech, Rio. Chcę, żeby była tak szczęśliwa w ciągu tych kilku najbliższych tygodni jak tylko można.

Zrozumiał, oczywiście. I kiedy Dylan kończyła rozmowę obietnicą, że zadzwoni do niego, gdy będzie z powrotem w mieszkaniu swojej matki, Rio zastanawiał się, jak uda mu się przetrwać przez tydzień, a być może kilka miesięcy z dala od Dylan.

To nie było długo, na pewno nie według standardów Rasy, ale dla zakochanego mężczyzny, ten czas wydawał się być wiecznością bez końca.

Musiał być z Dylan, by przez to przejść.

I wiedział, że ona też go potrzebuje.

Kiedy zamknął telefon komórkowy, zauważył Lucana stojącego obok nowoczesnych drzwi laboratorium. Rio powiedział mu wcześniej, jak ważna się stała dla niego Dylan i jak głęboko się w niej zakochał, oraz o problemach jej matki. Wyznał Lucanowi wszystko, począwszy od faktu, że on i Dylan związali się krwią, aż do oferty dotyczącej propozycji uzdrowienia matki Dylan przez Tess.

Rio nie miał pojęcia, jak długo Lucan tam stał, ale sprytny szare oczy wydawały się w pełni świadome, że na drugim końcu linii, sprawy nie miały się dobrze.

- Jak tam Dylan, trzyma się jakoś?

Rio skinął głową.

- Ona jest silna. Przejdzie przez to.

- A ty, stary?

Zaczął mówić, że z nim też będzie w porządku, ale wzrok Lucana przerwał te bzdury, zanim zdążyły opuścić usta Rio.

- Powiedziałem jej, że będę tam dziś w nocy - powiedział liderowi Zakonu. - Muszę do niej jechać, Lucan. Choćby dla własnego zdrowia psychicznego, jeśli dla niczego innego. Jeśli zostanę tutaj, to naprawdę nie jestem pewien, jak długo wytrzymam. Ona jest jedyną rzeczą, która powoduje, że trzymam się kupy. Bez tej kobiety jestem wrakiem, mój przyjacielu. Należę do niej.

- Bardziej niż do Zakonu? - Rio zamilkł na chwilę, by zastanowić się nad tym pytaniem.

- Zginął bym za Zakon... za Ciebie i za każdego z moich braci. Wiesz o tym.

- Tak. Wiem, że byś to zrobił - powiedział Lucan. - Cholera, prawie to zrobiłeś, więcej niż jeden raz.

- Chciałbym zginąć służąc Zakonowi, ale Dylan... Chryste. Ta kobieta, bardziej niż ktokolwiek i cokolwiek wcześniej, daje mi powód by żyć. Muszę być z nią teraz, Lucan.

Pokiwał z powagą głową.

- Wyślę dziś na patrol jakiegoś innego chłopaka. Rób co musisz...

- Lucan. - Rio spotkał się ze spojrzeniem mężczyzny i przytrzymał je. - Muszę być z Dylan, pomóc jej przejść przez to piekło z jej matką. Mogą to być tygodnie, może miesiące.

- Więc, co chcesz mi powiedzieć? - Rio przeklął pod nosem.

- Mówię ci, że wyjeżdżam, by być z nią tak długo, jak będzie trzeba. Opuszczam Zakon, Lucan. I jadę do Nowego Jorku, dziś wieczorem.

- Tu jest pudełko na te wszystkie rzeczy, kochanie. - Janet weszła do biura matki Dylan niosąc pusty tekturowy karton po papierze do kopiarki. - To jest estetyczne i solidne i pokrywa też się znajdzie.

- Dzięki - powiedziała Dylan, stawiając je na zagraconym biurku. - Mama to straszny chomik, nieprawdaż? - Janet roześmiała się. - Och, kochanie! Ta kobieta nie wyrzuciła żadnej notatki, pocztówkę ani zdjęcia, odkąd ją znam. Ona gromadzi wszystko jak by to było złoto, błogosław ją Boże. - Starsza kobieta, rozejrzała się po pokoju, jej oczy zwilgotniały od łez. - My tutaj będziemy bardzo tęsknić za Sharon. Miała takie wspaniałe podejście do dziewcząt. Każdy ją uwielbiał, nawet pan Faso był nią oczarowany, a na nim nie łatwo jest zrobić wrażenie. Myślę, że jej wolny duch przyciągał ku niej ludzi. - Dylan uśmiechnęła się do tych sentymentalnych wspomnień, ale bardzo trudno było jej słuchać, kiedy mówiono o jej matce już w czasie przeszłym.

- Dzięki za pudełko, Janet.

- Och, proszę bardzo, kochanie. Pomóc ci ?

- Nie, dziękuję. Prawie skończyłam.

Poczekala aż Janet wyszła, potem wróciła do pakowania. Trudno było zdecydować, co może być ważne dla matki, a co można wyrzucić, więc w końcu Dylan zaczęła tylko zbierać dokumenty i stare fotografie i wkładać je do pudełka. Zatrzymała się na chwilę by spojrzeć na kilka zdjęć matki; na jednym, stała z rękami opartymi na szczupłych ramionach dwóch młodych dziewcząt, mieszkanek schroniska, o rozczochranych fryzurach w stylu lat osiemdziesiątych ubranych w bluzeczki bez ramiączek i szorty. Na drugiej, jej mama stała za ladą lodziarni, promieniejąca radością podczas przyznawania nagrody „Pracownik miesiąca” młodej dziewczynie stojącej obok niej.

Jej matka zaprzyjaźniała się z niemal każdą młodą kobietą, którą kłopoty przygnały do schroniska, autentycznie zaangażowana w to, by im pomóc pokonać problemy, które zmusiły te dziewczęta do ucieczki z domu w poczuciu, że nie nadają się do życia w normalnym społeczeństwie. Jej matka starała się coś zmienić. I w wielu przypadkach udało jej się to.

Dylan otarła łzy dumy, które napłynęły jej do oczu. Rozejrzała się za chusteczkami wśród tego bałaganu i nie mogła żadnej znaleźć. Tylko tego potrzebowała, żeby ktoś z personelu wieczornej zmiany zobaczył jak siedzi w biurze matki i płacze jak dziecko.

- Cholera. - Przypomniała sobie, że widziała stos luźnych papierowych ręczników w jednej z szuflad z tyłu kredensu. Obróciła krzesło na kółkach i odpychając się nogą przejechała po zużytych dywanach, szybko przeszukała szufladę kredensu.

Ach. Mam.

Przecierając mokre oczy i twarz, obróciła się z powrotem w kierunku biurka i prawie nie spadła z krzesła. Tam, przed nią po drugiej stronie biurka matki, ukazał się duch.

Młoda kobieta, po chwili dołączyła kolejna, obrazy obu duchów drżały na granicy widoczności. Następnie pojawiła się inna dziewczyna i jeszcze jedna. A potem, w końcu, Toni, dziewczyna, którą Dylan widziała w szpitalnym pokoju matki o drugiej w nocy.

- O, mój Boże. - Gapiła się na nie, tylko w połowie świadoma pracowników schroniska, którzy znajdowali się po drugiej stronie drzwi, zupełnie nieświadomi tego, upiornego spotkania. - Czy jesteście tu ze względu na moją mamę?

Patrzyły na nią w dziwnej ciszy, ich postacie falowały jak płomienie świec poruszane powiewem wiatru.

Pomóż im, powiedział jej jedno z nieruchomych ust. *Potrzebują twojej pomocy.*

Cholera, nie miała na to czasu. Nie była w odpowiednim nastroju, by zмагаć się z tym teraz. Ale jakieś ukłucie niepokoju, które poczuła głęboko w sobie, zmuszało ją do słuchania.

Musiała coś zrobić.

On nie przestanie ich ranić, powiedział inny duch upiornym głosem. *Nie powstrzyma się od zabijania.*

Dylan chwyciła kawałek papieru i długopis i zaczęła notować, co usłyszała. Może Rio i Zakon da radę to zrozumieć, jeśli ona nie mogła.

One są pod ziemią.

W ciemności.

Krzyczą.

Umierają.

Dylan słyszała jak ból i strach mieszały się w szeptach zmarłych Dawczyń Życia, kiedy próbowały skomunikować się z nią. Czuła pokrewieństwo z każdą z nich i z tymi, które jak powiedziały, nadal żyją, ale są w strasznym niebezpieczeństwie.

- Powiedz mi, kto. - powiedziała cicho, mając nadzieję, że nie było jej słyhać za drzwiami. - Nie mogę pomóc, jeśli nie powiecie mi czegoś więcej. Posłuchaj mnie, proszę. Powiedz mi, kto krzywdzi Dawczynię Życia.

Dragos. Nie wiedziała, która z nich to powiedziała i... jak mogła usłyszeć jej słowa przez barierę, która oddziela żywych od umarłych. Ale to słowo wyryło się w jej umyśle w jednej chwili. To imię. Dragos.

- Gdzie on jest? - zapytała Dylan, starając się dowiedzieć więcej. - Czy możesz mi powiedzieć coś więcej? - Ale ich obraz już blakł. Jedna po drugiej, rozpływały się... by zniknąć w nicości.

- Prawie zapomniałam ci tego dać, kochanie. - Śpiewny głos Janet w drzwiach wyrwał z Dylan zaskoczone westchnie. - Och, przepraszam! Nie chciałam cię przestraszyć.

- W porządku - Dylan potrząsnęła głową, wciąż oszołomiona nawiedzeniem, które miało miejsce przed chwilą. - Co tam masz?

- Kilka zdjęć, które zrobiłam na wieczornym rejsie po rzece zorganizowanym przez Pana Faso na początku tego tygodnia. Myślę, że mama chciałaby je mieć. - Janet podeszła i położyła kilka kolorowych fotek na biurku. - Czy ona nie wyglądała ślicznie w tej niebieskiej sukience? Te dziewczyny, które siedzą przy jej stoliku są jednymi z kilku, którym ostatnio próbowała pomóc. Och, i o tutaj z tyłu jest Pan Faso. Ledwo go widać i tylko z profilu. Czyż nie jest przystojny?

Rzeczywiście był przystojny. Młodszy niż go sobie wyobrażała. Musiał być o dwadzieścia lat młodszy od jej matki, prawdopodobnie nie starszy, niż trochę po czterdziestce.

- Weźmiesz je dla swojej mamy, zrobisz to dla mnie, kochanie?

- Oczywiście. - Dylan uśmiechnęła się, mając nadzieję, że nie wygląda na tak roztrzęsioną jak się czuła.

Dopiero gdy Janet podreptała w kierunku drzwi, Dylan przyjrzała się zdjęciom. Bardzo dokładnie się im przyjrzała.

- Jezu Chryste.

Jedna z dziewczyn siedzących przy stole z mamą podczas tego rejsu, który odbył się tylko kilka dni temu, była w grupie zmarłych Dawczyń Życia, która przed momentem nawiedziła ją w biurze. Złapała stos starych fotografii z pudełka, do którego je pakowała i zaczęła je przeglądać. Serce w niej zamarło. Następna młoda twarz kobiety widziana u widmowej postaci kilka minut temu.

- Och, Boże.

Dylan zrobiło się niedobrze, poczuła skurcze żołądka, wybiegła z biura do damskiej ubikacji. Szybko wybrała numer Rio i ledwo dała mu szansę powiedzieć „cześć”, zanim wyrzuciła z siebie informacje o wszystkim, co odkryła.

- Jedna z nich wymieniła imię Dragos - powiedziała mu podnieconym szeptem. - Czy to imię coś ci mówi?

Nagle milczenie Rio spowodowało, że chłód w jej żołądku zamienił się w lód.

- Taaa. Znam tego skurwysyna.

- Kim on jest, Rio?

- Dragos jest tym, który stworzył komorę hibernacyjną w jaskini. Jego syn uwolnił stworzenie, które tam spało. On jest diabłem, Dylan. Najgorszego rodzaju o jakim kiedykolwiek mogłabyś pomyśleć.

ROZDZIAŁ 33

Sharon Aleksander parzyła następny dzbanek herbaty, gdy usłyszała pukanie do drzwi swojego apartamentu na dwunastym piętrze wieżowca.

- Jest otwarte, dziecinko - zawołała z kuchni. - Co się stało, zapomniałaś swojego klucza?

- Nigdy go nie miałem.

Sharon odwróciła się gwałtownie słysząc niespodziewane brzmienie głębokiego męskiego głosu. Rozpoznała ciemny baryton, ale usłyszeć go w swoim apartamencie... bez zapowiedzi i po zmroku, było dla niej pewnego rodzaju szokiem.

- Och cześć, Gordon. - Szarpnęła na wpół świadomie połę swojego rozpinanego swetra, pragnąc mieć na sobie coś mniej domowego, coś bardziej atrakcyjnego dla tak wyrafinowanego człowieka jakim był Gordon Fasso. - Jestem... no cóż, mój Boże... twoja wizyta jest dla mnie wielką niespodzianką.

Omiótł swoim chłodnym spojrzeniem jej małe, w żenujący sposób zagracone mieszkanie.

- Przyszedłem nie w porę?

- Nie, oczywiście, że nie. - Uśmiechnęła się, ale on nie odpowiedział uśmiechem. - Byłam w trakcie robienia herbaty. Miałbyś ochotę?

- Nie. Herbata nie działa dobrze na mój żołądek. - Teraz się uśmiechnął, ale ten powoli rozciągający jego usta uśmiech nie sprawił, że poczuła się swobodniej. - Wstąpiłem do szpitala, ale pielęgniarka powiedziała mi, że cię wypisali. Rozumiem, że to twoja córka przywiozła cię do domu.

- Tak - odpowiedziała Sharon, patrząc na niego, gdy spokojnie przechadzał się wokół pokoju dziennego. Przyglądała włosy mając nadzieję, że nie wygląda jak siedem nieszczęść. - Czekoladki, które mi dałeś sprawiły mi ogromną przyjemność. Wiesz, naprawdę nie musiałeś tego robić.

- Gdzie ona jest?

- Hmm?

- Twoja córka - powiedział z naciskiem. - Gdzie jest Dylan?

Przez sekundę, instynkt macierzyński podpowiadał Sharon żeby skłamać i powiedzieć, że Dylan nie ma w pobliżu i nie wróci w najbliższym czasie. Ale to było śmieszne, nieprawdaż? Nie miała powodów żeby obawiać się pana Faso. Gordona, przypomniała sobie, próbując doszukać się w nim tego uroczego mężczyzny, jakim był dla niej niedawno.

- Mogę wyczuć jej zapach, Sharon. - To oświadczenie było tak dziwne, że całkowicie ją zaskoczyło.

- Możesz... co?

- Wiem, że była tutaj. - Wpił się w nią lodowatym spojrzeniem. - Gdzie ona jest i kiedy wróci? To nie są trudne pytania.

Lodowaty chłód wypełnił jej kości, gdy patrzył na tego człowieka, bo tak naprawdę to go nie знаła. Jedno słowo przemknęło przez jej umysł, kiedy odwrócił się do niej... Zło.

- Mówiłem ci, że chcę się spotkać z tą dziewczyną - powiedział, a kiedy to mówił, coś dziwnego zaczęło dziać się z jego oczami. Ich lodowato błękitny kolor zaczął się zmieniać, przekształcając się w ognisty bursztynowy blask. - Jestem zmęczony czekaniem, Sharon. Muszę się wreszcie spotkać z tą suką i muszę to zrobić teraz.

Sharon zaczęła bezgłośnie modlić się. Cofała się, kiedy podchodził do niej, ale nie miała miejsca, gdzie mogłaby próbować uciec. Otaczały ją ściany, a przesuwane drzwi w salonie otwierały się na maleńki balkon, który od ulicy dzieliło dwanaście pięter. Ciepły wiatr sączył się przez lekko rozsunięte drzwi i przynosił ze sobą uliczny hałas ruchliwej alei Queens Boulevard.

- Cz... czego chcesz od Dylan?

Uśmiechnął się i Sharon prawie zemdląła na widok jego groteskowo długich zębów. Nie, to nie mogło pomieścić się w jej głowie. To w ogóle nie były zęby.

To były kły.

- Potrzebuję twojej córki, Sharon. Ona jest niezwykłą kobietą, która może przyczynić się do narodzin przyszłości. Mojej przyszłości.

- Och, mój Boże... jesteś szalony, może nie? Jesteś chory. - Sharon odsunęła się dalej od niego, panika spowodowała kucie w jej piersi. - Czym ty naprawdę, do cholery jesteś?

Zaśmiał się, nisko i groźnie.

- Jestem twoim Panem, Sharon. Tylko po prostu jeszcze o tym nie wiesz. Teraz mam zamiar wysuszyć cię z krwi, a ty potem powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć. Pomożesz mi znaleźć Dylan. Mam zamiar uczynić cię moją niewolnicą, a wtedy dostarczysz mi swoją córkę prosto w moje ręce. Mam zamiar zrobić z niej moją dziwkę - Wyszczерzył te ogromne, ociekające śliną kły i syknął jak atakująca żmija.

Sharon nie wiedziała, co nią kierowało, poza pochłaniającym ją terrorem, który sprowadził na nią ten człowiek... ta odrażająca kreatura... pragnąca skrzywdzić Dylan.

Nawet przez chwilę nie wątpiła, że mógł zrobić dokładnie czym groził. I to było przyczyną, która skierowała jej stopy w kierunku przeszklonych balkonowych drzwi.

Gordon Fasso śmiał się kiedy szarpała się z cienkim plastikiem zamka. Rozsunęła drzwi na całą szerokość.

- Co chcesz zrobić, Sharon?

Wycofała się tyłem na balkon, ale on przyszedł tu za nią, jego szerokie, odziane w elegancki garnitur ramiona wypełniały całą przestrzeń pomiędzy framugami przesuwanych drzwi. Sharon poczuła, jak balustrada balkonu wciska się mocno w jej kręgosłup. Daleko, daleko poniżej, słychać było dźwięk klaksonów i silników warczących w szybkim ulicznym ruchu.

- Nie mogę pozwolić ci żebyś używając mnie dotarł do niej - powiedziała mu, a urwany oddech wydobywał się ze świstem przez jej wargi.

Nie oglądała się za siebie. Trzymała swoje spojrzenie utkwione w jarzących się jak rozżarzone węgle oczach stojącego przed nią potwora. Kiedy z okrzykiem tryumfu zrobił krok w celu schwytania jej... było już za późno.

Sharon przerzuciła swoje ciało do tyłu ponad barierką i poszybowała na ciemny chodnik poniżej.

Ruch uliczny koło budynku, w którym mieszkała jej matka został zamknięty dwie przecznice wcześniej. Na końcu ulicy w ciemnościach, błyskały światła policyjnych samochodów, policja kierowała pojazdy na drogę okrążającą Queens Boulevard.

Dylan próbowała spojrzeć obok minivana stojącego przed nią, to wyglądało całkiem jak scena z kryminalnego filmu. Żółta taśma zamknęła kordonem ulicę pod budynkiem, w którym mieszkała jej matka.

Dylan stuknęła w kierownicę i prześliznęła się spojrzeniem po stygnącym jedzeniu na wynos. Była później niż zamierzała. Wydarzenie w schronieniu opóźniło ją około godziny, wszystkie próby dzwonienia do matki kończyły się połączeniem z jej pocztą głosową. Prawdopodobnie odpoczywała, prawdopodobnie zastanawiała się również co do cholery stało się z ich małym świątecznym obiadem.

Spróbowała jeszcze raz zadzwonić i znów złapała ją sekretarka.

- Kurwa.

Kilkoro dzieci kroczyło dumnie po chodniku, przychodząc z kierunku ogrodzonego taśmą wydarzenia. Dylan opuściła szybę.

- Hej. Co się stało tam na górze? Kiedy oni zamierzają zacząć przepuszczać samochody?

Jeden z chłopców potrząsnął głową.

- Jakaś starsza pani skoczyła na główkę ze swojego balkonu. Gliny są tam na górze próbując uprzątnąć bałagan.

Strach zamienił żołądek Dylan w kamień.

- Wiesz który to budynek?

- Nooo. To jeden z mrówkowców na sto ósmej.

O ja, pieprzę. O, święty Chrystusie...

Dylan wyskoczyła z samochodu nie gasząc silnika. Trzymała swój telefon komórkowy w dłoni, cały czas dzwoniąc do matki, podczas morderczego biegu w górę chodnika, kilka bloków dalej niedaleko skrzyżowania w kierunku zbiegowiska.

Kiedy znalazła się bliżej, przedzierając się przez zebrany tłum, jej stopy zwolniły w okropnym przeczuciu.

Wiedziała.

Ona po prostu wiedziała.

Jej matka nie żyła.

Ale wtedy jej telefon komórkowy zadzwonił jak alarm bankowy. Spojrzała w dół na wyświetlacz i zobaczyła numer komórki matki wyświetlony na ekranie.

- Mama!?! - zapłakała odbierając połączenie.

Z drugiego końca linii odpowiedziało jej milczenie.

- Mama? Mamo, jesteś tam? - Ciężka dłoń opadła na jej ramię. Gwałtownie odwróciła głowę i napotkała utkwione w sobie okrutne oczy człowieka, którego widziała ostatnio na zdjęciu w biurze swojej matki.

Gordon Fasso trzymał różowy telefon komórkowy jej matki w drugiej ręce.

Uśmiechnął się, obnażając czubki kłów. Gdy mówił, Dylan czuła, jak jego niski głos wibrował w jej uszach i w jej dłoni, gdzie jego słowa brzmiały z komórki jej matki.

- Cześć, Dylan. Jak dobrze w końcu cię spotykać.

ROZDZIAŁ 34

Gdzieś w Connecticut, kilka godzin jazdy z Bostonu do Nowego Jorku, Rio poczuł jakby jego klatka piersiowa została szarpnięciem otwarta przez lodowate ręce.

Właśnie rozmawiał przez zestaw głośnomówiący z Zakonem, próbując dowiedzieć się czy Gideon był w stanie wykryć cokolwiek na temat którejkolwiek ze zmarłych Dawczyń Życia, o których poinformowała Dylan po swoim widzeniu w schronisku.

Zakon posiadał zdjęcia, które przesłała im swoim telefonem komórkowym i Gideon szukał dalszych informacji o zaginionych Dawczyniach Życia w Mrocznych Przystaniach i wśród ludzi.

Rio słyszało, jak drugi wojownik mówi do niego, ale słowa nie mogły przebić się przez jego czaszkę.

- O kurwa - jęknął, czując nagły wybuch chłodu zaciskający się dookoła jego serca.

- Co się dzieje - zapytał Gideon. - Rio, jesteś tam?

- Taaa. Ale coś jest nie tak.

Dylan.

Coś złego działo się z Dylan. Czuł jej strach i smutek, tak głęboki, że prawie go oślepił.

Co nie było dobrą rzeczą, gdy pędził wzdłuż I-84 około dziewięćdziesięciu mil na godzinę.

- Mam złe przeczucia, Gideon. Chcę zadzwonić teraz do Dylan.

- Oczywiście. Daj znać, kiedy skończysz.

Rio nacisnął klawisz szybkiego wybierania łączący go z numerem Dylan. Odezwała się poczta głosowa. Wielokrotnie.

Poczucie, że dzieje się coś złego narastało w nim z każdą sekundą. Była w realnym niebezpieczeństwie... wyczuwał to przez nagłe szalone uderzenia pulsu, jego więź krwi, która go z nią łączyła mówiła mu, że dzieje się coś strasznego. Właśnie teraz, gdy był zaledwie trzy godziny drogi od niej.

- Niech to szlag - warknął, przyciskając gaz do dechy.

Ponownie połączył się z Gideonem.

- Nie miałeś tyle szczęścia aby ją złapać?

- Nie. - Przeszedł przez niego głęboki chłód. - Ona jest w poważnych tarapatach, Gid. Ona cierpi. Cholera! Nigdy nie powinienem pozwolić na to, by oddaliła się poza zasięg mojego wzroku!

- Dobra - powiedział Gideon uspokajającym tonem. - Prześlę jej trasę na podstawie danych z GPS-u Volvo i spróbuję też namierzyć jej komórkę. Zlokalizujemy ją, Rio.

Słyszał, jak klawiatura stukotała na drugim końcu linii, ale strach skręcający jego wnętrzności podpowiadał mu, że żadne urządzenie nie jest zdolne przybliżyć go do Dylan. I rzeczywiście, Gideon wrócił sekundę później ze złymi wieściami.

- Jej samochód parkuje na Jewel Avenue w Queens a sygnał telefonu komórkowego zlokalizowałem w odległości jednej przecznicy od niego. Obecnie żaden z nich nie jest w ruchu.

Rio przeklął, usłyszał ledwie słyszalny głos Niko rozmawiającego w tle. Wojownik mówił coś na temat dyrektora Starkana i jednego ze zdjęć które przesłała im Dylan.

- Co on powiedział? - Rio domagał się odpowiedzi. - Daj mi Niko na linię. Chcę wiedzieć co właśnie powiedział.

Głos Gideona brzmiał niewyraźnie, a i soczyste przekleństwo, które wysyczał chwilę później też nie podziałało na Rio uspokajająco.

- Cholera, co on powiedział?

- Niko właśnie zapytał mnie co robi Starkn w tle jednego ze zdjęć Dylan...

- Którego? - zapytał Rio.

- Tego z dobroczynnego rejsu statkiem wycieczkowym, na którym była jej matka. Tego, na którym Dylan zidentyfikowała głównego sponsora schroniska, Gordona Fasso.

- To niemożliwe - powiedział Rio, chociaż w tym samym momencie jakiś głos wewnątrz niego powiedział mu coś dokładnie przeciwnego. - Daj mi Niko.

- Hej, chłopie - powiedział Nikolai sekundę później. - Mówię ci. Widziałem Starkna na własne oczy. Wszędzie bym go poznał. Jestem pewny, że facet stojący w tle tego zdjęcia jest dyrektorem regionalnym Agencji Nadzoru pieprzonym Gerardem Starknem. - To imię wżerało się w mózg Rio jak kwas, kiedy wyprzedzał niemrawą ciężarówkę z naczepą wciskając w podłogę pedał gazu.

Gerard Starkn.

Co za piekielny rodzaj nazwiska?

Gordon Fasso.

Następna dziwna pisownia.

A następnie był Dragos i jego podstępny syn. Nie mógł zapominać o tym łajdaku. Też musiał być w to jakoś zamieszany, Rio było tego pewny.

Czy Gordon Fasso i Gerard Starkn mogli mieć konszachty z synem Dragosa?

O, Matko Święta...

Gordon Fasso⁴. Syn Dragosa.

Litery zaczęły się mieszać i układać w umyśle w Rio. A następnie zobaczył to, tak wyraźnie jak potok czerwonych tylnych świateł, których blask ciągnął się przed nim przez całe mile.

- Niko - powiedział drewnianym głosem. - Gordon Fasso jest synem Dragosa. Gordon Fasso to nie jest prawdziwe imię i nazwisko. To pieprzony anagram. Syn Dragosa.

- O, Chryste - Wyszepał Nikolai. - A kiedy pomieszasz litery w imieniu i nazwisku Gerard Starkn... ułożysz inny anagram: mroczny nieznajomy⁵.

- To on jest tym, kto porwał Dylan. - Rio wtoczył się na zapchany parking i uderzył dłonią w deskę rozdzielczą. - Syn Dragosa ma Dylan, Niko.

Zyła, tego był pewny i tylko to powstrzymywało go przed popadnięciem w obłęd. Ale jego wróg miał ją i Rio nie miał najmniejszego pojęcia gdzie mógł ją zabrać.

Wszystkie pasy autostrady prowadzące na południe były zakorkowane jak szyjka od butelki, był uwięziony na długie godziny z dala od Nowego Jorku.

Teraz mógł stracić ją... na zawsze.

Dylan obudziła się w ciemnościach na tylnym siedzeniu szybko jadącego pojazdu. Jej głowa pulsowała tęnym bólem, zmysły były otumanione. Zaznała już tego mglistego uczucia; musiała w pewnym momencie zostać poddana transowi, a teraz w jakiś sposób przełamała

⁴ Son of Dragos

⁵ Dark stranger

to zamroczenie. Odrzuciła ciężką mentalną pelerynę, którą został osłonięty jej umysł, Dylan poczuła inną siłę przebijającą się do jej świadomości.

Rio.

Mogła poczuć go w swoich żyłach. Mogła wyczuć go mocą połączenia ich krwi, a także swoim sercem. To Rio wytrącił ją z transu, w którym pogrążył ją Fasso, dodawał jej siłę, nakazywał by się trzymała. By żyła.

O, Boże.

Rio. Znajdź mnie.

Cichy szum toczących się po jezdni kół pojazdu wibrował w jej uszach jak wędkarski kołowrotek. Spróbowała zobaczyć gdzie byli, ale przez wąską szparę lekko uniesionych powiek wszystko co zobaczyła to było ciemność za przyciemnionymi szybami. Tylko wierzchołki drzew przemykały na tle nocnego nieba.

Twarz bolała ją od ciosu pięści Gordona Fasso, zadanego jej gdy walczyła, by się uwolnić. Próbowwała krzyczeć, uciekać, ale on i zwalisty strażnik, który mu towarzyszył okazali się dla niej zbyt silni.

Fasso nawet w pojedynkę byłby dla niej zbyt potężny, by mogła sobie z nim poradzić. Ale przecież on nie był wcale człowiekiem, ale wampirem.

Miała bardzo realne poczucie, że nie był również Gordonem Fasso, jeśli ten człowiek w ogóle kiedykolwiek istniał.

Potwór, który miał ją teraz w swojej mocy, zabił również jej matkę. Nie musiała widzieć połamanego ciała mamy, by wiedzieć, że to Gordon Fasso był tym, który ją zamordował. Zepchnął ją z tego balkonu dwunastym piętrze, albo przestraszył ją tak bardzo, że skoczyła po własną śmierć by od niego uciec.

Może zrobiła to dla niej, ta myśl uczyniła stratę matki jeszcze trudniejszą do zniesienia dla Dylan.

Ale to nie był dobry czas i miejsce, by mogła i chciała rozpaczać po swojej matce. Natychmiast musiała się skoncentrować i spróbować znaleźć wyjście z tej przerażającej sytuacji.

Bo gdyby jej porywacz zdołał zabrać ją tam gdzie miał zamiar, Dylan wiedziała, że nie byłoby już żadnej szansy na ucieczkę.

Wszystko co ją czekało na końcu tej drogi to ból i śmierć.

W pewnym momencie, kiedy miał jeszcze dobry kawałek drogi do Connecticut, Rio zdał sobie sprawę, że jakkolwiek szybko by nie jechał, nie miał już żadnej szansy na odnalezienie Dylan. Na pewno nie w Nowym Jorku. Wciąż potrzebował kilku godzin by tam dotrzeć i nic nie świadczyło o tym, żeby wciąż tam była.

Tracił ją.

Był wystarczająco blisko, żeby mógł poczuć jak wyciągała do niego rękę, ale już zbyt daleko by złapać ją w uścisk.

- Cholera by to wzięła!

Strach przeniknął każdą komórkę w jego ciele, wypełniając go smutkiem tak głębokim, że niszczył go od wewnątrz. Był zmrożony, krwawił... dręczony beznadziejną wściekłością. Wzrok zaczynał mu się mącić wraz z narastającym dudnieniem w skroniach. Jego umysł krzyczał, kiedy utrata świadomości zaczęła ogarniać jego zmysły.

- Nie - warknął, mocno naciskając na gaz.

Przetarł oczy, rozkazując swojemu wzrokowi by pozostał skupiony. Nie mógł pozwolić swojej słabości zawładnąć nim teraz. Nie mógł zawieść Dylan... nie w tej sytuacji.

- Nie, do cholery. Muszę dotrzeć do niej. O, Chryste - dusił się szlochem narastającym w jego gardle. - Nie mogę jej stracić.

Jedź do zbiornika wodnego.

Rio słyszał jednostajny szept, ale początkowo jego umysł go nie zarejestrował.

Zbiornika wodnego Croton.

Gwałtownie obrócił swoją głowę w stronę miejsca dla pasażera i zauważył ciemne oczy i sobolowe włosy. Obraz był niemal przezroczysty. I ta twarz, o której wiedział, że lepiej jej nie ufać.

Eva.

Warknął i odciął się od tej upiornej halucynacji. Dotychczas widział Eve tylko w ciemnościach swoich koszmarów. Jej nieszczerze przeprosiny i smutne zapewnienia, że chciała mu pomóc były złudzeniami, figlami jego strzaskanego umysłu. Może i to też właśnie tym było.

Życie Dylan wisiało na włosku. Byłby przeklęty, gdyby pozwolił kierować sobą własnemu szaleństwu.

Rio, wysłuchaj mnie. Pozwól sobie pomóc.

Głos Eve trzeszczał jak zdławiony sygnał radiowy, ale jej ton był niewątpliwie dobitny. Poczłł chłód na swoim nadgarstku i spojrzł w dół, by zobaczyć, jak jej widmowa ręka tam połyskuje. Chciał strząsnąć jej dotyk jakby to była trucizna, nie mógł pozwolić Eve zdradzić się jeszcze raz. Gdy jednak rzucił okiem na siedzenie obok zobaczył, że duch zmarłego wroga płakał, jej blade policzki lśniły od łez.

Nie musisz jej teraz stracić, powiedziały nieruchome wargi, które tak łatwo dawniej mu kłamały. *Jest jeszcze czas. Zbiornik wodny Croton...*

Wciąż się w nią wpatrywał, nawet wtedy gdy jej postać zaczęła drżeć i zaniknąć.

Miałby jej uwierzyć? Nie mógł zaufać niczemu co mówiła Eva, czy i teraz kłamała? Nienawidził ją za wszystko co mu odebrała, więc jak mógłby pomyśleć przez jedną sekundę, że teraz może uwierzyć jej słowom?

Wybacz mi, szepnęła.

I z jednym ostatnim mignięciem... zniknęła.

- Pieprzenie - wysyczał Rio.

Przyjrzał się nieskończenie długiej drodze przed nim. Miał ograniczoną ilość opcji. Jeden zły ruch i Dylan właściwie już nie żyła. Był tego pewny. Musiał dokonać dobrego wyboru, albo już nigdy nie mógłby żyć z sobą, gdyby teraz ją zawiódł. Rio mruczał modlitwy, kiedy naciskał przycisk szybkiego wybierania na telefonie komórkowym.

- Gideon. Muszę wiedzieć gdzie jest zbiornik wodny Croton. Natychmiast.

Odpowiedział mu klekot klawiatury uderzanej przelatującymi nad nią palcami.

- To jest w Nowym Jorku... w hrabstwie Westchester, niedaleko Trasy 129. Zbiornik jest częścią starej tamy.

Rio rzucił okiem w górę na znak informacyjny.

- Jak daleko to jest od Waterbury?

- Och, wygląda na to, że może około godziny jazdy jeśli pojedziesz I-84 na zachód. - Gideon przerwał. - Co planujesz? Masz jakieś przeczucie na temat tamy?

- Coś w tym guście - odpowiedział Rio.

Wymruczał podziękowania Gideonowi za informacje i skończył rozmowę telefoniczną. Nacisnął gaz i obrócił samochód w kierunku zjazdu z autostrady.

ROZDZIAŁ 35

Rio pędził jakby goniło go stado demonów.

Całą swoją mentalną energię skierował do Dylan, pragnąc przekazać jej wiadomość, że jedzie po nią i zrobi wszystko próbując ją odnaleźć, albo zginie.

Pędził wzdłuż trasy 129, mając nadzieję, że się do niej zbliża. Czuł to w swojej krwi, ale wciąż nie wiedział jak duża odległość dzieli go od Dylan. Ich wieź przyzywała go coraz głośniejszym głosem, więc zaczął zyskiwać pewność, że już niedługo ją odnajdzie.

I nagle...

Ciemny sedan, włączył się za nim do ruchu z bocznej drogi, w żyłach Rio wybuchły petardy.

Madre de Dios.

Dylan musiała być w tym samochodzie.

Gwałtownym skrętem kół obrócił samochód w poprzek jezdni, tarasując ją, był gotowy by walczyć na śmierć i życie, za Dylan. Zbliżający się sedan zahamował z piskiem, opony zadymiły na asfalcie. Gwałtownie hamowanie spowodowało, że samochód zatańczył po jezdni, w tym momencie kierowca; człowiek, sądząc wyglądu wielkiego osobnika za kółkiem, ostro odbił w prawo i zaczął uciekać ciemną, wysadzaną drzewami boczną drogą.

Rio z przekleństwem wrzucił bieg w swoim samochodzie i ruszył w pościg.

Jadący przodem sedan rozbił tymczasową barykadę na drodze, po czym gwałtownie się zatrzymał. Dwie osoby wysunęły się z tylnego siedzenia; Dylan i trzymający ją wampir. Łajdak miał pistolet przyłożony pod jej brodą i ciągnął ją w głąb cichej drogi, w ciemność.

Rio wyhamował i wyskoczył zza kierownicy, wyciągnął pistolet z kabury i wycelował w głowę porywacza. Ale nie mógł strzelić. Była zbyt duża szansa, że może zranić Dylan.

Zbyt wielka, by był skłonny ryzykować.

Nie miał zbyt dużo czasu do namysłu.

Potężny ochroniarz, który kierował sedanem, okrążył samochód i zaczął strzelać.

Pocisk wbił się w ramię Rio, powodując palący ból. Kierowca kontynuował ostrzał, próbując przygwoździć go gradem kul.

Rio uchylił się przed atakiem i przeskoczył ogromną odległość używając całej mocy Rasy. Spadł na człowieka... Sługusa, uświadomił to sobie, kiedy spojrzał w dół w jego martwe oczy. Rio chwycił go za gardło, a drugą rękę położył na czole tego łajdaka. Wysłał całą swoją furię do koniuszków palców, wysączenie życia ze Sługusa było proste, wystarczyło krótkie dotknięcie.

Zostawił zwłoki na środku drogi i ruszył pieszo by odnaleźć Dylan.

Dylan potknęła się razem z trzymającym ją mocno porywaczem, czuła twarde, zimny nacisk wylotu lufy pistoletu pod swoją brodą. Ledwie mogła widzieć gdzie ją prowadził, gdzieś nie nazbyt daleko, spadające masy wody huczały jak grzmot.

A potem strzały.

- Nie! - krzyknęła, słysząc w ciemnościach za sobą ostrą strzelaninę. Poczowała ukłucie bólu i wiedziała, że Rio został trafiony. Ale wciąż oddychał. Dzięki Bogu, wciąż żył. Ciągłe z nią był, czuła żar jego krwi w swoich żyłach.

Okrutne szarpnięcie za głowę przywołało Dylan do rzeczywistości. Wampir, który trzymał ją w ramionach, zmusił ją by biegła wraz z nim do góry wąskim chodnikiem, coraz bliżej spadającej wody.

Zanim się zorientowała, byli na początku wysokiego mostu. Po jednej stronie, znajdował się ogromny zbiornik z bezmiarem ciemnej wody lśniącej w świetle księżyca. A po drugiej stronie było strome urwisko, co najmniej sześćset metrów w dół.

Pędząca woda przelewała się spienioną kaskadą w studnię urwiska i spadała na olbrzymie głazy, a potem w dół do kipiącej rzeki u jego podstawy. Dylan wpatrywała się w nią ponad wysoką metalową poręczą mostu, widząc pewną śmierć w tej wściekłej kipieli.

- Dragos.

Głos Rio przeciął ciemność przy wejściu na most.

- Pozwól jej odejść.

Wampir szarpnął nią zatrzymując się na moście. Okręcił ją wokół siebie, pistolet był nadal mocno przyciśnięty pod jej szczęką. Jego zdławiony chichot, który wprawiał w drganie ciało Dylan, był złośliwy i chrapliwy.

- Dlaczego mam pozwolić jej odejść? Nie myślę żeby to był dobry pomysł. Lepiej przyjdź i weź ją sobie. - Rio zrobił krok w ich kierunku, a wtedy zimna lufa pistoletu wbiła się głębiej w gardło Dylan. - Odłóż swoją broń, wojowniku, albo ona zaraz umrze.

Rio spiorunował go bursztynowym blaskiem swoich oczu.

- Do diabła. Powiedziałem, żebyś pozwolił jej odejść.

- Odłóż pistolet - powiedział jej napastnik. - Zrób to teraz. Czy może wolałbyś zobaczyć, jak rozwalam jej gardło?

Rio przeniósł spojrzenie na Dylan. Zaciśnął szczęki, jego napięcie było widoczne nawet w ciemnościach. Sycząc przekleństwa, wolno położył swoją broń na ziemię i cofnął się.

- Dobra - powiedział ostrożnie. - Zakończmy to teraz, tylko ty i ja. Wyłączmy ją z tego, Dragos. Albo może powinienem cię nazywać Gerard Starkn? Lub może Gordon Fasso?

Wampir zachichotał, rozbawiony.

- Mój mały podstęp się wydał? Żaden problem. Spóźniłeś się o około pięćdziesiąt lat. Byłem bardzo zajęty. Co mój ojciec zaczął ukrywając Starożytnego, ja skończę. Podczas gdy Zakon gonił swoją dupę, zabawiając się ze Szkarłatnymi jakby oni rzeczywiście mogli coś zmienić na świecie, ja siałem nasiona przyszłości. Bardzo wiele nasion. Dziś nazywasz mnie Dragos; niedługo świat nazwie mnie Mistrzem i Panem.

Rio podchodził pomalutku, porywacz odjął lufę pistoletu od szczęki Dylan i skierował ją w stronę Rio. Dylan poczuła napięcie mięśni wampira, kiedy przygotował się by nacisnąć spust i wykorzystwała jedyną szansę jaką posiadała.

Gwałtownym uderzeniem ręki odepchnęła jego ramię i wystrzelona kula poleciała w drzewa.

Nie zauważyła nadchodzącego ciosu.

Dragos wyprowadził silny cios pięścią, celując w skroń Dylan. Chwiejąc się upadła ciężko na bruk.

- Nie! - Wykrzyknął Rio.

Z prędkością i zręcznością wywołaną szokiem, wyskoczył w powietrze. Dragos podjął wyzwanie i z niezwykłym rykiem dwaj silni przedstawiciele Rasy zderzyli się ze sobą i zwarli w zaciętej walce wręcz.

Rio z dziką wściekłością wczepił się w Dragosa, zmagali się w powietrzu, każdy z nich walczył o szansę by zabić drugiego. Z rykiem wampir obrócił Rio i przycisnął go do metalowej poręczy mostu. Rio ryknął, odrzucając Dragosa od siebie i posyłając łajdaka na przeciwną stronę wąskiego mostu.

Nie wiedział jak długo będzie trwała ta szalona walka. Żaden nie był skłonny by jej przerwać dopóki ten drugi wciąż żył.

Obydwa wampiry były teraz w stanie pełnej transformacji, ich kły były olbrzymie, noc rozświetlały błyski wysyłane przez dwie pary bursztynowych oczu.

W pewnym momencie Dragos uwolnił się i wskoczył na poręcz mostu. Rio wskoczył za nim, w końcu zmuszając łajdaka by ten ukląkł na jednym kolanie. Dragos zachwiał się, niemal tracąc równowagę, ponad spadającą z rykiem wodą. Rzucił się, głową na przód celując w splot słoneczny Rio.

Rio poczuł jak jego stopy zsuwają się z poręczy, gwałtownie się zachwiał i spadł.

- Rio - krzyknęła Dylan, podnosząc się z mostu. - O, mój Boże! Nie!

Nie upłynęło nawet pół sekundy i Dragos popełnił ten sam błąd. Ale podobnie jak Rio zdołał uchwycić się metalowej konstrukcji wzmacniającej most zanim spadł na głazy i w spienioną wodę.

Walka przeniosła się teraz pod most, obaj trzymali się kurczowo jedną ręką konstrukcji, podczas gdy drugą zadawali sobie ciosy pięścią, próbując zrzucić się wzajemnie w morderczą kpiel. Ramię Rio paliło bólem, do rany po kuli, którą przyjął wcześniej. Ból powodował omdlenie, ale odsuwał je od siebie, skupiając swój cały gniew... ból i strach jaki czuł na myśl o stracie Dylan... na zadaniu wykończenia Dragosa tu i teraz.

Poczuł też jak Dylan dodaje mu sił. Była w jego umyśle i krwi w głębi serca i w duszy, przekazując mu całą swoją determinację. Wchłonął w siebie wszystko, używając tego co zyskał dzięki więzi od

Dylan, by jeszcze raz z wielką zadać cios Dragosowi. Kontynuowali bitwę, rycząc z furją.

Aż do chwili gdy ponad ich głowami ciszę rozdarł huk wystrzału.

Obydwaj spojrzeli w górę. Stała tam Dylan ściskając w dłoniach pistolet. Opuściła lufę w dół i wycelowała w Dragosa.

- To za moją matkę, skurwysynu.

Wystrzeliła, ale Dragos był jednym z Rasy i był szybszy niż to mogła przewidzieć.

Zakołysał się mocno w ostatniej sekundzie, łapiąc się mocno dołu poręczy. Pochyliła się, próbując wymierzyć jeszcze raz. Gdy wystrzeliła po raz drugi, jedna z jego rąk wystrzeliła spomiędzy prętów i chwyciła jej kostkę.

Upadła do tyłu, mocno uderzając plecami o bruk mostu. Rio usłyszał, gwałtowny świst swojego oddechu, kiedy wypuścił powietrze z płuc, popatrzył w przerażeniu jak Dragos silnym chwytem na jej nodze ciągnie Dylan w kierunku ogrodzenia.

W jednej chwili, Rio skoczył w górę ponad poręczą i wylądował na moście. Chwycił ramię Dylan jedną ręką, a podrzucony pistolet w drugą.

- Pozwól jej odejść - rozkazał Dragosowi i uniósł pistolet do poziomu czoła wampira.

Bardzo trudno jest zabić jednego z Rasy ale kulka w mózgu zazwyczaj wystarczała.

- Myślisz, że to już koniec, wojowniku? - Szydził Dragos błyskając kłami. - To jest dopiero początek.

Z tymi słowami puścił Dylan i spadł jak kamień do wzburzonej wody. Pochłonęły go masy spadającej wody, a rzeka poniżej była ciemna choć oko wykol, nie sposób było cokolwiek zobaczyć.

Dragon odszedł.

Rio odwrócił się do Dylan i zamknął ją w swoich ramionach. Trzymał ją blisko czując ulgę, że znowu może czuć jej ciepło na swoim ciele. Pocałował ją, starł krew i piasek z jej twarzy.

- To już koniec - szepnął, całując ją jeszcze raz. Spojrzał w czarną wodę pod mostem, ale nie zobaczył żadnego śladu po Dragosie w rwącym nurcie. - Jesteś teraz ze mną bezpieczna, Dylan. To wszystko już za nami.

Kiwnęła głową i oplótła go ramionami.

- Zabierz mnie do domu, Rio.

ROZDZIAŁ 36

Upłynął niemal tydzień od chwili, kiedy Rio przywiózł Dylan z powrotem do siedziby Zakonu w Bostonie... wrócili do domu i miał nadzieję, że zostanie tu już na zawsze z Dylan u swojego boku.

Wciąż leczył ranę postrzałową na swoim ramieniu. Tess próbowała przyspieszyć gojenie po tym jak kula została usunięta, ale tak jak się tego obawiała, jej moc została niemal całkowicie zablokowana przez dziecko rosnące w łonie. Nie była w stanie pomóc Rio, podobnie jak nie byłaby w stanie pomóc matce Dylan.

Pogrzeb Sharon Aleksander miał miejsce dwa dni temu w Queens. W noc poprzedzającą tę smutną uroczystość Rio pojechał z Dylan do Nowego Jorku... razem z zresztą wojowników i ich towarzyszkami, chcieli oni wesprzeć nowo związaną parę. Bardzo bolało Rio, że nie mógł być przy Dylan podczas pogrzebu jej matki w to słoneczne, letnie popołudnie, ale cieszył się z faktu, że Tess, Gabrielle, Savannah i Eliza mogły jej towarzyszyć zamiast niego.

Dylan została przyjęta do ich niewielkiego stadła jakby zawsze tam należała. Inne Dawczynie Życia ją uwielbiały, a co do wojowników, na Lucanie zrobił ogromne wrażenie zapal Dylan, by zakasać rękawy i zaoferować pomoc Zakonowi. Spędziła większą część dnia w laboratorium technicznym z Gideonem, przedzierając się przez zapisy statystyk i raportów o zaginięciach z Mrocznych Przystani w nieustającym wysiłku by zidentyfikować Dawczynie Życia, które widziała w swoich nawiedzeniach.

Teraz, ponieważ zbliżał się wieczór i Zakon miał niedługo rozpocząć swoje nocne patrole, wszyscy mieszkańcy kwater zebrali się w dużej jadalni, rozsiadając się w około ogromnego stołu, podczas gdy kobiety spożywały kolację, wojownicy omawiali interesy Zakonu i planowali nocne misje. Nikolai miał niedługo wyjechać, by spotkać się z wampirem pierwszego pokolenia, którego poznał jako mały chłopiec, w nadziei na uzyskanie jego pomocy w wytropieniu źródła ostatnich zabójstw.

Co do Gerarda Starkna, Zakon nie był zaskoczony kiedy odnalazł kilka nocy temu jego rezydencję w Nowym Jorku zupełnie

opustoszała. Łajdak zwiął, czyszcząc wszystko bardzo dokładnie. Nie zostawił żadnych śladów swojego podwójnego żywota, które prowadził pod nazwiskiem Gordon Fasso, znanego również jako syn Dragosa. Nie znaleźli żadnej wskazówki, gdzie mógłby umknąć po swoim starciu z Rio przy tamie Crotona. Przeszukanie obszaru obok tamy też niczego nie dało, ale Rio i inni wojownicy nie chcieli tego lekceważyć.

Zakon musiał zrobić jeszcze bardzo wiele, by zatrzymać mroczny siew Dragosa, ale Rio nie mógłby wymyślić sobie nikogo lepszego kogo chciałby mieć po swojej stronie, niż grupa siedząca teraz razem z nim. Rozejrzał się po twarzach swoich braci i ich partnerek. Swojej rodziny. Poczul nagły przypływ dumy i głębokiej, pełnej pokory wdzięczności za to, że mógł do nich należeć. Na zawsze.

Ale kiedy odwrócił się by patrzeć na Dylan, jego serce ścisnęło się jakby zostało złapane w ciepłe dłonie.

To ona była tą, która zawróciła go znad krawędzi. Ona wyrwała go z przepaści, o której myślał, że już nigdy się z niej nie uwolni. Jej ożywcza krew dała mu siłę, ale to bezinteresowny dar jej miłości, był tym co tak naprawdę go uzdrowiło.

Rio obszedł stół i ujął dłoń Dylan w swoją. Uśmiechnęła się kiedy podniósł jej palce do swoich ust i pocałował je, zatopił swoje spojrzenie w jej oczach. Kochał ją tak głęboko, że nawet krótki pobyt z dala od niej był dla niego piekłem. Świadomość, że oczekiwała każdej nocy w ich łóżku na jego powrót z patrolu, była dla niego zarówno męką jak i pociechą.

- Bądź ostrożny - szepnęła, kiedy on i inni wojownicy zaczęli przygotowywać się do misji. Rio skinął głową, a następnie chwycił ją w ramiona i namiętnie pocałował.

- Jezus - powiedział Nikolai jego usta rozciągnęły się w krzywym uśmiechu, wydał z siebie zduszony chichot. - Znajdźcie sobie jakiś pokój. - powiedział i poszedł w stronę drzwi za braćmi wychodzącymi z jadalni.

- Stoisz w nim - wypalił Rio, nadal obejmując Dylan. - Jak długo potrwa zanim wyjedziemy na powierzchnię?

Niko wzruszył ramionami.

- Myślę, że jakieś dwadzieścia minut.

- Wystarczy - mruknął Rio, kierując głodny wzrok na swoją kobietę.

Roześmiała się, a nawet trochę się zarumieniła, ale w jej oczach zabłysła iskra zainteresowania. W momencie kiedy Nikolai wyszedł pośpiesznie zamykając za sobą drzwi, Rio otoczył Dylan ramieniem.

- Tylko dwadzieścia minut - powiedział, kręcąc z powagą głową.
- Nie wiem, od czego zacząć.

Dylan porozumiewawczo poruszyła brwiami i wymownie spojrzała w kierunku sypialni.

- Och, myślę, że zrozumiałem sugestię.

Dylan była zadziwiona tym, jak dokładnie Rio wykorzystał te dwadzieścia minut.

A kiedy wrócił z patrolu późno w nocy, postanowił zadziwić ją jeszcze bardziej.

Kochał się z nią całymi godzinami, a potem tulił ją w swoich silnych ramionach, aż odpłynęła w sen. Nie była całkiem pewna, kiedy wstał z łóżka, ale jego nieobecność wybiła ją ze snu, jakąś godzinę przed świtem. Założyła gruby szlafrok frote Rio i powłócząc nogami, na wpół śpiąca wyszła z apartamentu, podążała za wołaniem w swoich żyłach, które prowadziło ją do związanego z nią krwią partnera.

Nie było go w kwaterach, ani w rezydencji na poziomie gruntu. Był na zewnętrznym dziedzińcu za posesją. W ogrodzie. Ubrany jedynie w czarne dresowe spodnie, Rio siedział na szerokich marmurowych schodach, które prowadziły na wypielegnowany trawnik, patrzył na małe ognisko rozpalone na trawie kilka metrów dalej. Obok niego stało pudło wypełnione oprawionymi w ramki zdjęciami, oraz kilkoma jaskrawymi abstrakcyjnymi obrazami zdjętymi ze ścian w jego kwaterze.

Dylan spojrzała w ogień i zobaczyła więcej jego rzeczy, których zniekształcone wysoką temperaturą kształty, wolno trawiły płomienie.

- Hej - powiedział, oczywiście wyczuł ją kiedy podeszła do niego od tyłu. Nie obejrzał się, tylko wyciągnął rękę w jej stronę, czekając by ją ujęła. - Przepraszam, że cię obudziłem.

- W porządku - Dylan zacisnęła swoje palce wokół jego dłoni. - I tak nie mogłam spać. Brakowało mi twojego ciepła.

Kiedy to powiedziała, przyciągnął ją do siebie i zamknął w czułym uścisku. Objął jej uda ramieniem i po prostu tak ją trzymał. Jego spojrzenie wciąż utkwione było w ogień. Dylan rzuciła okiem do stojącego przy nim pudła, zobaczyła grafiki Eve i parę fotografii ich dwojga razem zrobionych w lepszych czasach, były tam też jakieś jej ubrania.

- Obudziłem się jakiś czas temu i zdałem sobie sprawę, że muszę pozbyć się kilku rzeczy, które już nie należą do mojego życia. - powiedział.

Jego głos był spokojny, nie było w nim złości ani goryczy. Tylko... zdecydowanie. Rio wydawał się być całkowicie pogodzony ze sobą; jej zmysły wyczuły to, kiedy objął ją w ciszy, przyglądając się, jak ogień tańczył na trawniku.

- Nienawidziłem jej, przez cały ubiegły rok - powiedział. - Z każdym oddechem w moich płucach, modliłem się o to, żeby smażyła się w piekle za to co mi zrobiła. Myślę, że moja nienawiść do Eve była jedyną rzeczą, która utrzymywała mnie przy życiu. Od dłuższego czasu, była jedynym, uczuciem, jakie jeszcze byłem zdolny odczuwać.

- Wiem - powiedziała łagodnie Dylan. Wsunęła palce w jego gęste włosy, pieszcząc jego głowę, gdy oparł swój policzek na jej biodrze. - Ale to Eva zaprowadziła mnie do ciebie na tej górze. Przejmowała się tobą, Rio. Myślę, że na swój sposób, bardzo cię kochała. Popełniła w swoim życiu straszny błąd, próbując zatrzymać cię tylko dla siebie. Zrobiła straszne rzeczy, ale myślę, że ona chciała naprawić to wszystko po śmierci.

Rio podniósł się powoli, wciąż ją obejmując.

- Teraz już nie mogę jej nienawidzić, ponieważ przywiodła cię do mnie. I nie tylko tego dnia, tam w górach do jaskini. Eva była w moim samochodzie tej nocy kiedy porwał cię Dragos.

Dylan zmarszczyła brwi.

- Widziałeś ją?

- Byłem unieruchomiony przez wiele godzin w korku na obrzeżach Nowego Jorku, wiedząc, że gdyby Dragos cię miał, mógłbym nigdy nie dotrzeć do ciebie na czas. Cristo, strach trzęsie mną na samą myśl... - Przerwał i przytulił ją mocno do siebie. - Byłem na autostradzie, jechałem tak szybko jak mogłem, modliłem się o jakiś cholerny cud. Nic nie dawało mi nadziei, że cię nie stracę.

Wtedy usłyszałem, jak przemówiła do mnie. Spojrzałem i ona tam była... Eva, ze mną w samochodzie. Powiedziała mi gdzie zabrał cię Dragos. Podała mi lokalizację tamy i kazać sobie zaufać. Nie byłem pewien czy mogę jej... w czymkolwiek... znowu zaufać, ale jednocześnie zadawałem sobie sprawę, że to mogła być moja ostatnia deska ratunku by cię odnaleźć. Bez niej bym cię stracił. Mogła powiedzieć mi, że znajdę cię w środku szalejącego piekła, a ja wszedłbym w nie za tobą. Mogła zdradzić mnie jeszcze raz, poprowadzić mnie do innej zasadzki i poszedłbym, jeśli tylko miałbym nadzieję, że znajdę cię żywą.

- Ale ona nie zrobiła tego - stwierdziła Dylan. - Powiedziała ci prawdę.

- Tak. Dzięki Bogu!

- Och, Rio. - Dylan oparła policzek na jego piersi, słysząc mocny rytm jego serca, jakby było jej własnym. Poczula, jak jego miłość wlewała się w nią tak ciepła jak słońce. Miłość, którą odwzajemniała mu dziesięciokrotnie. - Tak bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham - powiedział i uniósł jej brodę. Pocałował ją, długo, powoli i słodko. - Zawsze będę cię kochał, Dylan. Jeśli zostaniesz ze mną, to nie będę pragnął niczego więcej niż spędzać, każdy dzień... i noc... mojego życia kochając cię.

- Oczywiście, że z tobą zostanę - powiedziała mu, wyciągając rękę, żeby pogładzić koniuszkami palców jego policzek. Uśmiechnęła się powoli z uwodzicielską obietnicą.

- Pragnę być z tobą każdego dnia i każdej nocy mojego życia... na każdy sposób jaki tylko możesz sobie wyobrazić?

Rio warknął z głębi swojego gardła, przebłysk bursztynu rozświetlił jego spojrzenie.

- Cudownie było to usłyszeć.

- Miałam nadzieję, że to powiesz. - Uśmiechnęła się do jego twarzy, twarzy, na którą nigdy nie znudziłoby się jej patrzeć, zwłaszcza kiedy spoglądał na nią z tak żarliwym nabożeństwem w oczach, że traciła oddech.

Spojrzała na pudło z rzeczami Eve, stojące przy ognisku.

- Wiesz, że nie musisz tego robić. Nie dla mnie.

Rio potrząsnął głową.

- Robię to dla nas obojga. Może również dla niej. Już czas by zapomnieć o tym co było. Jestem gotowy to teraz zrobić... z twojego powodu. Z powodu naszej przyszłości. Kończę z oglądaniem się za siebie.

Dylan łagodnie kiwnęła głową.

- W porządku.

Rio podniósł pudło i spojrzeniem poprosił ją, by towarzyszyła mu przy ogniu.

Podeszli razem, cicho zbliżyli się do falujących płomieni.

Lekkim pchnięciem, Rio wrzucił pudło fotografii, obrazów i ubrań w środek ogniska. Płonące pudło wydało ryczący dźwięk jakby przez krótki moment chciało wrócić do życia, strzelając snopem iskier i dymu wysoko do zabarwionego przedświtem nieba.

W pełnej zadumy ciszy, Dylan i Rio przyglądali się temu przez dłuższą chwilę, do czasu gdy płomień wypaliły się i stały się mniej głodne. Gdy pozostał już tylko dym i żar, Rio odwrócił się do Dylana i wziął ją w ramiona. Obejmował ją, szepcząc cichą dziękczynną modlitwą do jej ucha.

W unoszącym się do góry dymie z gasnącego ogniska, Dylan spostrzegła ponad silnym ramieniem Rio eteryczny, kobiecy kształt.

Eva.

Uśmiechnęła się trochę smutno, kiedy ujrzała ich mocno objętych. Ale potem powoli kiwnęła Dylan głową i rozwiała się.

Dylan zamknęła oczy, objęła Rio ramionami i ukryła swoją twarz na jego silnej ciepłej piersi. Po krótkiej chwili, jej policzek zawibrował od dźwięku jego głosu.

- A tak a propos, twojej obietnicy, że będziesz ze mną... na każdy sposób jaki tylko mogę sobie wyobrazić... - powiedział ochrypłym głosem. - Zechcesz wyjaśnić mi co dokładnie miałaś na myśli?

Dylan spojrzała na niego i uśmiechnęła się, jej serce wypełnione było miłością.

- Dlaczego nie miałabym ci tego pokazać? - Zachichotał, czubki kłów już pojawiły się w jego ustach.

- Myślałem, że nigdy o to nie zapytasz.